

PRZYSIĘGA
MIŁOŚCI

MIEĆ ODWAGĘ, BY MARZYĆ
TOM III

SUSAN ANNE MASON

Susan Anne Mason

Przysięga miłości

Tom III z serii Mieć odwagę, by marzyć

tłumaczenie Anna Plis

Mojemu bratu Gregowi oraz bratowej Tinie,
a także dwóm bratanicom – Samancie i Madelyn,
z wdzięcznością za wsparcie i dodawanie mi otuchy
w trakcie tej pisarskiej przygody.

Szczególnie dziękuję też Maddy za to,
że jest moją najmłodszą i największą fanką!

Kocham Was!

Albowiem przywrócę ci zdrowie i z ran ciebie uleczę
– wyrocznia Pana.

Jr 30,17

WRZESIEŃ 1922
NOWY JORK

Deirdre O'Leary przemierzała szeroki korytarz na pierwszym piętrze manhattańskiego szpitala Bellevue, z każdym krokiem odczuwając niespokojne drżenie.

Ileż razy tędy chodziła? Setki? Tysiące?

Najpierw z przejęciem jako studentka pielęgniarstwa, a potem z pewnością siebie jako biegła w swoim zawodzie pielęgniarka.

Nigdy jednak nie towarzyszył jej taki lęk.

Minął zaledwie miesiąc, odkąd zrezygnowała z zatrudnienia w tym miejscu, a teraz wracała z najgorszego możliwego powodu. W kieszeni lnianego żakietu chowała dłoń zaciśniętą na kartce, którą zdążyła przeczytać już setki razy podczas podróży pociągiem z Bostonu – telegram od ojca:

Matka miała udar. Przyjedź szybko.

Jako pielęgniarka, Deirdre aż nazbyt dobrze znała wszystkie związane z tym zagrożenia i powikłania. Było bardzo prawdopodobne, że przyjdzie kolejny udar, który może okazać się śmiertelny. Dlatego gdy tylko odczytała wiadomość, natychmiast porzuciła studia medyczne na uniwersytecie w Bostonie i wsiadła w najbliższy pociąg do Nowego Jorku.

Teraz jej obcasy stukały rytmicznie i dźwięk ten odbijał się od nieskazitelnych szpitalnych ścian. Dobrze znany zapach środków antyseptycznych oraz sosnowa woń preparatu do czyszczenia niosły ze sobą pewną dozę poczucia bezpieczeństwa, przypominając jej o tak wielu przypadkach, jakie tu wyleczono. W czasie praktyki pielęgniarskiej była świadkiem licznych cudownych ozdrowień.

Na to też liczyła w przypadku swojej mamy.

Deirdre minęła poczekalnię, zaskoczona, że nie było tam nikogo z jej braci i sióstr. Spodziewała się, że wszyscy będą czekać. Gdy doszła do pokoju, który jej wskazano, zwolniła kroku i położyła dłoń na futrynie, po czym zatrzymała się na chwilę, żeby uspokoić przyspieszony oddech. Dla dobra rodziny musi zachowywać się w sposób spokojny i opanowany.

Profesjonalnie.

Bez względu na to, jak bardzo krwawiło jej serce.

Przeszła przez drzwi i do jej uszu dotarł nienaturalny szept. Jej wzrok przykuło od razu metalowe łóżko, które dominowało w tym pomieszczeniu. Mama leżała nieruchomo pod śnieżnobiałą pościelą. Obok łóżka, przy poręczy siedział przygarbiony ojciec.

Dolna warga Deirdre drżała. Mama sprawiała wrażenie tak słabej, jak wtedy, gdy o mało co nie pożegnała się z życiem podczas duru brzuszego. Deirdre oraz jej brat Connor również zapadli na tę

chorobę, ale w przeciwieństwie do mamy szybciej doszli do siebie. Choroba dała się starszej kobiecie mocno we znaki, podkopując znacznie jej witalność. Ten sam rodzaj paniki, którego Deirdre doświadczała wtedy, powrócił teraz i ścisnął jej wnętrze niczym imadło.

Westchnęła z drzeniem i weszła w głąb pokoju. Pod przeciwległą ścianą siedziała jej najstarsza siostra, Colleen. Miała odchyloną do tyłu głowę i zamknięte oczy. Przynajmniej tata nie był sam.

Ojciec podniósł wzrok, a napięte rysy rozluźniły się nieco na jej widok.

– Dee! Dzięki Bogu, jesteś!

Podniósł się, by ją przytulić. Kruchość, jaka przebijała w spojrzeniu jego niebieskich oczu, tak zupełnie niepodobna do jego potężnej sylwetki, bardzo mocno ją poruszyła. Ucałowała go w policzek, pytając:

– Jak z mamą, tato?

– Na razie stabilnie. Minęły już ponad dwadzieścia cztery godziny bez kolejnych zmian, a lekarz mówi, że to dobry znak.

– To prawda. – Podniosła kartę pacjenta zawieszoną na końcu metalowego łóżka i przejrzała zapisy. Słowo „paraliż” przebijało w kilku miejscach. Zaciśnęła usta. – Czy doktor mówił, jakie leczenie zaleca?

Wyraz twarzy taty stał się bardziej surowy. Podeszedł bliżej i ledwie słyszalnym szeptem rzekł:

– Porozmawiamy o tym później. A teraz twoja matka musi odzyskać siły.

Na drugim końcu pokoju Colleen wybudziła się z drzemki i rozciągając ręce nad głową, zawołała:

– Dee! Dzięki Bogu! – Zerwała się z krzesła i wzrok Deirdre spoczął na lekko powiększonym brzuchu siostry. Czyżby kolejny mały Montgomery w drodze? Jak to się stało, że przeoczyła taką nowinę?

Colleen pochwyciła Deirdre w żywiołowym uścisku.

– Skoro ty już tutaj jesteś, na pewno będzie lepiej. Kto miałby pomóc mamie, jak nie nasza pielęgniarka. – Odsunęła się trochę. – A może powinnam powiedzieć: nasza kształcząca się lekarka? – Pomimo wyraźnego zmęczenia w fioletowych oczach siostry mignęła figlarna iskierka.

– Postaram się zrobić, co w mojej mocy, niezależnie od tego, jaki tytuł mi przydzielicie. – Deirdre się uśmiechnęła. – Wspaniale wyglądasz. Dlaczego nie powiedziałaś mi, że znowu będę ciocią?

Colleen położyła dłoń na brzuchu.

– Biorąc pod uwagę wielkość naszej gromadki, stwierdziłam, że to już się chyba zrobiło nudne.

– Nonsens! Przez wszystko, co robicie, to wydaje się jeszcze wspanialsze. Prowadzicie z Rylanem sierociniec, adoptowaliście dwójkę dzieci, macie dwoje własnych, a teraz kolejne w drodze...

– Przechyliła głowę na bok. – Przy tym wszystkim studia medyczne to pestka. Poza tym dzieci nigdy nie są nudne. Prawda, tato?

– Nie moje wnuki. – Uśmiechnął się blado, ale wzrokiem uciekł w stronę łóżka, jakby martwił się, że mama nie będzie już mogła cieszyć się spodziewanym powiększeniem rodziny.

– Gdzie są wszyscy? – spytała Deirdre. – Myślałam, że poczekalnia pełna będzie O’Learych.

Tata zajął z powrotem swoje miejsce koło łóżka.

– Byli tu i pojechali. Ustaliliśmy grafik, żeby mama nigdy nie była sama.

Deirdre przeszył dreszcz paniki. Colleen położyła dłoń na ramieniu taty.

– Skoro już o tym mowa, muszę wracać do domu, zanim dzieci przyjdą ze szkoły. – Ucałowała go w policzek i jeszcze raz przytuliła Deirdre. – Porozmawiamy później.

Kiedy tylko Colleen wyszła, Deirdre popatrzyła ojcu prosto w twarz.

– Czy lekarze powiedzieli, że mamie nie grozi już nic poważnego?

Mężczyzna wstał i wskazał gestem na zewnątrz. Jego wysoka sylwetka zdawała się zajmować całą przestrzeń korytarza.

– Lekarze nie chcą mówić zbyt wiele. Tylko to, że jej stan się nie pogorszył.

Deirdre zagryzła wargę.

– Czy dają jakkolwiek nadzieję, że po leczeniu będzie w stanie chodzić?

Szczęka taty drgnęła niespokojnie, co wyraźnie wskazało na jego zdenerwowanie. Pokręcił przecząco głową.

– Mówią, że nic się już nie da zrobić. Powiedzieli mi, abym się przygotował, że to paraliż na stałe.

– Ale przecież na pewno jest jakiś rodzaj terapii...

Tata przepuścił korytarzem salową z wiaderkiem oraz mopem i rzekł:

– Kazałem się dowiedzieć w najlepszych ośrodkach w całym kraju.

Deirdre czuła nieznośny ucisk w gardle, który sprawił, że musiała przełknąć, zanim zadała kolejne pytanie:

– Ale przecież chyba nie myślisz o tym, żeby umieścić mamę w jakimś ośrodku? – Jej pełen desperacji szept odbił się echem od szpitalnych ścian.

– Oczywiście, że nie. Zamierzam ściągnąć tu jakiegoś specjalistę.

– Dzięki Bogu! – Spięte mięśnie jej ramion rozluźniły się w poczuciu ulgi. Przez krótką chwilę martwiła się już, że ojciec postradał zmysły.

Tata otoczył ją ramieniem i ruszyli razem z powrotem do sali, gdzie leżała mama.

– W zasadzie to wujek Victor ma już na myśli jakiegoś lekarza z Toronto, który może poszczycić się znacznymi postępami w pracy z pacjentami cierpiącymi wskutek ran kończyn. Zamierza z nim porozmawiać i wtedy da mi odpowiedź. Do tego czasu muszę wiedzieć... – Odwrócił się, stając na wprost niej. – Czy wrócisz do domu, żeby zająć się matką? – Wyraz twarzy ojca stał się niemalże przeproszający. – Brianna i Colleen proponowały pomoc, ale one obie mają rodziny i małe dzieci. No i ty masz najlepsze kwalifikacje. – W jego głosie dźwięczała nuta dumy.

Deirdre przez chwilę cieszyła się tym, co usłyszała. Wcale nie był zachwycony, gdy po raz pierwszy powiedziała mu, że chce zostać pielęgniarką. A tym mniej, gdy zdecydowała, że będzie studiować medycynę.

W jej głowie na chwilę pojawiły się obrazy uniwersytetu medycznego w Bostonie. Minęło zaledwie kilka tygodni zajęć i wcale jeszcze nie zdążyła przywyknąć do życia studenckiego. Wykładowcy zapewniali ją, że rozumieją powód, dla którego musi wyjechać, ale jak długo będą trzymać jej miejsce, gdy tak wielu kandydatów domagało się przyjęcia na studia?

Bardziej bystrych i obiecujących niż ona.

Myślami wróciła do Jeffreya i tego, jak wiele już poświęciła, by podążać ścieżką swojej kariery.

Jednak wystarczyło, że dostrzegła prośbę zawartą w oczach ojca i wszelkie wątpliwości pierzchły.

– Oczywiście, tato. Nie mogłabym być nigdzie indziej.

Modliła się jedynie w duchu, aby opóźnienie w studiach, nawet na krótką chwilę, nie zniszczyło na zawsze jej marzenia o tym, by stać się pediatrą.

– Tyle na dzisiaj, Fred. Jeszcze jedno powtórzenie i wystarczy. – Matthew Clayborne podniósł niewładną nogę żołnierza pod kątem czterdziestu pięciu stopni i liczył, podczas gdy Fred miał utrzymać ją w tej pozycji przez całą minutę.

Z czoła mężczyzny lał się pot. Stęknął, kiedy wreszcie noga opadła.

– Jeśli chce mnie pan zabić, doktorze, to nieźle panu idzie.

Matthew poczuł przyływ wątpliwości, gdy rozwiązywał pasek przytrzymujący żelazny ciężarek na goleniu Freda. Czyżby zbyt mocno naciskał na mężczyznę w trakcie drugiej tury terapii w tym tygodniu?

Fred uśmiechnął się szeroko, a stężała od bólu twarz rozpogodziła się.

– Spokojnie, doktorze. Żartuję sobie. – Złapał za kule oparte o ścianę obok i wstał, a potem kuśtykając, przeniósł się na swój wózek inwalidzki. – Nie licząc bólu, to nawet miłe uczucie. Mam

wrażenie, że te ćwiczenia działają.

Fala ulgi rozlała się w piersi Matthew.

– Cieszę się. Przy dalszej wzmożonej pracy będzie mógł pan zapomnieć o wózku w ciągu pół roku lub nawet szybciej. – Matthew odwrócił się, żeby zapisać coś w karcie mężczyzny.

Historia Freda była mniej więcej taka, jak wszystkich pacjentów Matthew. Młody i sprawny, potem został ranny na wojnie. Odesłany do domu jako kaleka.

Prawie tak jak Matthew.

Fred przejechał wózkiem na drugi koniec sali.

– Widzimy się w przyszłym tygodniu, doktorze. Chyba że jakaś piękna dziewczyna złoży mi lepszą propozycję. – Zaśmiał się, sięgając jednocześnie po swój kapelusz pozostawiony na niskiej półce obok drzwi.

Masując się po udzie swojej kalekiej nogi, Matthew z podziwem zastanawiał się nad tym, jak Fred potrafił zachować pogodę ducha. On, w przeciwieństwie do swojego pacjenta, mógł przynajmniej chodzić, choć lekko utykał.

– Jaka znowu piękna dziewczyna? – Marjorie, żona Freda, stanęła w otwartych drzwiach, trzymając za rękę małego chłopczyka.

Wyraz twarzy Freda zmienił się i ślady bólu, który dopiero co znosił, ustąpiły miejsca radości.

– Mówiłem oczywiście o tobie, kochanie. Jesteś jedyną piękną dziewczyną w moim życiu – zawołał ze śmiechem.

Udawany grymas Marjorie ustąpił promiennemu uśmiechowi, który niepodważalnie wyrażał jej uczucie do męża.

– Dobra odpowiedź, panie Knox. – Pochyliła się, by go ucałować.

Lekarz odwrócił się, nie mogąc stłumić w sobie nagłego uczucia zazdrości. Nawet gdyby Fred już nigdy nie miał chodzić, Matthew nie sądził, żeby to mogło jakoś zmienić uczucia Marjorie. Czy ten człowiek wiedział, jakim jest szczęściarzem? W głowie Matthew pojawiły się nieproszone obrazy Priscilli. Nigdy nie zapomni tego spojrzenia pełnego odrazy, kiedy po jego powrocie zza oceanu ujrziała koszmarną bliznę, która przecinała całą górną część jego nogi.

Syn Freda wydał głośny okrzyk, wrywając Matthew z rozmyślań. Dziecko wskoczyło tacie na kolana i oplótło ramionami jego szyję.

– Tatusiu, możemy pójść teraz do sklepu z cukierkami? – Ta dziecięca żywiołowość elektryzowała całe pomieszczenie.

– To zależy, młody człowieku, czy byłeś grzeczny dla mamy, gdy czekaliście. – Fred przyglądał się chłopcu, który teraz wisi na jego kolanach.

– Prawie – odparł. – Mamusia musiała tylko raz powiedzieć mi: „Harrisonie”.

Usta Freda drgnęły.

– Cóż, w takim razie myślę, że zasłużyłeś na cukierki z lukrecją i żelki. Zgadza się, mamusiu? – Puścił oko do żony.

Marjorie roześmiała się.

– Jeśli ja też trochę dostanę, to tak.

Chłopczyk zeskoczył i przebiegł przez pokój. Matthew patrzył na dziecko z pełnym onieśmielenia podziwem, próbując sobie wyobrazić swoją słabowitą Phoebe tryskającą taką nieposkromioną energią.

Marjorie zwróciła się w stronę Matthew, pytając:

– Jak dzisiaj poszło Fredowi, doktorze Clayborne? – W jej głosie wybrzmiewała wyraźna nuta nadziei.

Matthew skinął głową.

– Świetnie sobie radzi. Jeśli nadal będzie robić takie postępy, pod koniec wiosny może już nie potrzebować wózka. – Tak, dał sobie i Fredowi więcej czasu, niż pierwotnie przewidywał.

Jeśli Marjorie była zaniepokojona długością oczekiwania na koniec terapii, bardzo zręcznie to zamaskowała.

– Doktorze, chciałam jeszcze raz panu podziękować za wszystko, co pan robi. Kiedy myślę o tych całych latach, które Fred zmarnował, bo nikt nie chciał się podjąć pracy z nim... – Przerwała na chwilę i przygryzła wargę. – Dziękuję Bogu każdego dnia za to, że trafiliśmy na pana.

Widząc przyływ emocji, które przesłoniły jej niebieskie oczy, Matthew zrobił krok w tył, obawiając się, że kobieta będzie próbowała wziąć go w objęcia.

– To pani mąż wykonuje całą pracę. On zasługuje na pani pochwałę, nie ja.

Położywszy rękę na ramieniu męża, uśmiechnęła się, a potem odparła:

– Obaj zasługujecie na uznanie. Do widzenia, doktorze.

Gdy tylko rodzina opuściła gabinet, zostawiając Matthew w błogosławionej samotności, ustąpiło napięcie i mężczyzna mógł znów normalnie oddychać. Podszedł do biurka i zanotował kilka uwag dotyczących kolejnej sesji terapeutycznej. Gdy skończył, wyjął zegarek z kieszeni kamizelki – dziesięć minut do przyjścia kolejnego pacjenta. Niestety pan Worthington nie był tak podatny na leczenie jak Fred Knox.

Rozległo się krótkie pukanie do drzwi. Matthew podniósł oczy i spostrzegł, że do pokoju wchodzi dyrektor medyczny, doktor Victor Fullman. Victor był jego przełożonym, odkąd Matthew zaczął pracować w Szpitalu Wojskowym w Toronto prawie cztery lata temu.

– Dzień dobry, Matthew. Możemy porozmawiać?

Lekarz starał się ukryć przejawy zaskoczenia. Rzadko zdarzało się, żeby Victor schodził tu, do gabinetu terapeutycznego. Zazwyczaj wysyłał wiadomość, prosząc Matthew, by przyszedł do niego.

– Oczywiście, Victorze. Czy coś się stało?

Rosły mężczyzna przeszedł przez pomieszczenie.

– Mam prośbę, którą chciałem ci jak najszybciej przedstawić.

Widząc jego niepewny wyraz twarzy, Matthew domyślił się, że nie będzie mu się to podobało. Zdjął okulary do czytania i odłożył je ostrożnie na blat.

– Jaką prośbę?

– Otrzymałem telefon od dobrego znajomego z Nowego Jorku. – Victor założył ręce na wydatnym torsie. – Jego żona miała udar i jest sparaliżowana po jednej stronie.

– Jaka szkoda. Tak mi przykro. – Matthew podniósł się z taboretu, na którym siedział.

– Neurologzy z Bellevue nie rokują wielkich nadziei na przywrócenie sprawności w kończynach. James jest jednak upartym Irlandczykiem i nie przyjmuje takiej opcji. – Victor się uśmiechnął, a wokół jego oczu zarysowały się wyraźne zmarszczki.

Matthew czekał, nadal nie pojmując, co to miałyby mieć wspólnego z jego osobą.

Victor wyprostował się.

– Chciałbym, żebyś przyjął panią O’Leary jako prywatną pacjentkę. Potraktuj to, proszę, jako osobistą przysługę wobec mnie.

Matthew zmarszczył czoło, bo słowo „prywatna” wzbudzało w nim niepokój.

– Czy pan O’Leary zamierza przetransportować tu swoją żonę?

Victor spojrzał na niego bacznie.

– Nie. Chciałbym, żebyś ty do nich pojechał. Mieszkają w rozległej posiadłości na Long Island i będzie tam...

– To wykluczone! – Matthew przemaszerował do umieszczonego wysoko na ścianie małego, prostokątnego okna, wychodzącego na poziom ulicy. Patrzył na nogi ludzi przechodzących po chodniku, a serce w piersi waliło mu nierówno. Jak Victor mógł w ogóle zaproponować coś takiego? Wiedział, jak wiele dla Matthew znaczyła pomoc dla żołnierzy. Najmniejsze choćby opóźnienie w ich terapii mogłoby sprawić, że kolejny etap oddaliłby się o tygodnie, a może nawet miesiące. – Nie mogę opuścić swoich pacjentów.

– Doktor Marlboro może cię zastąpić do czasu twojego powrotu.

Matthew obrócił się.

– Doktor Marlboro nie ma pojęcia o tym, jaką pracę wykonuję z tymi ludźmi.

Victor nawet nie mrugnął.

– Możesz go w to wprowadzić przed wyjazdem.

Matthew otworzył usta, gotów wymienić całą listę powodów, dla których nie było to możliwe. Napotkawszy jednak stalowe spojrzenie Victora, odpuścił. Nie było sensu zdzierać gardła na wyjaśnienia, które jego przełożony odrzuciłby jedno po drugim.

– To nie wchodzi w rachubę, Victorze. A teraz, wybacz, muszę się przygotować na wizytę kolejnego pacjenta.

– Czy to nie ty wspominałeś w zeszłym tygodniu, że zapotrzebowanie na twoje zabiegi maleje? Że zastanawiasz się nad nowym kierunkiem swojej praktyki? To mogłaby być okazja, żeby sprawdzić twoje metody na kimś sparaliżowanym wskutek udaru.

To prawda. Liczba jego pacjentów malała. Większość z nich osiągnęło już maksymalne korzyści, jakie były możliwe w ich przypadkach, a tylko niektórzy nadal potrzebowali zabiegów, aby zapobiec atrofii mięśni. Chcąc zachować dobry poziom praktyki lekarskiej, Matthew musiał pozyskać więcej pacjentów. Jednakże na samą myśl o tak drastycznych zmianach, o tym, że może zająć konieczność zmiany ośrodka, wzdrygał się z niechęcią.

– Przepraszam. Może jeśli mogłaby tu przyjechać, wziąłbym to pod uwagę, ale ja nie mogę teraz stąd wyjechać. – *Nie w sytuacji, gdy Phoebe jest w tak delikatnym stanie.* Krople potu zbierały się pod kołnierzem Matthew, ale wytrzymał wzrok Victora.

Ten ostatni, skłoniwszy w końcu głowę, rzekł:

– Rozumiem, że to ważna decyzja. Szczególnie uwzględniając twoją osobistą sytuację. Ale proszę cię, żebyś się nad tym zastanowił. James O’Leary jest dla mnie niczym brat. Jeśli mógłbym zrobić coś, żeby mu pomóc, muszę próbować.

Gdy drzwi się zamknęły, Matthew ze świstem wypuścił powietrze. To była jedyna bitwa, której jego zwierzchnik nie mógł wygrać. Niezależnie od tego, jak bardzo czuł się dłużny wobec tego człowieka, Matthew nigdy nie mógł opuścić Toronto. Nie mógł zostawić Phoebe, by zajmować się jakąś bogatą kobietą.

Jego córka i dzielący jego los żołnierze potrzebowali go dużo bardziej.

Deirdre po raz kolejny sprawdziła podstawowe dane mamy, porównała wyniki z ostatnimi zapisami w karcie i westchnęła cicho. Mama miała za sobą spokojną noc, a jej stan był stabilny. Sprawiała wrażenie bardziej ożywionej tego poranka i zdołała nawet zjeść trochę śniadania.

Chwała Ci, Panie!

Gdyby tylko teraz tata wrócił od Colleen z dobrymi wieściami, sytuacja wyglądałaby rzeczywiście dużo lepiej. Zamiast nadrabiać kawał drogi do domu na Long Island, ojciec pojechał do kamienicy na Manhattanie, gdzie mieszkała Colleen, żeby zadzwonić do wujka Victora i przespać się chwilę. Ale powinien już wrócić.

Mama zapadła znowu w drzemkę, więc Deirdre wymknęła się z pokoju po kawę. Skierowała się w głąb korytarza, jednak widok taty zmierzającego w jej kierunku sprawił, że natychmiast zapomniała o pragnieniu. Wyszła mu na spotkanie, zaniepokojona jego marsową miną.

– Jak się miewa matka? – zapytał bez zbędnych wstępów.

– Leży wygodnie i odpoczywa. Skontaktowałeś się z wujkiem Victorem?

Skrzywił usta w grymasie.

– Tak, rozmawiałem z nim. – Ujawszy ją za łokieć, pokierował do pustej poczekalni.

– Obawiam się, że nie przynoszę dobrych wiadomości. Victor nie zdołał przekonać doktora Clayborne'a, żeby przyjechał do Nowego Jorku.

– Tak mi przykro, tato.

– Chociaż podziwiam, z jakim oddaniem opiekuje się swoimi pacjentami, wołałbym, żeby na kilka tygodni zrezygnował trochę z tego i pomógł waszej matce. – Głośno wypuścił powietrze. – Wygląda jednak na to, że nic nie zachwieje jego postanowieniem.

– Znajdziemy kogoś innego. To niemożliwe, żeby był jedynym fizjoterapeutą.

Ojciec skrzyżował z nią zatroskane spojrzenia.

– Jest kilku lekarzy, którzy zajmują się takim leczeniem, tyle że w Anglii. Tam też sam doktor Clayborne uczył się tej metody.

Anglia? Nawet gdyby udało im się przekonać jakiegoś terapeutę do przyjazdu tutaj, podróż przez ocean oznaczałaby utratę cennego czasu.

Ojciec ujął jej rękę w swoje szorstkie dłonie i rzekł:

– Deirdre, chciałbym, żebyś pojechała do Toronto. Przekonaj tego lekarza, by zmienił zdanie.

Gdy dotarło do niej, co mówił, dziewczyna poczuła nagle, jak ścisnęło ją w środku.

– Och, tato, ja nie...

– Sam bym pojechał, gdybym wiedział, że cokolwiek osiągnę. Ale to ty znasz medyczne pojęcia. Mówicie tym samym językiem. Tylko ty możesz go przekonać, żeby tu przyjechał.

Była spięta do granic możliwości. Zrobiłaby wiele, by pomóc matce, ale jechać aż do Kanady?

– Proszę, Dee... – Jego niebieskie oczy zaszklily się. – Mama zawsze mówiła, że potrafisz nawet rybę przekonać, by porzuciła ocean. Proszę, powiedz, że spróbujesz.

– Przepraszam, panie O’Leary? – W drzwiach pojawiła się pielęgniarka.

Wzrok Deirdre spoczął na wiklinowym wózku inwalidzkim u jej boku.

– Mamy wózek dla pańskiej żony, sir. Może, gdy się obudzi, moglibyśmy spróbować.

Twarz ojca zrobiła się ziemistoszara. Pielęgniarka zawahała się.

– Dzięki temu wózkowi będzie mogła wyjść z łóżka. Będzie mógł pan nawet wyprowadzić ją na podwórze, jeśli lekarz pozwoli.

W głowie Deirdre mignął obraz mamy siedzącej na wózku do końca życia. Nigdy nie będzie już mogła wspiąć się po schodach do sypialni. Nigdy nie pospaceruje po ogrodzie. Nie będzie biegać za wnukami. Coś ścisnęło gardło dziewczyny. Jeśli ten doktor Clayborne mógł uratować mamę od takiego losu, czyż nie było powinnością Deirdre użyć wszelkich możliwych środków, by przekonać tego człowieka, aby im pomógł?

Tata podziękował pielęgniarkę, która oddaliła się zaraz korytarzem.

Deirdre wzięła głęboki wdech.

– Zrobię to, tato. Pojadę do Toronto.

Po wyrazie twarzy ojca widać było, że odczuł ulgę. Pochwycił ją w ramiona, mówiąc:

– Dziękuję ci. – Jego drżący szept był najlepszym potwierdzeniem tego, jak wielka była jego wdzięczność. Odsunął się i odchrząknął. – Dowiem się, kiedy odjeżdża najbliższy pociąg i dam znać Victorowi, żeby cię oczekiwał.

Deirdre skinęła, umacniając się w swoim postanowieniu. Uczyni, co tylko będzie trzeba, by przekonać tego mężczyznę do przyjazdu tutaj. A jeśli wciąż będzie odmawiał, wykorzysta ten wyjazd, żeby nauczyć się wszystkiego na temat tego rodzaju leczenia, jaki stosował, i przywiezie tę wiedzę do domu, by pomóc matce.

Tak czy inaczej, dopilnuje, żeby mama odzyskała sprawność i mogła chodzić.



Matthew wyszedł z gabinetu fizjoterapii i skierował się w stronę ciasnego pokoiku, który służył

mu za biuro. Mógł wybrać sobie bardziej przestronne pomieszczenia na pierwszym piętrze, obok gabinetu doktora Fullmana, ale kierował się czysto praktycznymi względami, by być blisko miejsca pracy z pacjentami. Pomiedzy wizytami mógł wykonywać rozmowy telefoniczne, łyknąć trochę kawy i przejrzeć notatki dotyczące kolejnego pacjenta. Ponadto odosobnienie tego pomieszczenia dużo bardziej odpowiadało Matthew od ruchliwego otoczenia gabinetu doktora Fullmana.

Włączył światło i zamrugał kilka razy, jakby widział to miejsce po raz pierwszy, lekko zaskoczony tym, jak bardzo było zabałaganione. Kiedy ostatni raz tu sprzątał? Wysunął swoje krzesło i zanotował w pamięci, by później poświęcić trochę czasu na uzupełnienie papierów. Przesunął stertę książek na bok i znalazłszy parę okularów do czytania, nasunął je na czubek nosa.

Delikatne pukanie do drzwi przyprawiło go o rozdrażnienie.

– Tak?

Drzwi się otworzyły. Matthew uniósł brwi na widok olśniewającej młodej damy, która weszła do środka. Była ubrana w niebieską spódnicę i dopasowany zakieciak. Jej kapelusz skrywał większość kasztanowych włosów, poza starannym koczkiem upiętym na karku. Patrzyła na niego śmiało spojrzeniem swoich zielonych jak letnia trawa oczu.

Uświadomiwszy sobie nagle, że się gapi, zacisnął mocno usta i popatrzył na nią spode łba. Grymas ten zazwyczaj skutecznie odstraszał innych pracowników.

– Obawiam się, że pomyliła pani gabinet, panienko. Pewnie szuka pani lekarza z pierwszego piętra.

Kobieta, przechyliwszy głowę, odparła:

– Doktor Clayborne to pan, tak? Doktor Fullman powiedział mi, gdzie pana zastanę.

Nagle przeszył go lęk. Dlaczego Victor miałby przysyłać do niego jakąś kobietę? Przecież chyba nie próbował go znów wyswatać. Po ostatniej próbie Victora Matthew wyłożył jasno swoje stanowisko. Priscilla odeszła, a on nie miał zamiaru ponownie się żenić.

Marszcząc brwi, zdjął okulary.

– Ja jestem doktor Clayborne.

Kobieta posłała mu promienny uśmiech, ukazujący dołeczki w obu jej policzkach, a potem z wyciągniętą dłonią zrobiła krok w przód.

– Jestem Deirdre O’Leary. Miło mi pana poznać.

Choć dobre wychowanie kazało uściśnąć jej dłoń, Matthew po raz kolejny wykrzywił twarz w grymasie.

– Czego pani potrzebuje? Jak widać, jestem zajęty. – Wskazał gestem na zavalone biurko, ciesząc się teraz z tych stert papierów.

W jej niezwykłych zielonych oczach mignął gniew, ale kobieta szybko się opanowała i przybrała

na twarz sztuczny uśmiech.

– Mogę usiąść? Właśnie przyjechałam z Nowego Jorku i jestem nieco zmęczona.

Nowy Jork. W głowie błysnęły mu ostrzegawcze światełka. Victor chyba nie zniżyłby się aż do tego... a może jednak?

– Jak sobie pani chce. – Machnął ręką w kierunku drugiego krzesła, zavalonego książkami i gazetami.

Niczym niezrażona młoda dama wzięła stertę i przerzuciła ją na chwiejący się już stosik w rogu biurka. Dłonią odzianą w rękawiczkę przetarła drewniane siedzisko, a potem przysiadła na krawędzi. Jej pogardliwe spojrzenie sprawiło, że nieco się zmitygował.

– W czym mogę pani pomóc?

Uniósłszy podbródek, odparła:

– Przyjechałam tu, by błagać o pańską pomoc, doktorze, dla mojej najdroższej matki, która jest sparaliżowana po udarze. – Jej piękne oczy zwilgotniały.

Matthew nie potrafił powstrzymać się przed zastanowieniem, czy te łzy były prawdziwe, czy stanowiły jedynie wybieg, by wzbudzić w nim współczucie. To była ulubiona sztuczka Priscilli.

Panna O’Leary wyjęła chusteczkę i ściskając ją między palcami, mówiła dalej:

– Wujek Vic... to znaczy, doktor Fullman bardzo pana chwalił. Jest przekonany, że może pan pomóc mojej matce odzyskać sprawność.

W jej spojrzeniu dostrzegł szczerość, która wzbudziła ukłucie współczucia w jego pancerzu opryskliwości. Ale to nie wystarczało, by przystał na jej prośbę.

– Obawiam się, że przez doktora Fullmana zmarnowała pani jedynie swój czas. Tłumaczyłem mu już, dlaczego nie mogę przyjąć pani matki jako pacjentki. Z pewnością w Nowym Jorku musi być jakiś wykwalifikowany fizjoterapeuta, który mógłby się podjąć leczenia.

Ktoś, kto nie będzie musiał zostawiać własnego dziecka, żeby to zrobić – dodał w myślach.

Nad jej lekko zadartym nosem pojawiła się drobna zmarszczka.

– Mój ojciec próbował kogoś znaleźć, proszę mi wierzyć. Ale nie ma nikogo, kto stosowałby takie metody, z jakich pan korzysta. Pańskie nazwisko jest dobrze znane nawet w Nowym Jorku.

Matthew uniósł brew.

– Odwoływanie się do mojej próżności nie zdoła mnie przekonać.

Jej policzki oblał rumieniec.

– To nie... – Wzięła wdech i ze świstem wypuściła powietrze.

Matthew wstał i zerknął na swój zegarek kieszonkowy. Pewnie już teraz nie zdąży zająć się papierami.

– Bardzo mi przykro, panno O’Leary, z powodu stanu pani matki, lecz obawiam się, że to niemożliwe, bym opuścił Toronto. A teraz proszę wybaczyć, ale mam umówionego pacjenta. – Jednego z wielu, których nie zamierzał opuścić, niezależnie od tego, jakich taktyk użyłaby ta kobieta.

Panna O’Leary podniosła się, przesywając go pełnym determinacji spojrzeniem.

– W takim razie dobrze, doktorze Clayborne. Skoro nie chce pan ze mną pojechać, będę przyglądać się pańskim metodom, tak bym sama mogła je potem wykorzystać.

Zuchwałość, nie mówiąc już o czystym obłędzie tej dziewczyny, która zakładała, że może samodzielnie odtworzyć jego pracę, sprawiła, że Matthew o mało co nie roześmiał się w głos. Wpatrywał się w nią z otwartymi ustami, a potem zapytał:

– Skąd pani przekonanie, że zdoła się pani nauczyć metody, na opanowanie której ja musiałem poświęcić lata ćwiczeń?

Spojrzała na niego z wyniosłością.

– Tak się składa, że jestem studentką medycyny, doktorze, i mam też doświadczenie zdobyte podczas trzech lat pracy jako pielęgniarka. Mogę bez problemu nauczyć się pańskich metod. A teraz niech pan prowadzi, w przeciwnym razie spóźnimy się na umówioną wizytę.



Doktor Clayborne przewyższał wszystkich zręczliwych, upartych lekarzy, z którymi Deirdre miała kiedykolwiek okazję współpracować. Gdy nie udało mu się odwieść jej od pomysłu dołączenia do ćwiczeń, jego pacjent – miły pan o nazwisku Worthington – wyraził zgodę, by Deirdre przyglądała się terapii, i Matthew nie miał już wyjścia. Mimo to ostentacyjnie ignorował ją na każdym kroku, odpowiadając na jej pytania zaledwie pojedynczymi chrząknięciami.

Teraz Deirdre obserwowała, jak lekarz kończył pracę. Gdyby nie był taki posępny, można byłoby go nawet uznać za atrakcyjnego. Jasnobrązowe włosy zaczesywał do tyłu, odsłaniając tym samym wysokie czoło i podkreślając przenikliwe niebieskie oczy. A jednak była w nim jakaś surowość, która wskazywała na ten mur, który wznosił dookoła siebie. Nawet w stosunku do swojego pacjenta nie okazywał zbyt wiele emocji.

Jak tylko pan Worthington opuścił gabinet, doktor Clayborne zwrócił się do niej:

– Mam nadzieję, że otrzymała pani informacje, których pani potrzebowała. A teraz proszę mi wybaczyć, ale muszę odbyć parę rozmów telefonicznych w moim biurze.

– Dobrze. – Deirdre wzięła swoją torebkę i wyszła za nim. – O której godzinie ma pan jutro pierwszego pacjenta?

Zmierzył ją wzrokiem pełnym niedowierzania.

– Chyba nie zamierza pani rzeczywiście uczestniczyć we wszystkich moich zajęciach?

– Nie we wszystkich – odparła słodko. – Tylko tych w przyszłym tygodniu, do czasu, gdy upewnię się, że będę w stanie sama sobie poradzić.

Jego twarz zrobiła się nagle czerwona.

– A niech...

– Niestety, takie są właśnie wytyczne wujka Victora. – Uniosła brew i ledwie powstrzymała się, by nie mrugnąć do niego, gdyż obawiała się wybuchu furii.

Mężczyzna jeszcze mocniej zacisnął usta i gwałtownie wybiegł na korytarz, zmierzając w stronę schodów.

Kiedy szła za nim, poczuła wyrzuty sumienia za swoje impulsywne zachowanie. Miała być czarująca, namówić go, by jej pomógł, a nie robić sobie z niego wroga. Niezależnie od tego, jak bardzo go nie lubiła, musiała go przeciągnąć na swoją stronę... dla dobra matki.

– Doktorze Clayborne, proszę poczekać! – zawołała, zatrzymując się u szczytu schodów, by złapać oddech. – Chyba niezbyt fortunnie zaczęliśmy. Może moglibyśmy usiąść przy kawie i porozmawiać w bardziej cywilizowany sposób? – Posłała w jego stronę uśmiech, który miał być ujmujący.

Mężczyzna spiął się jeszcze bardziej.

– Nie, panno O’Leary. Nie możemy. Właśnie idę do doktora Fullmana, żeby powiedzieć mu...

– Matthew. – Wujek Victor wyłonił się zza rogu z promiennym uśmiechem na ogorzałej twarzy.
– Cóż za miłe, choć nie tak niespodziewane, spotkanie.

– Czy moglibyśmy zamienić słówko na osobności, sir? – Suchy ton doktora Clayborne’a wskazywał na jego niezadowolenie.

Wujek Victor zerknął na Deirdre, a potem znów popatrzył na doktora Clayborne’a.

– Mogę poświęcić parę minut, ale nalegam, by dołączyła do nas Deirdre, gdyż to z pewnością jej dotyczy.

Wujek Victor ruszył korytarzem, nie pozostawiając doktorowi Clayborne’owi szansy na dyskusję. Pozostali poszli za nim do szerokiego holu wejściowego, gdzie przy dużym biurku siedziała kobieta, stukając na maszynie do pisania. Gdy tylko ich spostrzegła, podniosła się z krzesła i rzekła:

– Pańskie wiadomości, sir. – Wręczyła wujkowi Victorowi kilka świstków.

– Dziękuję, panno Howard. Proszę dopilnować, aby nam nie przeszkadzano.

Zaprosił gestem swoich gości, by przeszli do gabinetu. Deirdre weszła dostojnie i zajęła miejsce. Trzymała na kolanach zaciśnięte razem dłonie i w duchu modliła się, by udało się dotrzeć do tego trudnego człowieka.

Być może z pomocą Bożą i wsparciem wujka Victora uda im się przemówić doktorowi Clayborne'owi do rozsądku.

Matthew podszedł do okna na przeciwległym końcu gabinetu. Jeśli Victor sądził, że on ustąpi z powodu obecności panny O'Leary, grubo się mylił.

Krzesło skrzypnęło pod Victorem, gdy ten siadał.

– Hm, Matthew, powiedz, z czym chciałeś do mnie przyjść?

Matthew zmierzył surowym wzrokiem przełożonego. Włożył wiele wysiłku, by opanować głos.

– Przeraza mnie pańska zuchwałość, sir. Wyraźnie powiedziałem, dlaczego nie mogę się podjąć leczenia tej pacjentki, a pan zaprosił tu jej rodzinę, by mnie przekonywać.

Panna O'Leary zerknęła na Victora, jakby nie wiedziała, jakiej reakcji się spodziewać. Victor zaś po prostu patrzył na niego badawczo z dłońmi złożonymi na brzuchu.

– Przykro mi, że jesteś tak niezadowolony, mój chłopcze. Kiedy odmówiłeś mojej prośbie, zaprosiłem Deirdre, by przyjechała i przyglądała się twoim metodom terapeutycznym. Jako studentka medycyny będzie osobistą opiekunką pani O'Leary po jej wyjściu ze szpitala.

Matthew nie był do końca przekonany, więc nic nie powiedział na te słowa Victora.

– Nie będę ukrywał – mówił dalej doktor Fullman – iż liczyłem, że kiedy poznasz Deirdre i dowiesz się więcej na temat stanu jej matki, być może zmienisz zdanie. Zwłaszcza w świetle tego, że sam wspominałeś, iż chciałbyś kiedyś stosować te metody wobec osób cierpiących po udarze. – Jego wąsy drgnęły. – Jednak niestety, widzę, że przysłużyłem się tylko twojemu zagniewaniu. Za co też serdecznie przepraszam.

Matthew westchnął głośno. Choć nie do końca wierzył w tę historię, ufał, że Victor miał dobre intencje.

– Chyba... możliwe, że trochę... zbyt mocno zareagowałem.

Wydawało mu się, że panna O'Leary prychnęła, ale nie śmiał nawet na nią spojrzeć.

Victor podniósł się zza biurka.

– Zatem będziecie współpracować z Deirdre i pozwolisz jej przyglądać się swoim zajęciom? – Jego ton wyrażał raczej rozkaz niż pytanie.

Matthew dopiero wtedy zerknął na kobietę i dostrzegł cień nadziei w głębi jej spojrzenia.

– Jest jednak jedna mała rzecz. Ja, nawet mając medyczne wykształcenie, potrzebowałem ponad roku, żeby opanować te metody terapii. Obawiam się, panno O'Leary, że nie zdoła się pani nauczyć tego w tydzień.

Kobieta wstała z niezaprzeczalną gracją.

– Cokolwiek mogę zrobić dla dobra mojej matki, nie będzie stratą czasu.

Matthew wiedział, kiedy ustąpić. Westchnął i wzruszył ramionami.

– O ile tylko nie będzie pani przeszkadzać moim pacjentom, wydaje mi się, że nie powinno to nikomu przynieść szkody.

Olśniewający uśmiech rozpromienił jej oblicze.

– Dziękuję, doktorze. Będę bardzo wdzięczna.

Zanim zdołał powiedzieć coś jeszcze, u drzwi rozległo się gwałtowne pukanie i w wejściu pojawiła się głowa panny Howard.

– Przepraszam, że przeszkadzam, sir – zaczęła. – Ale jest pilny telefon do doktora Clayborne’a.
– Kobieta odwróciła się, a w jej oczach widać było morze współczucia. – Chodzi o pańską córkę.

Przyływ paniki niemalże uniemożliwił mu oddychanie. Niania dzwoniła do niego do pracy tylko wtedy, gdy wydarzyło się coś poważnego. Wypadł z pokoju, nie pożegnawszy się nawet, myśląc jedynie o tym, by dotrzeć do córki, zanim będzie za późno.

Następnego dnia z samego rana Matthew cicho wszedł do sypialni córeczki. Panna Shearing drzemała na fotelu bujanym w kącie. Już samo to uspokoiło nieco doktora, gdyż oznaczało, że z Phoebe musi być trochę lepiej.

Sprawdzał jej stan kilkakrotnie w ciągu nocy i za każdym razem wydawało się, że śpi spokojnie, mimo to zdołał się zdrzemnąć jedynie dwie godziny. Wpatrywał się w śpiące dziecko. Kosmyki jasnych włosów rozrzucone były wokół jej twarzy. Jak zawsze poczuł ucisk w piersi na to wyraźne podobieństwo do Priscilli.

Położył dłoń na jej czole, z ulgą stwierdzając, że nie jest już rozpalone. Może tym razem będą mieli szczęście i ten lekki katar nie zmieni się w nic poważniejszego.

Panna Shearing dobrze zrobiła, że wezwała go do domu. Wiedziała z wcześniejszego doświadczenia, że nie ma co ryzykować. Nawet najłżejsza choroba mogła w mgnieniu oka przerodzić się w śmiertelne zagrożenie.

Poprawił kołdrę pod szyją Phoebe i wetknął obok niej jej podniszczoną szmacianą laleczkę.

W tym samym czasie panna Shearing usiadła prosto na krześle.

– Doktor Clayborne? Która już jest godzina? – Potarła oczy i poprawiła włosy.

– Trochę po siódmej. Nie musi się pani spieszyć. Phoebe pewnie pośpi dziś do późna.

Panna Shearing podniosła się i wygładziła pogniecioną spódnicę. Zerknęła na jego marynarkę.

– Idzie pan do pracy?

Powstrzymał westchnienie irytacji wobec potępienia wybrzmiewającego w jej głosie.

– Tak, tak zamierzałem. Phoebe ma za sobą spokojną noc bez śladów gorączki i mogę mieć pewność, że jeśli jej stan się pogorszy, da mi pani niezwłocznie znać.

Pospolite rysy twarzy kobiety pokrył rumieniec.

– Oczywiście.

– W takim razie dobrze. Miłego dnia, panno Shearing.

Zacisnęła wargi i przechyliła głowę.

Dlaczego dezaprobata tej kobiety tak go bolała? Zaczęła pracować u Matthew po śmierci Priscilli, ponad dwa lata temu, i była mu nieocenioną pomocą. A jednak ostatnio pojawiła się jakaś nieznacząca zmiana w jej zachowaniu, choć Matthew nawet nie potrafił dokładnie określić, na czym ona miałaby polegać.

Jakieś ukryte oczekiwania? Ledwie skrywana niechęć?

Cokolwiek to było, wyprowadzało Matthew z równowagi i wolał spędzać możliwie najmniej czasu w towarzystwie tej kobiety.

Dobrze, że miał pracę. Nie wiedział, co by bez niej zrobił. Pomaganie pacjentom było jedyną rzeczą, jaka uspokajała jego wewnętrzne demony, które domagały się, by zająć jego umysł, gdy tylko był bezczynny.

Matthew skierował się w stronę głównego wyjścia olbrzymiej rezydencji, którą niegdyś dzielił z Priscillą. Był to ślubny prezent od jego teścia, doktora Terrence'a Pentergasta.

Mężczyzna rozejrzał się dookoła ogromnego holu wejściowego i ledwie powstrzymał grymas obrzydzenia. Nigdy nie lubił tego domu i próbował się przeprowadzić po śmierci Priscilli, ale jej rodzice nalegali, by został ze względu na Phoebe. Jak tłumaczyli, potrzebowała tej swojskości, którą zapewniał jej dom z dzieciństwa. Miało jej to pomóc poradzić sobie ze stratą matki. Więc poddał się, choć rezydencja była zbyt duża jak na jego gust. Gdyby tylko ten dom był jedynym źródłem konfliktu pomiędzy nim a państwem Pentergast...

Matthew odrzucił od siebie posępne myśli i zdjął kapelusz z wieszaka w holu. Przejrzał się w lustrze i przygotował do wyjścia na tramwaj. Czy ta irytująca panna O'Leary znów będzie się dzisiaj kręcić i go denerwować? Uwzględniając upór, jaki do tej pory wykazywała, podejrzewał, że tak.

Na schodach rozległ się odgłos kroków. W przedpokoju pojawiła się panna Shearing.

– Mogłabym z panem pomówić, doktorze?

Matthew powstrzymał westchnienie.

– O co chodzi, panno Shearing?

Zrobiła niepewny krok w jego stronę.

– Nie mógłby mi pan mówić Catherine?

Matthew z zaskoczeniem dostrzegł emocje widoczne w jej brązowych oczach – połączenie współczucia i... sympatii? Na Boga, czyżby niania zakochała się w nim? To by mogło tłumaczyć jej ostatnio dziwne zachowanie, ale modlił się w duchu, żeby nie chodziło o to, bo wcale nie odwzajemniał tego uczucia. Po śmierci żony poprzysiągł sobie, że już nigdy nie będzie odpowiedzialny za nieszczęście jakiegokolwiek innej kobiety.

– To byłoby co najmniej niestosowne. Co takiego chciałaby pani omówić? – Być może, jeśli będzie bardzo opryskliwy, wyperswaduje jej w ten sposób niewłaściwe myśli.

Kobieta splonęła się.

– Martwi mnie brak postępu u Phoebe, jeżeli chodzi o jej powrót do zdrowia.

– Jeśli mówi pani o płucach, jestem w pełni świadom ich kiepskiej kondycji.

– Chodzi mi raczej o jej stan emocjonalny. – Zmarszczyła czoło. – Phoebe znowu zaczęła chować się w szafie. Na dodatek przestała się odzywać. Myślałam już, że poczyniłam z nią pewne postępy, ale coś znów sprawiło, że zaniemówiła.

Matthew poczuł niemiły skurcz. Jej słowa potwierdzały ponowne pogorszenie stanu Phoebe, które również zaczynał zauważać. Wolał mieć do czynienia z rannym żołnierzem z amputowaną nogą niż rozmawiać o paraliżujących uczuciach. Sam chował swoje blizny tak głęboko, że nie potrzebował o nich mówić. Tylko w koszmarach nocnych wychodziły czasem z ukrycia. Jak miał pomóc swojej córce w walce z jej demonami, gdy sam był bezsilny i nie potrafił pokonać własnych?

Panna Shearing złożyła dłonie i opuściła je przed sobą na gładką, brązową spódnice.

– Czy przychodzi panu na myśl cokolwiek, co mogłoby spowodować ten zwrot?

Przeszukiwał pamięć, chcąc odnaleźć coś niezwykłego w ciągu ostatnich kilku tygodni, ale nie przypominało mu się nic szczególnego.

– Obawiam się, że nie.

Zwilżyła usta nerwowo.

– Zdaję sobie sprawę, że nie mam kwalifikacji w dziedzinie psychologii, dlatego chciałam prosić o pozwolenie, by wezwać psychiatrę, który zająłby się Phoebe.

Coś ścisnęło go w żołądku.

– Wykluczone. Nie pozwolę, by moja córka była narażona na... coś takiego. Czy to jasne?

Panna Shearing wydeła wargi, jakby skosztowała czegoś obrzydliwego.

– Tak. Przepraszam, że marnuję pański czas. – Odwróciła się z szelestem spódnicy i odeszła.

W tak cierpkim nastroju Matthew opuścił dom, pragnąc jak najszybciej zaczerpnąć chłodnego porannego powietrza z dala od tego najeżonego problemami domu. Nigdy nie pozwoli narażać Phoebe na zabiegi psychiatrów. Nie po tym, co sam przeszedł, gdy wrócił zza oceanu. Terapia elektrowstrząsowa. Niekończące się kanonady pytań, które wyciągały na światło dzienne potworne wspomnienia z wojny.

Nie. Lepiej zapomnieć o przeszłości i iść do przodu.

Udało mu się to zrobić i jego córka będzie musiała uczynić tak samo.



Deirdre przystanęła w słabo oświetlonym korytarzu przed gabinetem fizjoterapii doktora Clayborne'a, by zebrać w sobie odwagę. Niezależnie od jego gburowatości, zamierzała ignorować jego podejście do niej i skupić się na tym, żeby nabyć jak najwięcej umiejętności, dzięki którym będzie mogła pomóc mamie.

Najwyraźniej lekarz nie zamierzał zmienić zdania co do przyjazdu na Long Island i Deirdre zaczynała myśleć, że może to i lepiej. Mama nie potrzebowała takiego niemiłego człowieka w swoim

otoczeniu. Zasługiwała na kogoś radosnego i pełnego optymizmu, a jeśli nie było takiego lekarza, Deirdre będzie musiała go jej zastąpić.

Otworzyła drzwi i weszła do pustego pokoju, z zaskoczeniem odkrywając, że przyszła jeszcze przed doktorem Clayborne'em. Odnalazła włącznik światła i rozjaśniła tę przestrzeń, po czym stanęła, po raz kolejny podziwiając urządzenia, których używał do leczenia swoich pacjentów. Szereg lin i bloków, które sprawdzały wytrzymałość zwiotczających mięśni, równoległe metalowe poprzeczki na wysokości bioder, a także różnorakie żelazne ciężarki, paski, metalowe obręcze i kule. Wyglądały trochę jak narzędzia tortur, ale skoro doktor widział postępy, musiały spełniać swoją rolę. Jak jej się uda odtworzyć takie wyposażenie w Irlandzkich Łąkach? Zanotowała w pamięci, by omówić tę kwestię z doktorem.

– Musi być pani rannym ptaszkiem, panno O'Leary.

Deirdre spięła się, słysząc niski głos za plecami. Przybrawszy na twarz uśmiech, odwróciła się na wprost doktora Clayborne'a.

Ten zdjął kapelusz i odwiesił go na hak, po czym obrzucił ją chłodnym spojrzeniem niebieskich oczu. Zdecydowana nie poddawać się onieśmieleniu, kobieta przeszła przez pokój.

– Zazwyczaj wstaję wcześniej – odparła. – Jak się miewa dzisiaj pańska córka?

Przez twarz przemknął mu wyraz zaskoczenia, ale szybko ukrył go pod beznamietną maską.

– Stabilnie jak na ten moment. Na szczęście w ciągu nocy nie przyszła gorączka.

Deirdre dostrzegła wokół jego oczu i ust oznaki zmęczenia. Pewnie miał za sobą długie bezsenne godziny czuwania nad córką. Pomimo niechęci wobec niego nie mogła przejść obojętnie nad wizją tego człowieka jako zatroskanego ojca.

– Kto jest z nią teraz?

– Jej niania, jak zawsze. – Zdjął marynarkę i wziął biały kitel z wieszaka.

Wyczuwając, że ta rozmowa dobiegła końca, Deirdre zdjęła płaszcz i wygładziła biały fartuch pielęgniarski. Przynajmniej dzisiaj czuła się bardziej profesjonalnie, nie w zwykłych ubraniach. Jeśli doktor w ogóle zauważył zmianę, nie skomentował tego.

– Kim jest pierwszy pacjent? – zapytała radośnie, zamieniając swój kapelusz w kształcie dzwonnka na pielęgniarski czepek.

Doktor Clayborne wziął teczkę.

– Samuel Pickett. Lat dwadzieścia dwa, lewa noga amputowana na wysokości kolana. Ostatnio otrzymał drewnianą protezę i nie może się do niej przyzwyczaić.

Deirdre powstrzymała westchnienie. Normalnie taki przypadek byłby dla niej interesujący, ale teraz nie widziała, w jaki sposób praca z osobą po amputacji miałaby pomóc w leczeniu jej sparaliżowanej matki.

– Kolejny pacjent będzie dla pani bardziej ciekawy. – Lekarz przeszył ją znaczącym spojrzeniem.

Czyżby widać było po niej te obawy? Zwykle umiejętnie ukrywała emocje, jak ją uczono w szkole pielęgniarskiej. Ale w przypadku mamy zdawała się tracić swoją obiektywność.

– Pan Rockford cierpi na uraz kręgosłupa w wyniku postrzału i jest sparaliżowany. Techniki, które stosuję w pracy z nim, mogą przydać się pani matce. – Nie starał się ukryć niechęci w tonie głosu.

– Dziękuję. Będę się przyglądać z zainteresowaniem.

Doktor Clayborne położył teczkę na biurku i ciężko westchnął.

– Moja odmowa leczenia pani matki nie oznacza, że mam coś do pani, panno O’Leary. Po prostu nie chcę opuszczać swoich pacjentów i tym samym ryzykować postępów w ich leczeniu. Poza tym mam córkę, którą muszę brać pod uwagę. Jej wątłe zdrowie kieruje wieloma moimi decyzjami.

Po raz pierwszy Deirdre pojęła jego głęboką niechęć. Nie chciał opuszczać pacjentów i córki. Umiała to uszanować.

– Rozumiem. Nie liczyłam zbyttnio, że uda mi się nakłonić pana do zmiany zdania. – Uśmiechnęła się. – O ile tylko będę w stanie wrócić z czymś, co może uratować moją mamę, będę niezmiernie wdzięczna.

Po jego ramionach widziała, że się trochę rozluźnił.

– Postaram się zrobić, co w mojej mocy, żeby pomóc.

Również jego rysy nieco złagodniały, tak iż Deirdre mogła sobie nawet wyobrazić, jak mógłby wyglądać, gdyby się uśmiechnął. To byłoby... zachwycające.

Przyjście pacjenta przegoniło to niedorzeczne zadumanie.

Przez większość czasu Deirdre jedynie obserwowała doktora w pracy z panem Pickettem – radosnym młodym mężczyzną z burzą blond włosów na głowie i ciemnobrązowymi oczami. Choć widać było, że boli go kikut, był pogodny przez cały czas trwania rygorystycznych ćwiczeń.

– Jakbym wiedział, że będzie pan miał dziś do pomocy taką piękną siostrzyczkę, uczesałbym się i założyłbym swój najlepszy garnitur. – Uroczy uśmiech chłopaka sprawiał, że nie można było się obrażać, i Deirdre roześmiała się po prostu.

– Nie ma to jak motywacja. – Puściła do niego oko, czerwieniąc się przy tym. – Bardzo dobrze sobie pan radzi, panie Pickett.

– Proszę mi mówić Sam. – Opadł na taboret, żeby odpocząć.

Deirdre przyniosła mu ręcznik i szklankę wody, lekceważąc gniewną minę doktora Clayborne’a.

– Masz rodzinę, Samie?

Opróżnił szklankę i oddał jej, a potem otarł brodę rękawem.

– Nie, proszę pani. Miałem dziewczynę przed wojną, ale jak wróciłem do domu tak... – Wskazał dłonią na swoją nogę. – Nie potrafiła tego znieść. Znalazła sobie nowego kochasia.

– Tak mi przykro. – Deirdre zachowała neutralny wyraz twarzy, choć w środku pomstowała na taką niestałość. Jeśli mężczyzna, którego by kochała, wróciłby z wojny bez nogi, Deirdre cieszyłaby się po prostu, że żyje.

– Wystarczy na dzisiaj, Samie – orzekł doktor Clayborne. – Widzimy się w piątek.

– Dziękuję, doktorze. – Sam wstał z taboretu i pokuśtykał do drzwi, chwytając po drodze swoją czapkę. – Miło było siostrę spotkać, siostró O’Leary.

– I wzajemnie, Samie. – Uśmiechnęła się, gdy wychodził z pomieszczenia, a odgłos jego drewnianej nogi odbijał się łomotem w korytarzu.

– Zawsze flirtuje pani ze swoimi pacjentami, panno O’Leary?

Deirdre odwróciła się i dostrzegła niemiły, gniewny wyraz twarzy doktora Clayborne’a. Uniósłszy podbródek, odparła:

– Robię, co mogę, by poprawić nastrój moich pacjentów. Czy to przez dowcip, uśmiech, czy mrugnięcie okiem.

W jego niebieskich oczach błysnęły gwałtowne płomienie.

– Jesteśmy tu, aby pomagać naszym pacjentom, a nie ich zabawiać.

– Nie mogę się zgodzić, doktorze. Według mnie proces leczenia jest bardziej efektywny, kiedy osoba ma dobry nastrój. Fizyczne zdrowie pacjenta jest bezpośrednio związane z jego emocjami.

– Bzdury! Gdyby pani hipoteza była prawdziwa, to przygnębione osoby w depresji nigdy by nie zdrowiały. Widziałem liczne przypadki, które temu zaprzeczają. W rzeczywistości sam jestem na to żywym dowodem. – Zarumienił się i szybko się odwrócił.

Deirdre ugryzła się w język, powstrzymując ripostę. Najwyraźniej pozwolił sobie powiedzieć coś, o czym normalnie nie rozmawiał.

Dołączyła do niego przy biurku.

– Chodziło mi po prostu o to, że leczenie postępuje dużo szybciej w przypadku osób o radosnym usposobieniu. Czy nie zauważył pan tego wśród swoich pacjentów? – Starła się mówić łagodnym, niepodzeglającym tonem.

Jego ręka znieruchomiała ponad dokumentacją, którą sortował.

– Może i znalazłby się taki jeden albo dwa przypadki, które pasowałyby do tego opisu.

– Zatem, czemu by nie spróbować poprawić ich nastroju, lecząc jednocześnie fizyczne dolegliwości? Dzięki temu praca stanie się dużo przyjemniejsza.

Patrzył na nią z takim niedowierzaniem, że o mało co się nie wzdrygnęła. Wujek Victor wspominał jej trochę o tym, że doktor Clayborne był na wojnie. Najwyraźniej ten biedny człowiek sam nie był świadom tego, jak bardzo był poraniony emocjonalnie. Być może nikt nie podnosił go na duchu po tym, gdy został ranny.

Pukanie do drzwi zwróciło ich uwagę ku przeciwległemu krańcowi pokoju i zaraz potem do pomieszczenia wszedł wujek Victor. Widząc jego ponurą minę i mocno zaciśnięte szczęki, Deirdre przygotowała się od razu na złe wiadomości.

Och, Panie, nie! Proszę, spraw, żeby to nie chodziło o mamę – błagała w myślach.

– Matthew, niestety dzwoniła niania. Wzięła Phoebe do szpitala dziecięcego.

Następnego dnia Matthew wychodził z prywatnego pokoju w szpitalu, gdzie przebywała Phoebe. Przeszedł długim korytarzem wzdłuż rzędu okien wychodzących na College Street. Spoglądał w dół, na ludzi przechodzących chodnikiem. Jesienny wiatr rozwiewał im płaszcze. Jakże bardzo pragnął móc do nich dołączyć i pozwolić, by rześkie powietrze odświeżyło jego umysł.

Dla Phoebe to była bardzo niespokojna noc, choć na szczęście jej stan się nie pogorszył. Jednakże po uporczywych, niekończących się przytykach i dezaprobujących spojrzeniach ze strony panny Shearing Matthew odesłał w końcu tę irytującą kobietę do domu. Zachowywała się tak, jakby to on był winny choroby Phoebe. Skąd miał wiedzieć, że dziecko dostanie wysokiej gorączki zaraz po jego wyjściu do pracy poprzedniego dnia rano?

A jednak poczucie winy i lęk dusiły go wspomnieniami Priscilli i córki walczących z gruźlicą. Matthew opierał się przed wysłaniem ich do sanatorium, wierząc, że ma wystarczające umiejętności, by je wyleczyć. Jego arogancja kosztowała Priscillę życie – a i Phoebe nieomalże również.

Teraz, wyczerpany po kolejnej nieprzespanej nocy, tkwił we mgle niepewności. Czyżby znowu czekał zbyt długo ze znalezieniem odpowiedniego leczenia dla własnej córki? Oparł czoło o chłodną szybę, próbując ukoić ból głowy.

Nie zwrócił nawet uwagi na odgłos kroków na wykafelkowanej podłodze, aż do chwili, gdy zatrzymały się obok niego. Podniósł głowę i z zaskoczeniem zobaczył jasne spojrzenie zielonych oczu panny O'Leary.

Co ona tu robiła?

Uśmiechnęła się do niego niepewnie i rzekła:

– Wujek Victor chciał wiedzieć, co u Phoebe. Poszedł poszukać jej lekarza. – Położyła dłoń na jego ramieniu. – Jak ona się czuje?

Szczerze współczucie malujące się na jej ekspresyjnej twarzy prawie go zgubiło. Spiał się, próbując rozpaczliwie odzyskać panowanie nad emocjami, które już chciały wypłynąć na powierzchnię.

– Ma wciąż wysoką temperaturę, co w jej przypadku nie jest zbyt mile widziane.

– Zapewne. – Nieomalże odruchowo pogładziła go lekko po przedramieniu.

Czuł, jak ciepło promieniujące od niej rozchodziło się w górę jego ręki. Odsunął się jak poparzony i ruszył w głąb korytarza. Czy ta kobieta nie znała granic?

Najwyraźniej nie, ponieważ teraz snuła się za nim jak zbłąkany psiak.

– Matthew, poczekaj.

Zatrzymał się, ale tylko z powodu szoku, w jaki wprowadził go fakt, że zwróciła się do niego po imieniu, tak jakby...

Podeszła i stanęła przed nim.

– Jesteś przemęczony. Nie pomożesz Phoebe, jeśli sam się rozchorujesz. – Patrzyła na niego poważnie, a jej źrenice były wyraźnie rozszerzone. – Zostaniemy z nią razem z wujkiem Victorem. Prześpij się parę godzin.

Wpatrywał się surowym wzrokiem w jej twarz, zauważając jednocześnie uroczy pieprzyk pod brwią. Nagle poczuł ciepło w rękach, które ona ujęła, masując jego zeszywniałe palce.

– Masz zimne dłonie. Czy jadłeś coś ostatnio?

Czy jadł? Nie mógł sobie przypomnieć.

Kobieta popatrzyła w głąb korytarza.

– O, już jest! Wujku Victorze, czy twój kierowca mógłby odwieźć Matthew do domu? On musi odpocząć.

– Oczywiście. Mój samochód jest zaparkowany tuż przed głównym wejściem.

Matthew wyglądał tak, jakby mu odebrało mowę. Wycieńczenie sprawiało, że ręce i nogi miał ciężkie, jak gdyby ktoś przywiązał mu ciężarki, których sam używał w swoim gabinecie fizjoterapeutycznym.

Victor pokazał mu gestem, by poszedł za nim.

– Odprowadzę cię. Deirdre, czy zostaniesz z Phoebe?

– Oczywiście.

Chłodny powiew otoczył Matthew w chwili, gdy puściła jego dłonie z uścisku i odeszła w stronę sali, gdzie leżała dziewczynka.

Lekarz zamrugał. Może rzeczywiście potrzebował snu. Dużo snu.

Poszedł z Victorem do końca korytarza, gdzie stał lekarz zajmujący się jego córką.

Victor wymienił z nim uścisk dłoni i rzekł:

– Mam nadzieję, Matthew, że nie będziesz miał nic przeciwko. Poprosiłem doktora McElroya, by nam poświęcił chwilę.

Matthew starał się skupić.

– Czy ma pan jakieś nowiny o mojej córce?

Doktor McElroy bawił się stetoskopem przewieszonym na szyi.

– Przyznam szczerze, że jestem zaniepokojony. To już trzecie poważne zachorowanie Phoebe

w ciągu ostatnich sześciu miesięcy. – Potrząsnął głową. – Niestety muszę powiedzieć, że jej płuca jeszcze się pogorszyły i jeśli to będzie nadal postępować w ten sposób...

Ból ścisnął wewnątrz Matthew. Podejrzał, że tak jest, ale to stwierdzenie wypowiedziane tak otwarcie uderzyło go jeszcze bardziej.

– Zrobiłem, co było w mojej mocy, żeby odizolować córkę od potencjalnych zarazków. Nie wiem, co jeszcze mógłbym uczynić.

Victor, kładąc dłoń na ramieniu podwładnego, rzekł:

– Doktor McElroy zasugerował, żeby rozważyć przeprowadzkę na wieś, gdzie jest czystsze powietrze i mniejsze zagęszczenie ludności.

Doktor McElroy skinął.

– Myślę, że to najlepszy sposób na to, by poprawić jej stan. Ma pan trochę czasu, proszę się nad tym zastanowić. Ale nie za długo. Im szybciej zaczniemy działać, tym lepiej. A teraz panowie wybaczą, ale mam obchód.

Matthew próbował przyswoić sobie radę lekarza. Jak w ogóle mógłby przeprowadzić się na wieś, gdy praca trzymała go tu, w mieście?

Victor poklepał Matthew po ramieniu.

– Chodźmy. Moje auto czeka na zewnątrz.

Zeszli po schodach i wyszli głównymi drzwiami. Victor zatrzymał się przed przejściem i ściągnąwszy brwi, stwierdził:

– Mam nadzieję, że poważnie zastanowisz się nad sugestią doktora McElroya. To się tak zbiegło w czasie, że nie może być przypadkiem.

– Co masz na myśli? – Wiatr zwał Matthew włosy na czoło i dopiero wtedy uświadomił sobie, że zapomniał wziąć kapelusza z pokoju córki.

– Rezydencja O’Learych na Long Island byłaby idealnym miejscem dla Phoebe. Irlandzkie Łąki otoczone są hektarami pól i lasów. Byłoby dla niej wyjątkowo korzystne, gdyby mogła tam na jakiś czas pojechać. Wspominałem już Jamesowi, że masz córkę i był otwarty na to, by przyjechała z tobą.

Matthew przygarbił ramiona.

– A co z moimi pacjentami tutaj?

Dotarli do samochodu Victora i kierowca szybko podszedł, czekając na wytyczne, dokąd jechać.

Victor obdarzył Matthew szczerym spojrzeniem.

– Większość z nich to stali pacjenci, którzy od dawna znają już te ćwiczenia na pamięć. Może wprowadziłbyś doktora Marlboro w te prostsze metody, jakie mógłby stosować podczas twojej

nieobecności? Może nie będą mieli wielkich postępów, ale przynajmniej nie cofną się w procesie leczenia.

Matthew westchnął ciężko. Gdyby to chodziło jedynie o kwestię pani O'Leary i jego własnych pacjentów, nawet nie rozważałby wyjazdu. Ale jak miałyby przepuścić taką okazję, by pomóc swojej córce? Jego pacjenci na pewno to zrozumieją.

– Zastanowię się nad tym i wkrótce dam ci odpowiedź.

Zmarszczki na czole Victora złagodniały trochę i mężczyzna się uśmiechnął.

– Będę się modlił o Bożą pomoc dla ciebie w podjęciu właściwej decyzji. A teraz jedź już i odpocznij. Wszystko będzie wyglądać lepiej, jak będziesz wypoczęty.

– Dziękuję. I proszę, podziękuj też ode mnie panie O'Leary. – Matthew uświadomił sobie, jak wiele to dla niego znaczy, że ktoś pomógł mu nieść ten ciężar, choćby tylko przez kilka godzin. Nie umiał powiedzieć dlaczego – być może to żarliwe oddanie panny O'Leary wobec matki, a może fakt, że Victor tak bardzo ją cenił – ale ufał jej bezgranicznie, jeśli chodziło o dobro własnej córki.

Wsiadł do samochodu i opadł na oparcie. Gdy kierowca sprawnie przemierzał zatłoczone ulice miasta, Matthew odpłynął w sen, w którym widział córkę biegnącą po zielonych łąkach i bawiącą się wśród polnych kwiatów ze śmiechem i tańcem, podczas gdy promienie słoneczne igrały w jej włosach.



– I jak się dzisiaj miewa mała Phoebe? – Ciocia Maimie z wyrazem troski na twarzy zwróciła się do męża siedzącego obok niej przy długim stole w jadalni.

Deirdre wychyliła się nieco do przodu, chcąc również usłyszeć odpowiedź. Po tym jak wczoraj przez większość dnia na zmianę czuwali przy Phoebe, przywiązała się bardzo do tej kruszyny. Kilka razy dziewczynka budziła się i wpatrywała w nią wielkimi niebieskimi oczami, porozumiewając się jedynie za pomocą skinień i potrząsania głową. Deirdre zastanawiała się, czy mała była zbyt słaba, by mówić, czy to szpital przepelniał ją takim lękiem.

Twarz wujka Victora rozpogodziła się.

– Na pewno ucieszy was, gdy powiem, że odnotowano poprawę. Gorączka zmaląła i z kaszlem też jest już lepiej.

– Och, tak się cieszę. – Ciocia Maimie odetchnęła głęboko i nałala kawy do filiżanki męża.

Również Deirdre zauważyła, że ustępuje jej napięcie.

– Doktor Clayborne musi czuć znaczną ulgę.

– To prawda. Jednak zatrzymają Phoebe w szpitalu do czasu, gdy minie zagrożenie nawrotu choroby. – Wujek Victor otarł usta serwetką. – Zaproponowałem, że możemy czuwać na zmianę również dzisiaj w nocy, ale uparł się, że da sobie radę na łóżku polowym w sali chorej.

Deirdre podziwiała oddanie Matthew wobec córki, choć zupełnie jej to nie pasowało do jego opryskliwego zachowania.

– Opowiedz mi coś więcej o doktorze Clayborne – poprosiła, sącząc poobiednią kawę. Bogactwo smaku uderzyło jej podniebienie i było miłym uzupełnieniem do podanej na deser szarlotki cioci Maimie.

Wujek Victor odstawił filiżankę i zerknął na Deirdre.

– Znasz już większość jego historii. Matthew był sanitariuszem podczas wojny. Został ranny, więc wysłano go do Anglii na leczenie, a później odesłano do ojczyzny. Pomaganie rannym żołnierzom stało się jego pasją, a dla mnie zaczął pracować jakieś cztery lata temu. – Mężczyzna westchnął. – Jaka szkoda! Wojna tak bardzo go zmieniła. Nie jest już tym samym człowiekiem od tamtego czasu.

Deirdre wyczuła, że jest jeszcze jakieś drugie dno w tej historii.

– A co z jego żoną? – zapytała.

Wujek Victor zacisnął mocno usta. Myślała już, że upomni ją za to pytanie, ale wtedy ciocia Maimie położyła dłoń na jego ramieniu. Gdy patrzyła na męża, w jasnoniebieskich oczach tej krzepkiej kobiety widać było mieszankę współczucia i miłości. Rozmawiali bez słów, a potem on skinął, jakby dając jakieś przyzwolenie. Kobieta odwróciła się w stronę Deirdre, mówiąc:

– Priscilla Clayborne zmarła dwa lata temu na gruźlicę. Ona i Phoebe zapadły na tę chorobę i pomimo wysiłków Matthew, Priscilla odeszła. Na szczęście Bóg oszczędził ich córkę, chociaż Phoebe spędziła dosyć dużo czasu w sanatorium, zanim w końcu ją wypuszczono.

– A w jej płucach zaszły nieodwracalne zmiany – wyszeptała Deirdre. – Jakże wielkim zmartwieniem musi to być dla doktora Clayborne’a.

Wczoraj, gdy wrócił po krótkim odpoczynku, Deirdre wyczuła jakąś zmianę w jego zachowaniu. Głębokie poczucie rezygnacji... jakby poddał się i porzucił walkę.

Ciocia Maimie westchnęła.

– Zdrowie Phoebe jest dla niego ciągłym utrapieniem. Nie wiem, co by zrobił bez niani, która wciąż jej pilnuje.

– Czy pani Clayborne także była leczona w sanatorium? – zapytała zwykłym tonem Deirdre.

– Tak, pod koniec, ale wtedy było już za późno. – Łagodne rysy twarzy cioci Maimie spowijał teraz smutek. – Obawiam się, że Matthew obwinia się, że nie wysłał jej na leczenie wcześniej.

– Ciii, Maimie. Nie wiesz, czy tak naprawdę było – zganiał żonę wujek Victor, co bardzo zaskoczyło Deirdre.

Jednak ciocia zdawała się tym nieporuszona. Uśmiechnęła się jedynie, dodając:

– Widzę to za każdym razem, gdy ktoś wspomni imię Priscilli.

Z przodu domu dał się słyszeć dźwięk dzwonka. Chwilę później w wejściu do jadalni pojawił się kamerdyner.

– Doktor Clayborne chce się z panem widzieć, sir.

Wujek Victor uniósł brwi ze zdziwieniem, które udzieliło się również Deirdre.

– Przyślij go.

Deirdre skupiła się na ciastku, starając się zignorować drżenie w środku. Wolałaby nadal żywić awersję wobec tego człowieka. To było dużo bezpieczniejsze od tego niespokojnego uczucia, które w niej wzbudzał.

Wujek Victor podniósł się z siedzenia.

– Matthew, wejdź proszę.

Doktor Clayborne zawahał się, stojąc w drzwiach.

– Przepraszam, nie wiedziałem, że jecie.

– Ależ nie ma za co. Dołącz do nas i poczęstuj się kawałkiem szarlotki Maimie.

Mężczyzna skłonił się w kierunku żony swojego przełożonego.

– Dobry wieczór, Maimie. – Przesunął wzrok w stronę Deirdre. – I panience, panno O’Leary.

Ciocia Maimie skoczyła, by przynieść filiżankę z kredensu, nie trując się nawet wołaniem służącej.

– Proszę, usiądź, mój drogi.

Nalała mu kawy i podała hojnie ukrojony kawałek ciasta.

Doktor Clayborne z wyraźną niechęcią wysunął dla siebie krzesło na drugim krańcu stołu.

– Nie mogę zostać długo. Chciałem tylko was powiadomić o decyzji, jaką podjąłem. – Skierował teraz uwagę na Deirdre. – Cieszę się, że jest pani tutaj, panno O’Leary, bo to też pani dotyczy.

Kobieta odłożyła widelczyk obok talerza, żeby przypadkiem nie zadławić się ciastem.

– Jeśli zgadza się pani, że będzie mi towarzyszyć Phoebe i jej niania... – Przerwał, jakby słowa uwięzły mu w gardle. – Pojadę na Long Island leczyć pani matkę.

Deirdre wahała się, niepewna, jak ma traktować ten nagły zwrot. Matthew nie spuszczał z niej wzroku.

– Panno O’Leary? Nie wydaje się pani ucieszona.

Uniósłszy brodę, zapytała:

– Czy mogłabym wiedzieć, co wpłynęło na zmianę pańskiej decyzji?

Z pewnością to nie miało nic wspólnego z jej umiejętnościami perswazji. A jednak coś musiało spowodować taki zwrot.

Wzruszył ramionami z zażenowaniem.

– Nie będę ukrywał, jaki motyw się za tym kryje. Chodzi o moją córkę.

Deirdre czekała na dalsze wyjaśnienia.

– Lekarz Phoebe zasugerował, by przeprowadzić się na wieś, gdzie jest lepsze powietrze dla osób w takim stanie. – Miał teraz niemalże przepraszający wyraz twarzy. – Victor powiedział mi, że pani farma mogłaby być idealnym miejscem.

A więc kierował się niezupełnie altruistycznymi motywami. Jednakże, jeśli może pomóc jej matce, czy to ważne, co nim tak naprawdę powodowało?

– O ile tylko będzie się pan tak poświęcał przywróceniu zdrowia mojej matce, jak pan to czyni wobec swojej córki, jestem przekonana, że moja rodzina będzie panu niezmiernie wdzięczna.

Jego dłoń znieruchomiała na filiżance kawy.

– W porządku. Proponuję miesięczny okres próbny, podczas którego obiecuję zrobić, co w mojej mocy, by pomóc pani mamie. Po tym czasie możemy dokonać ponownej oceny i uzgodnić dalszy tok działań.

Szczerota wybrzmiewająca w jego głosie sprawiła, że Deirdre poczuła się spokojniejsza. Nie wątpiła, że gdy tylko doktor Clayborne zaangażuje się w coś, włoży w to całego siebie.

– Już się nie mogę doczekać pracy z panem, doktorze.

Poczucie ulgi rozlewało się teraz miłą falą w jej wnętrzu. W końcu mama otrzyma dostęp do tak potrzebnej jej terapii. *Dziękuję, Boże!*

Doktor Clayborne uniósł głowę i wymienił znaczące spojrzenie z wujkiem Victorem, który skinął tylko lekko głową. Matthew westchnął cicho.

– Jest jeszcze coś, o czym powinna pani wiedzieć... jeśli chodzi o Phoebe. Moja córka cierpi na liczne fobie po śmierci matki. Chowa się czasem na długi czas w szafie i zazwyczaj prawie w ogóle się nie odzywa.

Deirdre zacisnęła usta. Wzbierała w niej litość wobec małomównego doktora. Nic dziwnego, że trudno mu było o pogodne usposobienie, gdy zżerało go tak wiele trosk.

– Tak mi przykro. Proszę dać mi znać, jeśli mogłabym jakoś pomóc.

Matthew pokręcił przecząco głową.

– Mówię to tylko po to, żeby traktowała pani Phoebe z delikatnością. Nie jest przyzwyczajona do obcych, gdyż była chowana pod kloszem przez większość życia. Nawet nie wiem, jak poradzi sobie

z podróżą do innego kraju.

Serce Deirdre rozrywało się na strzępy na myśl o dziewczynce.

– Zrobię, co tylko w mojej mocy, żeby to była dla niej dobra zabawa.

Mężczyzna zmarszczył czoło.

– Nawet nie wiem, czy Phoebe w ogóle zna znaczenie tego słowa.

Deirdre odstawiła filiżankę.

– Cóż, w takim razie najwyższy czas, żeby je poznała.

Ciocia Maimie się roześmiała.

– Cała nasza Deirdre. Zawsze pełna optymizmu. Dobrze ci to zrobi, jak będziesz jej słuchał, Matthew. Jest bardzo mądra jak na swój wiek. – Odchyliła się na oparciu krzesła. – I jeśli miałabym coś powiedzieć, to myślę, że Bóg postawił was naprzeciw siebie nie bez powodu. Deirdre może być właśnie tą osobą, która pomoże Phoebe wrócić do zdrowia.

Matthew wstał od stołu, choć jego ciastko było prawie nietknięte.

– Dziękuję za gościnę, Maimie. Victorze, my się widzimy jutro. W ciągu kilku kolejnych dni wprowadzę doktora Marlboro w sytuację moich pacjentów.

– Bardzo dobrze, chłopcze. Jestem przekonany, że podjąłeś dobrą decyzję.

Sądząc po spiętych rysach twarzy doktora Clayborne'a, Deirdre obawiała się, że on się nie zgadza z tym stwierdzeniem. Mimo to nie potrafiła powstrzymać ekscytacji. Nie tylko ze względu na własną matkę, ale również z powodu Phoebe.

Po raz pierwszy od tygodnia Deirdre miała wyśmienity humor. Chciała zostać pediatrą nie tylko po to, by leczyć ciała dzieci, ale także ich umysły i serca. Czy Bóg postawił Phoebe na jej drodze właśnie w tym celu, aby pokazać Deirdre, w czym tkwi jej prawdziwe powołanie?

Jeśli tak, przysięgła sobie, że będzie się starała słuchać delikatnych Bożych podpowiedzi podczas tego krótkiego czasu spędzonego z Clayborne'ami. Zrobi, co tylko w jej mocy, by wyleczyć rany na psychice małej Phoebe, tak samo jak będzie się troszczyć o jej stan fizyczny.

Deirdre siedziała spięta na przednim siedzeniu ojcowskiego Forda T, który przemierzał teraz drogi, wioząc z tyłu doktora Clayborne'a, pannę Shearing i Phoebe. Ucieszyła się, gdy spostrzegła, że jej szwagier czeka na nich na dworcu kolejowym na Long Island. Jego obecność sprawiła, że jeszcze bardziej nie mogła się doczekać, by dotrzeć do domu, do reszty rodziny. Kiedy wjechali na długi podjazd, ujrzeli dachy rezydencji.

Irlandzkie Łąki.

Radość i trwoga mieszały się w niej. W jakim stanie będzie mama? Gdy Deirdre wyjeżdżała do Toronto, kobieta była ledwie przytomna. Czy teraz będzie bardziej świadoma? Musiało się jej poprawić, skoro lekarze pozwolili jej wrócić do domu, aczkolwiek wymagała całodobowej pomocy pielęgniarek, które najmował tata.

Mimo to Deirdre wiedziała, że nie spocznie, dopóki sama nie obejrzy mamy.

Zwróciła się do pasażerów na tylnym siedzeniu.

– Jesteśmy już prawie na miejscu. Możecie przed nami dostrzec posesję. Stajnie są tam, po prawej.

Widok jej brata Connora pracującego z końmi na wybiegu sprawił, że otoczyło ją to miłe uczucie, które towarzyszy powrotowi do domu. Tęskniła za swoją rodziną bardziej, niż się tego spodziewała.

Kiedy samochód się zatrzymał, wysiadła i czekała, aż doktor Clayborne ze swoją świtą opuszcza pojazd.

Phoebe rozglądała się dookoła z nieskrywaną ciekawością. Panna Shearing kurczowo trzymała rączkę dziewczynki w miazdzącym uścisku. Matthew nacisnął kapelusz mocniej na głowę i stał sztywny jak kołek, gapiąc się na dom.

Co się działo w jego głowie?

– Witajcie w Irlandzkich Łąkach – oznajmiła Deirdre nie bez cienia dumy. Nawet posępna panna Shearing nie mogła jej teraz popsuć humoru. – Wejdźcie poznać moją rodzinę.

Bogato zdobione drzwi frontowe otworzyły się i przez werandę przeszła szybko jej siostra, Brianna.

– Bree! – Deirdre rzuciła się w wyciągnięte ramiona starszej siostry. Uścisnęła ją mocno, a w oczach błysnęły jej łzy szczęścia. – Tak bardzo się za tobą tęskniłam.

Brianna odsunęła się i pociągając nosem, odparła:

– Ja także. Nie mogłam uwierzyć, że tata wysłał cię tak daleko aż do Toronto.

– Jak się czuje mama? – Deirdre przygotowała się na najgorsze. Gil powiedział jej, że pani

O'Leary ma się dobrze, ale Deirdre chciała znać opinię siostry.

– Radzi sobie najlepiej, jak może. Tata przygotował jej miejsce w małym pokoju bibliotecznym, żeby nie musiała się męczyć ze schodami.

Deirdre wyprostowała plecy, postanawiając, że jeśli tylko będą pracować z doktorem Clayborne'em, mama będzie mogła sama wyjść głównymi drzwiami. A może nawet uda się, by zaczęła ćwiczyć w swoim ulubionym ogrodzie, gdy nadejdzie wiosna.

Gil stanął u boku Brianny.

– Pewnie ci już nie zostały żadne uściski dla męża, co?

Bree pacnęła go po ramieniu ze śmiechem.

– Ciebie mam na co dzień.

– W porządku. Możesz zachować moje na później. – Gil puścił do niej oko i cmoknął ją w czubek nosa.

Deirdre uśmiechnęła się, widząc tę silną więź pomiędzy Brianną i jej mężem. Po ośmiu latach małżeństwa i z trójką dzieci ich miłość nadal kwitła.

Deirdre splotła ramię z siostrą i pokierowała ją w stronę gości, którzy stali z boku auta.

– Brianno, to jest doktor Clayborne. Przyjechał, żeby leczyć mamę.

Brianna zrobiła krok w przód z wyciągniętą dłonią.

– Miło mi pana poznać, doktorze. Zna już pan mojego męża, Gila.

Doktor Clayborne uściśnął uroczyście jej dłoń.

– Cała przyjemność po mojej stronie, pani Whelan.

Bree roześmiała się.

– Proszę mi mówić Brianna. – Schyliła się, uśmiechając się do Phoebe. – O, witaj. Nie wiedziałam, że doktor Clayborne ma taką śliczną córeczkę. Jak masz na imię?

Niebieskie oczy Phoebe, tak podobne do oczu jej ojca, zrobiły się nagle wielkie. Deirdre w myślach błagała dziewczynkę, żeby powiedziała imię. Ale ona nie odezwała się.

– To jest Phoebe – rzekł w końcu doktor Clayborne.

– Witaj, Phoebe – powiedziała Brianna. – Mam nadzieję, że zaprzyjaźnisz się z moimi dziećmi. Dzisiaj wyjechały w odwiedziny do kuzynostwa, ale wkrótce je spotkasz.

Brianna podniosła się i obdarzyła pannę Shearing gościnnym uśmiechem.

– Pani jest zapewne nianią Phoebe.

– Tak, proszę pani. Panna Shearing.

– Witamy. Na pewno macie wszyscy ochotę odświeżyć się trochę po podróży. Zapraszam za mną.

Deirdre i jej współtowarzysze weszli za Brianną do domu. Gdy zdjęli płaszcze, Brianna zaprowadziła pannę Shearing i Phoebe na piętro, a Deirdre i doktor Clayborne zostali, czekając na tatę.

Dziwne uczucie podenerwowania przeszywało ją, kiedy patrzyła, jak doktor Clayborne ogląda wielki hol. Przebiegał wzrokiem wzdłuż mahoniowych balustrad, przez zakręcone schody, aż do kryształowego żyrandola ponad ich głowami. Czy uważał dom za pretensjonalny... a może był przyzwyczajony do takiego luksusu?

Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, do holu weszła ich gosposia.

– Panienska Deirdre. Witamy w domu.

– Dziękuję, pani Johnston. To jest doktor Clayborne, który przyjechał pomóc mamie w rekonwalescencji.

Ostatnie zdanie sprawiło, że twarz postawnej kobiety pojaśniała.

– Cieszymy się niezmiernie, że możemy pana gościć, sir. Ufam, że uda się panu przywrócić panią O’Leary do zdrowia.

– Zrobię, co w mojej mocy, proszę pani.

Deirdre zdjęła kapelusz i odłożyła go na stolik w holu.

– Pani Johnston, mogłaby pani przekazać tacie, że przyjechaliśmy? Proszę też poprosić panią Harrison, żeby podała herbatę i przekąski do salonu. – Zerknęła w poślacane lustro i przyklepała włosy.

– Oczywiście.

– Proszę tędy. – Deirdre wskazała gościowi podwójne drzwi po drugiej stronie holu. Wchodząc, nabrała w płuca znane jej dobrze zapachy cytrynowego środka do pielęgnacji mebli i lekką woń tytoniu, którego tata używał do fajki.

Doktor wszedł za nią i stanął trochę bezradnie na środku pokoju, patrząc na marmurowy kominek i pianino ustawione koło drzwi tarasowych.

– Ma pani piękny dom, panno O’Leary.

– Dziękuję. Bardzo go lubimy. Proszę usiąść. – Wskazała gestem na sofę i fotele koło kominka.

– Jeśli nie ma pani nic przeciwko, wolałbym rozprostować trochę nogi.

Deirdre stłumiła westchnienie, a tymczasem on podszedł do wyjścia na taras i patrzył na ogród

jej matki. Dlaczego rozmowa z nim wydawała się taka sztywna i sztuczna? Czy to przez jego małomówność, czy dlatego, że ona budziła w nim taką odrazę, że nie potrafił wysilić się nawet na zwykłą towarzyską wymianę zdań?

Wejście taty do pokoju kilka chwil później przyniosło wyczekiwaną ulgę.

– Wreszcie wróciła moja córeczka! – Jego tubalny głos, zawsze zbyt głośny w zamkniętych pomieszczeniach, wypełnił pokój żywiołowością.

– Witaj, tato. – Znalazła się w jego objęciach i po raz pierwszy od ponad tygodnia pozwoliła sobie, by uszło z niej napięcie. Schronienie jego silnych ramion sprawiało, że czuła się bezpieczna i chroniona.

Gdyby tylko mogła pozostać tam na zawsze.

Żadną miarą Matthew nie był przygotowany na luksusy, jakie zastał w posiadłości państwa O’Leary. Nie wiadomo, dlaczego wyobrażał sobie rustykalny dom gdzieś na wsi z podniszczoną stodołą dla przydomowych zwierząt. Na pewno nie taką, zapierającą dech w piersi rezydencję i wspaniale utrzymane stajnie.

Odwrócił wzrok od imponujących ogrodów i zobaczył postawnego mężczyznę o szerokich barkach, który tulił pannę O’Leary w serdecznym uścisku.

Mężczyzna ucałował ją w głowę, a potem skupił swoją uwagę na gościu.

– Pan musi być doktorem Clayborne’em. Witamy w Irlandzkich Łąkach. – Wysunął się do przodu, by uścisnąć dłoń Matthew. – Nawet nie potrafię wyrazić, jak bardzo jestem wdzięczny za to, że zgodził się pan przyjechać. – Na jego ogorzalej twarzy widać było zmarszczki, a ciemne włosy poprzetykane były na skroniach siwymi pasmami.

– Dziękuję, sir. Mam nadzieję, że uda mi się pomóc pańskiej żonie.

– Proszę mi mówić James. Nie trzymamy się tutaj formalności. Będzie pan miał teraz możliwość zaaklimatyzować się, a później może pan zobaczyć się z Kathleen. – Jego głos załamał się na imieniu żony, po czym Matthew wnioskował, jak wielki ciężar leżał na sercu tego człowieka.

Pokojówka weszła do salonu z wózkiem z herbatą.

– Państwa napoje, panienko.

– Dziękuję ci, Noro. – Panna O’Leary się uśmiechnęła. – I podziękuj pani Harrison za tak szybką obsługę.

Służąca dygnęła szybko.

– Och, a czy mogłabyś podać także jakieś przekąski na gorze córce doktora Clayborne’a i jej niani?

– Oczywiście, panienko. – Ponownie dygnęła i wycofała się z pokoju.

Panna O'Leary traktowała służbę z niewymuszoną poufałością, jakby byli rodziną. Matthew nie mógł nie porównywać tego z zachowaniem zamożnych rodziców jego zmarłej żony. Państwo Pentergastowie wykorzystywali swoją pozycję społeczną jako narzędzie manipulacji, by osiągnąć to, czego pragnęli, tak jakby bogactwo uprawniało ich do zaspokajania każdej zachcianki. *Tak jak wtedy, gdy po śmierci Priscilli próbowali przejąć opiekę nad Phoebe* – przypomniał sobie.

Matthew poczuł ucisk w żołądku. Naprawdę miał nadzieję, że państwo O'Leary nie byli tego pokroju, co jego obracający się w elitarnych kręgach teściowie, którzy właśnie obecnie byli na objeździe po Wielkiej Brytanii. Oni z pewnością nie pochwaliliby tej decyzji, by zabrać Phoebe na wieś, jednakże fakt, że mieli wrócić dopiero w grudniu, ułatwił Matthew podjęcie tego kroku. Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal. Tym bardziej, że do czasu, gdy wrócą, on z córką będzie już na miejscu.

Odsuwając od siebie te pesymistyczne rozważania, dołączył do pozostałych przy ławie, gdzie panna O'Leary rozlewała herbatę do delikatnych porcelanowych filiżanek.

Zmęczony podróżą, musiał się powstrzymywać, by nie zapaść się w miękkie poduszki na kanapie.

– Zatem, Jamesie, możesz mi powiedzieć coś więcej o swojej żonie? Będę miał dzięki temu ogłęd na to, jaka metoda leczenia będzie dla niej najlepsza.

Panna O'Leary właśnie podawała mu filiżankę, lecz gdy to usłyszała, jej dłoń nagle się zatrzymała i kobieta ze zdziwienia wytrzeszczyła oczy.

– Czyżby moje pytania wydawały się pani niezwykle, panno O'Leary? – rzucił w jej kierunku.

Wytrzymała jego spojrzenie i odparła:

– Szczerze mówiąc, tak. Myślałam, że zastosuje pan bardziej kliniczne podejście.

– Wręcz przeciwnie. Lubię przed leczeniem wiedzieć coś na temat prywatnego życia moich pacjentów.

Jej policzki pokryły się rumieńcem.

– Miło mi to słyszeć.

Matthew zdał sobie sprawę, że zachowała dla siebie to, co naprawdę myślała, być może dlatego, że jej ojciec uważnie ich obserwował.

– Czy pani O'Leary cieszyła się do tej pory dobrym zdrowiem? – zapytał Matthew, wybierając sobie trójkątną kanapeczkę z talerza przekąsek.

– Przez większość czasu tak, poza atakiem duru brzuszego kilka lat temu, gdy o mało co jej nie straciliśmy. – James przerwał, jakby samo to wspomnienie przyprawiało go o cierpienie. – Po tym już nigdy nie odzyskała pełni sił.

Choć Matthew skupiał uwagę na Jamesie, był dojmująco świadomy badawczego wzroku panny O'Leary.

– Czy lekarz twojej żony wysunął jakieś hipotezy, co mogłoby leżeć u podłoża tego udaru?

– Tak naprawdę to nie. – James oparł się w fotelu. – Przeprowadzili parę badań, kiedy Kathleen była w szpitalu, ale nie ma jeszcze wyników.

Matthew pokiwał głową.

– Czy była narażona na jakiś nadmierny stres?

– Raczej nic mi nie wiadomo na ten temat.

– Czy pojawiły się jakieś problemy w rodzinie... – Matthew zawahał się na chwilę. – Albo w relacji małżeńskiej?

Twarz Jamesa nawet nie drgnęła.

– Żadnych.

Panna O’Leary odstawiła swoją filiżankę z brzęknięciem. W jej oczach błysnęły iskierki, które sprawiały, że jej spojrzenie stało się prawie szmaragdowe.

– Co pan próbuje insynuować, doktorze? Że to mój ojciec spowodował udar matki?

– Deirdre. – Natychmiastowa reprimenda Jamesa zaskoczyła Matthew. – Doktor nie pyta mnie o nic takiego, o co wcześniej nie wypytywali doktor Shepherd i neurologi.

Jej gniew zdawał się nieco przygasnąć.

– Przepraszam – wymamrotała. – Jestem trochę przewrażliwiona, jeśli chodzi o dobro mojej rodziny.

Matthew zaczął się zastanawiać, jak by to było mieć za sobą taką żarliwą lojalność.

– Nie ma o czym mówić – odparł. Przerwał na chwilę, by popić kęs kanapki łykiem herbaty i powstrzymał grymas, żałując, że to nie filiżanka mocnej kawy.

Cała trójka siedziała w milczeniu przez jakiś czas, zanim nie przyszło mu do głowy kolejne pytanie.

– Brianna wspomniała, że ma dzieci. Czy pani O’Leary pomagała w opiece nad wnukami? – Żywiołowość niektórych maluchów potrafiła niekorzystnie odbić się na słabszych osobach.

James odstawił filiżankę na stół.

– Brianna i Gil mieszkają we własnym domu na naszej posiadłości. Bywają tu często, ale Kathleen nie angażuje się w wychowanie dzieci. – Zaśmiał się lekko. – Choć to wcale nie powstrzymuje jej przed dawaniem rad.

Panna O’Leary również się roześmiała.

– Cóż, w takim razie muszę zakładać, że przyczyna tej fizycznej słabości leży w układzie krążenia. Będę postępował z największą ostrożnością. – Matthew odstawił talerzyk na bok. – Czy mógłbym teraz poznać moją pacjentkę?

James podniósł się z siedzenia.

– Oczywiście. Tędy.

Kiedy wyszli na korytarz, panna O’Leary ruszyła za nimi. Wnioskując po jej zdeterminowanym wyrazie twarzy, Matthew obawiał się, że ta uparta kobieta będzie go dręczyć przez cały czas jego pobytu.

Westchnął bezgłośnie. Jeśli chce pozostać przy zdrowych zmysłach, powinien znaleźć jakiś sposób współpracy z nią. Może jak czymś ją zajmie, nie będzie mu stawać ością w przewrażliwionym już gardle.

6

Connor O'Leary owinął całą długość liny wokół ramienia i stał, patrząc na upartego konia, który rzucał grzywą i gniewnie prychał na wszystkie strony. Wyglądało na to, że Excalibur nie był w humorze, by współpracować dzisiaj ze swoim trenerem.

Connor trzepnął roboczymi rękawicami o dżinsowe spodnie, wzniecając tym samym chmurę kurzu.

– Może wygrałeś tę potyczkę, ale ja cię w końcu kiedyś zmęczone – podsumował.

– Sprawia problemy? – Gil podszedł i oparł się o ogrodzenie.

– Nie takie, żebym sobie nie poradził.

– Dobrze słyszeć. Masz chwilę? Muszę porozmawiać z tobą o nowym stajennym, który zaczyna pracę od jutra.

Connor jeszcze raz popatrzył gniewnie na zawzięte zwierzę.

– Tak, na teraz wystarczy. – Otworzył bramę i wyszedł na spotkanie ze swoim szwagrem i jednocześnie szefem. Connor miał nadzieję, iż nie uczynił nic, przez co Gil żałowałby, że go awansował.

Mimo że Connor należał do rodziny O'Leary, tata chciał, by jego syn zaczynał od samego dołu i wypracował sobie drogę na szczyt jak każdy inny pracownik. Choć to uwłaczało Connorowi, miał świadomość, że tata nie mógł powierzyć wyróżnianych na przeglądach wierzchowców swoich klientów niesprawdzonemu trenerowi. Tym mocniej też starał się udowodnić swoją wartość.

Ostatnio Sam Turnbull, mastalerz i zarządca stajni, wyjechał na Zachód odwiedzić chorego brata i Gil powierzył Connorowi nadzór nad stajennymi. Jeśli Connor by się sprawdził, możliwe, że dostałby tę posadę na stałe, zwłaszcza że Sam sugerował, iż mógłby mieć nieco mniej zajęć, jako że posunął się już w latach.

Connor dołączył do Gila przy ogrodzeniu.

– Więc jutro zaczyna pracę nowy stajenny?

– Tak, Seth Miller. Sam najął go, zanim dowiedział się o chorobie swojego brata. Chciałem, żebyś wiedział i uważał na niego.

– Jasne. – Patrzył uważnie na Gila. – Jest coś szczególnego, o czym powinienem wiedzieć?

– Sam wspominał, że dzieciak wydawał się podenerwowany. Jakby desperacko potrzebował pracy. Sam źle się z tym czuł, że nie będzie mógł tu być, żeby pomóc mu się zaadaptować.

Connor zdjął czapkę i przetarł rękawem czoło.

– Dzięki za ostrzeżenie. Na pewno będę miał go na oku.

Gil klepnął Connora po plecach.

– Miałem nadzieję, że to powiesz. A teraz, jak masz baczenie na wszystko, to chyba pójdę do domu na obiad z rodziną.

Connor odchylił się od ogrodzenia.

– Przekaż Bree pozdrowienia. I powiedz małemu Seanowi, że wezmę go na jazdę na lonży, jak tylko będę miał wolną chwilę.

Gil uśmiechnął się szeroko.

– Ucieszy się. Dzięki, Connorze.



Kolejnego dnia z samego rana Connor skierował się w stronę pomieszczenia gospodarczego, żeby porozmawiać ze stajennymi. Chciał powiadomić ich o nowym najemniku, którego się dziś spodziewali. Zastał w środku dwójkę pracowników, Tima i Maca, którzy zajęci byli karmieniem koni.

– Dzień dobry – przywitał ich Connor.

– Dzień dobry, panie O’Leary. – Tim skinął, wsypując owies.

Connor zmarszczył brwi.

– Jestem Connor. Pan O’Leary to mój ojciec. – Był zaledwie kilka lat starszy od nich i jeszcze tydzień temu traktowali go jak równego sobie. To było takie dziwne być teraz ich przełożonym.

Tim rzucił okiem na Maca, który taszczył wiadro wody do koryta, ale żaden z nich się nie odezwał. Connor oparł się o drzwi do boksu i w roztargnieniu poklepał konia po pysku.

– Spodziewamy się dzisiaj nowego stajennego – oznajmił im. – Chciałbym, żebyście sprawili, by czuł się dobrze, i pomogli mu nauczyć się co i jak.

– Tak jest, sir – odpowiedzieli.

– Nazywa się Seth Miller. Dajcie mi znać, jak się zjawi.

Pokiwali zgodnie głowami.

Connor zawahał się, licząc, że może rzucić jakiś żart albo opowiedzą jakiś incydent z ich pracy. Ale była już między nimi przepaść, a on ewidentnie był po tej drugiej stronie.

– Niech wam będzie. Róbcie dalej swoje.

Otrząsając się z resztek żalu, wymaszerował na zewnątrz i odetchnął świeżym jesiennym powietrzem. To była jego ulubiona pora roku, kiedy letnie upały zelżały i drzewa zaczynały zmieniać kolory. Podeszedł do białego ogrodzenia okalającego tor i zatrzymał się, by popatrzeć, jak jeden z trenerów ćwiczy ogiera.

– Przepraszam, sir. Szukam pana Turnbulla.

Connor odwrócił się i zobaczył chłopca stojącego na drodze za nim. Jego twarz była częściowo zasłonięta zbyt dużym kapeluszem z opadającym rondem. Miał na sobie kraciastą koszulę i dżinsowe ogrodniczki, które wisały na jego szczupłej sylwetce.

– Ty jesteś Seth Miller?

– T-tak, proszę pana.

– Pan Turnbull musiał wyjechać w pilnej rodzinnej sprawie. Ja jestem Connor O’Leary. Zastępuję go podczas jego nieobecności. – Oceniając po braku zarostu, Connor wątpił, czy ten młodzieniec przeszedł już okres dojrzewania. – Ile masz lat, synku?

– Dziewiętnaście. – Chłopak wetknął ręce w kieszenie ogrodniczek.

Connor podrapał się po głowie. Młody nie wyglądał na więcej niż szesnaście. Dlaczego Sam zatrudnił takie dziecko, które miało jeszcze mleko pod nosem?

– Masz duże doświadczenie w pracy z końmi?

– Tak, proszę pana. Pracowałem z moim tatą, odkąd byłem dzieckiem.

– Dobrze, dobrze. Oprowadzę cię krótko, a potem przedstawię innym chłopakom. Oni wprowadzą cię w resztę. – Connor skierował się z powrotem w stronę stajni, a nowy ruszył za nim.

Pod ogromnym kapeluszem na czole chłopca zbierały się krople potu. Connor powstrzymał westchnienie. Dzieciak wyglądał na przerażonego, więc zatrzymał go i rzekł:

– Nie ma się co tak denerwować, synu. Szybko będziesz wiedział co i jak.

Chłopiec pokiwał głową, a twarz rozluźnił mu cień ulgi.

Weszli do stajni i Connor pokazał mu konie czystej krwi. Seth był wyjątkowo milczący, a jednak widać po sposobie, w jaki zwierzęta reagowały na jego dotyk i ciche szepty, że zawiązywała się między nimi nić porozumienia.

O jeny! Czy on w ogóle przeszedł już mutację? Sam zwykle nie zatrudniał aż takich młodych.

– Seth?

Zero odpowiedzi.

– Panie Miller?

Chłopak spał się.

– Przepraszam, sir.

– Masz problemy ze słuchem, synu? – Connor zdusił westchnienie, nagle czując się jak staruszek, choć miał dopiero dwadzieścia trzy lata.

o... – Nie. – Młody wiał się i wetknąwszy ręce w kieszenie, zaczął się tłumaczyć: – Chodzi po prostu

– Co?

W jego niebieskich oczach wyraźnie widać było rozpacz.

– Wszyscy mówią mi Joe. Brat mnie w ten sposób przezywał i tak już zostało.

Ten chłopak wzbudzał w Connorze jakiś instynkt opiekuńczy, jakiego nigdy by się po sobie nie spodziewał. Może Sam czuł coś podobnego i dlatego go najął?

– W porządku, Joe. – Connor klepnął go po raczej kościstym ramieniu. – Chodźmy poznać innych stajennych.



Josephine Miller popędzała swoją starą szkapę przez łąkę tak szybko, jak Mabel potrafiła. Gdy tylko osiągnęły dobre tempo, Jo westchnęła przeciągle z ulgą.

Wreszcie wolność. Myślała, że ten dzień nigdy się nie skończy. Seth będzie jej za to wiele dłużny. Zerknęła przez ramię, żeby się upewnić, że nikt nie patrzy, a potem zwołnia klacz do stępa i skierowała ją pod zwieszające się nisko gałęzie. Jechały dalej przez zarośla, aż dotarły do polany i chaty z bali usytuowanej na obrzeżach posiadłości pana Sullivana. Dopiero wtedy poczuła ulgę w napiętych ramionach. Zerwała z głowy kapelusz taty, ściągnęła siatkę z włosów i pozwoliła długim puklom rozwiać się za plecami.

Okrążywszy dom, Jo zsiadła z konia po przeciwległej stronie i przywiązała Mabel do słupka. Pomiedzy chatą a małą przybudówką, która służyła za schronienie konia, stała studnia. Jo napompowała pełne wiadro wody, naląła trochę do koryta, a potem zataszczyła resztę do frontowych drzwi chatki, które następnie cicho otworzyła. Zatrzymała się, licząc, że ojciec śpi, a Seth wciąż jest w pracy.

Kiedy już była w środku, natychmiast zmarszczyła nos, modląc się w duchu, żeby nie wyczuć zapachu whiskey. W pomieszczeniu panował lekki ziąb, co wskazywało, że ogień pewnie wygasł.

Odstawiła wiadro wody obok piecyka na drewno i przeszła do głównego pokoju. Tatko leżał rozwalony na kanapie, z jedną ręką zwieszoną nad zakurzoną podłogą. Głośnie chrapanie odbijało się echem od ścian.

Odetchnęła z ulgą i na palcach przeszła do kominka, gdzie przez chwilę cierpliwie podgarniała przygasający żar. Następnie rozpałała w piecyku pod kuchnią, przygotowując wszystko, by przyrządzić na kolację to, co przyniesie Seth.

Nadal nie umiała pozbyć się obaw związanych z tym całym oszustwem, na które namówił ją brat. Gdyby tylko tatko nie zaczął znów pić właśnie wtedy, kiedy miał zacząć prawdziwą robotę, którą wreszcie udało mu się dostać po raz pierwszy od dłuższego czasu... Zamiast tego wdał się w jakąś burdę w tawernie, w wyniku której miał pokaleczoną nogę. Brzydka opuchlizna i głębokie rozcięcie na goleniu uniemożliwiały mu rozpoczęcie pracy na stanowisku zarządcy farmy Sullivanów.

Jo, czekając, aż ogień rozpali się w piecyku, przeszła do sypialni i przebrała się z powrotem

w swoją bawełnianą sukienkę, a potem spłotła jasne włosy w warkocz. Teraz znowu czuła się jak Josephine Miller, a nie zmyślony Joe, którego musiała udawać cały dzień.

Lepiej, żeby Seth wymyślił jakiś nowy plan. Sądząc po inteligentnym spojrzeniu Connora O'Leary'ego, nie spodziewała się, żeby dało się ciągnąć to oszustwo zbyt długo. Przynajmniej pozostali stajenni zostawili ją samą sobie.

Drzwi do chaty otworzyły się i wszedł Seth, wnosząc ze sobą powiew chłodnego powietrza. Jego ciemne włosy zasłaniały zmierzwioną kępą czoło, a spod jego kraciatej rozpiętej koszuli widać było biały podkoszulek.

Tatko poruszył się i jęknawszy, zmienił pozycję.

Seth położył oprawioną tuskę króliczą na chropowatym drewnianym stole. Wyglądało na to, że dziś na obiad będzie potrawka z królika.

– Przepraszam za spóźnienie, ale chwilę mi zajęło, żeby złapać tego typka.

Zerknął na jej sukienkę i włosy.

– Jak poszło u O'Learych? Uwierzyli, że jesteś mną?

Jo wyciągnęła żeliwny garnek i chlupnęła do niego trochę wody z wiadra.

– Poszło tak, jak się spodziewałaś. Pan Turnbull wyjechał na Zachód i Connor O'Leary pokazał mi co i jak.

– Nie był podejrzliwy?

– Przyłapałam go na tym, że gapił się na mnie kilka razy. Wydaje mi się, że zastanawiał się, dlaczego pan Turnbull zatrudnił kogoś w tak młodym wieku.

Seth zmarszczył brwi.

– Nie jesteś aż taka młoda.

Podrapała się po brodzie i odrzekła:

– Nie do końca przypominam mężczyznę. Ale nie martw się – dodała szybko. – Sprawdzę się i będzie po sprawie. – Wzięła cebulę i zaczęła ją kroić. – Tylko obiecaj, że to nie potrwa długo.

Seth usiadł ciężko na krześle.

– Przykro mi, Jo, ale dopóki tatko nie wyzdrowieje i nie wyleczy nogi, będę musiał go zastępować, a ty mnie. – Westchnął przeciągle. – Cieszę się tylko, że pan Sullivan zachował się tak sensownie.

Jo obierała marchewkę z nadmiernym impetem.

– I co dalej? Jak masz zamiar podmienić mnie w Irlandzkich Łąkach?

– Wymyślę coś, kiedy przyjdzie na to czas. Na pewno, jak wyjaśnię, że jestem twoim starszym bratem, a ty mnie zastępowałaś, to zrozumieją – odparł, wzruszając ramionami.

– W takim razie dlaczego od razu im tego nie powiedziałaś?

– Nie mogłem ryzykować, że się nie zgodzą. Jak to się już skończy, nie będą aż tak pamiętliwi, zwłaszcza że jesteś pracowita. – Uśmiechnął się do niej ze zmęczeniem. – A kto wie? Może im się spodoba twoja praca i zostawią nas oboje?

Jo przełknęła poczucie rozczarowania. Możliwe, że minie wiele tygodni, zanim rana taty się zagoi. Tygodni, podczas których będzie musiała udawać chłopaka. Czy jej się to uda?

Musi. Ktoś z nich musiał pracować u Sullivanów, żeby mogli zostać w tej chacie. W przeciwnym razie nie będą mieli gdzie żyć. A Jo nie mogła pozwolić na to, by wrócili pod namiot – nie teraz, gdy zbliżała się zima.

Pokroiła w kostkę ziemniaka i jeszcze dwie marchewki, a potem wrzuciła to wszystko do wody i dodała królika. Jak się chwilę pogotuje, wyciągnie go i obierze z mięsa. Może uda jej się z tego zrobić też garnek zupy.

Seth przetarł dłonią twarz i podniósł się.

– Jeszcze nigdy w życiu się tak nie napracowałem. Idę się na moment położyć przed obiadem. Obudź mnie, jak będziesz czegoś potrzebowała – oznajmił, a potem wdrapał się na rozklekotaną drabinę prowadzącą na stryszek, gdzie miał zaimprovizowane łóżko ze słomy.

Jo poczuła lekkie ukłucie wyrzutów sumienia na myśl o tym, że ona ma dla siebie sypialnię, a jej tata musi spać na zużytej kanapie. Zaleta bycia jedyną kobietą w rodzinie. Choć może i na to zasługiwała teraz, gdy musiała pracować cały dzień w Irlandzkich Łakach, a potem jeszcze gotować, sprzątać i prac. Nie było widać końca obowiązków, jak zresztą od lat.

W pewien sposób wyglądało to tak, jakby próbowała przez całe życie odpokutować za śmierć swojej matki. Flora Miller zmarła przy porodzie Jo, zostawiając nowo narodzoną córeczkę na łasce surowego ojca i starszego brata, choć żaden z nich nie był gotowy na samodzielne wychowywanie dziecka. Nie wspominając już, że była to dziewczynka.

Jo przykryła garnek, zostawiając potrawę na ogniu, by się dusiła, a sama poszła usiąść na fotelu bujanym koło kominka. Całe ciało bolało ją po dodatkowej fizycznej pracy, której się od dziś podjęła. Miała nadzieję, że tych kilka pierwszych dni minie szybko, że ona sama przestanie być nowością i po prostu wtopi się w tło.

Będzie wykonywać swoją pracę i nic ponad to – nic, co mogłoby skupić na niej uwagę.

Zdecydowała, że kluczem do przeżycia tego kanciarstwa będzie pozostawanie poza kręgiem zainteresowania.

Zwłaszcza zainteresowania ze strony przystojnego Connora O’Leary’ego.

Matthew z zaskoczeniem zastał Kathleen O’Leary w stanie, który wskazywał raczej, że jest zdrową i silną, a nie jak się spodziewał słabowitą i schorowaną kobietą. Pani O’Leary siedziała podparta poduszkami na wysokim szpitalnym łóżku ustawionym pod oknem pokoju na parterze, który, wnioskując po ścianach zabudowanych regałami, był niegdyś małą biblioteką. Popołudniowe promienie słońca rozświetlały końcówki jej spłowiałych kasztanowych włosów splecionych w warkocz. Matthew przyjrzał się jej twarzy i z ulgą stwierdził, że nie dostrzega śladów asymetrii. Jej jasnoniebieskie oczy, wyraźne rysy i gładka cera sprawiały, że wyglądała nawet na młodszą, niż rzeczywiście była. Jedyną widoczną oznaką jej niemocy było lewe ramię leżące pod dziwnym kątem u jej boku. I brązowy wózek inwalidzki stojący obok łóżka.

Widząc troje wchodzących, pielęgniarka podniosła się z krzesła ustawionego w kącie pokoju.

– Dzień dobry, panie O’Leary.

– Dzień dobry, siostró Cramer – przywitał się James. – To jest doktor Clayborne z Toronto. I moja najmłodsza córka, Deirdre.

– Miło mi poznać – odpowiedziała. Uśmiechnęła się w stronę Matthew. – Wszystkie istotne informacje zapisane są w karcie pani O’Leary. A teraz, jeśli mi państwo wybaczą, miałam właśnie odnieść naczynia do kuchni.

Kiedy tylko pielęgniarka wyszła, panna O’Leary skoczyła, by przytulić matkę.

– Moja córeczka. – Kobieta zacisnęła mocno powieki.

– Mamo, cieszę się, że możesz siedzieć. – Głos Deirdre zabarwiony był płaczącym tonem.

Tuliły się do siebie przez chwilę, a potem panna O’Leary osuszyła łzy z policzków matki i śmiejąc się cicho, otarła także swoją wilgotną twarz.

James podszedł do łóżka, mówiąc:

– Kathleen, to jest doktor Matthew Clayborne.

– Miło mi panią poznać – rzekł Matthew z lekkim ukłonem.

– Proszę mi mówić Kathleen. – Jej oczy zdawały się płonąć jakimś wewnętrznym światłem. – Dziękuję za przybycie, doktorze.

Matthew przestąpił z nogi na nogę, próbując odepchnąć od siebie poczucie wstydu za początkową niechęć wobec przyjazdu tutaj.

– Proszę mi nie dziękować, zanim nie zobaczymy, czy w ogóle mogę coś pomóc. – Fakt, że mówiła wyraźnie, był dobrą oznaką. Z tego, co mógł do tej pory powiedzieć, paraliż objął tylko jej lewą rękę i nogę, więc łatwiej będzie ustalić rodzaj ćwiczeń, które Matthew będzie z nią wykonywał.

Każdy wydawał się patrzeć na niego wyczekująco. Odwrócił się w stronę Jamesa.

– Jeśli mogę, chciałbym porozmawiać z twoją żoną na osobności.

James uniósł brew w pytającym wyrazie.

– Zgadzasz się, Kathleen?

– Tak.

James pochylił się i ucałował ją w policzek.

– Będę w moim gabinecie, jakbyś mnie potrzebowała.

Wyszedł z pokoju, ale panna O’Leary jeszcze się ociągała.

– Może powinnam zostać, skoro i tak będę asystować w leczeniu mamy.

Matthew zeszywniał, gotując się już na starcie.

– Chciałbym porozmawiać z pani matką na osobności. Nie zajmie mi to długo.

Posłała w jego stronę miazdzące spojrzenie, jakby chciała go ostrzec.

– Dobrze. Będę czekać w salonie.

Kiedy wyszła, Matthew przejrzał umieszczone na podkładce z klipsem zapisy, które pielęgniarka przymocowała do barierek w nogach łóżka. Następnie przysunął sobie bliżej krzesło i usiadł.

– Lubię dowiedzieć się czegoś na temat moich pacjentów przed rozpoczęciem leczenia. Jeśli poczujesz się już zmęczona, po prostu powiedz.

Kathleen oparła się wygodnie na poduszkach.

– W porządku.

Zaczął zadawać jej identyczne pytania, które wcześniej stawiał Jamesowi i z ulgą stwierdził, że udzielali takich samych odpowiedzi. Wszyscy byli zgodni, że sytuacja rodzinna była wręcz idealna. Żadnych oznak konfliktów lub spięć, które mogłyby się przyczynić do jej choroby. Minęło już prawie dwa tygodnie od udaru, zatem mieli już za sobą największe ryzyko nawrotu.

– Jak bardzo jesteś gotowa się poświęcić, żeby odzyskać władzę w ręce i nodze? – zapytał. – Ćwiczenia, które stosuję, mogą być wyczerpujące. Zdarzało się, że przyprawiałem nawet dorosłych mężczyzn o płacz. – Obserwował ją, szukając choćby najdrobniejszej zmiany nastawienia.

Ona jednak nie mrugnęła nawet okiem.

– Jeśli to próba zastraszenia, doktorze, to nieudana. Jestem zdeterminowana, by wrócić do normalności, niezależnie od tego, co będzie trzeba robić. – Odchyliła podbródek w podobny sposób co jej córka. – A zatem, kiedy zaczynamy?

– Czy jutro nie będzie zbyt szybko?

– Idealnie.

– Dobrze. – Wstał i odsunął krzesło na miejsce. – Muszę jeszcze dodać, że zobowiązałem się na okres jednego miesiąca, co powinno wystarczyć, by zobaczyć, czy ćwiczenia przyniosą korzyści, czy nie. Po tym czasie dokonamy ponownej oceny i zdecydujemy, co dalej.

– Zgoda. – Z uśmiechu pani O’Leary emanowała życzliwość i pokój, coś, co rzadko spotykał u swoich pacjentów. Większość wołała wyrzekać na los za to, że obszedł się z nimi tak okrutnie. Podobnie do Freda Knoxa pani O’Leary zapowiadała się jako miła odmiana.

Myśli Matthew zwróciły się do Phoebe i zatrzymał się jeszcze koło drzwi.

– Nie wiem, czy pan O’Leary o tym wspominał, ale przyjechały tu również moja córka ze swoją nianią.

Rysy twarzy kobiety złagodniały jeszcze bardziej.

– Och, nie wiedziałam... Ile lat ma twoja córka?

– Cztery i pół. – Zawahał się, ale stwierdził, że będzie lepiej dla wszystkich, jeśli ona też dowie się o Phoebe. – Phoebe jest nieco słabowita. Przeszła gruźlicę w wieku dwóch lat.

– Tak mi przykro.

– Musisz też wiedzieć, że cierpi na różne fobie związane z jej chorobą i śmiercią matki.

Matthew skurczył się pod poważnym, wyrażającym współczucie wzrokiem pani O’Leary.

– Cieszę się, że twoja córka tu jest – orzekła. – Bóg ma w tym jakiś cel, jestem tego pewna. Będę się modliła, aby udzielił jej łaski uzdrowienia.

Matthew zacisnął dłoń w pięść, starając się nie pokazać po sobie żadnej reakcji. Skinął głową i wypadł z pokoju, zanim w jego oczach mogłaby dostrzec sceptycyzm.

Jeżeli ta kobieta chciała marnować swój czas na modlitwy, nie zamierzał jej zatrzymywać. Ale patrząc po minionych doświadczeniach, nie przewidywał wielkich sukcesów.

Poza tym, jeśli modlitwa niosłaby uzdrowienie, po co na świecie byłoby lekarze?



Kolejnego dnia po obserwacji doktora Clayborne’a podczas zajęć z mamą, Deirdre poczuła pierwszy powiew nadziei. Lekarz był cierpliwy wobec matki i nie naciskał zbyt mocno. Oczywiście mogło to wynikać z faktu, że chciał zacząć powoli, ale Deirdre miała nadzieję, że to dobra zapowiedź na kolejne spotkania.

W południe wszyscy poza mamą, która drzemała, zgromadzili się na posiłku w jadalni. Dla niej taca z jedzeniem miała zostać dostarczona później do jej pokoju. Patrząc na drugi kraniec długiego stołu,

Deirdre w duchu współczuła pannie Shearing. Kobieta najwyraźniej nie czuła się zbyt komfortowo. Przez większość posiłku siedziała ze wzrokiem wbitym w talerz. Z kolei Phoebe obserwowała wszystkich z nieskrywanym zainteresowaniem, jak ciekawski pisklak. Deirdre wzięła to za dobry znak, mając nadzieję, że może dziewczynka nie była aż tak zamknięta w sobie. Możliwe też, że czuła się trochę bezpieczniejsza przez to, że jej tata siedział tuż obok, po jej lewej stronie.

Jak tylko sprzątnięto ze stołu, Connor oddalił się z powrotem w stronę stajni, a tata poszedł do mamy, pozostawiając Deirdre w towarzystwie Clayborne'ów i niani.

Kiedy panna Shearing przygotowała się już, by wyprowadzić Phoebe na górę, Deirdre podniosła się z krzesła.

– Ktoś może ma ochotę na spacer? – zapytała. – Mogłabym pokazać wam przyległe tereny i konie. – Dzieci potrzebowały świeżego powietrza i ruchu, a z tego, co było widać, mała Phoebe miała poważne zaległości w tej dziedzinie. Czy panna Shearing w ogóle zabierała ją gdzieś poza dom?

Dziewczynka pociągnęła ojca za rękaw koszuli, a z jej oczu przebijało nieme błaganie.

Mężczyzna się wahał i Deirdre obawiała się już, że odmówi, ale w końcu skinął potakująco głową.

– Myślę, że spacer może być miłą rozrywką.

Deirdre zwróciła się do panny Shearing:

– Zapraszam też panią, jeśli ma pani ochotę.

Niania znieruchomiała.

– Dziękuję, ale wykorzystam ten czas na rozpakowanie moich rzeczy.

Doktor Clayborne kiwnął głową.

– W porządku. – Wydawało się, jakby przyjął to z ulgą. Pomiędzy doktorem a jego podwładną istniało jakieś dziwne napięcie.

Gdy tylko przywdziali lekkie okrycia, Deirdre poprowadziła ich na zewnątrz. Wdychała rześkie jesienne powietrze, w którym delikatnie dało się wyczuć zapach obornika z okolicznych farm. Zapach, który zawsze przypominał jej o zmiennych porach roku. Deirdre skierowała gości na drogę wiodącą do słynnych ogrodów jej matki.

– Musielibycie zobaczyć róże mamy w lecie – mówiła. – Ich zapach zapiera dech w piersiach.

– Na pewno muszą być wspaniałe.

Doktor Clayborne odpowiadał z automatu i Deirdre bała się, żeby to nie zepsuło jej radości z tej chwili. Czy ten człowiek kiedykolwiek okazywał po sobie entuzjazm? Jednakże szeroko otwarte oczy Phoebe wyrażały zachwyt. Wydawała się pełna podziwu dla wszystkiego, jakby nigdy wcześniej nie widziała zwykłego ogrodu.

Deirdre poprowadziła ich do głównej stajni, gdzie tata trzymał rasowe wierzchowce swoich klientów. Rzuciła drobne uwagi na temat interesujących koni, które wystawiane były w Kentucky Derby. Doktor Clayborne milczał tak samo jak jego córka, co nieco wytrącało pannę O'Leary z równowagi. O czym tak myślał za tą stoicką maską?

Kobieta zerknęła na Phoebe, pragnąc się upewnić, że duże zwierzęta nie przerażają dziecka. Na szczęście nie widać było po niej strachu, a jedynie ciekawość.

Potem przeszła do mniejszej stajni, gdzie trzymano konie pociągowe i kuce. Nie mogła się doczekać, żeby zobaczyć to jedno, konkretne zwierzę. Usłyszała znajome rżenie Pirueta, zanim jeszcze go zobaczyła nad wejściem do boksu.

– Phoebe, to mój kucyk, Piruet. Tata kupił go dla mnie i mojego brata, gdy byliśmy tylko trochę starsi od ciebie. Na jego grzbiecie nauczyłam się jeździć. – Jej ukochany Piruet był coraz bardziej sędziwy i zdrętwiający, ale nadal był nie lada rozrywką dla dzieci jej rodzeństwa.

Dziewczynka stanęła na palcach, próbując ujrzeć coś ponad drzwiami.

– Mogę cię podnieść, żebyś lepiej widziała?

Gdy Phoebe pokiwała głową, Deirdre podniosła ją tak, by mogła stanąć nóżkami na poprzecznej sztachecie, a potem otoczyła małą ramionami, żeby nie spadła. Piruet podszedł, czekając na smakołyk. Deirdre wyjęła niewielki kawałek marchewki z kieszeni.

Phoebe patrzyła z fascynacją, jak wargi kuczka zamknęły się wokół przekąski.

– Dobry konik – zamruczała śpiewnie Deirdre. Poglaskała go między uszami i zwierzę prychnęło rozkosznie, dmuchając w ramię Phoebe.

Dziewczynka westchnęła gwałtownie, a Deirdre się zaśmiała.

– W porządku. To znaczy, że Piruet się cieszy.

Pod dłonią poczuła, jak spięte plecy Phoebe rozluźniają się. Dziewczynka wyciągnęła nieśmiało rękę. W tym samym momencie wkroczył doktor Clayborne.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł.

Deirdre podniosła na niego wzrok.

– Proszę się nie martwić. Piruet kocha dzieci. Nigdy by jej nie skrzywdził.

Wzięła dłoń Phoebe i pogładziła nią pysk kuczka. Potem dała dziewczynce marchewkę, pytając:

– Chciałabyś dać mu przysmak? Piruet uwielbia marchewki tak bardzo, jak my lody.

Z uśmiechniętych warg dziecka dobył się chichot. Deirdre pomyślała, że jeszcze nigdy nie słyszała tak słodkiego dźwięku.

– Trzymaj dłoń płasko.

Wargi Pirueta sprawnie odnalazły marchewkę i jeszcze raz parsknął triumfalnie.

– Udało ci się! – Deirdre przytuliła małą, uśmiechając się na widok zachwyty na jej twarzy.

A potem Phoebe roześmiała się głośno i widać było po niej bezgraniczną dziecięcą radość. Deirdre musiała stłumić wzbierające w niej wzruszenie.

– Może któregoś dnia, jeśli twój tata się zgodzi, będziesz mogła przejechać się na Piruecie. Chciałabyś?

Dziewczynka tak ochoczo pokiwała głową, że jej jasne warkoczki gwałtownie podskoczyły. Deirdre zerknęła na doktora Clayborne'a, niepewna jego reakcji. Drgnął mu mięsień szczęki.

– Zobaczymy – odpowiedział szorstkim głosem.

Deirdre zmartwiła się, sądząc, że tylko go rozdrażniła. Ale kiedy szli w stronę toru wyścigowego, doktor Clayborne zatrzymał ją i rzekł:


– Dziękuję, panno O'Leary. Nie słyszałem śmiechu mojej córki od... – Przełknął ciężko, a grdyka poruszyła mu się widocznie. – Od bardzo dawna.

Deirdre przyglądała się jego poważnej twarzy. A jak dawno temu on sam się śmiał? Czy ten człowiek w ogóle potrafił się odprężyć? Nawet jego słowa były urywane i bardzo formalne.

– Nie sądzisz, że mógłbyś mi mówić po imieniu? – spytała cicho.

Wydawało się, że bada ją wzrokiem, a potem skinął głową.

– Mogę, Deirdre. A ty mów mi Matthew.

 Doktor utkwiał wzrok w głębi zielonych oczu Deirdre i przez chwilę zapomniał nawet oddychać. Patrzyła na niego w taki sposób, iż miał wrażenie, że przesywa wzrokiem jego duszę.

– Matthew – powtórzyła za nim. – Zawsze podobało mi się to imię. – Uśmiechnęła się ponownie i znów pojawiły się ponętne dołeczki.

Dźwięk dziecięcych głosów ściągnął Matthew na ziemię. Jakiś chłopiec i dwie dziewczynki biegli ścieżką obok białego ogrodzenia okalającego tor.

Phoebe, która jeszcze przed chwilą szła przodem, wróciła i wtuliła się w jego nogę, a on położył protekcyjnie dłoń na jej ramieniu.

– Ciocia Dee-Dee! Wróciłaś! – Starsza dziewczynka wbiegła prosto na Deirdre, która zamiast cofnąć się, chwyciła ją pod ramiona i uniosła wysoko w powietrze. Rudowłose dziecko wybuchnęło śmiechem.

– Jak się miewa moja Rosie? – Deirdre cmoknęła dziewczynkę głośno i odstawiła na ziemię.

– Wypadł mi kolejny ząb. – Wskazała na puste miejsce pod górną wargą.

– Ojejku! Robisz się coraz bardziej dorosła. – Deirdre miała taką teatralną minę, że dziewczynka ponownie się roześmiała. – A dlaczego nie jesteś w domu na lekcjach?

– Mama puściła nas wcześniej, żebyśmy mogli pójść się z tobą zobaczyć.

Pozostała dwójka również dotarła do nich, wznecając po drodze kłęby kurzu. Deirdre przytuliła ich oboje na raz.

Matthew jeszcze nigdy nie widział takich wylewnych powitań. W jego rodzinie co najwyżej było to kurtuazyjne cmoknięcie w policzek lub uściśnięcie dłoni. Phoebe również wydawała się zaskoczona, bo tylko patrzyła na te ruchliwe dzieci.

Deirdre wskazała na nich dłonią.

– To jest Phoebe i jej tata, doktor Clayborne. Są gośćmi dziadka i babci. Matthew, to są dzieci Brianny i Gila – Sean, Rose i Betsy.

– Witajcie. – Matthew przestąpił z nogi na nogę, nie wiedząc, co powiedzieć wobec tych trzech par oczu wpatrujących się w niego. Phoebe wciąż milczała, trzymając się kurczowo jego nogi.

Betsy, młodsza dziewczynka, stanęła przed Phoebe.

– Ja mam cztery lata. A ty ile?

Jego córkę przeszył dreszcz. I gdy Matthew myślał już, że nie wytrzyma dłużej tej ogłuszającej ciszy, Phoebe wzniosła wolną dłoń, pokazując cztery palce.

– Ty też masz cztery lata?

Phoebe skinęła głową.

– Niedługo będzie miała pięć – dodał Matthew, czując niewytłumaczalną potrzebę mówienia w imieniu córki.

Pojedyncze pasemka jasnobrązowych włosów Betsy wymknęły się z mysich warkoczyków opadających na jej ramiona. Dziewczynka, marszcząc czoło, zapytała Deirdre:

– Czy ona nie umie mówić, ciociu Dee-Dee?

Matthew wziął gwałtowny wdech. Dlatego właśnie trzymał córkę z dala od innych dzieci – w obawie przed ich brakiem wrażliwości, który mógłby ją ranić. Deirdre pochyliła się do dziewczynek.

– Oczywiście, że Phoebe umie mówić. Ona jest po prostu nieśmiała. Liczę na was, że sprawicie, by czuła się tu jak w domu.

Starsza dziewczynka, Rose, spojrzała na swojego brata, który był wyraźnie podobny do Gila.

– Ciociu Dee-Dee, może się z nami bawić, kiedy tylko będzie chciała.

Deirdre wstała i ucałowała ją w czoło.

– Kochana dziewczynka.

Betsy uśmiechnęła się szeroko i złapała Phoebe za rękę.

– Moja mama uczy nas w domu. Jest naprawdę dobrą nauczycielką. Może chciałabyś się z nami pouczyć?

Phoebe odwzajemniła uśmiech i skinęła głową, co jej ojciec wziął za dobry znak. Jednak myśl o tym, że miałby puścić córkę samą do obcego domu bez niego, sprawiła, że się wzdrygnął.

– Porozmawiamy o tym później – stwierdził w odpowiedzi na jej pytający wzrok. Musiał najpierw rozmówić się z Deirdre i dowiedzieć się czegoś więcej o tej edukacji domowej.

– Nasz pies ma szczeniaczki – powiedziała Betsy do Phoebe. – Tata mówi, że jak urosną, będziemy musieli je oddać. – Smutek widoczny na jej twarzy nie mógł się równać z miną żadnego żalobnika na pogrzebie. – Chciałabyś je zobaczyć?

Phoebe pokiwała głową tak szybko, że z warkocza wysunęły się jej luźne kosmyki włosów.

Matthew poczuł zawroty głowy. Konie, kucyki, dzieci, a teraz jeszcze szczeniaki. Miał ochotę złapać córkę i odnieść ją z powrotem statecznej pannie Shearing, która nigdy nie narażała dziewczynki na nic groźniejszego od letniej kąpieli.

Jakby w odpowiedzi na jego obawy powietrze rozdarł dziecięcy krzyk. Był tak intensywny, że aż Matthew dostał gęsiej skórki.

– Sean! – Deirdre skoczyła w stronę płotu ogradzającego pastwisko.

Wewnątrz olbrzymi, czarny koń parsknął i uderzał kopytami o ziemię. Sean Whelan stał zaledwie o krok od imponującego zwierzęcia, a jego twarz była ziemista, najwyraźniej zmrożona przerażeniem.

Koń cofnął się, a jego kopyta rozcięły powietrze. Matthew poczuł zastrzyk adrenaliny i skoczył w tamtą stronę. Biegł przed siebie, rozpaczliwie próbując znaleźć sposób, by ocalić chłopca od nieuniknionego urazu.

Przed sobą dostrzegł, jak Deirdre wspięła się na płot i zeskoczyła na ziemię. Zakasała sukienkę i pobięła w stronę zwierzęcia.

Serce podeszło mu do gardła, nieomalże dusząc go. Głupia kobieta, ryzykowała życiem. Przesadził płot tuż za nią.

Deirdre popchnęła Seana na ziemię i zakryła sobą chłopca. Kopyta opadły na ziemię tuż obok nich. Koń zarżał donośnie, a potem znowu cofnął się z dzikim wzrokiem.

Matthew rzucił się, osłaniając ich oboje własnym ciałem. Ostatnią myślą, gdy czekał aż opadną kopyta, była Phoebe.

Connor wybiegł ze stajni, a jego serce waliło. Wydawało mu się, że słyszał piskliwy dźwięk jakiegoś krzyczącego dziecka. Kiedy zbliżył się do płotu, cała krew od razu odpłynęła mu z twarzy, tak iż musiał kilkakrotnie zamrużyć, by upewnić się, że dobrze widzi.

Dobry Boże! Co Sean robił w zagrodzie z Excaliburem?

Robocze buty Connora wzbijały w górę kurz, kiedy gnał w stronę ogrodzenia. Zanim dotarł do płotu, Deirdre ściągnęła Seana na ziemię. Zaraz za nią doktor Clayborne rzucił się, osłaniając ich oboje.

Pot lał się Connorowi po skroniach. Sądząc po dzikim spojrzeniu ogiera, oceniał, że zwierzę było w szoku. Zbyt długo zajęłoby mu teraz, żeby je uspokoić. A jednak musiał coś zrobić. Przeskoczył przez ogrodzenie, obmyślając w głowie strategię, kiedy jakaś postać przemknęła obok niego.

Nowy stajenny zwolnił kroku, gdy był już blisko narowistego konia. Connor zdusił w sobie ostrzegawczy krzyk, nie chcąc spłoszyć jeszcze bardziej zwierzęcia i tym samym ryzykować życiem Joego.

Chłopak przemawiał cicho śpiewnym głosem, niemalże nucąc do ucha zwierzęcia i, ku całkowitemu zaskoczeniu Connora, kopyta Excalibura uspokoiły się. Prychał, wyrzucając z chrap kłęby powietrza, ale całą uwagę skupiał na Joem Millerze.

Connor podszedł ostrożnie, bo bał się, że koń znów się zdenerwuje.

Stajenny wyciągnął dłoń, zatrzymując Connora. Choć irytował go bezruch, nie miał wyboru. Spiał się w sobie, trzymając blisko boku dłonie zaciśnięte w pięści. Teraz mógł już tylko patrzeć.

Joe powoli sięgnął po wodze i chwycił je. Connor w napięciu czekał, spodziewając się, że zwierzę zaraz może wpaść w popłoch. A wtedy cofnie się i kopnie chłopaka. Gdyby koń go ranił, Connor nie mógłby sobie tego wybaczyć. To on był odpowiedzialny pod nieobecność Sama.

Ale Joe nadal przemawiał do zwierzęcia, które, z jakiegoś niewiadomego powodu, uciszyło się.

Kątem oka Connor dostrzegł, że doktor zabiera Deirdre i Seana w bezpieczne miejsce.

Joe głąskał Excalibura po szyi. Wzburzenie konia najwyraźniej ustępowało i widać było, jak rozluźniają się spięte mięśnie zwierzęcia.

– Już dobrze. Nikt cię nie skrzywdzi. – Joe poklepał ogiera po boku.

Connor zdjął czapkę i podrapał się po mokrej od potu głowie, sam nie wierząc w to, co widział. Chłopak prowadził przez pastwisko poskromionego ogiera, który był teraz potulny jak baranek. Młody O'Leary zarzucił z powrotem czapkę i poszedł na drugą stronę ogrodzenia, gdzie wokół jego siostrzeńca zebrała się grupa gapiów. Deirdre trzymała dłoń na ramieniu dziecka, a doktor klęczał koło swojej córki. Po twarzy dziewczynki płynęły cicho łzy. Betsy i Rose trzymały się za ręce, a ich buzie były tak samo blade jak twarz Seana.

Strach, ulga i pomruk złości wezbrały w piersi Connora, skutkując pełnym gniewu prychnięciem.

– Seanie Whelan! – ryknął. – Natychmiast do mnie.

Rysy chłopca przeciął skurcz lęku, ale Connor nie odpuszczał. Zaraz podeszła do nich Deirdre, przesywając brata tym samym wzrokiem, którego używała, gdy byli dziećmi.

– Czy to nie może poczekać?

– Nie, nie może. – Connor wskazał Seanowi ręką drogę. – Do stajni. Już!

Chłopiec rzucił ciotce rozpaczliwe spojrzenie. Ona tylko wzruszyła ramionami.

– Przykro mi, kochanie. To wujek Connor tu dowodzi. Musisz go słuchać.

Sean zwiesił głowę i poczłapał w stronę stajni. Connor dostrzegł ganiący wyraz twarzy siostry.

– To dla jego dobra, Dee. Mógł zginać. Nie mogę tego puścić płazem.

Przemaszerował do stajni, z niechęcią myśląc o tym, że będzie musiał wymierzyć karę swojemu siostrzeńcowi. Ale ktoś musi nauczyć Seana przestrzegania zasad i jeśli to ma być on, niech i tak będzie. Jego rodzice podziękują mu jeszcze kiedyś za to.

Connor zerknął przelotem na drugi koniec pastwiska, gdzie stał Joe z Excaliburem, i z niechęcią, ale musiał przyznać, że czuł dla niego podziw. Taki talent do koni, który właśnie miał okazję widzieć, to rzadkość, i szczerze zamierzał wykorzystać jak najlepiej ten dar Joego.



Kiedy tylko Jo udało się odprowadzić pięknego ogiera z powrotem do stajni, jej serce wreszcie zaczęło bić w normalnym rytmie. Skierowała do Boga krótkie dziękczynienie za to, że pozwolił jej uspokoić wzburzone zwierzę. Była pewna, że Excalibur nie chciał celowo zrobić krzywdy dziecku. Najwyraźniej ogier nie był przyzwyczajony do obecności dzieci i wpadł w popłoch. Teraz, gdy wrócił już do swojego boksu, gdzie czuł się bezpiecznie, koń był spokojny.

Jo pogłaskała go dłonią po nosie.

– Nie ma się czego bać. Nikt nie zrobi ci krzywdy, obiecuję.

Cóż za wspaniałe zwierzę. Jeszcze nigdy nie widziała takiego doskonałego wierzchowca. Tak bardzo marzyła, by móc z nim pracować. Ale nikt nie pozwoli zwykłemu stajennemu mieszać się w szkolenie wyścigowych czempionów.

Chętnie sprawdziłaby, na ile otwarty na jej rady byłby Connor O’Leary, jednakże nie ważyła się na to. Lepiej nie ściągać na siebie zbędnego zainteresowania.

Po cichu wyszła ze stajni i skierowała się do pomieszczeń gospodarczych. Kiedy dotarła do narożnika, usłyszała dziecięcy głosik i zwolniła kroku.

– Będziesz mnie bił, wujku Connorze?

Jo zamarła i zmroziło ją przerażenie na dźwięk lęku wybrzmiewającego w głosie chłopca. Spięła się, czekając na odpowiedź, gotowa już interweniować, jeśli zaszłaby taka potrzeba. Nie mogła pozwolić, żeby jakimkolwiek dziecku działa się krzywda.

– A nie sądzisz, że należy ci się lanie za to, co zrobiłeś? Nie podporządkowałeś się zasadom, które ustalił dziadek. O mało co nie zginąłeś, nie wspominając już o tym, że naraziłeś swoją ciotkę, doktora Clayborne’a i cennego wierzchowca.

Jo podeszła bliżej do budynku. Przystanęła dopiero, kiedy drobny głosik odpowiedział:

– Chyba tak.

Zajrzała znad krawędzi ostatniego boksu. Connor siedział na drewnianym stołku tyłem do ściany. Chłopiec stał na wprost niego, grzebiąc nogą w ziemi.

Mężczyzna podniósł długi, cienki patyk leżący na jego kolanach i uderzył nim lekko o swoją otwartą dłoń. Jo skuliła się. Chyba nie chce użyć tego narzędzia wobec dziecka. Wzdrygnęła się, przypominając sobie, jak różnych przedmiotów używał ojciec do bicia jej. Niektóre zostawiały trwałe ślady.

– Masz szczęście, młody człowieku. Nie uznaję bicia. Chociaż... – Przerwał najwyraźniej, by dodać wypowiedzi efektu.

Jo żałowała, że nie widzi twarzy Connora.

– Chociaż musisz ponieść konsekwencje za twoje zachowanie. Takie, które będą odpowiednie do wagi przewinienia.

Chłopiec uniósł głowę, a na jego twarzy malowała się na wpół ulga, na wpół niepewność.

– Przez najbliższy tydzień będziesz wyrzucać gnój ze wszystkich boksów w obu stajniach.

Na nosie chłopca widać było dokładnie wszystkie piegi.

– Ale to...

– Co? Niesprawiedliwe? – Connor pochylił się tak blisko, że ich twarze nieomalże się stykały. – To może jednak wolisz lanie?

– Nie, sir. – Podbródek Seana dotknął kraciastej koszuli.

Connor oparł patyk o ścianę i wstał.

– Dobrze. Możesz zacząć od jutra rano.

Chłopiec stał bez ruchu.

– A teraz wracaj do domu i opowiedz rodzicom, co się stało.

– Tak jest, sir. – Chłopiec zrobił dwa kroki, a potem odwrócił się. Jego wargi drżały. –

Przepraszam, wujku Connorze. – Z kącika oka uciekła pojedyncza łza.

Connor westchnął potężnie, a potem wziął siostrzeńca w ramiona.

– Musisz być bardziej ostrożny, Seanie. Wszyscy bardzo cię kochamy. Nie wiem, co byśmy zrobili, jakby ci się coś stało... – Odchrząknął i odstawił Seana z powrotem na ziemię.

– Będziesz mnie nadal uczył łapać na łące?

– Porozmawiamy o tym, jak skończysz karę – odparł, kładąc dłoń na jego ramieniu.

Chłopiec pokiwał głową.

– Tatuś będzie wściekły...

Jo znieruchomiała. Czy pan Whelan będzie bił syna za ten występki?

Connor jednak tylko się zaśmiał.

– Oj, będzie. I pewnie dostaniesz jeszcze dodatkowe zajęcia w domu.

Gdy chłopiec czmychnął już ze stajni, Jo odetchnęła. Seanowi nie stanie się nic złego – ani w stajni, ani w domu. Na szczęście dla niej, bo liczyła, że Connor O’Leary będzie traktować swoich pracowników tak samo dobrze, jak własnego siostrzeńca.

Chcąc się wycofać po cichu, zrobiła krok w tył. Jej noga wylądowała jednak w metalowym wiadrze. Pisnęła, gdy zimna woda wlała się jej do buta i rozlała na ziemię. Jęknąwszy, wyciągnęła nogę i strzepnęła wodę.

– To jeden ze sposobów na mycie butów.

Podniosła wzrok i z przerażeniem dostrzegła nad sobą uśmiechającego się szeroko Connora.

– Przepraszam. – Pochyliła się, by poprawić wiadro i postawiła je obok ławki.

– Spokojnie. To tylko woda.

Ruszyła przed siebie, a on szedł za nią przez całą długość stajni.

– Chciałem ci podziękować za to, co zrobiłeś z Excaliburem. Jak ci się udało uspokoić tego konia?

Jo nie przestawała iść, starając się zignorować wodę chlupoczącą jej w bucie.

– Po prostu rozmawiałem z nim. Był jeszcze bardziej przerażony niż ten chłopiec. – Podniosła wzrok. – A tak w ogóle, to co się mu stało?

Connor uniósł pytająco brwi.

– Koniowi?

Pokiwała twierdząco głową.

– Excalibur miał wypadek podczas wyścigu. Koń został ranny, a... – Connor przełknął. – A jeździec zginął. Od tamtego czasu nikt nie był w stanie go dosiąść.

Jo walczyła, by powstrzymać łzy.

– Biedny. Nic dziwnego, że jest taki wystraszony.

– O tak, hm, niewątpliwie jesteś dzisiejszym bohaterem, więc dziękuję.

– Nie ma za co. – Serce Jo aż ścisnęło się wobec jego badawczego spojrzenia. Na policzkach rozlało się jej ciepło. Tego właśnie nie chciała... zamieszania i zainteresowania.

Zwłaszcza ze strony tego mężczyzny, który wywoływał w niej dziwne odczucia.

– Jeszcze jedno. – Słowa Connora wstrzymały jej odejście. Skupiała wzrok wyłącznie na przemoczonym bucie.

– W ramach kary mój siostrzeniec będzie pracował w gospodarczej stajni przez cały przyszły tydzień. Chciałbym, żebyś nadzorował jego pracę. Twoja obecność nie będzie go tak onieśmielać jak innych stajennych.

Jo przełknęła ciężko.

– Oczywiście, sir. – Odważyła się podnieść na niego wzrok i zobaczyła, że Connor uporczywie się w nią wpatruje. Intrygujące złote błyski w jego tęczówkach wręcz ją hipnotyzowały.

– Postaraj się nie być dla niego zbyt wyrozumiałym. Musi odczuć, że to kara.

– Jasne.

– Joe?

Zatrzymała się znowu i czekała. On położył dłoń na jej ramieniu i dodał:

– Nie musisz się tak denerwować w mojej obecności... ani niczyjej innej tutaj. Jakby jednak ktoś sprawiał ci jakieś problemy, po prostu przyjdź do mnie. Dobrze?

Czuła, jak ciepło z jego dłoni spływa w dół jej ramienia. Fakt, że chciał ją chronić, nawet gdy uważał ją za nastoletniego chłopca, sprawiał, że coś ścisnęło ją w gardle.

– Dziękuję, sir.

– Mów mi Connor. Do jutra, Joe.

Skinęła głową i szybko odeszła, zanim zdołałby powiedzieć coś jeszcze. Aż nazbyt dobrze zdawała sobie sprawę, że patrzy za nią.

Musiała ze wszystkich sił starać się, żeby go unikać przez kilka kolejnych dni, tak by to zainteresowanie, które wobec niego czuła, mogło zniknąć. Miała tylko nadzieję, że praca z jego siostrzeńcem nie będzie oznaczała ich częstszych rozmów.

Im mniej czasu spędzi w towarzystwie Connora – i jego cudownych brązowych oczu – tym lepiej.

Deirdre usiłowała otrzepać sukienkę z ziemi, ale ręce miała tak samo brudne jak spódnice, więc jej wysiłki szły na marne. Gdzieś w gorączce ratowania Seana pogubiły się jej wsuwki i teraz niesforne pukle opadały na ramiona. Odgarnęła pojedynczy lok z oczu i dalej próbowała doprowadzić się do ładu.

Dopiero kiedy minęło zagrożenie, zaczęło ją ogarniać podenerwowanie. Nie mogła do końca uwierzyć, że Matthew skoczył do zagrody i osłonił ją i Seana, ryzykując dla nich własne życie.

Miała wobec niego ogromny dług wdzięczności.

Westchnąwszy, odwróciła się, by zobaczyć, dokąd poszedł. Nigdzie nie było już widać Betsy i Rose, pewnie pobięły do domu opowiedzieć mamie o złym zachowaniu ich brata. Znalazła doktora siedzącego w kucki koło ogrodzenia i tulącego w ramionach zapłakaną Phoebe.

Serce Deirdre zadrżało. Dziewczynka musiała czuć się strasznie, będąc świadkiem takiej sytuacji. Pomysł, by zabrać Phoebe na jazdę na grzbiecie Pirueta, uleciał wraz z gniewną miną, jaką Matthew ją obdarzył, gdy tylko się zbliżyła.

– Wszystko w porządku? – zapytała, zauważając, że miał brudne spodnie i rozdarty rękaw.

Wstał, trzymając jedną rękę na głowie Phoebe, a drugą sięgając po chusteczkę do kieszeni. Podał jej, mówiąc:

– U mnie tak. A u ciebie?

Otarła policzki kawałkiem materiału, który pachniał mydłem sandałowym.

– Poza tym, że jestem trochę brudna, to dobrze. Dziękuję za to, co zrobiłeś.

Uciekł wzrokiem.

– Nie ma za co dziękować. Wybacz mi, ale zabiorę teraz Phoebe z powrotem do panny Shearing.

Tam, gdzie jest bezpieczna – dodała w myślach. Nie musiał nawet tego mówić, było wiadomo.

Kiedy prowadził Phoebe w stronę domu, Deirdre ruszyła szybko za nim.

– Matthew, poczekaj. To była wyjątkowa, niecodzienna sytuacja. Sean zazwyczaj nie jest tak bezmyślny, żeby wchodzić do zagrody z ogierem.

Matthew odwrócił się i obdarzył ją wściekłym spojrzeniem.

– Codzienna lub nie, panno O’Leary, nie życzę sobie, by Phoebe przebywała w pobliżu zwierząt, włączając w to pani kucyka. Jasne?

A więc wracamy do formalności.

Deirdre zerknęła na dziewczynkę i przygryzła wargę, by nie dyskutować dalej. Nie byłoby sensu spierać się z Matthew zaraz po tym wydarzeniu. Poczekaj kilka dni, aż wszystko ucichnie, a potem poruszy znów ten temat.

– Rozumiem. – Wcisnęła mu w dłoń chusteczkę.

Doktor wetknął materiał do kieszeni, a później przysunął się bliżej i ścisząc głos, dodał:

– I nie chcę, by moja córka zadawała się z dziećmi Whelanów. Jest zbyt delikatna na takie... idiotyzmy.

Jego ciepły oddech owiewał jej policzki, wcale nie pomagając rozpalającemu ją gniewowi. Ponownie opanowała emocje, zachowując dla siebie żarliwą obronę siostrzeńców i siostrzenic.

– Ma pan prawo do swojego zdania, doktorze.

A potem, z całą godnością, na jaką było ją stać pomimo rozwichrzonych włosów i ubrudzonej garderoby, odmaszerowała w stronę domu.

Są inne sposoby, by obejść Matthew Clayborne'a. I dla dobra Phoebe Deirdre postanowiła, że musi je znaleźć.



– Czy coś cię martwi, Matthew?

Głos Kathleen przywołał lekarza od okna, gdzie wpatrywał się w starannie wypielęgnowane trawniki. Przybrał wyćwiczony wyraz twarzy i odparł:

– Nie, zupełnie nic. Jesteś gotowa na kolejną serię ćwiczeń?

Używając zdrowej ręki i nogi, podjechała do niego na wózku inwalidzkim.

– Wybacz, ale miałeś taką niezadowoloną minę, gdy patrzyłeś przez okno, jakbyś co najmniej był świadkiem morderstwa. – Zaśmiała się lekko, przez co jej słowa nie brzmiały uszczypliwie.

– Nieważne. – Matthew przeszedł do stołu, gdzie miał rozłożony asortyment gumowych piłeczek i obciążników. Wszystko to miało pomóc w przywróceniu sprawności palców, dzięki czemu mogli mieć nadzieję, że kobieta jeszcze kiedyś zagra na pianinie. Podniósł niewielki ciężarek i podał jej.

– Czy to ma coś wspólnego z Seanem i tym koniem wczoraj?

Usilnie starał się nie pokazać po sobie zaskoczenia.

– Słyszałaś o tym?

– Oczywiście. Wiem o wszystkim, co się tutaj dzieje. – Położyła ciężarek na kolanach. – To na pewno musiało być przerażające, zwłaszcza dla kogoś nieprzywykłego do narowistych koni.

– Tak. Phoebe bardzo się tym wszystkim przejęła. – Matthew żałował po raz setny, że musiała patrzeć, jak o mało co nie został stratowany.

– Nie chodziło mi o Phoebe.

Zacisnął mocno zęby i odsunął się z powrotem do stołu. Pani O’Leary podjechała bliżej.

– To, co zrobiłeś dla mojej córki i wnuka, było wielkim bohaterstwem.

– To nic takiego. A teraz, jeśli nie masz nic przeciwko, wróćmy do ćwiczeń.

– Matthew. – Wyciągnęła sprawną rękę i położyła na jego przedramieniu. – Proszę, nie pozwól, by jeden nieszczęśliwy wypadek rzucił niekorzystne światło na to, w jaki sposób będziesz postrzegał moją rodzinę. Sean to dobry chłopiec, choć czasem bywa trochę niesforny. Betsy i Rose to kochane dziewczynki, które mogłyby być wspianiałymi towarzyszkami dla Phoebe...

– Dziękuję za twoją opinię – uciał. – Jednakże uważam, że wiem lepiej, co jest dobre dla mojej córki. – Wskazał na obciążnik. – Możemy kontynuować?

– Oczywiście. – Włożyła żelazny ciężarek do zdeformowanej lewej ręki.

Matthew pomógł jej zamknąć palce wokół ciężarka. Kathleen skrzywiła twarz, ale nie przerwała. Podczas wspólnej pracy zaczął żałować ostatnich ostrych słów. Wiedział, że kobieta chciała pomóc, jednak chyba nikt nie rozumiał do końca jego najgłębszych obaw. Tego, że jedna mała choroba mogła doprowadzić jego córkę do śmierci.

– Mam nadzieję, że cię nie obraziłem, Kathleen – powiedział, kiedy zrobili niedługą przerwę.

– Ani trochę. Wiem, jak trudno jest być rodzicem. – W jej spojrzeniu nie było oceny, a jedynie współczucie.

Matthew nie wiedział, co było gorsze.

– Wiesz, że miałam jeszcze jednego syna? – zapytała.

Smutek malujący się na jej twarzy sprawił, że słowa uwięzły mu w gardle, więc wydusił tylko:

– Jeszcze jednego?

– Poza Adamem i Connorem, i oczywiście Gilem, którego wychowaliśmy jak własnego syna. – Wyjęła chusteczkę i otarła pot z czoła. – Mój najdroższy Daniel utonął w stawie za domem, kiedy miał osiem lat.

Matthew zdusił lęk, jakby samo wysłuchanie tej historii mogło sprowadzić na niego takie samo nieszczęście.

– Bardzo mi przykro.

– Daniel był najradośniejszym ze wszystkich moich dzieci. Wydawało się, że szczęście promieniuje z niego na całe otoczenie. – Uśmiechnęła się z drżeniem. – Tak żywiołowo podchodził do życia. Podobnie jak nasz Sean.

Matthew nie był w stanie wymyślić żadnej sensownej odpowiedzi, więc milczał.

– Czy wyrzucam sobie, że nie poświęciliśmy Danny’emu wystarczająco dużo uwagi tamtego dnia? Z pewnością. Ale czy zmieniłabym coś w sposobie, w jaki go wychowywaliśmy? Czy trzymałabym go w domu pod kloszem, żeby nie stała mu się nigdy żadna krzywda? – Potrząsnęła przecząco głową. – Nie, bo wtedy nie mógłby prawdziwie żyć, nie sądzisz? – W kącikach jej oczu błysnęły łzy.

Matthew zacisnął szczęki, a potem rozluźnił, robiąc długi wydech.

– Straciłem już żonę. Nie mogę pozwolić – *nie dopuszczę* – bym stracił również Phoebe.

Kathleen dotknęła jego ramienia.

– Jest różnica pomiędzy ostrożnością a stłamszeniem dziecka.

Oburzenie zalało go gorącą falą.

– Nie tłamszę Phoebe! Ja ją chronię!

Jej twarz złagodniała.

– Och, Matthew, nie rozumiesz? Nie możemy ochronić naszych dzieci od wszystkiego. Najlepsze, co jesteśmy w stanie zrobić, to powierzyć je Bogu.

Matthew zerwał się i oddalił trochę. Jego ręce i nogi trzęsły się od tłumionej wściekłości, która wybuchła w jego wnętrzu.

– Bogu!?! – wykrzyczał nieomalże. – Gdzie był Bóg, gdy Go błagałem, by darował życie mojej żonie? Gdzie był Bóg, gdy tysiące mężczyzn umierało na tej cholernej wojnie?

– Co tu się dzieje? – Deirdre stała w drzwiach, patrząc na niego z przerażeniem.

Czuł taki ucisk w piersi, że miał wrażenie, jakby w jego płucach nie było powietrza. Nie mógł zrobić ani wdechu, ani wydechu i przez chwilę wyobraził sobie, że musi wyglądać jak ryba wyjęta z wody, bezwiednie otwierająca i zamykająca usta. W końcu zdołał wziąć haust powietrza.

– Panie wybaczą – wyrzucił z siebie i wybiegł z pokoju.



Zaskoczona Deirdre podeszła do matki i uklękła przed jej wózkiem.

– Mamo, dlaczego Matthew był taki zdenerwowany?

Spostrzegła zaczerwienione oczy matki, które wyraźnie świadczyły o tym, że niedawno płakała. Jeśli okazałoby się, że Matthew znęcał się nad nią, Deirdre nie zawahałaby się powiedzieć mu do słuchu. Mama westchnęła.

– Obawiam się, że byłam zbyt brutalna.

Deirdre nie umiała sobie nawet wyobrazić, jak jej krucha mama mogła okazać się zbyt brutalna. Chociaż kiedy tylko silna determinacja zastąpiła smutek w oczach matki, Deirdre zaczynała pojmować, o co chodziło. Mama potrafiła być nieustępliwa, gdy próbowała osiągnąć swój cel.

– Co się stało?

– Powiedziałam mu, że jest nadopiekuńczy wobec swojej córki. I powiedziałam mu o Dannym.

– Och, mamo! – Ścisnęła dłoń matki. Nic dziwnego, że płakała... Przeżywała ponownie stratę swojego dziecka. Deirdre była zbyt mała, żeby pamiętać brata, ale przypomniała sobie, że co roku chodzili na cmentarz, aby odwiedzić grób Danny'ego. – Wygląda na to, że Matthew nie docenił twojej rady.

Mama uśmiechnęła się.

– Najwyraźniej. – Wyprostowała się na oparciu. – Nie ma się czym martwić. Przepraszę go, gdy wróci, a ziarno i tak już padło. Teraz to od Pana zależy, czy wyda plon.

Wargi Deirdre nieznacznie drgnęły.

– Chyba wiem, jak trochę przyspieszyć te Boże działania. Poprosiłam Bree, żeby przez kilka dni przyprowadzała do nas swoje dzieci, by uczyć je tutaj. Gdy Matthew zobaczy, jak dobrze się zachowują i jak kulturalnie się kształcą, może wtedy ustąpi. W ten sposób też Phoebe będzie w pobliżu, więc nie będzie musiał się martwić.

Mama poklepała Deirdre po policzku.

– Mądra dziewczynka.

– Chcę jej pomóc, mamo. Phoebe na pewno marzy o normalnym życiu... z przyjaciółmi, świeżym powietrzem, zabawami.

– Z pewnością masz rację. – Wzrok mamy pojaśniał. – A może przyprowadzisz ją tu, żeby mnie odwiedziła na chwilę?

Deirdre się ucieszyła. Kto, jeśli nie jej matka, wiedział, jak trafić do dzieci.

– To wspaniały pomysł. Akurat będzie tutaj, kiedy przyjdzie Brianna z dziećmi.



Matthew stał przy białym ogrodzeniu, wpatrując się nieobecny w odległe łąki. Zaciskał dłonie na górnej belce tak mocno, że drobne drzazgi wbijały mu się w skórę.

Gdy uspokoił trochę oddech, próbował przebrnąć przez pokłady gniewu, by dociec, co tak naprawdę go niepokoiło. W centrum tego była obawa o Phoebe, ale było jeszcze coś.

Drażniło go wszystko, co wiązało się z tym miejscem. Wolne powietrze, wielkie przestrzenie, zwierzęta, spontaniczny styl bycia z ludźmi przychodzącymi i odchodzącymi oraz ogólna żywiołowość rodziny O'Leary.

Ale przede wszystkim najbardziej niepokoiła go Deirdre O’Leary ze swoim pełnym pasją, wolnym od lęku podejściem do życia. Nie zastanawiała się ani chwilę i od razu skoczyła na pomoc swojemu siostrzeńcowi.

Matthew zadrzał, przypominając sobie, jak czuł ją pod sobą, kiedy osłaniał ją własnym ciałem. A potem, gdy jej włosy spływały kaskadami aż do pasa. Mimo że miała twarz umazaną błotem, jeszcze nigdy nie wyglądała tak pięknie.

Rzuciłby się do obrony każdej kobiety, każdego dziecka. Ale w chwili kiedy zobaczył, że Deirdre była w niebezpieczeństwie, uświadomił sobie, że czuje do niej... coś więcej.

I ta świadomość przeszła go teraz falą przerażenia.

Z tęsknotą pomyślał o swoim bezpiecznym gabinecie w piwnicach szpitala, gdzie tydzień w tydzień widywał tych samych pacjentów. Gdzie nikt nie kwestionował jego metod, a tym bardziej jego sposobów wychowywania dziecka.

Jest różnica pomiędzy ostrożnością a stłamszeniem dziecka. Słowa Kathleen rozbrzmiewały echem w jego głowie.

Matthew uderzył pięścią w barierkę tak mocno, aż trzasnęła. Nie powinien był tutaj przyjeżdżać. Nie powinien był wystawiać Phoebe na taki beztroski styl życia, którego nigdy nie będzie mogła prowadzić.

Ale sam zobowiązał się, że doprowadzi to do końca. Może mógłby odesłać Phoebe z panną Shearing z powrotem do Toronto? Jednak myśl o tym, że jego córka miałaby być tak daleko – bez jego bliskości i możliwości sprawdzenia, czy wszystko jest dobrze – nie dawała mu spokoju. Nie, nie mógłby na to pozwolić. Musi przetrwać te kilka kolejnych tygodni, a potem wróci do domu i postara się zapomnieć o tym całym nieszczęsnym epizodzie.

Jakby wyśmiewając ten pomysł, w jego głowie stanął obraz pary wiosennie zielonych oczu, kasztanowych włosów i uroczych dołczków. Nie da się zapomnieć Deirdre O’Leary.

Poprzez mgłę rozważań dotarł do niego dziecięcy śmiech.

Brianna Whelan z dwójką dzieci szła ścieżką w stronę domu. Matthew zamarł. Co oni tu robili o tej porze? Szukał jakiegoś miejsca, by usunąć się z widoku, ale kobieta już go zauważyła. Pomachała w jego kierunku, wołając:

– Dzień dobry, doktorze Clayborne. Jak się pan ma w ten piękny dzień?

Westchnąwszy bezgłośnie, Matthew dołączył do nich.

– Dobrze, dziękuję.

Uśmiechnęła się promiennie.

– Dzieci chciały zobaczyć się dzisiaj z babcią, więc pomyślałam, że połączę ich lekcje z wizytą. Może Phoebe mogłaby do nas dołączyć?

Matthew spał się.

– Musiałbym uzgodnić to z jej nianią i zobaczyć, jakie ma plany na dziś.

Uśmiech kobiety przygasł nieco.

– Och, rozumiem. Hm, obie mogą czuć się zaproszone na nasze lekcje. Jak tylko krótko przywitamy się z mamą, będziemy w jadalni.

Weszli razem do domu, a dzieci czmychnęły w głąb korytarza. Matthew i Brianna szli za nimi.

– Babcia jest pewnie w salonie, dziewczynki – zawołała Brianna. – Sprawdźcie tam najpierw... cichutko.

– Dobrze, mamó.

Brianna zmarszczyła lekko brwi.

– Myśli pan, że mogą być zbyt męczące dla mamy?

– Wręcz przeciwnie. Uważam, że mogą jej tylko pomóc.

Kiedy Matthew zajrzał do pokoju, opadła mu szczeka. Córki Brianny tłoczyły się koło wózka inwalidzkiego, a na kolanach Kathleen siedziała Phoebe.

Matthew zdusił w sobie pragnienie wyrwania córki z tego ścisku, bo ona wydawała się cieszyć takim zamieszaniem. W jej bładych oczach widać było wyraźnie błysk zainteresowania.

– Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko. – Zza jego pleców rozległ się głos Deirdre. – Mama chciała zobaczyć Phoebe i pomyślałam, że krótka przerwa od... tkwienia na piętrze dobrze jej zrobi. Choć nie wydaje mi się, żeby panna Shearing była zbyt zadowolona.

Matthew przygarbił się. Oto kolejny przykład tego, jak sytuacja dotycząca jego córki wymykała się mu spod kontroli.

– Na przyszłość wolałbym, aby konsultować ze mną...

– Mamó, czy Phoebe może być z nami na lekcjach? – Betsy przeskakiwała z jednej nogi na drugą, szarpiąc za ramię swoją mamę. – Proszę...

Brianna zerknęła na Matthew.

– To będzie zależało od doktora Clayborne'a.

W powietrzu zawisło niewypowiedziane pytanie. Matthew czuł, że spojrzenia wszystkich osób skupiły się na nim, ale najgorszy był błagalny wzrok jego córki.

– Chyba nie ma w tym nic złego.

Na twarzy Phoebe rozlał się olśniewający uśmiech. Zeskoczyła z kolan Kathleen i stanęła obok

Betsy, która klaskała w dłonie z radości.

– Pożegnajcie się z babcią, dziewczynki – zarządziła Brianna. – A potem poczekajcie na mnie w jadalni. Muszę sprawdzić, czy Sean skończył swoje obowiązki, żeby mógł do nas dołączyć. – Brianna puściła oko do Deirdre.

Matthew zmarszczył czoło. Dlaczego czuł się, jakby właśnie dał się nabrać?

Dzieci wymaszerowały z pokoju całą gromadą. Phoebe ani razu nie obejrzała się za siebie.

Deirdre położyła dłoń na jego ramieniu i rzekła:

– Spokojnie, Matthew. To tylko lekcja ortografii. Nie ma się czym martwić.

Żartobliwy błysk w jej oczach złagodził ton tej wypowiedzi, ale nie mógł się powstrzymać przed obroną.

– Phoebe nie jest przyzwyczajona do towarzystwa innych dzieci... – Zaczął się płatać, bo uświadomił sobie, jak niedorzecznie brzmiało to, co mówił.

– I dlatego właśnie to jest dla niej bardzo dobre – powiedziała łagodnie Deirdre. – Nie możesz jej zawsze trzymać pod kloszem.

Nowa fala gniewu przelała się przez jego wnętrze.

– Jeśli to zapewni jej zdrowie, to będę to robił.

Podjechała do nich Kathleen, włączając się w rozmowę:

– Próbowалаm tego z Deirdre po tym, jak przechorowała dur brzuszny jako dziecko.

– Myślałem, że to ty chorowałaś na dur – odparł z zaskoczeniem.

– Deirdre i Connor także się zarazili. Przez jakiś czas później Deirdre była bardzo słabowita i ja niestety też byłam nadopiekuńcza. Utrata jednego dziecka sprawiła, że tak bardzo bałam się o pozostałe. – Uśmiechnęła się ponuro. – Ale ponieważ Deirdre była wcześniej przyzwyczajona do wolności, nie pozwoliła mi się zbytnio hołubić.

– A możesz mi wierzyć, mama bardzo próbowała. Dobrze, że odziedziczyłam rodzinny upór.

– Nie da się zaprzeczyć. – Matthew wytrzeszczył oczy, kiedy uświadomił sobie, że ostatnią kwestię wypowiedział na głos.

Kathleen i Deirdre roześmiały się razem.

– Rzecz w tym – mówiła dalej Kathleen – że, gdy tylko odpuściłam i pozwoliłam Deirdre bawić się na zewnątrz i jeździć znów konno, to tylko ją wzmocniło.

Deirdre zwróciła się do niego:

– Wiem, że sytuacja Phoebe jest trochę inna, ale odrobina dobrej zabawy wcale nie przeszkadza w leczeniu.

Matthew westchnął z drzeniem.

– Chyba mogę spróbować być trochę mniej... surowy.

Obie panie wymieniły rozpromienione spojrzenia, a Matthew musiał mocno się starać, by nie skrzywić twarzy w grymasie. Te kobiety z rodziny O'Leary były bardziej nieustępliwe niż niejeden trudny lekarz, z którym przyszło mu niegdyś współpracować. Pomyślał jednak, że może im pozwolić wygrać w tej dziedzinie.

Bo jeśli chodziło o ważniejsze sprawy dotyczące jego córki, nie zamierzał ustąpić.

Kolejnego dnia Deirdre otuliła ramiona szalem i opuściła dom tylnym wyjściem. Mama odpoczywała, a doktor Clayborne rozmawiał z tatą, więc pozwoliła sobie na tę rzadką chwilę samotności, ciesząc się możliwością przespacerowania po ukochanych terenach.

Przez te wszystkie lata traktowała swój dom i dużą rodzinę jak coś oczywistego, ale teraz, patrząc na nie oczami Phoebe i Matthew, Deirdre zdała sobie sprawę, że to wielkie błogosławieństwo żyć otoczonym taką miłością.

Rano Brianna znowu zjawiała się z dziećmi, tak by Phoebe mogła uczestniczyć w lekcjach bez zbytnich trosk ze strony Matthew. Radość malująca się na twarzy dziewczynki, gdy razem z Betsy, Rose i Seanem siadała przy stole, sprawiła, że serce Deirdre skakało z radości. Była pewna, że te dzieci mogły być kluczem do sukcesu, by Phoebe wyszła wreszcie ze swojej skorupy.

Zadrżała i jeszcze mocniej otuliła się szalem, a potem ruszyła przez ogród w stronę najdalszej zagrody, gdzie Connor trenował ogiera. Excalibur zdawał się dzisiaj dużo spokojniejszy i bez większych problemów pozwalał Connorowi prowadzić się wokół ogrodzenia.

– Cześć, Deirdre.

Obróciła się szybko i na ścieżce zobaczyła znajomego mężczyznę. Miał na sobie wełnianą marynarkę, beżowe spodnie i zdarte buty. Spod czapki z daszkiem wystawały brązowe włosy.

Zmrużyła oczy i zapytała:

– Caleb Sullivan? To ty?

Gdy tylko dostrzegła jego charakterystyczny zawadiacki uśmiezek, nie miała już wątpliwości.

– Miło, że pamiętasz starego znajomego.

Podbiegła i wzięła go w objęcia, a potem cofnęła się.

– A co ty tutaj robisz? Myślałam, że wyjechałeś do Montany.

– To znaczy po tym, jak zламаłaś mi serce?

Deirdre pacnęła go żartobliwie.

– Niczego takiego nie zrobiłam! Zawsze wiedziałeś, że nigdy nie wyjdę za farmera.

Ona i jej rodzeństwo dorastali razem z młodymi Sullivanami, ich najbliższymi sąsiadami. Connor i Caleb byli przyjaciółmi przez całą szkołę.

Caleb oprzytomniał.

– Zamiast tego wybrałaś prawnika... chyba jakoś tak mi pisali rodzice w liście.

Samo wspomnienie o Jeffreyu przyprawiło ją o uderzenie gorąca.

– Niestety, nic z tego nie wyszło i wyrzekłam się wszelkich planów co do zamążpójścia. – Przybrała na twarz szeroki uśmiech. – Ale co ty tutaj w ogóle robisz? Przyjechałeś odwiedzić rodzinę?

– Właściwie to wróciłem na zawsze. Tata nie radzi sobie już sam na farmie, więc przejmuję większość jego obowiązków. – Przysunął się bliżej niej. – Słyszałem o twojej mamie. Jak ona się czuje?

Deirdre zamarła. Czy kiedykolwiek przyzwyczai się do takich pytań?

– Stopniowo odzyskuje siły. Mamy nadzieję, że z czasem zacznie sama chodzić.

– Jeśli ktokolwiek jest w stanie jej pomóc, to na pewno ty, Dee – orzekł, głaskając ją pokrzepiająco po ramieniu.

Nagle powróciły wspomnienia tamtej chwili, gdy Caleb wyznał jej swoje uczucia, niosąc jednocześnie pamięć o cierpieniu, jakie mu zadała, kiedy oznajmiła, że opuszcza Long Island.

Deirdre cofnęła się ostrożnie.

– Dziękuję ci, Calebie. Connor na pewno bardzo się ucieszy, gdy cię zobaczy. A teraz wybac, chyba powinnam już wracać do mamy.

W jego oczach mignęło rozczarowanie.

– Oczywiście. Do zobaczenia, Dee.

Dopiero, kiedy wróciła do domu, zaczęła zastanawiać się, czy Caleb rzeczywiście przyszedł zobaczyć się z jej bratem... czy z nią.



Matthew wspiął się po spiralnych schodach na piętro, a następnie skierował się do pokoju, gdzie panna Shearing dawała lekcje Phoebe. Niania poprosiła go o spotkanie i Matthew przeczuwał, iż wie, o czym kobieta chce z nim porozmawiać. Wziął głęboki wdech i dwa razy mocno zapukał.

– Proszę wejść.

Matthew otworzył drzwi i zajrzał do środka przytulnego pokoju. Panna Shearing stała po przeciwległej stronie, patrząc przez okno. Odwróciła się i stanęła na wprost niego, a jej rysy twarzy były spięte.

– Dziękuję, że pan przyszedł. Chciałam z panem porozmawiać na osobności.

Wchodząc do pomieszczenia, Matthew zwrócił uwagę na przyjemny wystrój, na który składały się perkalowe fotele, jasne zasłony i ogromny, biały kominek.

– Ja również chciałem z panią porozmawiać. – Wskazał dłonią na fotel. – Może zechce pani usiąść?

– Wolę stać.

– Dobrze zatem. O czym chciała pani porozmawiać? – Matthew przygotował się już w duchu na jej skargi.

Podeszła do biurka i podniosła książkę, którą przycisnęła do piersi niczym tarczę.

– Skoro Phoebe codziennie pobiera lekcje z dziećmi Whelanów, jaka miałyby być w takim razie moja rola?

A więc jego przypuszczenia się potwierdziły... Nie podobało jej się, że Brianna Whelan weszła w jej kompetencje. Jednak Phoebe bardzo podobały się te wspólne zajęcia i Matthew nie mógłby odmówić córce radości tylko po to, żeby przypodobać się niani. Nastawił się na nieprzyjemności i rzekł:

– Właściwie to bardzo dobrze się zeszło. Umówiliśmy się, że zostanie pani do chwili, aż Phoebe przyzwyczai się do nowego otoczenia. Zadomowiła się już, dlatego wydaje mi się, że nadszedł czas, by mogła pani wrócić do Toronto. Chętnie wypłacę pani wynagrodzenie za te kilka kolejnych tygodni wolnego, zanim nie wrócimy.

Jednak na twarzy panny Shearing, zamiast oznak wdzięczności za możliwość płatnych wakacji, pojawił się gniewny wyraz.

– Czy jest jakiś problem? – zapytał.

Uniosła wyżej szpiczasty podbródek, a nozdrza drżały jej nerwowo.

– W zasadzie to tak. Widzę, co tu się wyprawia, i nie mogę wobec tego milczeć.

Matthew zmusił się, by rozluźnić spięte mięśnie, i czekał aż niania dokończy. Panna Shearing odsunęła się od biurka i rzekła:

– Byłabym panu wdzięczna, gdyby był pan wobec mnie szczery, doktorze. Zamierza pan poślubić pannę O’Leary?

Dopiero teraz Matthew poczuł, jak go zmroziło.

– Skąd pani przyszedł do głowy tak niedorzeczny pomysł!?

Na chudych policzkach opiekunki pojawiły się czerwone plamy.

– Nie jestem ślepa. Kiedy tylko ona się pojawia, skupia na sobie całą pańską uwagę. Zachowuje się pan... inaczej, gdy ona jest w pobliżu. – Przerwała i zacisnęła razem dłonie.

Matthew trwał nieruchomo i nie był nawet w stanie odeprzeć jej argumentów. To prawda, Deirdre pociągała go, choć wcale nie zamierzał nic robić w tym kierunku. Jednakże niezmiernie niepokoił go fakt, że panna Shearing to dostrzegła.

– Kiedy zatrudniał mnie pan, zapowiadał pan, że nie zamierza się ponownie żenić – ciągnęła. – Jeśli zmienił pan zdanie, wydaje mi się, że powinnam o tym wiedzieć. Szczególnie ze względu na to, jak panna O’Leary próbuje podważyć mój autorytet w oczach Phoebe.

– Nie zmieniłem zdania – odparł sztywno, ignorując uwagę dotyczącą Deirdre.

Kobieta podeszła bliżej, a w jej oczach widać było wielkie przejęcie.

– Jeśli kiedykolwiek rozmyśliłby się pan, proszę wiedzieć, że ma pan inne... opcje... do wyboru.

Matthew zamrugał szybko, przekonany, że najwyraźniej musiał opacznie zrozumieć jej słowa.

– Zapewniam panią, panno Shearing, że nie mam takiego zamiaru. A teraz, wracając do spraw bieżących, postaram się ustalić szczegóły pani powrotu do domu najszybciej, jak to możliwe.

Wpatrywał się w nią tak długo, aż spuściła wzrok.

– Jak pan sobie życzy. – Przeszła przez pokój, ale przystanęła jeszcze w drzwiach. – Nie mogę jednak wyjechać, nie ostrzegłszy pana. Dzisiaj widziałam koło ogrodu pannę O’Leary z mężczyzną... Pograżeni byli najwyraźniej w bardzo serdecznej rozmowie. Musi pan wiedzieć, że nie jest pan jedynym mężczyzną, który z nią flirtuje.

Matthew poczuł w piersiach nieprzyjemny ucisk – czy to z irytacji, czy wyrzutów sumienia... Rano po wyjściu z gabinetu Jamesa udał się na spacer, podczas którego dostrzegł, jak Deirdre rozmawia z jakimś nieznajomym. Widząc ich niewątpliwą zażyłość, poczuł, że przeszywa go coś na podobieństwo zazdrości. Od tamtej chwili towarzyszył mu ciągle jakiś dziwny niepokój. Teraz z trudem przychodziło mu zachować się racjonalnie.

– Nie życzę sobie tego rodzaju pomówień, panno Shearing. Nie ma pani pojęcia, kim był ten mężczyzna. Może to dawny znajomy albo sąsiad.

Czyż nie była to próba przekonania samego siebie?

Wyraz twarzy panny Shearing mówił mu, że kobieta ani na chwilę nie dawała temu wiary.

– Mimo wszystko warto byłoby zachować ostrożność. Miłego dnia, doktorze.

Kiedy tylko zdecydowanie zamknęła za sobą drzwi, Matthew opadł na najbliższy fotel. Emocje burzyły się w jego wnętrzu niczym w kotle. Jak to możliwe, że w jego życiu pojawiło się tyle dramatyzmu? Po śmierci Priscilli starał się prowadzić spokojne życie, skupiając się przede wszystkim na córce i pracy. Od chwili, gdy poznał Deirdre O’Leary wszystko stanęło na głowie, nie wyłączając jego statecznej niani.

Kiedy schodził na dół, żeby zlecić zakupienie biletu kolejowego dla opiekunki, garbił się od nowych trosk. Będzie musiał znaleźć kogoś na miejsce panny Shearing, bo nie był już w stanie dłużej lekceważyć faktu, że kobieta liczyła, iż wejdzie z nim w osobiste stosunki, a to przecież nie mogłoby mieć miejsca.

Westchnął ciężko. Następnym razem, gdy będzie miał kogoś zatrudnić, czy to nianię, guwernantkę, czy gosposię, będzie musiał upewnić się, że to kobieta na tyle leciwa, iż mogłaby być jego babcią.

Kolejnego dnia Deirdre wpadła bezceremonialnie do pokoju ćwiczeń mamy i uśmiechając się szeroko, oświadczyła:

– Jest taki piękny dzień, pewnie ostatni przed zimą. Proponuję, żebyśmy wykorzystali tę pogodę.
– Miała nadzieję, że uda jej się dzisiaj wyciągnąć Matthew i Phoebe na zewnątrz w celach innych niż zawodowe.

Matthew zza biurka podniósł głowę znad dokumentacji, a na jego czole zarysowała się pojedyncza zmarszczka.

– Ale nie skończyliśmy ćwiczeń.

– Jestem pewna, że mama nie będzie miała nic przeciwko przerwie. – Mrugnęła do mamy porozumiewawczo.

– W zupełności. Chętnie spędzę trochę czasu z moim mężem.

Matthew zdjął okulary i odłożył je na blat.

– Chyba nie ma w tym nic złego. I mógłbym nadrobić zaległości w czytaniu.

Deirdre podeszła i zatrzasnęła mu przed nosem książkę.

– Nie ma mowy. Nie możesz zmarnować takiego dnia, siedząc w domu i ślęcząc nad medycznymi artykułami. Zabieramy Phoebe na spacer do domu mojej siostry.

Popatrzył na nią spode łba, co jednak zupełnie zlekceważyła. Następnie pomogła matce usiąść z powrotem na wózku inwalidzkim.

– Zabiorę cię, mamó, do salonu i poślę po tatę.

– Dziękuję ci, kochanie. To wspaniały pomysł. Małej Phoebe dobrze zrobi wyjście.

Wciąż marszcząc brwi, Matthew wstał i zapytał:

– Dlaczego idziemy do państwa Whelanów?

Deirdre wetknęła poduszkę za plecy matki i przykryła jej nogi szalem.

– Bo obiecałeś, że pozwolisz Phoebe zobaczyć szczeniaki i to jest idealny dzień, żeby nacieszyć się takim spacerem.

Usta Matthew ścisnęły się w wąską linię, a wyraz ten Deirdre znała aż nazbyt dobrze. Zdusiła w sobie ochotę, by się uśmiechnąć. Jej zdaniem Matthew mógł trochę odpuścić i po prostu cieszyć się tą chwilą.

Złapała za uchwyty wózka i wyprowadziła mamę na korytarz, a potem dalej do salonu, nie pozostawiając Matthew innej możliwości niż podążanie za nią.

Dwadzieścia minut później, kiedy zabrali Phoebe z kuchni, gdzie pani Harrison pozwalała jej

pomagać przy pieczeniu kruchych ciasteczek, cała trójka wyruszyła naprzeciw przygodzie.

W jawnym kontraście do statecznego zachowania Matthew oczy Phoebe błyszczały z podekscytowania. Wyprzedziła ich, w podskokach przemierzając pastwiska i zatrzymując się jedynie, żeby zebrać bukiet najróżniejszych późnojesiennych kwiatów polnych. Deirdre i Matthew szli za nią w dziwnym milczeniu. Matthew kroczył sztywno z rękami założonymi za plecami.

– Zatem, panno O’Leary...

– Deirdre.

– Tak, Deirdre. Co sprawiło, że postanowiłaś zostać lekarką po tym, gdy miałaś już dyplom pielęgniarki?

Zerwała długie źdźbło trawy i obracała je między palcami.

– Od kiedy udało mi się wyzdrowieć z duru brzuszego, bardzo chciałam pracować z dziećmi. Zawód pielęgniarki jest zadowalający... pod wieloma względami. Jednak miałam jedynie minimalny wpływ na opiekę nad pacjentem. Zawsze musiałam zdawać się na decyzje lekarzy. – Drgnęła jej brew i kobieta szybko dorzuciła: – Nie obraź się...

– Nie obrażam.

– Jako pediatra mogłabym mieć więcej do powiedzenia. Mogłabym efektywniej leczyć. – Uśmiechnęła się. – Byłabym też dużo miłsza wobec pielęgniarek.

Zaśmiał się cicho.

– Pod tym względem to my lekarze nie mamy zbyt dobrej reputacji.

Na dźwięk jego śmiechu przeszyły ją dreszcze. Czyżby po raz pierwszy usłyszała go śmiejącego się? Gdy tak razem szli, jego ramię dotknęło jej ręki i poczuła, jak przyspieszyło jej tętno. Skupiła z powrotem całą uwagę na bezpiecznym temacie rozmowy.

– A ty? Co sprawiło, że poszedłeś w kierunku fizjoterapii?

Chociaż знаła odpowiedź, chciała usłyszeć wyjaśnienie z jego ust. Zerknął na nią.

– Przypuszczam, iż wiesz, że byłem ranny podczas wojny.

– Wujek Victor wspominał coś o tym.

– Wylądowałem w szpitalu w Anglii. Lekarz, który się mną zajmował, specjalizował się w nowych metodach leczenia. Pracował ze mną, by przezwyciężyć moje kalectwo.

Zwróciła teraz uwagę na jego chód.

– Najwyraźniej dobrze się sprawił, bo tylko troszkę utykasz.

– Dziękuję. Tak, metoda była bardzo udana.

– Więc postanowiłeś przenieść ją do Kanady?

– Właśnie tak.

– Ale wojna skończyła się wiele lat temu. Na pewno liczba żołnierzy potrzebujących leczenia spada.

– To prawda. Dlatego też mam nadzieję rozszerzyć moją praktykę na osoby po polio i apopleksji. Fizjoterapia może okazać się również bardzo korzystna dla ofiar wypadków, które cierpią na paraliż. Nawet jeśli miałyby pomóc jedynie w zatrzymaniu atrofii mięśni. – W trakcie mówienia widać było u niego coraz większe ożywienie, aż jego twarz nabrała kolorów.

– W takim razie przypadek mojej mamy jest w pewien sposób bardzo na czasie dla ciebie.

Uniósł brew.

– To nie o to chodziło. Martwiło mnie raczej to, że będę musiał opuścić moich pozostałych pacjentów. Zresztą nadal mnie to martwi.

Poczuła rosnący podziw dla Matthew, gdy uświadomiła sobie, jak wiele poświęcił, choć na początku był niechętny, ale zdecydował się przyjechać do Irlandzkich Łąk.

– Na pewno świetnie sobie radzą.

Szli dalej w milczeniu przez pewien czas, ciesząc się widokiem Phoebe biegnącej za liśćmi wirującymi na trawniku.

W końcu Deirdre zebrała się na odwagę.

– Czy odpowiesz mi szczerze, jeśli cię o coś zapytam?

Spojrzał na nią świdrująco.

– Zawsze jestem szczerzy, Deirdre.

Serce podeszło jej do gardła.

– Oczywiście. – Wahala się jeszcze, a następnie wyrzuciła z siebie: – Myślisz, że mama jeszcze kiedyś będzie chodzić?

Zacisnął usta, a potem odparł:

– Nie mogę nic zagwarantować, ale dostrzegam wyraźną poprawę, jeśli chodzi o funkcje motoryczne i siły. Nie widzę powodu, dla którego nie miałyby w końcu odzyskać władzy w nodze i ręce.

Deirdre westchnęła powoli.

– Co za ulga to słyszeć.

Ich oczom ukazał się już dom Brianny i Gila – prosty ceglany budynek z okalającą go werandą. Betsy i Rose pojawiły się w głównym wejściu, a zaraz za nimi Sean. Dzieci przebiegły przez trawnik i gdy tylko dotarli do nich, rozległ się trajkot siostrzenic i chichoty Phoebe, które były balsamem na jej serce.

Czy będzie miała kiedyś takie szczęście, by mieć własne dzieci, czy też opieka nad małymi pacjentami będzie musiała jej wystarczać?

Jej tęsknota wymalowana była chyba na twarzy, bo Matthew popatrzył na nią zagadkowo.

– Skoro tak kochasz dzieci, czy jesteś gotowa, by poświęcić się i zrezygnować z własnej rodziny dla kariery?

Zwolniła kroku, starając się opanować emocje.

– Już mnie to kosztowało utratę narzeczonego, ale nadal żywię nadzieję, że w końcu poznam mężczyznę, który zaakceptuje pracującą zawodowo żonę.

Głęboka zmarszczka naznaczyła czoło Matthew.

– Byłaś zaręczona?

– Niedługo. Jeffrey studiował wtedy prawo na Uniwersytecie Columbia. Nie przeszkadzało mu moje pielęgniarstwo, ale kiedy dowiedział się, że chcę zdobyć dyplom z medycyny, wściekł się. Przyjął świetną propozycję pracy w Philadelphii i oczekiwał, że z nim pojedzie.

– Dlaczego nie mogłaś studiować na tamtejszym uniwersytecie? – zapytał. – Mają tam doskonałe studia medyczne.

Wzruszyła ramionami.

– Jeffrey oczekiwał, że rzucę dla niego pracę, a ja nie zamierzałam zrezygnować ze swoich marzeń tylko po to, żeby zostać panią Atcheson. Zerwał więc zaręczyny i wyjechał. To było pięć miesięcy temu.

Dobrze znane ukłucie przeszło jej serce echem tego ogromnego poczucia zdrady, które w tamtym czasie przeżywała. A jednak teraz, gdy ten ból przycichł, mogła zobaczyć, że tak naprawdę nigdy nie kochała Jeffrey'a.

Matthew milczał, jakby zastanawiając się nad jej odpowiedzią.

– Rozumiem cię, możesz mi wierzyć. Na początku wydawało się, że moja żona wspiera moją karierę, ale wkrótce zaczęło jej przeszkadzać, że spędzam w szpitalu wiele godzin. To był punkt zapalny w naszym małżeństwie.

– To musiało być bolesne...

– Było. Czułem się nieustannie rozdarty pomiędzy moimi obowiązkami jako męża i obowiązkami względem pacjentów. Dlatego też, gdy Priscilla zmarła, postanowiłem, że już nigdy się ponownie nie ożenię.

To stwierdzenie wstrząsnęło do głębi Deirdre. Uważała, że tu Matthew się mylił pod wieloma względami. Choć czasem trochę szorstki w obyciu, był przecież życzliwy i lojalny. Mógłby być dobrym mężem dla kogoś. I na myśl, że Phoebe nigdy nie zazna matczynej miłości, że będzie dorastać u boku posępnej panny Shearing, aż zabolęło ją serce.

– Samotne wychowywanie Phoebe niewątpliwie również jest wyzwaniem. Zapewne nie jest ci łatwo znaleźć dla niej dodatkowy czas.

Zacisnął mocno wargi.

– Staram się. Zachowanie odpowiednich proporcji jest nieco... problematyczne.

Dopiero teraz po raz pierwszy dotarło do Deirdre, co może kryć się za stanem emocjonalnym Phoebe. Zanim zdążyła uformować odpowiedź, przybiegły do nich dzieci.

Sean i Rose byli pierwsi.

– Ciociu, mama powiedziała, że dzisiaj po południu możemy sobie odpuścić lekcje, żeby się pobawić z Phoebe i szczeniakami.

Zaraz potem zjawiły się Betsy i Phoebe, a na ich twarzach odbijała się pełnia zachwytu.

Deirdre także udzieliła się ich zaraźliwa radość.

– To cudownie! Umieram z ciekawości, żeby zobaczyć szczeniaczki. – Wzięła Betsy za rękę, a drugą wyciągnęła w kierunku Phoebe. Dziewczynka uśmiechnęła się i podała jej dłoń. Deirdre rozpromieniła się i zawołała: – Chodźcie, dziewczynki. Biegniemy do stajni.



Matthew obserwował, jak Deirdre biegnie przez łąkę, a dzieci ze wszystkich sił starają się jej dorównać. Jej śmiech mieszał się z dziecięcym chichotem. Jakże bardzo zazdrościł jej tej radości życia, tego, w jak prosty sposób przeżywała całą sobą każdą chwilę.

Ruszył za nimi trochę spokojniej. Nagle zdziwił się, kiedy koło niego pojawił się Sean, naśladując jego chód.

– Doktorze Clayborne?

– Tak, Seanie?

– Przepraszam, że przeze mnie musiał pan ratować mnie i ciocię Dee-Dee od konia. I że przestraszyłem Phoebe. – Słowa Seana brzmiały sztucznie, jakby to jego matka wymusiła na nim przeprosiny.

Matthew zerknął na chłopca, który szedł ze wzrokiem wbitym w ziemię.

– Bardzo nas wszystkich przestraszyłeś. Mam nadzieję, że nauczyłeś się czegoś po tym wydarzeniu.

– Dużo się nauczyłem o sprzątaniu po koniach.

Matthew zakaszłał, by ukryć parsknięcie śmiechem.

– Myślałem raczej o tym, że należy przestrzegać zasad.

– O, tak. Tata wygłosił mi całe kazanie na ten temat. Powiedział, że muszę dawać dobry przykład innym dzieciom. – Chłopak podniósł wzrok na mężczyznę. – Mam nadzieję, że Phoebe nie będzie się zbyt bała dosiąść naszego kucyka. Na pewno polubi Pirueta. On jest bardzo łagodny.

Coś ścisnęło Matthew w środku na samą myśl o tym.

– Zobaczymy.

– Czy pan jeździ konno, doktorze Clayborne?

Matthew zdusił w sobie drgnięcie.

– Uczyłem się, jak byłem młody, ale w mieście korzystamy teraz z samochodów.

Wyraz żalu malujący się na twarzy chłopca był wręcz komiczny.

Doszli do stajni Whelanów i weszli przez drzwi, których nie zamknęli za sobą inni. W środku Matthew zastał schludną przestrzeń poprzedzielaną boksami, zaplecze gospodarcze i drabinę prowadzącą na strych. Pachniało przyjemnie sianem.

Cienkie popiskiwanie przyciągnęły jego uwagę do najbardziej odległego kąta, gdzie na słomie kłęczały już dziewczynki. Deirdre zerknęła im zza ramion.

Rose i Betsy trzymały po jednej futrzastej kuleczce. Matthew w napięciu podszedł bliżej z obawą, czy psia mama nie będzie próbowała bronić swoich młodych. Jednak czarno-biała suczka jak gdyby nigdy nic leżała z zadowoleniem na słomie, karmiąc trójkę maluchów.

Deirdre podniosła czarnego szczeniaka z białymi łatkami i przybliżyła go do twarzy.

– Czyż ty nie jesteś przesłodki? – Ucałowała główkę zwierzątka.

– To jest Łatek, ciociu Dee-Dee – pospieszyła z wyjaśnieniem Rose. – Phoebe, chciałabyś potrzymać któregoś?

Jego córka podniosła głowę, szukając wzrokiem przyzwolenia. Z trudem wydusił z siebie spokojną odpowiedź:

– Możesz.

– Masz, weź Łatka. – Deirdre włożyła wiercącego się szczeniaka w ręce Phoebe.

Niemalże od razu zwierzątko wtulił się w jej szyję i Phoebe wytrzeszczyła oczy. Matthew bacznie ją obserwował, na wypadek gdyby miała jakieś trudności z oddychaniem, ale wyglądało na to, że wszystko jest w porządku.

Deirdre zwróciła się do niego:

– Teraz twoja kolej. Chodź, weź któregoś.

– O, nie. Dobrze mi tu.

Złapała go za rękę i pociągnęła do przodu.

– Nikt nie potrafi się oprzeć szczeniakom. Mam rację, dzieci?

Rose i Betsy prychnęły, jakby trudno im było sobie wyobrazić doktora z pieskiem. Ale Matthew nie miał zbyt wiele czasu, żeby żywić swoje oburzenie, bo Deirdre wcisnęła mu kłębiącą się kulkę futra w ramiona.

– A ten jak się wabi? – zapytała.

– Rufus – odparł Sean, klepiąc szczeniaka po łebku. – Mój ulubiony.

Drobne ciało wtuliło się w pierś mężczyzny. Matthew nigdy nie miał swojego zwierzaka i nie był przyzwyczajony, a jednak stwierdził, że szybkie bicie małego serduszka i to ciche skomlenie są dziwnie urocze.

Deirdre podeszła bliżej i potargała pieska pieszczotliwie po uszkach.

– Ależ z ciebie przystojniak. Prawda, Rufusie?

Podniosła wzrok i uśmiechnęła się do Matthew. Ich twarze były tak blisko. Serce stanęło mu w piersi. Przez kilka sekund nie był nawet w stanie złapać oddechu. Widział tylko te niesamowite, pełne życia zielone oczy i dołeczki, które zdawały się mrugać do niego.

– Tatusiu? Czy mogę mieć szczeniaka?

Zamarł zupełnie. Zaskoczona mina Deirdre dowodziła, że ten słodki głos Phoebe rozbrzmiał nie tylko w jego wyobraźni. Głos, którego nie słyszał od tak dawna.

Niespiesznie przykucnął obok niej, wciąż tuląc pieska.

– Co powiedziałaś? – wyszeptał.

– Czy mogę mieć szczeniaka? – W jej oczach płonęła nadzieja.

Chciał odpowiedzieć, ale usta odmawiały mu posłuszeństwa. Z tyłu oczu czuł pieczenie. Jakaś ciepła dłoń uściśnęła jego ramię. Deirdre pochyliła się do Phoebe i powiedziała:

– Może dasz tacie trochę czasu, żeby się namyślił? Szczeniaczki i tak są jeszcze zbyt małe, żeby teraz rozstać się z mamą.

Phoebe pokiwała twierdząco głową, ale iskiereki zniknęły z jej oczu, a jej dolna warga zaczęła drżeć.

Matthew poczuł w środku nieznośny ucisk. Nie mógł stać się powodem kolejnych rozczarowań w jej młodym życiu. Ujął dłonią jej brodę i powiedział:

– Kiedy tylko szczeniaki będą wystarczająco duże, będziesz mogła wybrać jednego dla siebie.

Z jej twarzy trysnęła najczystsza radość.

– Dziękuję ci, tatusiu. Dziękuję!

Rzuciła mu się w ramiona, nie zważając na szczeniaki i wszystko dookoła. On przygarnął ją do siebie ostrożnie, tak by nie zgnieść Rufusa i Łatka.

– Dlaczego płaczesz, ciociu Dee-Dee? – zapytał Sean.

Łzy błyszczały na policzkach Deirdre, gdy zwróciła się w stronę Phoebe i ucałowała ją w policzek.

– Po prostu się cieszę, że Phoebe będzie miała szczeniaka. Pamiętam, kiedy sama po raz pierwszy dostałam zwierzątko.

Matthew odstawił córkę na ziemię, a dziewczynka wciąż tuliła w ramionach pieska. Tuż obok Betsy rzuciła się na słomę, wołając:

– Który podoba ci się najbardziej, Phoebe?

– Łatek.

Ten szept był najśłodszym dźwiękiem, jaki Matthew kiedykolwiek słyszał.

– W takim razie – orzekł – jeśli nikt nie ma nic przeciwko, chcielibyśmy, żeby Łatek stał się częścią naszej rodziny.

Rodzina. Najwyższy czas przypomnieć sobie, że on i Phoebe byli nadal rodziną, nawet jeśli trochę nietypową.

Uśmiech jego córki i pełne aprobaty mrugnięcie okiem Deirdre stopiły lody w jego sercu.

Może jednak przyjazd do Irlandzkich Łąk wcale nie był takim błędem.

Connor patrzył, jak Joe oprowadza Excalibura dookoła zagrody, a potem podrapał się po głowie. W ciągu kilku dni ten chłopak przemienił narowistego ogiera w istotę tak potulną jak baranek. Było to osiągnięcie, które nie udało się Connorowi przez parę miesięcy, odkąd pracował z tym zwierzęciem.

O'Leary zdjął nogę z belki ogrodzenia i przełknął, akceptując tę rysę na honorze. Musiał traktować Joego jak skarb, a nie konkurencję.

– Dobra robota, Joe – krzyknął.

Stajenny uniósł głowę i skinął. Connor nie był w stanie dostrzec wyrazu twarzy chłopaka spod jego wielkiego kapelusza, jednak zauważył, że jego policzki przybrały ciemniejszy, czerwony odcień.

Jak na chłopaka to Joe wybitnie za często się rumienił. I mówił tak niewiele.

Nie było nic złego w silnym, milczącym typie, ale Connor wyczuwał w Joem jakiś niepokój, jakby to milczenie skrywało niecny sekret. Prywatne życie Joego nie powinno go interesować, a jednak Connor nie potrafił tak po prostu zignorować swoich podejrzeń. Jeśli chłopak miał jakieś problemy, chętnie by mu pomógł. Sam Turnbull uczyniłby to samo na jego miejscu.

Connor ruszył za Joem do stajni, prosto do boksu Excalibura.

– Czy mógłbym z tobą chwilę porozmawiać, Joe?

Zanim chłopak zdążył pochylić głowę, w jego oczach widać było strach.

– Oczywiście, sir. – Nie przestawał zdejmować kantara z łba Excalibura.

– Jak leci?

Joe zmarszczył brwi, a zaraz potem wrócił do swojego zajęcia.

– W porządku.

Connor zdusił w sobie westchnienie rozczarowania. Trzeba by było chyba łomu, żeby wydobyć coś z tego dzieciaka. Oparł się o drzwi boks, starając się odsunąć od siebie poczucie, że zachowuje się jak kompletny idiota, który wtyka nos w osobiste sprawy swoich pracowników.

– Chodziło mi... czy wszystko w porządku u ciebie w domu?

Ręka Joego znieruchomiała nad rzemieniami.

– Tak, sir.

Intuicja Connora wręcz krzyczała, że to kłamstwo. Zmusił się, by mówić dalej łagodnym tonem, wyczuwając, że Joe jest zdenerwowany jak ten narowisty ogier. Wszedł do boks i kładąc dłoń na ramieniu stajennego, kontynuował:

– Jeśli potrzebowałbyś czegoś, możesz do mnie przyjść. Nie będę o nic pytał.

Pod dotykiem dłoni Connora przez całe ciało chłopaka przeszedł dreszcz, a potem Joe szybko odsunął się.

– Dziękuję, panie O’Leary.

– Dlaczego nie mówisz mi Connor? „Pan O’Leary” i „sir” sprawiają, że czuję się starszym.

Na twarzy Joego pojawił się nikły uśmiech.

– Okej – odparł.

– Cóż, w takim razie chyba muszę wracać do pracy. – Connor wyszedł ze stajni, ale czuł, że kłębią się w nim nieokreślone uczucia. Coś tu było nie tak. Wyczuwał to. Czy ten chłopak był jakimś uciekinierem? Może mieszkał w jakiejś opuszczonej chacie? Albo, co gorsze, koczował pod gołym niebem? Zima zbliżała się nieuchronnie, więc musiał się upewnić, że chłopak miał właściwy dach nad głową.

Naciągnął kapelusz na czoło z mocnym postanowieniem. Tak czy siak, musiał się dowiedzieć, co ukrywa ten młodzieniec.

Tego samego dnia, w porze gdy Joe zwykle wracał do domu, Connor dosiadł Sztyleta, swojego ogiera maści jeleniej, i czekał zaczajony w głębi pastwiska, pod dębem, aż przejedzie Joe. Może dla uspokojenia wystarczy mu, że zobaczy, gdzie chłopak mieszka. Modlił się w duchu, by okazało się, że żyje z rodzicami w przyzwoitym budynku i że to tylko wyobraźnia Connora płata mu figle.

Niczym w zegarku, dokładnie o czasie zakończenia pracy, Joe wyjechał ze stajni i skierował konia na drogę prowadzącą do sąsiednich farm.

Connor śledził chłopaka, trzymając się na tyle daleko, by nie dało się go zauważyć. Po jakimś kilometrze Joe zwolnił konia. Connor szybko schował się ze Sztyletem w jak najgęstsze zarośla, żeby na pewno nie było go widać. Chłopak rozglądał się na boki, a potem skierował wierzchowca przez trawy w stronę zagajnika.

Connor jechał za nim przez zadrzewiony teren, a serce waliło mu nieznośnie. Dlaczego Joe wybrał taki dziwny kierunek? Kiedy chłopak wynurzył się na polanę, Connor odczekał wśród drzew, aż stajenny zniknie za niewielkim wzniesieniem, a potem znowu udał się jego śladem. Miał nadzieję, że nie zgubił go, ale gdy tylko stanął na szczycie pagórka, dostrzegł starą chatkę z bali. Bez wątplenia to był właśnie cel podróży Joego.

Chłopak skierował konia na tyły zabudowań i po kilku minutach pojawił się na własnych nogach. Otworzył drzwi i wszedł do domu.

Connor próbował się domyślić, o co mogło w tym wszystkim chodzić. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że nikt tu nie mieszka. Żadnego prania na sznurze, kwiatów w oknach, pozostałości po ogródku, gdzie by uprawiano warzywa. Czyżby Joe był kłusownikiem na czyjejś posiadłości?

Connor ocenił w głowie odległość od farmy Sullivanów, a potem wyprostował się w siodle.

Chociaż dotarli tu od innej strony, był pewien, że ta chatka należała do państwa Sullivanów i zwykle przydzielana była zarządcy farmy i jego rodzinie.

Może ojciec Joego pracował dla pana Sullivana? A skoro tak, to dlaczego nic o tym nie wspominał?

Connor zacisnął szczękę i zawrócił Sztyleta. Wyglądało na to, że nadszedł czas odwiedzić swojego przyjaciela Caleba Sullivana i dowiedzieć się, co mógłby mu powiedzieć o swoim nadzorcy.



Gdy tylko Jo znalazła się w środku, zdjęła kapelusz ojca, ściągnęła denerwującą ją siatkę i rozpuściła swoje długie włosy. Rzuciła kapelusz na łóżko w sypialni i złapała za szczotkę. Mocnymi pociągnięciami przecesała włosy, nie zważając nawet na to, że ząbki ją raniły. Wszystko było lepsze od tego koszmarnego swędzenia.

Szybko zaplotła warkocz i przebrała się w sukienkę, a potem poszła sprawdzić, co z tatą. Obudził się akurat, gdy wchodziła do pokoju.

– Najwyższa pora, żeś wróciła – zaczął psioczyć. Jego niesforne, szpakowate włosy sterczały na wszystkie strony, a na twarzy rysował się lekki zarost.

Jo będzie musiała nakłonić Seta, żeby wkrótce wykąpał tatę i obciął mu włosy.

– Przynieść ci coś, zanim zabiorę się do robienia obiadu?

– Taaa, trochę whiskey.

Jo zamarła. Tylko nie to znowu. Miała nadzieję, że po tak długim okresie bez picia głód alkoholowy zmaleje.

– A może kawy?

Warknął w odpowiedzi i Jo wzięła to za „tak”.

W kuchni nastawiła garnek na gotowanie, a potem wyciągnęła drugi, większy z lodowni i uniosła pokrywkę, żeby sprawdzić, ile zupy zostało z poprzedniego dnia. Ledwie wystarczy na jeden posiłek. Jo wzniosła ku niebu modlitwę, żeby wracając, Seth przyniósł coś do jedzenia.

Kiedy kawa była już gotowa, dziewczyna naląła ją do blaszanego kubka i zaniósła ojcu.

– Lepiej się czujesz, tatku? – Postawiła kubek na rozklekotanym stoliku obok niego.

– Czuję, jakby noga paliła mi się żywym ogniem. Masz jeszcze tej maści?

Podeszła do półki w kuchni i wyciągnęła puszkę z maścią, a potem przygotowała miskę wody i tkaninę. Starła się, najlepiej jak umiała, utrzymywać ranę na goleniu w czystości, ale fakt, że chore miejsce nie goiło się tak szybko, jak powinno, trochę ją martwił. Opuchlizna po skręceniu zaczynała ustępować, jednak podłużne rozcięcie zdawało się zaogniać zamiast zablizniać.

Przykleknęła koło kanapy i podwinęła nogawkę jego spodni, wstrzymując grymas obrzydzenia.

Rana nie tylko okropnie wyglądała, ale też źle pachniała. W głębi serca Jo miała jakieś złe przeczucia. To rozcięcie wymagało większych umiejętności niż jej przeciętne doświadczenie. Tatko potrzebował doktora.

Jo westchnęła. Gdyby tylko śmiała wspomnieć o tym wobec ojca, ryczałby głośniejszym niż byk Sullivanów. Ale groźne zaczerwienienie i ten odrażający smród podpowiadały jej, że wdała się infekcja. Bez odpowiedniego leczenia tatko może stracić nogę.

Uniosła głowę. Napotkała zmartwiony wzrok ojca. Gdyby tylko nie żywił takiej nieufności w stosunku do lekarzy. Skupiła się z powrotem na jego nodze, postanawiając w duchu, że tym razem nie pozostawi mu po prostu wyboru.

Kiedy obmywała ranę, w głowie kotłowały się jej różne myśli. Siostra Connora była pielęgniarką, a ten mężczyzna, który przebywał obecnie w Irlandzkich Łąkach, był doktorem. Na pewno pomogą, jeśli ich poprosi.

Nakładała maść tak delikatnie, jak umiała. Tatko syknął na wdechu i zaklął. Jo nie mogła już dłużej beczynnie siedzieć. Może i nie był on najlepszym ojcem na świecie, jednak był jedynym, jakiego miała.

Wzięła miskę z brudną wodą do drzwi i wylała zawartość na zewnątrz, umacniając się jednocześnie w podjętej decyzji. Jutro zapyta pannę O'Leary, czy doktor mógłby przyjechać i zbadać tatę.

Jo czuła się zażenowana na myśl, że ktoś będzie musiał tu przyjechać, że będzie musiała dalej udawać pośród własnych czterech ścian. A co, jeżeli domyślą się, że kłamie? Że tak naprawdę jest dziewczyną?

Z pewnością doniosą o tym Connorowi, a on wyrzuci ją szybciej, niż pies otrząsa się z pcheł. A może nawet ostrzeże Sullivanów przed nimi.

A co zrobią, jeśli jednocześnie ona i Seth stracą swoje posady?

Jo przełknęła ciężko i wyprostowała plecy.

Dla dobra i zdrowia taty musiała zaryzykować.

☼☼☼
Zgodnie ze wskazówkami Matthew Deirdre zaczęła codziennie rano wykonywać mamie masaż, jako rozgrzewkę dla mięśni przed wyczerpującymi ćwiczeniami doktora. Widać było, że dzięki temu terapia dawała lepsze rezultaty. Dzisiaj rano zwróciła szczególną uwagę na to, w jaki sposób ręka i noga mamy reagują na masowanie. Jej mięśnie sprawiały wrażenie bardziej rozluźnionych i nie trzeba już było tak dużo czasu, by osiągnęły swoją sprawność.

Ogarnął ją przypływ radości. Mama rzeczywiście wykazywała nieznaczne, ale istotne oznaki poprawy. Deirdre postawiła jej piętę delikatnie na podłodze, pytając:

– Co ty na to, mamo?

Matka westchnęła lekko.

– Świetnie. Mam wrażenie, że poprawiło mi się krążenie w dłoni i w stopie.

– To słuszna obserwacja, Kathleen. – Matthew wszedł bez zapowiedzi. W tym lekarskim kitlu sprawiał wrażenie osoby rzeczowej i kompetentnej. – Widzę znaczną poprawę w ogólnej pracy mięśni. Także chwyt dłoni jest dużo lepszy w porównaniu do tego, co było na początku naszej współpracy.

– Czy to znaczy, że mogę grać na pianinie? – rzuciła żartem mama.

Jego usta drgnęły.

– Mam nadzieję, że już niedługo – odparł.

Nagła fala łez zalała Deirdre z nieoczekiwaną siłą. Pielęgniarka przeszła na drugi koniec pokoju pod pozorem konieczności uporządkowania przyborów i zagryzła dolną wargę, żeby pomóc sobie odzyskać opanowanie. Aż do tej chwili udawało jej się maskować wszelkie ślady emocji i pozwalała sobie na płacz tylko wtedy, gdy była sama w swoim pokoju. Ale tym razem było inaczej. To były łzy wdzięczności. Po raz pierwszy Deirdre miała dowód na to, że jej matce uda się odzyskać pełne zdrowie.

Ukradkiem wyjęła chusteczkę z kieszeni i próbowała dyskretnie obetrzeć twarz.

– Wszystko dobrze? – wyszeptał jej do ucha Matthew.

Poczuła mrowienie na karku.

– Tak – odparła, chowając chusteczkę z powrotem do kieszeni.

– W takim razie dlaczego płaczesz?

Zerknęła na niego z ukosa i widząc jego zmartwioną minę, zmusiła się do uśmiechu.

– Po prostu jestem niezmiernie wdzięczna za to, że mama ma się lepiej. Nie wiem, jak ci dziękować. – Przytuliła go pod wpływem impulsu. – Dziękuję, że pozwoliłeś mi być przy terapii. Tak dobrze móc zrobić coś, by jej pomóc. – Uśmiechnęła się znowu przez łzy. – Myślę, że tworzymy bardzo wyjątkowy zespół.

Matthew odkaslnął.

– Niewątpliwie. A teraz podaj mi, proszę, tę gumową piłkę, musimy dalej pracować.

Podąła mu żądany przedmiot.

– Chyba pójdę zaczerpnąć trochę tlenu. Nie chciałabym, żeby mama widziała mnie zasmuconą.

Popatrzył na nią długo, a potem skinął głową.

– Będziemy tu cały czas.

Deirdre wyszła do holu, zdjęła szal z haka i narzuciła go na ramiona. Gdy tylko znalazła się na zewnątrz, całe napięcie zaczęło ustępować. Parę minut na rześkim jesiennym powietrzu z pewnością

pomoże jej odzyskać równowagę, choć wcale nie była pewna, co ją z niej wytrąciło bardziej – poprawa stanu mamy czy bliskość doktora Clayborne’a. Miała tylko nadzieję, że nie obraził się za to przytulenie. Naprawdę musi nauczyć się panować nad wyrażaniem entuzjazmu.

Deirdre przechadzała się ścieżką prowadzącą na pastwiska. Zatrzymała się na chwilę, by podziwiać widoki.

– Przepraszam... panno O’Leary? – Usłyszała.

Tuż obok niej zjawił się stajenny – ten sam, który uratował ich od ogiera. Chłopiec miał przygarbione ramiona, a jego oczy prawie całkiem ukryte były pod rondem zbyt dużego kapelusza.

– Joe, zgadza się?

– Tak, proszę pani.

Nagły podmuch wiatru sprawił, że Deirdre jeszcze szczelniej otuliła się szalem.

– Proszę, mów mi Deirdre. W czym mogę ci pomóc?

– O ile się nie mylę, jest pani pielęgniarką. – Chłopiec chyba starał się mówić niższym głosem niż naturalnie.

– Jestem. – Popatrzyła uważnie na niego. – Jesteś chory?

– Nie ja... ale mój ojciec. – Podniósł głowę i teraz Deirdre mogła zobaczyć żywe niebieskie oczy wypełnione troską. Sądząc po gładkiej cerze, bez śladu zarostu, można było się domyślać, że chłopak nie ma więcej niż szesnaście lat.

– Tak mi przykro. Co mu dolega?

– Rana na goleniu. Chyba jest infekcja. – Joe przestąpił z nogi na nogę. Jego zdarte buty były najwyraźniej za duże na niego.

– Mogę dać ci jakąś maść...

– Już tego próbowałem. – Zamilkł i widać było, że zbiera się w sobie. – Czy mogłaby pani... Czy poprosi pani doktora, żeby przyszedł do nas i zbadał mojego ojca?

– Nie ma takiej konieczności. Ja mogę to zrobić.

– Proszę się nie obrazić, ale naprawdę wydaje mi się, że tatko potrzebuje pomocy lekarza.

Deirdre przełknęła poczucie urazy i kiwnęła głową.

– Zapytam doktora Clayborne’a. Gdzie mieszka?

Joe zagryzł wargę i zerknął na boki, jakby chciał się upewnić, że nikt inny nie usłyszy.

– W chacie po drugiej stronie lasu. Dość trudno znaleźć to miejsce.

Utkwiła wzrok w chłopcu. Coś w nim... coś w całej tej sytuacji wydawało się bardzo dziwne, ale nie potrafiła dokładnie wskazać co takiego.

– Spotkamy się koło stajni, jak skończysz pracę. – Nie miała wątpliwości, że Matthew zgodzi się pojechać zobaczyć tego mężczyznę.

Na twarzy Joe odmalowała się ulga.

– Dziękuję, proszę pani.

Deirdre patrzyła, jak chłopak nerwowo oddala się w stronę stajni i odnotowała w pamięci, że musi porozmawiać o nim z Connorem. Ufała intuicji brata w kwestii ludzi. Jeśli coś byłoby nie tak, Connor na pewno również by to zauważył.

Chociaż... nie chciała też robić problemów chłopakowi. Najlepiej poczekać, aż zobaczą jego ojca. Jeżeli nadal będzie czuła, że coś jest nie w porządku, wtedy wciągnie w to brata.



– Chciałam cię prosić o pewną przysługę.

Na dźwięk głosu Deirdre Matthew odstawił srebrny imbryczek kawowy na kredens w jadalni. Starał się ze wszystkich sił zapomnieć o tym uścisku, którym go obdarzyła. Zapomnieć kwiatowego zapachu jej włosów tak blisko jego nosa, uczucia, jakie pozostawiło jej ciepłe ciało w jego ramionach.

– Jaką przysługę?

Sięgnęła po jabłko z misy ustawionej na stole.

– Pamiętasz tego młodego stajennego? Tego, który uspokoił ogiera?

– Oczywiście. Jemu zapewne zawdzięczam życie.

Przechyliła głowę na bok, ukazując tym samym długą linię szyi.

– Pytał, czy mógłbyś przyjść i zbadać jego ojca. Obawia się, że rana na nodze może być zainfekowana.

Matthew znieruchomiał.

– Jestem przekonany, że ty jesteś do tego wystarczająco wykwalifikowana.

Uśmiechnęła się.

– Dziękuję ci. Tak samo pomyślałam, ale Joe upierał się, że jego ojciec potrzebuje lekarza.

Nie spiesząc się, Matthew ostrożnie nasypał cukru do kawy i długo mieszał, starając się uspokoić oddech. Myśl o tym, że miałyby zajmować się czyjąś raną, wywoływała w nim lawinę niepokoju oraz niemiłych wspomnień – o umierających żołnierzach na polu bitwy, o Priscilli marniejącej na jego oczach, o własnej bezradności wobec cierpień, na które nie umiał nic poradzić. Jego czoło zrosił pot,

kiedy szukał odpowiedniej wymówki.

– Obiecałem Phoebe, że spędzimy razem trochę czasu... dzisiaj po południu.

Deirdre przełknęła kęs jabłka.

– To nie zajmie długo. Będziesz miał jeszcze czas dla Phoebe. – Przyjrzała mu się uważnie. – Czy coś się stało?

Westchnął. Jak to możliwe, że go tak przejrzała?

– Oczywiście, że nie.

– To dobrze. Przyjdę po ciebie i gdy tylko wstępnie ocenisz sytuację, mogę dalej sama zajmować się leczeniem. Myślę, że Joe po prostu potrzebuje mieć pewność, że tę ranę zobaczył lekarz.

Matthew łyknął szybko kawy, próbując uspokoić nerwy. Jak groźna mogła być taka rana na nodze? Był jednak to winien temu chłopcu.

– Dobrze.

– Dziękuję. – Widząc cudowny uśmiech, którym go obdarzyła, pomyślał, iż było warto.

Przeszła do drzwi i przystanęła jeszcze, oglądając się za siebie. W jej pełnym wyrazu spojrzeniu dostrzegł jakąś figlarność.

– Umiesz jeździć, prawda, doktorze?

– Jeździć? Konno? – Teraz jego niepokój osiągał już szczyty możliwości.

– Tak, chyba że wolisz na takim kucyku jak Piruet. – Uśmiechnęła się, najwyraźniej dobrze się bawiąc jego skrępowaniem.

– Nie jeździłem od czasów dzieciństwa. – Zmarszczył czoło. – A nie moglibyśmy wziąć samochodu?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Nie da się przejechać przez las.

– Och. – Wyprostował się, jakby starał się zachować resztki godności.

Jej śmiech odbił się od ścian pokoju.

– Nie martw się. Znajdę dla ciebie najłagodniejszą klacz. Będzie dobrze.

Matthew powstrzymał westchnienie. Ten dzień z minuty na minutę stawał się coraz gorszy.

Kilka godzin później, z trudem próbując sobie przypomnieć, jak się utrzymać w siodle, Matthew zaczął tęsknić do ruchliwych ulic Toronto, gdzie mógł jeździć swoim samochodem albo bez trudu złapać tramwaj miejski. Jedynym pocieszeniem było to, że tempo nadawał dużo starszy i lękowaty koń Joego, więc przynajmniej Matthew nie musiał się martwić, by dotrzymać kroku reszcie.

Deirdre z kolei najwyraźniej czuła się bardzo swobodnie na swojej srokatej klaczy. Matthew skupił się, by utrzymać odpowiedni odstęp od jej konia i unikać nisko zwieszających się gałęzi, które pojawiały się, kiedy brnęli przez las. Pogoda zdecydowanie się pogorszyła, bo oziębilo się tak, że Matthew zaczął żałować, iż nie założył szalika i cieplejszego płaszcza. W końcu dotarli na polanę, a gdy pokonali wzgórze, ich oczom ukazała się chata.

– To tutaj – zawołał Joe przez ramię.

Pojechali za nim na tyły chatki do drewnianej przybudówki, gdzie zsiadli z koni i przywiązali je do słupków.

Matthew trudno było stawiać kroki, bo nogi drżały mu jak galareta.

Joe poprowadził ich przed chatę i rzekł:

– Dajcie mi chwilkę, żebym przygotował ojca. Nie wie o waszym przyjeździe. – Zawahał się. – Muszę uprzedzić, że tatko jest trochę zrzędlawy. Proszę nie brać tego do siebie.

Kiedy chłopak zniknął za drzwiami, Matthew zwrócił się do Deirdre:

– Nie wydaje ci się, że z tym Joem jest coś dziwnego?

Wytrzeszczyła oczy.

– To samo sobie pomyślałam. – Rozcierała dłonie i dmuchała w palce. – Nie wiem do końca, czego możemy się tam spodziewać.

Matthew uściśnął mocniej ucho od swojej torby, stwierdzając nagle z zadowoleniem, że dobrze się stało, iż Deirdre nie przyjechała tu sama. Bóg jeden wie, co mogą zastać tam w środku.

Zaraz pojawił się Joe i przywołał ich gestem.

– Nie jest zbyt szczęśliwy, więc proszę wybaczyć, jeśli będzie coś gadał.

Weszli za chłopakiem do środka i znaleźli się w kuchni, której jedynym wyposażeniem były drewniane szafki, stół i piecyk opalany drewnem. Joe poprowadził ich na drugą stronę, do pokoju dziennego, gdzie na wyblakłej kanapie nieopodal kamiennego paleniska leżał mężczyzna. Matthew od razu poczuł nieprzyjemny odór. Sądząc po zapuszczonym wyglądzie tego człowieka, domyślał się, że nie kąpał się od dłuższego czasu.

Joe stał nerwowo za kanapą.

– Tatku, to doktor Clayborne i panna O’Leary.

Mężczyzna obrzucił ich piorunującym wzrokiem.

– Nie potrzebuję żadnego doktora.

– Może pozwoli pan, że ja to ocenię? – Matthew odstawił torbę na krzywą podłogę. – Skoro już przyjechaliśmy tutaj, nic chyba nie przeszkadza, abym to obejrzał.

Chory podniósł się, próbując usiąść.

– Moja noga jest w porządku.

Joe pokręcił głową.

– Nie, nie jest. Rana nie chce się goić.

– Jeśli nie chce pan stracić nogi, sir, proponuję, żeby pozwolił mi pan ją zbadać.

Pan Miller wykrzywił twarz w grymasie, ale w końcu podniósł stopę i oparł na niskim, rozklekotanym stoliku nocnym przed sobą. Matthew pochylił się, by otworzyć opatrunek, który rozcięto, żeby był dostęp do rany. Uderzył go taki smród, że łzy stanęły mu w oczach.

Kiedy tylko zdjął prowizoryczny bandaż, Matthew uświadomił sobie, skąd znał ten zapach. W ranę wdała się gangrena. Poczul mdłości w żołądku, gdy zrozumiał, że będzie musiał zrobić coś więcej niż obmycie skaleczenia i nałożenie maści.

Zerknął na Deirdre. Skinęła, dając mu znać, że rozumiała, na ile poważny był ten przypadek.

Matthew zwrócił się w stronę pacjenta:

– Niestety, mamy tu oznaki gangreny. Powinien pan jak najszybciej znaleźć się w szpitalu, żeby mogli się tam panem odpowiednio zająć. – *I zwolnić mnie z tego obowiązku.*

– Gangrena. – Na zapuszczonej twarzy mężczyzny przemknął cień strachu. – To źle.

– Tak. Jeśli nic pan z tym nie zrobi, najprawdopodobniej straci pan nogę od kolana w dół. – Matthew nie zamierzał niczego owijać w bawełnę. Facet musiał wiedzieć, o co toczy się gra.

– Nie idę do żadnego szpitala. Nie może pan czegoś zrobić?

– Nie mam odpowiednich...

– Albo coś pan tu zrobi, albo wychodzi. Mnie to obojętne.

Joe uklęknął obok ojca.

– Tatko, proszę. – W oczach chłopaka widać było łzy.

Matthew ścisnęło coś w środku na widok lęku Joego. Czy ten chłopiec nie miał nikogo poza tym mężczyzną? Czy to dlatego pracował w Irlandzkich Łąkach? Żeby utrzymać chorego ojca?

– Żadnych szpitali. Postanowione.

Po raz kolejny Matthew stał przed sytuacją, gdy jego działania mogły wpłynąć na życie człowieka. Czy miał prawo zmusić go do zgłoszenia się do ośrodka w celu uzyskania odpowiedniego leczenia? Omiótł wzrokiem surowe mieszkanie, w którym pewnie nie było nawet łazienki. Jakie szanse miał ten człowiek na takim pustkowiu? Ale jak mieli go zmusić, skoro nie chciał nigdzie jechać?

Matthew westchnął, pragnąc, by jego własny niepokój ucichł. Będzie musiał zrobić, co w jego mocy, przy użyciu tego, co miał.

– Jak się pan nazywa, sir?

– Clayton Miller.

– Panie Claytonie, jeśli mam się zająć panem tutaj, będę musiał wyciąć fragment rany, żeby usunąć infekcję, zanim zdoła się rozprzestrzenić. Ale ostrzegam, to nie będzie nic miłego.

Mężczyzna przeszył go surowym wzrokiem.

– Zgadzam się.

Matthew skinął głową. Otworzył torbę i wyciągnął czysty ręcznik i swoje instrumenty.

– Macie jakiś alkohol w domu?

Rozległ się głośny wdech. Matthew podniósł wzrok i spostrzegł napiętą twarz Joego.

– Żadnego alkoholu.

Clayton ożywił się nagle.

– Daj spokój, Joe – rzekł przymilnie. – Przydałoby mi się trochę whiskey na ból.

Mężczyzna praktycznie zebrał. Może miał jakieś problemy z alkoholem.

– To nie do picia – wtrącił Matthew spokojnie. – Potrzebuję do zdezynfekowania rany.

Claytonowi zrzędła mina.

– Łyczek albo dwa też by nie zaszkodziły.

– Zaszkoziłyby. – Joe był nieustępliwy. – W każdym razie i tak nie mamy nic w domu.

Deirdre podeszła bliżej.

– Mam płyn antyseptyczny. Może mógłby się przydać. – Postawiła swoją małą torbę na stole.

– Przyda się. Dziękuję, siostró.

Clayton popatrzył na nią spod przymrużonych powiek.

– Pani jest pielęgniarką? Myślałem, że pani to jedna z tych bogatych O’Learych.

Deirdre wyprostowała się sztywno.

– I to, i to, sir. – Następnie zwróciła się do Matthew: – Czy mam przynieść wody, żeby najpierw oczyścić pole?

– Tak, dziękuję.

– Pomogę. – Joe wybiegł szybko do kuchni, gdzie z surowej drewnianej półki zdjął misę. – Pompa jest na zewnątrz.

Deirdre rzuciła Matthew pełne niepokoju spojrzenie, a następnie wyszła za Joem.

Clayton chwycił lekarza za ramię. Kościste palce wbijały się niemiło w rękę Matthew.

– Doktorze, musisz mi pan załatwić trochę whiskey. Ja muszę... ze względów medycznych, jakżeś sam pan powiedział. A moja... latorośl ma jakiegoś fioła na punkcie alkoholu.

Matthew obserwował wyraz desperacji widoczny na twarzy tego człowieka. Jego podejrzenia się potwierdziły.

– Obawiam się, że nie mogę. Jak pan stanie na nogi, będzie pan robił, co pan chce.

Drzwi się otworzyły i dalsza dyskusja została tym samym ucięta. Deirdre wniosła miskę z wodą oraz szmatkę i zabrała się za obmywanie rany. Była blada, ale pracowała dzielnie, bez słowa skargi.

Matthew podszedł do paleniska i z zadowoleniem dostrzegł drobny płomień, w którym wysterylizował swój skalpel.

– Może pan potrzebować czegoś, żeby włożyć między zęby. – Rzucił okiem na Deirdre. Jej twarz była blada, ale twarz Joego wyglądała jeszcze gorzej. – Jeśli ktokolwiek ma zamiar mdleć, wolałbym, żeby opuścił już teraz ten pokój.

– Doktorze, miejmy to już za sobą. – Mężczyzna uchwycił się podłokietnika kanapy i zamknął oczy.

– Zaczynam. – Matthew zrobił jeszcze wdech i upewnił się, że ręka mu nie drży. Jeżeli byłoby mu po drodze z modlitwą, pewnie teraz byłby na to czas. Skupił się jednak na tym, czego go uczono i opanowaną dłonią wykonał pierwsze cięcie. Najszybciej jak to możliwe usunął zainfekowany fragment, z ulgą stwierdzając, że gangrena nie przeszła do kości.

Z czoła Clayтона lał się pot, spływając po bokach jego twarzy.

Matthew skrawkiem świadomości zanotował, że Joe wybiega z pokoju, ale nie mógł sobie teraz zwracać głowy chłopakiem. Deirdre z kamienną twarzą stała obok, unieruchamiając nogę mężczyzny,

który pomimo jęków protestu nieźle to wszystko wytrzymał.

Lekarz zostawił najgorsze na koniec, wiedząc, że nacięcie tak blisko kości będzie bardzo bolesne.

– Proszę wytrzymać. Już prawie koniec.

Dramatyczny krzyk Claytona wstrząsnął wszystkimi.

– Proszę oczyścić pole, siostró O’Leary.

Szybko wykonała polecenie. Następnie Matthew nałożył sporą dawkę maści i zaczął obandażowywać cały goleń.

Deirdre przy użyciu wilgotnej szmatki ocierała twarz mężczyzny.

– Pańska kostka jest opuchnięta i ma pozostałości po stłuczeniu – zauważył lekarz. – Czy to skaleczenie z tego samego czasu?

Clayton otworzył jedno oko i odparł:

– Przewróciłem się kilka tygodni temu. Skręciłem kostkę i rozciąłem nogę.

– Dlaczego nie udał się pan po pomoc do doktora?

– Niezbyt poważam lekarzy, odkąd taki jeden pozwolił mojej żonie umrzeć. Stwierdziłem, że wystarczy, żeby Joe się mną zajął.

Pozwolił mojej żonie umrzeć – powtórzył w myślach Matthew. Tak jak on pozwolił, by Priscilla zmarła. Otarł krople potu z czoła i kontynuował swoją pracę. Kiedy skończył, Deirdre wstała i zabrała odpadki oraz miskę.

– Posprzątam to i wrócę za minutę.

Gdy tylko wyszła, Matthew uciął bandaż i zsunął z powrotem nogawkę spodni.

– Panie Claytonie, proponuję, żeby obmył się pan gąbką i zmienił ubranie. Teraz wszystko wokół musi być czyste, żeby uniknąć dalszej infekcji.

Clayton zapadł się głębiej na kanapie.

– Rozumiem, doktorze. Myślisz pan, że udało się uratować moją nogę?

Matthew wypuścił powoli powietrze.

– Zrobiłem, co mogłem w takich warunkach, ale nie mogę dać gwarancji. – Przepakował swoją torbę, a potem zamknął ją i wstał. – Przyjdę za parę dni na kontrolę.

– Dziękuję, doktorze. Będę wdzięczny.

Deirdre wylała zawartość miski na trawę i napompowała świeżej wody. Przy pomocy jednej z czystych ścierek, wytarła naczynie. Starła się opanować i odgadnąć, co tak naprawdę nie dawało jej spokoju. Nie podobało jej się coś w sposobie bycie Joego – jego głos, jego nerwowość.

I to miejsce. Odludna chata, w której mieszkali tylko Joe i jego chory ojciec.

Deirdre przyglądała się drzewom i otaczającej ziemi. Gdyby nie wiedziała, kto tu mieszka, powiedziała by, że to część posiadłości Sullivanów. Chata mogłaby należeć do któregoś z pracowników farmy. A może po prostu Clayton Miller pracował dla pana Sullivana?

Gdy skończyła, wstała i przeszła do przybudówki. Jej uwagę przykuł odgłos wymiotowania. Joe klęczał na trawie, jedną ręką przytrzymując kapelusz, z którym się nigdy nie rozstawał. Biedny chłopak musiał mieć słaby żołądek. Powinien był wyjść, gdy tylko Matthew to zaproponował.

– Wszystko w porządku, Joe?

Chłopiec gwałtownie poderwał głowę.

– T-tak, w porządku. Po prostu mnie mdli.

Czy on zawsze był taki nerwowy? Nagle zrodziło się w niej niemiłe podejrzenie. A może pan Miller znęcał się nad chłopakiem? Może dlatego ten sprawiał wrażenie takiego płochliwego?

Wiatr zwał Deirdre kosmyki włosów na twarz, gdy podeszła do wciąż jeszcze klęczącego chłopca.

– Nie obwiniaj się. To było bardzo nieprzyjemne, nawet dla mnie. – Deirdre podała mu chusteczkę z kieszeni.

On otarł twarz i kark.

– A może ściągniesz kapelusz? Polanie wodą głowy mogłoby pomóc, by mdłości szybciej minęły.

Joe zerwał się na równe nogi, zapewniając:

– Już w porządku. – Wyglądał jak spłoszony koń, który zaraz ruszy z kopyta.

Deirdre zrobiła krok w jego stronę i zapytała:

– Joe, mieszkasz tu tylko ty i twój ojciec?

– I jeszcze mój starszy brat – odparł, wycierając twarz rękawem.

Deirdre zaczynała łączyć elementy tej układanki.

– Czy twój brat pracuje dla pana Sullivana?

Na twarzy Joego znów pojawiła się rezerwa.

– Tak.

– A czym zajmuje się twój ojciec?

Jeden z koni w przybudówce zarżał głośno.

– Tato miał pracować na farmie, ale zranił się w tę nogę. – Joe ruszył w stronę chaty, zmuszając tym samym Deirdre, by szła za nim.

Kiedy wyszli zza rogu, ich oczom ukazał się dziwny mężczyzna ze strzelbą. Gdy tylko dostrzegł Deirdre, zatrzymał się raptownie. Jego wzrok przeskakiwał pomiędzy Deirdre a Joem i z powrotem.

– Co tu się dzieje, Joe?

Zauważając, jak wyraz twarzy Joego zmienił się w pełne skruchy zaskoczenie, Deirdre przygotowała się na kolejny nieoczekiwany zwrot w tajemniczy spowijającej rodzinę Millerów.

Matthew wyszedł z chaty i zamarł, a to, co zamierzał powiedzieć, natychmiast wyleciało mu z głowy. Jakiś nieznajomy w zbyt obszernym płaszczu, z potarganymi włosami i niechlujnym zarostem stał i mierzył gniewnym wzrokiem Deirdre i Joego.

W tej samej chwili mężczyzna obrócił się w stronę Matthew i uniósł strzelbę.

– Kim ty, do cholery, jesteś?

Matthew podniósł wolną rękę w geście poddania.

– Jestem doktor Clayborne, przyjechałem tutaj pomóc panu Millerowi.

Joe zrobił krok w przód.

– W porządku, Seth. Ja ich poprosiłem, żeby przyszli zbadać nogę taty.

Ach, więc to był brat Joego. Teraz, gdy Matthew przyjrzał mu się uważniej, dostrzegł jakies rodzinne podobieństwo.

Gniewnie zmarszczone czoło Setha odrobinę się rozluźniło, kiedy opuszczał broń.

– Jest pan doktorem?

– Tak. – Matthew bez zbędnych słów stanął przed Deirdre, na wypadek gdyby Seth zmienił zdanie w kwestii użycia strzelby. – Niestety, okazało się, że ranę na nodze pańskiego ojca zajęła gangrena.

– Gangrena? – Seth spojrzał surowo na lekarza. – Czy straci nogę?

Matthew rzucił okiem na strzelbę.

– Gdyby pan odłożył broń, mógłbym wszystko wyjaśnić.

Seth oparł ją o zewnętrzną ścianę chaty.

– Przepraszam. Byłem na polowaniu, ale nie miałem dziś szczęścia.

Lekarz poczuł przyływ ulgi, a potem wziął wdech i zaczął tłumaczyć:

– Razem z siostrą O’Leary wykonaliśmy niewielką chirurgiczną interwencję na nodze pańskiego ojca. Jeśli tylko uda się zapobiec infekcji, powinno być dobrze, choć nie mogę niczego obiecać. Tak naprawdę powinien znaleźć się w szpitalu. – Matthew przesunął się i stanął u boku Deirdre. – Chciałbym wrócić za dzień lub dwa na kontrolę. – Czekał, wciąż niepewny, jak zareaguje mężczyzna.

Seth zerknął znowu gniewnie na Joego, a następnie skinął głową.

– Dobrze. Niech będzie. – Spod przymrużonych powiek spojrział jeszcze na Deirdre, pytając: – Dobrze słyszałem, że pani nazywa się O’Leary?

Deirdre uniosła brodę.

– Zgadza się. Joe pracuje w naszej stadninie. Czemu pan pyta?

Seth wzruszył ramionami.

– Po prostu zastanawiałem się, dlaczego taka kobieta jak pani miałaby tu przychodzić.

– Joe wiedział, że jestem pielęgniarką, i poprosił nas, żebyśmy tu przyszli. Dobrze, że tak się stało.

Mimo że się wybroniła, Matthew wyczuł u niej zdenerwowanie. Nie dziwił się. Cała ta rodzina Millerów była dziwną zbieraniną. Będzie musiał zadbać, żeby Deirdre nie wracała tu sama. Joe wydawał się niegroźny, ale Matthew nie ufał dwóm starszym Millerom ani przez chwilę.

– Musimy już z panną O’Leary wracać – orzekł Matthew. – Joe, porozmawiamy później o wizycie kontrolnej. – Ujął Deirdre za łokieć i lekko ją uściśnawszy, wskazał, by oddała pustą miskę chłopakowi.

– Dziękuję wam obojgu – powiedział Joe. – Będziecie umieli sami wrócić?

– Wydaje mi się, że tak – odparła Deirdre. – Do zobaczenia jutro, Joe.

Matthew poprowadził ją w stronę przybudówki, gdzie przywiązali wcześniej wierzchowce. Nawet nie podejrzewał, że nie będzie mógł się doczekać, aż dosiadzie znowu tego konia. Ale czuł, że odetchnie spokojnie dopiero, gdy wrócą na teren posiadłości O’Learych. Ci Millerzy byli jacyś podejrzani, jak rodzina jakichś wyjętych spod prawa wyrzutków. Sądząc po bladej twarzy Deirdre, przypuszczał, że jest równie zaniepokojona jak on.

Kiedy wrócili do Irlandzkich Łąk, jeden ze stajennych odebrał od nich zwierzęta. Deirdre nie odezwała się ani słowem, nawet gdy przekazywała konia. Matthew dołączył do niej, gdy szli w stronę domu i zagadał:

– Jesteś taka milcząca. Coś się stało?

Popatrzyła na niego smutnym wzrokiem. Na jej bladej twarzy wyróżniały się teraz pojedyncze piegi.

– Sama nie wiem. Coś dziwnego było w tej rodzinie.

– Mam podobne odczucia.

– Widać wyraźnie, że Joe jest przerażony. Myślisz, że może jego ojciec znęca się nad nim?

Matthew zastanawiał się nad tym pytaniem.

– Możliwe. Choć moja pierwsza myśl była taka, że pewnie uciekają przed prawem. – Wpatrywał

się w smagane wiatrem łąki. – Jestem przekonany, że Clayton ma problemy z alkoholem, co też może być przyczyną trosk Joego.

– Biedny chłopak! Co moglibyśmy zrobić, żeby mu pomóc?

I taka właśnie była Deirdre – jej serce było wielkie jak Irlandzkie Łąki i zawsze była gotowa pomagać potrzebującym. Zatrzymał się na schodach werandy i odparł:

– To wszystko to tylko nasze spekulacje. Poczekajmy na wizytę kontrolną i zobaczymy, co wtedy zastaniemy.

Wiatr rozwiewał jej włosy spod kapelusza, zawijając jej pukle na policzki.

– Nie wiem, Matthew. Bierne czekanie nie jest moją mocną stroną. – Westchnęła. – Ale dam sobie z tym spokój na dzisiaj.

Widząc jej zacięty wyraz twarzy, Matthew wiedział, że to z jej strony najwięcej, czego mógł oczekiwać. Pewnie przydałaby jej się jakaś rozrywka.

Otworzył przed nią drzwi wejściowe i zaproponował:

– A może wzięlibyśmy Phoebe, żeby znowu zobaczyła swojego szczeniaka?

Wynagrodziła go promiennym uśmiechem.

– Świetny pomysł.

I tu się zgadzali.



W niedzielny poranek Matthew wyszedł z małego wiejskiego kościółka razem z wiernymi zgromadzonymi na nabożeństwie, kłaniając się uprzejmie różnym ludziom, którzy zatrzymywali się, żeby przywitać jego i córkę. U podnóża schodów stał wielebny i pomimo niezbyt dobrej pogody witał parafian. Porywisty wiatr szarpał jego sutanną i rozwiewał mu na głowie siwe włosy.

Matthew otulił się szczelniej kołnierzem płaszcza, ani na chwilę nie wypuszczając z mocnego uścisku dłoni Phoebe. Nie chodził regularnie do kościoła od czasu dzieciństwa, odkąd zmarła jego matka, i nigdy się nie spodziewał, że tu wróci. Nawet ślub z Priscillą brali poza kościołem, w ogrodzie, w posiadłości jej rodziców. Zgodził się dzisiaj przyjść tylko po to, żeby sprawić córce przyjemność, bo bardzo chciała dołączyć do dzieci Whelanów. Jednakże okazało się, że ta wspólnotowa atmosfera, a także kazanie, w miły sposób podniosły go na duchu.

Stał w kolejce, by przywitać się z księdzem Filmore'em. Korpulentny mężczyzna położył dłoń na głowie Phoebe i wyszeptał błogosławieństwo. Dziewczynka uśmiechnęła się i Matthew poczuł w sercu przyjemne łaskotanie. Na palcach jednej ręki mógł policzyć, ile razy słyszał jej śmiech po śmierci matki. Tymczasem odkąd przyjechali do Irlandzkich Łąk, zaczęła rozdawać uśmiechy na prawo i lewo. Co więcej, zaczęła też znowu mówić.

Phoebe rozdzieliła się z nim i pognęła do Betsy, stojącej u boku matki. Obie dziewczynki zachichotały i pobiegły w stronę innej grupy dzieci.

Jakaś jego część na chwilę zaczęła żałować, że jego córka stała się bardziej samodzielna i mniej zależna od niego. A potem westchnął cicho. Kathleen i Deirdre miały rację. Phoebe powinna przebywać z innymi dziećmi, śmiać się i bawić, i cieszyć dzieciństwem.

Charakterystyczny śmiech Deirdre przebijał się ponad zgiełkiem rozmów. Matthew dostrzegł ją obok mężczyzny, o którym już wiedział, że jest sąsiadem, Caleba Sullivana. Tego samego, którego widział kiedyś z Deirdre w Irlandzkich Łąkach.

Sullivan nachylił się, by powiedzieć coś Deirdre, a ich głowy nieomalże się stykały. Ona odpowiedziała mu coś, uśmiechając się do niego.

Matthew schował zaciśniętą w pięść dłoń do kieszeni płaszcza. Widać było wyraźnie, że Sullivan coś do niej czuje. Czy Deirdre to odwzajemniała? Na samą myśl o tym Matthew zaczął się wiercić w miejscu.

Po chwili do dwójki rozmawiających dołączyli Connor oraz Gilbert i Matthew uspokoił się nieco. Musiał wybić sobie z głowy rozważania o miłosnych wyborach Deirdre. To nie była jego sprawa. Zaciśnął zęby i zwrócił uwagę na Briannę, która właśnie kierowała się w jego stronę z jakąś kobietą u boku.

– Doktorze Clayborne, chciałabym przedstawić Clarę Baldwin, moją przyjaciółkę. Jest bardzo zainteresowana pracą, którą wykonuje pan z moją mamą.

Matthew uklonił się przed atrakcyjną blondynką.

– Miło panią poznać.

Uśmiechnęła się.

– Proszę mi mówić Clara.

– Dobrze, jestem Matthew.

– Ojciec Clary, pan Sullivan, ma pewne problemy zdrowotne związane z paraliżującym go artretyzmem. Jej brat, Caleb, musiał wrócić na farmę, żeby pomóc w prowadzeniu interesu – poinformowała Brianna.

Caleb – pomyślał. Znowu to imię.

Clara zbliżyła się do niego.

– Zastanawiałam się, czy terapia, którą stosujesz wobec pani O’Leary, mogłaby pomóc takiej osobie jak mój ojciec.

Matthew uśmiechnął się, zadowolony, że może mówić na temat, który go pasjonował.

– Kiedyś czytałem o takich przypadkach, chociaż nie miałem okazji przeprowadzać żadnych prób klinicznych.

Omówił szczegółowo kilka znanych mu przypadków. Clara zdawała się spijać każde wypowiedziane przez niego słowo.

– Czy mogłabym przyprowadzić kogoś popołudnia swojego tatę? Chętnie poznałabym twoją opinię, czy w tym przypadku warto poświęcić czas na szukanie odpowiedniego leczenia.

Zawahał się. Przecież chyba nic mu się nie stanie, jak zobaczy tego człowieka i określi jego szanse.

– Z przyjemnością.

– Dziękuję, doktorze. Skontaktuję się wkrótce – odparła, promieniejąc z radości.

Kobiety przeprosiły i poszły szukać swoich mężów, a w głowie Matthew nadal kłębiły się myśli. Może było większe zapotrzebowanie na fizjoterapię, niż to sobie wyobrażał. Może wcale nie tak trudno byłoby mu zmienić kierunek z leczenia żołnierzy na leczenie cywilów.

– Matthew, jedziemy. – Głos Deirdre przerwał mu rozmyślenia.

Serce zaczęło mu szybciej bić, gdy się odwrócił. Zmusił się, by opanować emocje.

– Pójdę po Phoebe.

– Nie trzeba. Brianna powiedziała, że może z nimi wrócić. – Deirdre szła obok niego w stronę samochodu Jamesa. – Widziałam, że rozmawiałeś z Clarą Baldwin. Mam nadzieję, że nie chodziło o chorobę kogoś z jej dzieci?

– Nie. Chciała zapytać mnie o swojego ojca. Była ciekawa, czy moim zdaniem fizjoterapia mogłaby mu pomóc.

W jej oczach od razu pojawiło się zmartwienie.

– Caleb mówił mi, jak bardzo postąpił artretyzm jego taty. – Spojrzała na niego pytająco. – Będziesz go leczył?

– Zgodziłem się z nim spotkać, aby zobaczyć, czy według mnie fizjoterapia pomogłaby coś w tym przypadku. Nie ma jednak sensu, żebym zaczął leczenie, skoro niedługo wyjeżdżam.

Deirdre spochmurniała.

– Nie sądzę, żeby pan Sullivan zgodził się jechać na leczenie do miasta. Jaka szkoda, że tu nic nie ma. – Nagle w jej oczach rozblęsnął entuzjazm. – Zastanawiałeś się w ogóle nad możliwością otworzenia kliniki na Long Island? Phoebe jest tu bardzo dobrze. Byłoby cudownie, gdybyś mógł zostać.

Przez chwilę poczuł w środku rosnące poruszenie. Jakby to było, gdyby mógł otworzyć praktykę tutaj, z dala od błędów przeszłości? Tu, gdzie jego córka rozkwitała. A potem rzeczywistość dotarła do niego, jakby ktoś wylał mu na głowę kubel zimnej wody.

– Obawiam się, że to niemożliwe. Dziadkowie Phoebe nigdy by na to nie pozwolili.

Deirdre przystanęła i ściągnęła brwi, rzekła:

– Dlaczego? Nawet jeśli służyłoby to jej zdrowiu?

James zajęty był rozmową z jakimś mężczyzną z drugiej strony samochodu. Matthew ściszył głos. To nie było coś, co chciał, żeby każdy słyszał.

– Niestety moje relacje z rodzicami Priscilli są dość napięte. Żywią wobec mnie wiele uprzedzeń w związku ze śmiercią Priscilli. Kiedy Phoebe wypuszczono z sanatorium, oni... – Nabrał gwałtownie powietrza. Lepiej po prostu opowiedzieć całą tę wstrętną sprawę. – Próbowali przejąć nad nią opiekę.

Ogarnęło ją przerażenie.

– Och, nie! To straszne! – Złapała go za ramię. – Pozwala cię do sądu?

– Nie doszło do tego. Nie mam pewności, ale wydaje mi się, że Victor interweniował w mojej sprawie. Pentergastowie jednak zobowiązali mnie obietnicą, że Phoebe będzie blisko i zgodzę się na cotygodniowe odwiedziny.

– Czy w takim razie dali ci pozwolenie na to, żebyś przywiózł tu Phoebe?

W jego oczach błysnęły wyrzuty sumienia.

– Nie wiedzą, że tu jesteśmy. Są teraz w Anglii i wrócą dopiero w grudniu. Ponieważ już dawno będziemy wtedy w domu, nie widziałem potrzeby, by ich niepokoić.

– Tak mi przykro z powodu twoich teściów, Matthew. To musi być dla ciebie bardzo obciążające.

– Staram się tym nie przejmować. Dla dobra Phoebe. Ona uwielbia dziadków.

Twarz Deirdre złagodniała.

– Na pewno. Ja zawsze chciałam mieć dziadków, gdy byłam dzieckiem.

– Nie miałaś w ogóle?

– Nie, zmarli, zanim się urodziłam. – Uśmiechnęła się. – Ale mama mojej bratowej, Maggie, jest dla mnie jak zastępcza babcia, odkąd przeprowadziła się tu z Irlandii.

Matthew nie mógł oderwać wzroku od jej pełnej życia twarzy. To była kolejna zaleta przyjazdu tutaj – mógł zgłębiać te uczucia, z którymi nie miał siły już walczyć.

– A ty? – zapytała. – Masz dziadków?

Przełknął i spuścił wzrok.

– Nie mam już rodziny, poza Phoebe. – Dlatego też nie mógł pozwolić, by cokolwiek lub ktokolwiek zagroził ich relacji.

Nagle wszelkie myśli o przeprowadzce tutaj rozwiały się niczym dym. Poza tym, gdy tylko

Kathleen odzyska siły, Deirdre wróci na swoje studia medyczne w Bostonie. Studia, na ukończenie których będzie potrzebowała wielu lat.

Nawet jeśli zdobyłby się na odwagę, żeby zrobić jakiś krok, by wyrazić zainteresowanie jej osobą, to i tak nie miało sensu. Nic nie mogłoby z tego wyjść, bo ich przyszłe drogi najwyraźniej zmierzały w dwóch różnych kierunkach.

Matthew naciągnął mocniej kapelusz na głowę, próbując przeciwstawić się podmuchowi wiatru i jednocześnie starając się przywołać swoje zbłąkane myśli do porządku zwykłego życia.

Nic nie zyska, snując takie bezużyteczne plany.

W poniedziałek rano Connor darował sobie śniadanie w jadalni. Pragnął znaleźć się w gospodarczej stajni jeszcze przed przyjściem Joego. Deirdre opowiedziała mu o ich wizycie w chacie Millerów i wyraziła swój niepokój o chłopaka. Connor obiecał, że ponownie spróbuje nakłonić Joego do rozmowy. Teraz, gdy wiedział trochę więcej o sytuacji i o tym, że jego brat pracował jako nadzorca u Sullivanów, Connor miał nadzieję, że Joe zaufa mu bardziej.

Nacisnął kapelusz na głowę i przygotował się na zimny podmuch porannego powietrza. Z jego oddechu tworzyły się obłoczki pary. Zima zdecydowanie zbliżała się coraz szybciej, w tym roku nawet wcześniej niż zwykle. Możliwe zresztą, że w nocy będzie już mróz.

Wpatrywał się w dal ponad ścieżką prowadzącą w stronę gospodarczej stajni, bo dostrzegł jakiś ruch w zagrodzie. Nagle serce stanęło mu w gardle. Joe zamierzał dosiąść Excalibura. Przeszyły go najgorsze przeczucia. Joe w ostatnich dniach poczynił pewne postępy w pracy z tym koniem, ale czy ogier był już gotowy na jeźdźca?

Connor przyspieszył kroku, kierując się w stronę ogrodzenia.

– Joe, poczekaj!

Spóźnił się z ostrzeżeniem. Joe wskoczył właśnie na siodło.

Całe ciało Excalibura zadrżało.

Connor złapał za górną belkę ogrodzenia i wstrzymał oddech, przygotowując się już na to, co miało nadejść.

I zaczęło się. Koń wydał głośnie rzenie i stanął dęba, przednimi kopytami mlóćąc powietrze. Joe przyłgnął jak rzep do jego grzywy i udało mu się zostać w siodle. Ogier wierzgał i skakał, rzucając się po zagrodzie jak oszalały. W każdej chwili Joe mógł się puścić i spaść na ziemię.

Connor pobiegł do narożnika po długą linę i chwyciwszy ją, przeskoczył ogrodzenie. Zakręcił lassem w powietrzu i pobiegł w stronę zwierzęcia, starając się trzymać z tyłu, by uniknąć spotkania z końskimi kopytami. Wypuścił linę przed siebie i poczuł częściową ulgę, gdy wylądowała na karku Excalibura.

Zaraz jednak, ku przerażeniu Connora, koń wykonał jakiś gwałtowny skręt, próbując pozbyć się jednocześnie liny i jeźdźca. Rozległ się przesywający krzyk, kiedy Joe poszybował w powietrze

i wylądował na ziemi z mrozącym krew w żyłach łomotem.

Excalibur wyrwał linę z rąk Connora i pomknął na drugą stronę zagrody.

Mężczyzna podbiegł do Joego i ostrożnie go obrócił.

– Joe, jesteś ranny?

Chłopak jęknął, ale nie otworzył oczu. Connor bał się, że stajenny może mieć złamaną rękę albo nogę, a może nawet gorzej, więc przesuwając dłonią, zaczął badać jego kończyny. W tym samym momencie Joe skoczył jak oparzony i próbował się podnieść.

– Hej. Leż chwilę. – Connor przytrzymał go przy ziemi i nagle zamarł, gdy dotarło do niego, że pod kurtką chłopaka wyczuwa charakterystyczne kształty.

Stajenny wytrzeszczył oczy, ale zaraz podniósł się i popchnął Connora. Ten poczuł tylko ból w klatce piersiowej i z pełnym zaskoczenia stęknieniem przewrócił się w tył.

Joe, na wpół kulejąc, uciekł z zagrody. Zanim Connor zdołał się podnieść i otrzepać z ziemi, nigdzie nie było już widać młodego.

W głowie Connora zaroilo się od wątpliwości. Czyżby pod wpływem chwili ubzdurało mu się, że wyczuwa kobiecą sylwetkę? A jeśli nie, to dlaczego Joe popchnął go i uciekł?

Zakipiało w nim ze złości. Miał już dość tych wszystkich sekretów. Zamierzał wyjaśnić to wszystko... natychmiast!

Zerknął tylko, sprawdzając, czy Excalibur stoi spokojnie. Następnie wybiegł z zagrody i wpadł do pomieszczenia gospodarczego. Przebiegł wzrokiem główny korytarz, ale nikogo tam nie było. Zatrzymał się i nasłuchiwał. W końcu usłyszał czyjś przyspieszony oddech.

– Wychodź, Joe. Już! – krzyknął, a potem czekał.

Dwie sekundy później Joe ze spuszczonego wzrokiem wyszedł z jednego z boksów. Jedną rękę przyciskał mocno do brzucha. Policzki miał poprzecinane brudnymi strugami.

Connor podszedł do niego zdecydowanym krokiem, starając się jednocześnie poskromić gniew.

– Co cię opętało, żeby zrobić taką głupotę? Przecież to jasne, że Excalibur nie był jeszcze gotowy do jazdy.

Joe uniósł głowę.

– Myślałem, że już był.

Connor przeszedł kawałek tam i z powrotem.

– Powinieneś był skonsultować to ze mną, zanim podjąłeś jakiegokolwiek radykalne kroki. Tak się umawialiśmy.

– Przepraszam. Ja...

– Mogłeś zginąć. – Kiedy te słowa dotarły do niego, Connor poczuł w piersi skurcz.

– Przepraszam – powtórzył Joe.

Connor wypuścił głośno powietrze z płuc, licząc, że w ten sposób wyrzuci z siebie też zagniewanie.

– Chodź do domu. Chcę, żeby zbadał cię doktor albo moja siostra, żebyśmy mieli pewność, że nic ci nie jest.

Joe wytrzeszczył oczy.

– Nie ma takiej potrzeby. Wszystko w porządku.

– Bez dyskusji. Idziemy.

Connor wymaszerował głośno ze stajni, powstrzymując klębiącą się w nim frustrację. Dlaczego nie zerwał mu po prostu kapelusza z głowy i byłoby po sprawie? Ale nie mógł się do tego zniżyć. A co, jeśli jego podejrzenia były prawdziwe i Joe był w rzeczywistości kobietą?

To byłoby zbyt upokarzające dla nich... obojga.

Nie, lepiej, żeby to Deirdre zbadała chłopaka i zobaczyła, jaka jest prawda.



Tego samego dnia po południu Connor skierował Sztyleta na drogę prowadzącą do posiadłości Sullivanów, próbując zignorować dręczącą go irytację. Kiedy w końcu udało mu się porozmawiać z Deirdre, powiedziała mu, że Joe odmówił badania, upierając się, że czuje się dobrze. To tylko pogłębiło podejrzenia Connora. Czy Joe martwił się, iż Deirdre będzie chciała sprawdzić ewentualne stłuczenia, a tym samym zobaczy, że rzeczywiście nie jest mężczyzną?

Ta sprawa gryzła Connora całe popołudnie. Nie zdecydowawszy się na konfrontację z Joem, która pewnie okazałaby się strasznie zenująca dla obu stron, Connor postanowił, że najlepiej zrobi, jak po raz kolejny uda się za nim do jego domu i tym razem podejździe na tyle blisko chaty, żeby się czegoś dowiedzieć.

Kiedy dotarł do drewnianego zabudowania, odczekał, aż Joe wejdzie do środka, a następnie skierował Sztyleta na miejsce pomiędzy drzewami, które dawało mu dobry widok na drzwi. Był przygotowany na to, by czekać na tyle długo, żeby w końcu odkryć, o co chodziło z rodziną Millerów.

Zerwał się wiatr i choć drzewa osłaniały go od najgorszych powiewów, zimno zaczynało przenikać go do szpiku kości. Postawił wełniany kołnierz i nabrał w płuca lodowatego powietrza. Jeśli utrzyma się taki ziąb, nie trzeba będzie długo czekać na pierwsze śniegi.

Drzwi chaty otworzyły się ze skrzypnięciem. Connor zmrużył oczy, żeby dojrzeć, kto to. Wyszła z nich dziewczyna ubrana w prostą sukienkę i obszerny płaszcz, niosąca wiadro. Jej długie, jasne włosy falowały, gdy zmierzała w stronę studni.

Serce Connora zabiło gwałtowniej w piersi. Nie był jednak na tyle blisko, by rozpoznać twarz dziewczyny. Musiał podejść bliżej. Zsunął się z grzbietu Sztyleta i przemknął przez zarośla w jej stronę.

Skupiona na napełnianiu wiadra wodą, nawet go nie zauważyła.

– Joe?

Poderwała głowę. Krzyknęła z zaskoczeniem i upuściła wiadro. Woda rozlała się, ochlapując jej sukienkę.

Connor podszedł bliżej, aż widok znajomych mu niebieskich oczu zatrzymał go w pół kroku. Nawet w takim prostym ubiorze, z rozpuszczonymi włosami, była jedną z najpiękniejszych dziewcząt, jakie kiedykolwiek widział.

Gdy patrzył na nią, czuł w środku kłębiące się uczucia, których nie potrafił nazwać.

– Dlaczego? – wydusił z siebie wreszcie. – Dlaczego udajesz, że jesteś chłopakiem?

Przygryzła dolną wargę.

– Nie zrozumiałbyś.

Nie dał się zwieść łzom, które zamglily jej oczy.

– Chyba jesteś mi winna wyjaśnienie.

Wpatrywała się w niego jakiś czas, a potem odwróciła się i podniosła wiadro. Jej dłonie drżały.

– Mój ojciec zranił się w nogę, więc mój brat musiał pójść za niego do pracy u Sullivanów jako nadzorca. – Odgarnęła włosy z twarzy. – Ja miałam zastąpić go w Irlandzkich Łąkach do czasu, aż tatko wydobrzeje... ale jemu, wręcz odwrotnie, pogorszyło się.

Nie zważając na tknięcie współczucia, Connor puścił wodze gniewu.

– I co dalej? Twój brat pojawiłby się tak nagle i zajął twoje miejsce bez żadnych pytań? – Ze złością wyrzucił ręce do góry. – A nie pomyślałaś, że mnie to dotknie, że okłamywałaś mnie przez te wszystkie tygodnie!?

Skuliła się i zrobiła krok wstecz.

– Staraliśmy się po prostu przeżyć.

– I to usprawiedliwiało fakt, że zdradziłaś moje zaufanie?

Popatrzyła na niego surowo.

– A zatrudniłbyś mnie, gdybyś wiedział, że jestem dziewczyną?

Connor zamknął gwałtownie usta.

– Nie – odparł lakonicznie.

Jej drobna sylwetka drżała.

– Wiedziałam, że poradzę sobie z tą robotą, jeśli tylko ktoś da mi szansę. Dobrze umiem obchodzić się z końmi.

– O mało co nie zginęłaś przez jednego. – Gniew Connora rozpalił się na nowo, gdy przypomniał sobie, jak spadła z ogiera, jakie elektryzujące przerażenie poczuł, gdy jej ciało uderzyło o ziemię.

– Teraz już będę ostrożniejsza. – Ustawiła wiadro pod pompą i złapała za rączkę, zalewając naczynie falą wody.

Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

– Naprawdę sądzisz, że pozwolę ci wrócić po tym wszystkim?

Zrobiła się zupełnie blada.

– Nikt nie musi wiedzieć, że jestem dziewczyną.

Connor prychnął, na tyle pochłonięty jej oszustwem, że nie był w stanie jasno widzieć.

– Proszę, Connorze. Potrzebujemy pieniędzy.

– Po co? – warknął. – Macie wypłatę Setha i dach nad głową.

Spuściła wzrok na stojące u jej stóp wiadro.

– Ojciec nieczęsto pracował w ciągu kilku ostatnich lat. Ma wiele długów do spłacenia...

– Josephine. Gdzie ty, do cholery, jesteś? – ryknął męski głos zza otwartych drzwi.

Przez jej twarz przemknął wyraz paniki.

– Już idę, tatusiu – odrzyknęła, a następnie zwróciła się znów do Connora: – Muszę już iść. Czy możemy porozmawiać o tym jutro? Proszę...

Connor wahał się, wyzywając się od idiotów, że pozwala, by jej błaganie przełamało jego zagniewanie.

– Josephine!

W jej oczach błysnęła desperacja.

– Connorze O’Leary, jesteś prawym człowiekiem. Wiem, że podejmiesz słuszną decyzję. – Chwyła wiadro i pobiegła w stronę chaty, rzucając mu ostatni raz niespokojne spojrzenie, a następnie zniknęła w środku.

Stał, gapiąc się przez jakiś czas na drzwi, a potem powoli wrócił do konia. W głowie kręciło mu

się od myśli. Jak miał pozwolić, by Joe, a raczej, jak sam się poprawił w myślach, Josephine miała dalej dla niego pracować teraz, gdy wiedział, że była kobietą? Płeć nie powinna mieć znaczenia, bo wiedział, że była w stanie wykonywać tę pracę nawet lepiej niż niejeden z pozostałych stajennych. Ale jej talent nie liczył się dla innych.

Rzeczywistość była taka, że gdyby to się wydało, staliby się pośmiewiskiem dla całego Long Island. Na samą myśl o reakcji taty Connor wzdrygnął się. Ciężko pracował, by zdobyć szacunek ojca, a teraz, kiedy ważyły się losy jego awansu, nie mógł sobie pozwolić, żeby pomyłka z tą dziewczyną zniszczyła jego reputację.

I nieważne było, jak bardzo była piękna.

Nie, Josephine Miller będzie musiała znaleźć sobie inną pracę.

Matthew stał przy drzwiach balkonowych w salonie państwa O'Leary, patrząc na wymarłą przyrodę. Choć bardzo się starał, nie potrafił otrząsnąć się z posepnych przeczuć, które dręczyły go, odkąd zbudził się rano. Być może miało to coś wspólnego z gwałtowną zmianą pogody. Przytłaczające czarne chmury wisiały ciężko na niebie, a silny wiatr zrzucał ostatnie liście z prawie całkowicie огоłoconych drzew.

Jeszcze bardziej prawdopodobne było, że miało to coś wspólnego z obecną porą roku. To właśnie w listopadzie jego młodszy brat, George, zachorował na polio i w tym też miesiącu, rok później, otumaniona żalem matka odebrała sobie życie, zostawiając Matthew samego z ojcem.

Mężczyzna odwrócił się od okna. Phoebe zaczęła chodzić do Whelanów codziennie, żeby uczestniczyć z nimi w lekcjach. Nawet już się do tego zaczął przyzwyczajać. Ale dzisiaj nie chciał jej puścić, bo bał się, że niesprzyjająca pogoda może być niebezpieczna dla jej zdrowia. Gdy dzieci Whelanów przyszły po Phoebe, Deirdre, próbując rozwiać jego obawy, osobiście zadbała o to, by dziewczynka była zawinięta tak szczelnie, jakby się wybierała na biegun północny.

– Może dzisiaj będzie padać śnieg, tatusiu – powiedziała, a w jej oczach, które ledwie wyzierały spod czerwonego berecika pożyczonego razem z szalikiem w tym samym kolorze, błyszczało podekscytowanie. – Betsy mówi, że będziemy mogły zrobić orzelki w śniegu.

Widząc taką dziecięcą radość, Matthew nie potrafił odmówić Phoebe możliwości wzięcia udziału w podobnej przygodzie.

– Bardzo fajny pomysł. – Ucałował ją w policzek, a potem dzieci wybiegły na zewnątrz.

Teraz, w słabnącym, popołudniowym świetle, Matthew walczył z chęcią pójścia do domu Whelanów i przyniesienia córki z powrotem w to miejsce, gdzie mógł jej zapewnić bezpieczeństwo. Czy on kiedykolwiek przewycięży w sobie ten paraliżujący lęk, że ją straci?

– Tu jesteś, doktorze.

Matthew odwrócił się i spostrzegł Deirdre wprowadzającą do pokoju Kathleen na wózku.

Promienny uśmiech Deirdre prawie całkiem rozgonił jego dzisiejsze poczucie przygnębienia.

– Miałam nadzieję, że do nas dołączysz. Mama chciałaby spróbować pograć na pianinie.

Starając się, by jego melancholijny nastrój nie udzielił się paniom, Matthew przybrał na twarz bardziej pogodny wyraz i rzekł:

– W takim razie cieszę się, że mogę tu być.

Deirdre odsunęła taboret od pianina i zajęła wózek matki przed klawiaturę. Podniosła chore ramię Kathleen i położyła jej palce na wykonanych z kości słoniowej klawiszach. Starsza kobieta zacisnęła i rozprężyła sprawną dłoń i położyła ją na właściwe miejsce.

Matthew nie mógł się przestać martwić, jak bardzo to może wpłynąć na jego pacjentkę. Jeśli Kathleen nie uda się osiągnąć tego, na co liczyła, rozczarowanie może spowodować regres. A jednak nie miał prawa zabraniać jej podjęcia tej próby.

Kathleen spojrzała na niego niepewnie.

– Hm, Matthew, sprawdźmy, czy nasza ciężka praca się opłaciła.

Słowa zachęty zamarały mu na ustach. Zdawało się, że nie był w stanie nic zrobić ani powiedzieć.

Nagle poczuł, że jakieś ciepło otula jego dłoń. Zerknął w dół i zobaczył, jak palce Deirdre splatają się z jego. Podniósł wzrok. W jej oczach dojrzał nieznaczne zaniepokojenie i wiedział, że nie jest sam w tym zatroskaniu o Kathleen.

Wciąż trzymając dyskretnie jego dłoń, Deirdre zerknęła ponad ramieniem matki.

– Zacznij, gdy tylko będziesz gotowa, mamó.

Kathleen wzięła głęboki wdech, a potem powoli wypuściła powietrze. Najpierw tylko prawa dłoń poruszała się, uwalniając piękne brzmienia ze wspaniałego instrumentu. Matthew żałował, że nie zna się bardziej na muzyce, bo nie miał pojęcia, kiedy się spodziewać, że chora ręka dołączy.

W końcu przygięte palce uniosły się nad klawiszami. Matthew wstrzymał oddech. Czy będzie miała wystarczająco siły, by wydobyć dźwięk?

Jej opuszki prześlizgiwały się w milczeniu ponad klawiaturą i słychać było tylko muzykę graną prawą ręką. Ale Kathleen nie przerywała gry. Spięte mięśnie karku i ramion pokazywały, z jak wielkim wysiłkiem się mierzyla. Po kilku nieznośnych minutach jej lewa dłoń w końcu zagrała. Kobieta kontynuowała, jakby przepełniło ją na nowo poczucie celu, i dało się słyszeć jeszcze kilka kolejnych dźwięków. Niektóre palce były silniejsze niż inne, ale fakt, że mogła nimi w ogóle poruszać, przepełniał Matthew zachwytem.

Kiedy w końcu dłoń Kathleen się zatrzymała, kobieta odwróciła głowę, a po policzkach płynęły jej łzy.

– Udało ci się, mamó! – Deirdre rzuciła się, by ją przytulić.

Najpierw pojawił się nieśmiały uśmiech, który potem zmienił się w triumfalny śmiech.

– Trzeba jeszcze dużo ćwiczeń, ale na początek to wystarczy. – Kathleen wyciągnęła dłoń w stronę mężczyzny. – Dziękuję, doktorze.

Matthew przełknął gulę dławiących go silnych emocji i uścisnął jej rękę.

– To wszystko twoja praca, Kathleen. To ty włożyłaś w to czas i wysiłek. Ja cię jedynie prowadziłem.

– Mama ma rację. To tobie zawdzięczamy jej sukces. – W oczach Deirdre błyszczały łzy, sprawiając, że jej spojrzenie przywodziło na myśl liście rozświetlone słońcem po letnim deszczu.

Zarzuciła mu ramiona na szyję i ucałowała w policzek.

– Jak my ci się w ogóle odwdzięczymy?

Wyszeptane tuż koło ucha słowa przeszły go dreszczem. Otaczał go upajający zapach wanilii. Kiedy odwzajemnił uścisk, poczuł przemożną chęć, by ją pocałować.

Dyskretne odkasznięcie sprawiło, że czar przysł, a Deirdre odsunęła się cała spłoniona.

– Chyba powinnam odprowadzić mamę do pokoju, żeby odpoczęła trochę przed kolacją.

Matthew założył ręce za plecami, przekonany, że zdradziłyby go drzeniem.

– Jeszcze raz gratuluję, Kathleen.

– Dziękuję, Matthew. – Uśmiech, jaki posłała mu w odpowiedzi, sprawił, że wyglądała o kilka lat młodziej.

Pozostał w salonie jeszcze jakiś czas, bo musiał się uspokoić. Nigdy dotąd nie doświadczył równie mocnego pragnienia wobec kobiety i tak silne uczucie wprawiało go w zdumienie.

Podszedł ponownie do okna i prawie w ogóle nie zaskoczyło go to, że ujrzał płatki śniegu spadające na rozciągający się poniżej uśpiony ogród. Zerknął na zegar na kominku. Phoebe na pewno zaraz wróci. Jeśli pogoda jeszcze się pogorszy, poprosi Deirdre, żeby pojechali do Whelanów konno i sami ją stamtąd odebrali.

Wyszedł na korytarz. Nadal czuł niepokój, nie tylko w związku ze swoją reakcją na bliskość Deirdre, ale też z powodu nadciągającej śnieżycy. Być może spacer na świeżym powietrzu pomoże mu odzyskać równowagę. Mógłby iść w stronę domu Whelanów i jeśli dopisze mu szczęście, spotka dzieci po drodze.

Wyciągnął swój płaszcz z szafy w holu, ale nie zdążył jeszcze go przywdziać, gdy drzwi otworzyły się z hukiem. Rose, Betsy i Phoebe wpadły jedna za drugą do domu, a ich czapki i płaszcze oblepione były śniegiem. Wyraz przerażenia na twarzy Rose zmroził krew w żyłach Matthew.

– Doktorze Clayborne – wydyszała. – Potrzebujemy pomocy.



Ciesząc się, że mama leży już w łóżku, Deirdre wyszła na korytarz i cicho zamknęła drzwi.

Od razu jej uwagę zwrócił hałas dochodzący z przedniej części domu. Ruszyła szybko do holu, chcąc upomnieć dzieci, żeby nie przeszkadzały babci, gdy jednak zobaczyła przerażone twarzyczki dziewczynek, zapomniała o reprimendzie. Zmarszczyła brwi i podbiegła do nich.

– Rose, Betsy, co się stało?

Po policzkach Rose płynęły łzy.

– Ciociu Dee-Dee! Sean jest ranny. Musisz iść i mu pomóc.

Betsy kiwała głową, zagryzając wargę, jak to często czyniła, gdy była poruszona.

Deirdre rzuciła okiem na Matthew, który pochylił się, by podnieść Phoebe. Ich spojrzenia spotkały się. Widziała jego ściągnięte brwi i pełen wzburzenia wzrok.

Musiała zachować teraz spokój. Pochyliła się przed siostrzenicami i poprosiła:

– Opowiedzcie mi dokładnie, co się stało.

– Sean wziął nas na skrót przez las – powiedziała Rose. – Zobaczył lisa i chcieliśmy za nim iść.
– Przerwała, żeby wytrzeć nos rękawiczką. – Ale Sean poślizgnął się i spadł na dół, do strumienia. – Jej oczy na nowo wypełniły się łzami. – I utknął pod gałęzią w wodzie.

Deirdre zaniepokoiła się nie na żarty. W tak zimny dzień to mogło być groźne dla życia chłopca. Zapytała jednak spokojnym tonem:

– Gdzie to wszystko się stało?

– Na skrótach. Tam, gdzie tata w lecie zabiera nas na ryby.

Deirdre wyprostowała się.

– Wiem, gdzie to. – Sięgnęła do otwartej szafy po płaszcz. Akurat dzisiaj, jak na złość, wszyscy mężczyźni z rodziny byli poza domem, więc to ona musiała uratować Seana, zanim się wyiębi. Wkładając okrycie, zwróciła się do siostrzenic: – Idźcie, proszę, do kuchni i poproście panią Harrison, żeby dała wam gorącej czekolady. Czekać tam z nią, aż tata tu po was wróci.

Dziewczynki kiwnęły głowami i zaczęły na nowo wylewać łzy.

– Przepraszamy, ciociu Dee-Dee.

Pochyliła się, by ucałować każdą w policzek.

– Dobrze zrobiłyście, że przyszyłyście tu od razu. Znajdę Seana. Nie martwcie się.

Matthew odstawił córkę na podłogę.

– Phoebe, idź z nimi. Niedługo wrócę.

Gdy tylko dziewczynki się oddaliły, Matthew zaczął zapinać płaszcz.

– Idę z tobą.

Fala ulgi sprawiła, że niemal ugięły się pod nią kolana. Nie będzie sama i jeśli się okaże, że Sean jest poważnie ranny, będzie z nią doktor.

Bez zbędnych słów Deirdre zapięła płaszcz. Pochwycili buty, czapki oraz rękawiczki i chwilę później skoczyli w śnieżycę, w stronę stajni.

Deirdre wbiegła do siodlarni. Rozważała przez chwilę pomysł, by darować sobie siodła, ale ze

względu na brak doświadczenia Matthew oraz trudne warunki atmosferyczne stwierdziła, że będzie bezpieczniej poświęcić te kilka minut na przygotowanie koni. Wybrała dwa siodła oraz uzdy i ruszyła do boksu swojej klaczy, Amber, która wypatrywała już ponad drzwiami, jakby czekała na swoją panią.

Matthew z drugim siodłem dołączył do niej.

– Weź tę samą klacz, na której jechałeś ostatnio – powiedziała. – Zapnij jej popręg. Ja go później dociągnę.

W ciągu kilku minut siedzieli już na koniach i przemierzali pastwisko. Padało tak mocno, że Deirdre musiała często mrugać, żeby otrząsnąć płatki śniegu z rzęs. Starła się nie myśleć o tym, jak długo już Sean musiał radzić sobie w takich warunkach i ile jeszcze im zajmie, żeby do niego dotrzeć.

Jej serce ściśnięte było w szponach strachu.

Proszę, Panie, ochraniaj Seana. Daj nam zdążyć na czas.

Zerkała przez ramię co kilka minut, żeby sprawdzić, jak sobie radził Matthew. Wyglądało na to, że nieźle, choć jechał wolniej niż ona. Kiedy zobaczyli staw, Deirdre skręciła ostro w prawo, w stronę, gdzie, jak pamiętała, powinna być polana. Padający śnieg ograniczał widoczność, więc modliła się, żeby udało jej się znaleźć to miejsce.

Poczekala, aż Matthew znalazł się na tyle blisko, by mógł zobaczyć, gdzie wjechała do lasu, a potem zanurkowała pod gałęzie i wprowadziła konia w zarośla. Trzymała głowę nisko nad karkiem Amber, z niecierpliwością znosząc konieczność tak wolnego kroku. Nie mogła jednak ryzykować na śliskim, nierównym gruncie.

Gdzieś za nią koń Matthew poruszał się jeszcze wolniej i gdyby nie miarowy tętent kopyt, wokoło panowałaby zupełna cisza. W końcu drzewa przerzedziły się i dało się słyszeć cichy szmer płynącej wody.

Deirdre zeskoczyła z grzbietu Amber i zawinęła wodze wokół gałęzi. Bezpieczniej było iść dalej na nogach. Nie była w stanie czekać na Matthew, więc poszła sama. Ufała, że gdy lekarz znajdzie konia, domyśli się, dokąd poszła. Poruszała się jak mogła najciszej. Klucząc między drzewami, wspięła się na pagórek, u stóp którego płynął strumień.

Na szczycie wzniesienia zatrzymała się i zawołała:

– Seanie! Słyszysz mnie?

Czekała, ale nie było żadnej odpowiedzi. Spoglądając w dół stromego zbocza, Deirdre wzięła gwałtowny wdech. Zejście będzie niebezpieczne, biorąc pod uwagę, że teraz jeszcze dodatkowym utrudnieniem był śnieg. Gdyby tylko pomyślała o tym, by przed wyjściem zabrać linę...

Będzie musiała manewrować najlepiej, jak potrafi.

Łapiąc się nagich gałęzi, Deirdre powoli, krok po kroku schodziła w dół. Jej sukienka także nie ułatwiała zadania. Zawołała ponownie, a potem czekała, modląc się w duchu, żeby Sean odpowiedział.

Wciąż jednak nie było nic słyszeć.

Gdy zbliżała się do wody, zaczęła się rozglądać w poszukiwaniu jakichś śladów – czegoś kolorowego, jakiejś tkaniny, czegokolwiek, co świadczyłoby o tym, że Sean jest gdzieś w pobliżu. Kiedy dotarła do rwącego strumienia, omiotła wzrokiem brzeg i znowu zawołała go po imieniu.

Gdzieś w dole strumienia usłyszała jęk. Czy to był Sean, czy może jakieś zwierzę?

– Seanie, gdzie jesteś? – zawołała.

Jedyną odpowiedzią był rozdzierający serce krzyk. Poczula ulgę. Przynajmniej żył i był przytomny.

– Już idę! – wrzasnęła, ale wiatr porwał jej słowa.

Deirdre biegła w stronę, z której dobiegł tamten dźwięk, nie zważając na gałęzie i zarośla smagające ją po twarzy. W końcu dostrzegła coś kolorowego... niebieską, włóczkową czapkę Seana. Przedzierała się tam najszybciej, jak umiała.

Sean leżał na skraju strumienia, a część jego ciała uwięziona była pod pniem drzewa.

Dobry Boże, spraw, by wszystko było dobrze.

Nie zwalniała, dopóki nie dotarła do niego.

– Seanie, to ja, ciocia Dee-Dee.

Otworzył oczy. Był blady na twarzy, a jego usta były sine. Deirdre poczuła, że serce podeszło jej do gardła. Położyła dłoń w rękawiczce na jego ramieniu, pytając:

– Gdzie się skaleczyłeś?

– Noga – jęknął.

Zeszła jeszcze trochę w dół zbocza. Dolna część jego ciała była zanurzona w lodowatej wodzie, a lewa noga tkwiła pod drzewem. Musiałaby unieść najcięższą część pnia, żeby go uwolnić. Zagryzła wargi, gdy ogarnęło ją poczucie beznadziei i rozpacz.

Potrzeba było jakiegoś cudu.



Matthew czuł piekący ból w nogach, które z obawy zaciskał mocno na bokach konia. Szczególnie bolała go ta, w którą kiedyś był ranny. Pochylając się nisko nad karkiem zwierzęcia, ścisnął wodze w zmarzniętych palcach, skupiając całą uwagę na tym, by się utrzymać w siodle, nie pozwalając sobie na niepokojące myśli, że być może będzie potrzebny, by ratować życie Seana Whelana.

Teraz mógł tylko się modlić, żeby znaleźli gdzieś chłopaka całego i zdrowego, może cierpiącego jedynie na drobne odmrozenia. Jednakże niezależnie od tego, z jakim wstrętem myślał o tej wyprawie, nie mógłby pozwolić, żeby Deirdre pojechała sama.

Szorstkie gałęzie smagały go po szyi i twarzy, kiedy koń przedzierał się przez las. Stracił Deirdre

z oczu i miał tylko nadzieję, że jego wierzchowiec poradzi sobie i pójdzie jej śladem. W końcu, gdy drzewa wreszcie się przerzedziły, Matthew uniósł głowę. Koń Deirdre stał samotnie, bez jeźdźca, na drodze przed nim.

Dokąd ona poszła?

Jego klacz również zwolniła, jakby jedno zwierzę wysłało drugiemu niemą wiadomość. Matthew rozprostował sztywne palce, rozluźnił uda i zeskoczył z grzbietu konia. Słabsza noga ugięła się pod nim, ale złapał się siodła, by zachować równowagę.

Przez chwilę próbował znaleźć oparcie dla niepewnych nóg, a potem ruszył przed siebie, idąc po śladach w śniegu, które prowadziły na małe wzniesienie górujące nad bystrym potokiem. Odciski butów schodziły dalej w dół zbocza, aż do wody.

Matthew wziął głęboki wdech. Powietrze było tak zimne, że aż poczuł ból w płucach. Potem ruszył po śladach. Gdy od strumienia dzielił go jakiś metr, usłyszał swoje imię.

– Matthew, potrzebuję pomocy. Tutaj. – W głosie Deirdre dało się słyszeć panikę.

Szedł ponad pokrytymi śniegiem korzeniami, aż zauważył ją koło zwałonego drzewa. Serce rzęziło mu jak silnik, któremu nagle skończyło się paliwo. Deirdre stała zanurzona po kolana w lodowatej, burej wodzie. Jej wydęty płaszcz falował wokół niej. Podniosła głowę i dostrzegł jej spięte rysy.

– Sean utknął. Potrzebuję pomocy, żeby podnieść to drzewo.

Matthew spiął się, gotów ruszyć od razu do dzieła. Zrobiłby wszystko, co trzeba, żeby tylko doprowadzić chłopca bezpiecznie do jego matki.

Trochę idąc, trochę się ześlizgując, pokonał drogę w dół zbocza i zatrzymał się nagle na widok tego, co zobaczył. Sean z nogami zaklinowanymi pod drzewem zanurzony był częściowo w strumieniu. Przerazenie ścisnęło wnętrze lekarza.

Chłopiec był cały czas w wodzie.

Matthew wyciągnął rękę w stronę Deirdre.

– Chodź, przejdź od drugiej strony. – Chciał, żeby wyszła z paraliżująco zimnej wody.

Uchwyciła się mocno jego dłoni i kiedy wyciągnął ją na brzeg, znalazła się blisko jego piersi. Spojrzała na niego udreńczonym wzrokiem.

– Wszystko będzie dobrze – powiedział, chyba bardziej jednak próbując przekonać samego siebie niż ją.

Przełknęła ciężko, skinęła głową i odsunęła się.

Matthew zacisnął zęby i zanurzył się w lodowatej wodzie, skupiając całą uwagę na przerażonej twarzy chłopca. Mroźne uderzenie było tak mocne, że odbierało oddech.

– Dobrze, Seanie, teraz podniesiemy to drzewo. Kiedy to zrobimy, chcę, żebyś wyciągnął nogę. Dasz radę?

Chłopiec nieznacznie kiwnął głową. Jego zęby szczękały z zimna. Matthew spojrział na korony drzew, z przerażeniem zauważając, że opady śniegu gwałtownie się nasilają. Będą musieli się pospieszyć.

Gdy Deirdre była gotowa, Matthew chwycił drzewo.

– Na trzy. Raz, dwa, trzy. – Stęknął i dźwignął, wkładając w to całą siłę, jaką był w stanie z siebie wykrzesać. Z pomocą Deirdre drzewo ruszyło się do góry.

– Seanie, wyciągnij nogę. – Matthew nie był nawet w stanie zwolnić jednej ręki, żeby mu pomóc, bo drzewo spadłoby z powrotem. – Dasz radę.

– Nie... nie czuję nóg.

Matthew dostrzegł spojrzenie Deirdre i potrząsnął przecząco głową. Ręce piekły go od ciężaru. Musieli opuścić drzewo. Ze wszystkich sił starał się nie zwracać uwagi na ostry ból w stopach i łydkach. Potrzebowali innego sposobu. Sean nie miał czucia w nogach. Matthew nie wiedział, czy to od zimna, czy z powodu uszkodzenia kręgosłupa, ale rozumiał, że trzeba będzie pomóc chłopcu się wydostać.

– Deirdre, następnym razem ja podniosę pień, a ty wyciągnij Seana.

Zmarszczyła czoło, ale przysunęła się bliżej zaklinowanej nogi chłopca.

Matthew wziął dwa głębsze wdechy i nagle uświadomił sobie, że prosi Boga o pomoc, żeby dźwignąć samodzielnie ciężkie drzewo.

– Gotowa?

Gdy skinęła, włożył w to cały wysiłek i napinając mocno mięśnie ramion, uniósł pień. Ręce mu się trzęsły, ale w końcu drzewo ruszyło.

– Teraz!

Deirdre ciągnęła z całych sił. Nic się jednak nie stało.

Matthew jęknął, a ramiona drżały mu od wysiłku. Czuł palący ból w dłoniach. Mokra rękawiczki ześlizgły się trochę i bał się, że nie będzie w stanie dłużej wytrzymać.

– Pospiesz się!

Deirdre szarpnęła mocniej. Nagle spodnie Seana rozdarły się i noga stała się wolna.

Drzewo wysunęło się z uścisku Matthew i spadło z hukiem z powrotem do wody, ochlapując go lodowatą kaskadą. Mężczyzna wydrapał się na brzeg strumienia, ciężko dysząc. Przeszywający wiatr smagał go po twarzy i szyi. Mokry śnieg przenikał przez spodnie, dodatkowo wzmacniając piekący ból w chorym udzie.

Deirdre ułożyła głowę Seana na kolanach i patrzyła na Matthew, mierząc go pełnym zaniepokojenia, pytającym wzrokiem.

Podszedł do nich i ściągnął przemoczone rękawice, próbując wymacać prawie całkiem przemarznięte nogi chłopca. Wyglądało na to, że nie było złamania. Przerwał, zastanawiając się, co robić dalej. Jeśli dziecko miało uraz kręgosłupa, nie powinien go ruszać, ale jeszcze ważniejsze teraz było to, żeby go rozgrzać. Mógł umrzeć z powodu nadmiernego wyziębienia organizmu.

Najdelikatniej, jak potrafił, wziął Seana na rękę.

– Zajmiemy się tobą, Seanie. Wytrzymaj jeszcze trochę.

Chłopiec miał zamknięte oczy. Czy w ogóle był przytomny?

Matthew i Deirdre w milczącym porozumieniu podjęli drogę powrotną na drózkę ponad strumieniem. Kobieta podpierała ramię Matthew, kiedy wspinali się zboczem, i odginała gałęzie oraz zarośla wystające ze śniegu.

– Czy jest tu w pobliżu jakieś schronienie? – zapytał Matthew, gdy tylko dotarli na szczyt, mając nadzieję, że ona pojmie, jak ważne było to pytanie.

Deirdre rozejrzała się, jakby chciała znaleźć coś pomiędzy drzewami, a potem kiwnęła głową.

– Jest stara chatka myśliwska. – Zmarszczyła brwi. – Chyba trochę dalej na zachód. Ale nikt nie używał jej od lat.

– To będzie musiało nam wystarczyć.

Kiedy dotarli do koni, Deirdre chwyciła za wodze i wskoczyła na grzbiet swojej klaczy.

– Daj mi Seana. Lepiej sobie poradzę z jazdą i transportem chorego niż ty.

Matthew wiedział, że nie było sensu się spierać. Podał jej chłopca i dosiadł swojego wierzchowca. W mięśniach ud i ramion czuł rozdzierający ból, a kończyny piekły go od przemrożenia.

Jego klacz stąpała ciężko, a on modlił się, żeby szybko udało im się odnaleźć chatę.

To była ich jedyna szansa, by przeżyć to spotkanie z lodowatym strumieniem.

Konie brnęły przez pokrytą śniegiem drogę, a Deirdre miała nadzieję, że to właśnie ta, która prowadzi do starej myśliwskiej chaty jej ojca. Razem z Connorem jako dzieci bawili się tam często, ale wśród wirujących płatków śniegu dosyć kiepsko radziła sobie z orientacją w terenie.

Strach ścisnął jej serce w lodowatym uścisku jeszcze bardziej niż przenikliwe podmuchy. A co, jeśli prowadziła ich niewłaściwą drogą i zgubią się gdzieś w lesie? Podczas takiej śnieżycy nikt ich nie znajdzie i zamarzną na śmierć.

Powstrzymała ogarniające ją przerażenie. Dla dobra ich wszystkich musiała zostać przy zdrowych zmysłach. Przede wszystkim ze względu na Seana. Deirdre nie mogła pozwolić, żeby cokolwiek stało się pierworodnemu jej siostry.

Mocniej otuliła chłopca ramieniem. Do tej pory Bóg był przy nich cały czas. Musiała zaufać, że pomoże im przejść i przez to.

Gałęzie cięły ją po twarzy, a potem kapelusz zaczepił o jedną z nich i został na drzewie. Wiatr rozwiewał jej włosy, wyszarpując je z upięcia i rzucając kosmyki na oczy. Pochyliła się nad Seanem, żeby osłonić go przed naporem atakującej ich śnieżycy.

Wreszcie wjechali na polanę. Deirdre podniosła głowę i serce zabiło jej szybciej. Nawet w tej zawiei udało jej się rozpoznać drzewo o charakterystycznym kształcie, które rosło nieopodal chaty. Ich schronienie powinno być za najbliższym zakrętem.

– Jesteśmy prawie na miejscu! – wykrzyczała przez ramię, licząc, że Matthew usłyszy.

Chwilę później zalało ją miłe uczucie ulgi, gdy dostrzegła znajomy kształt zabudowania. *Dziękuję, Panie!* Deirdre pokierowała Amber do słupka obok chatki i poczekała aż Matthew dojedzie i przejmie od niej Seana. Potem zeskoczyła z siodła i poprowadziła obie kłaczki do wiaty, którą tata wybudował dla zwierząt. Choć bardzo chciała odpowiednio zająć się końmi, nie mogła sobie pozwolić na taki luksus. Zdrowie Seana było ważniejsze.

Wspięła się po rozklekotanych drewnianych stopniach do drzwi, które Matthew zostawił na wpół otwarte, i weszła do środka. Gdyby nie kurz, chata wyglądałaby na nietkniętą zębem czasu. Ogromne, kamienne palenisko dominowało w dużym pokoju. W kącie stał drewniany stół z dwoma krzesłami.

Gdy Matthew układał Seana na zakurzonej kanapie, Deirdre podeszła do kominka, wzięła pudełko zapalek z gzymsu i otworzyła je sztywnymi palcami. Spłynęła na nią fala ulgi. Mieli od czego zapalić ogień. W koszu koło kominka było pełno drewna i podpałka. Dzięki Bogu tata zawsze zostawiał najpotrzebniejsze rzeczy przygotowane dla kogoś, kto mógłby szukać tutaj schronienia.

Podawała zapalki Matthew i poszła do sypialni, by poszukać jakichś koców albo kołder. Ściągnąwszy pościel z łóżka, pozносиła wszystko do głównego pomieszczenia.

Doktor przysunął kanapę bliżej do paleniska, gdzie zaczynał się już tlić pierwszy ogień.

– Pomóż mi rozebrać Seana z tych mokrych ubrań.

Deirdre rzuciła pościel, zdjęła sztywne od zimna rękawiczki i zaczęła rozpinać płaszcz Seana, podczas gdy Matthew zajął się ściąganiem jego przemoczonych butów. Szamocząc się z guzikami, Deirdre odczuwała coraz bardziej piekący ból w palcach. W końcu udało jej się je rozpiąć i rozebrała chłopca z mokrego płaszcza. Matthew zdjął mu rozdarte spodnie i wełniane skarpety. Z długiego rozcięcia na lewym udzie sączyła się krew. To pewnie tu uderzyło go upadające drzewo. Przez drobne ciało przechodziły dreszcze.

– Dreszcze to dobry znak – oświadczył Matthew. – Kiedy organizm nie jest w stanie drzeć, to znaczy, że z chorym jest bardzo źle.

Deirdre skinęła głową, starając się nie zwracać uwagi na coraz gorszy stan jej własnych kończyn.

– Z tego, co mnie uczono na studiach, powinniśmy najpierw rozgrzać jego tors.

– Słusznie. – Matthew rozpiął swój płaszcz i ściągnął z siebie mokry szalik. – Ja zajmę się raną, a ty go wytrzyj.

Jednym z koców kobieta delikatnie osuszała ciało chłopca, starając się nie pocierać zbyt delikatnej skóry. Matthew wyjął większe zanieczyszczenia z rany i używając stopionego śniegu, obmył ją, a potem obwiązał szalik dookoła nogi. Gdy skończył, wziął kolejny suchy koc i owinął chłopca prawie jak mumię, pozostawiając tylko trochę luzu w nogach.

– A jak tam z jego palcami u stóp? – Deirdre starała się opanować własne zaniepokojenie wobec faktu, że Sean nawet nie drgnął podczas tych wszystkich czynności.

– Już je sprawdzam. – Spojrzał na nią poważnie. – Ale najpierw ty też musisz się wysuszyć.

– Poradzę sobie. Sean musi...

– Deirdre!

Jego surowy ton sprawił, że nie spierała się już dłużej.

– W porządku. Przebiorę się w pokoju obok. – Odgarnęła włosy z twarzy, nagle zauważając, że ma dreszcze. Nie zważając na ból stóp, wzięła jeden z koców i ruszyła w stronę drzwi. Po dwóch krokach jednak nogi odmówiły jej posłuszeństwa i przewróciła się bezwładnie.

Jak przez jakąś mgłę czuła, że Matthew wziął ją na ręce i przeniósł na krzesło koło ognia. Następnie uklękła i zaczął ściągać jej trzewiki.

Deirdre nie była nawet w stanie poruszyć palcem, żeby mu pomóc. Przez całą tę adrenalinę czuła się teraz słaba jak niemowlak.

Matthew odstawił jej buty na bok i podniósł głowę, a ich spojrzenia się spotkały.

– Muszę teraz zdjąć twoje pończochy.

Pokiwała tylko głową i zamknęła oczy. Sięgnął jej pod spódnicę, wciąż jeszcze sztywną od lodu i zsunął jej wełniane pończochy. Kiedy Matthew delikatnie osuszał jej nogi i stopy, Deirdre czuła

w palcach piekący ból. Zacisnęła usta. Przynajmniej ta niedogodność zajmowała ją na tyle, by nie myślała o tym, w jak bardzo krępującej sytuacji się znajdowała. Jedynie całkowite zaufanie, jakim darzyła Matthew, sprawiło, że zdołała znieść ten incydent.

Zdjął także jej płaszcz i zarzucił na ramiona gruby koc.

– Czy dałabyś radę wstać, żeby ściągnąć spódnicę?

– Chyba tak.

Pomógł jej stanąć na nogach i upewniwszy się, że stoi stabilnie, odwrócił się, by dorzucić do ognia.

Pod okryciem koca zrzuciła z siebie na podłogę przesiąkniętą wodą odzież i z powrotem opadła na krzesło, otulając się szczelnie miękkim materiałem. Była zanurzona w wodzie tylko po kolana, więc na szczęście miała suchą bieliznę. Wzięła głęboki wdech i próbowała zebrać w sobie siły. Matthew i Sean potrzebowali jej. Nie mogła ich zawieść.

Drzwi skrzypnęły. Spojrzała w tamtą stronę i zobaczyła w wejściu Matthew z metalowym wiadrem w dłoni.

– Idę nabrać trochę śniegu, żeby go stopić. Zaraz wrócę – powiedział i zniknął na zewnątrz.

Zimno zaczęło ustępować, gdy tylko ciepło od ognia ogrzało jej policzki. Gdyby nie ból w nogach, mogłaby tu zasnąć. Okryta kocem jak peleryną, Deirdre podeszła do siostrzeńca, tak niewinnego i bezbronniego. Położyła się za jego plecami na kanapie i otuliła go ramionami, pragnąc przekazać mu z własnego ciała ciepło i życie.

Proszę, Panie, spraw, byśmy wiedzieli, co będzie najlepsze dla Seana. Obdarz go swoją uzdrawiającą łaską.

W myślach zobaczyła swojego brata Danny'ego, który utonął, gdy miał zaledwie rok więcej niż Sean. Nie mogli stracić kolejnego dziecka.

Jej rodzina by tego nie przeżyła.



Pośród zamieci śnieżnej i wiatru Matthew wszedł do chaty i zamknął za sobą drzwi. Tupnął, otrzepując śnieżną breję z butów i podniósł wiadro nad ogień, wieszając je na haku ponad płomieniami, tak by śnieg się stopił.

Wyprostował się i spojrzał w stronę kanapy. Deirdre wślizgnęła się obok śpiącego chłopca. Leżała z zamkniętymi oczami, jedną ręką obejmując siostrzeńca w opiekuńczym geście. Wzruszenie ścisnęło Matthew za gardło.

Los tych dwóch bezbronnych osób leżał teraz w jego rękach. A on nie miał przy sobie żadnych medykamentów. Nie miał nic poza brudnym schronieniem, ogniem i śniegiem. Zalała go potężna fala bezsilności i lęku. Jak miał zachować ich przy życiu, posiadając tylko tak podstawowe rzeczy?

Z moją pomocą. – Te słowa pojawiły się w jego głowie jak szept i wstrząsnęły nim do głębi. Czy

modlitwa mogłaby cokolwiek pomóc? Próbował tego, kiedy Priscilla i Phoebe były tak chore, a mimo to jego żona umarła. Próbował modlić się na polu walki za poważnie rannych żołnierzy, a jednak większość z nich nie przeżyła. On sam ledwie przetrwał.

Dlaczego więc Bóg miałby mu teraz pomóc?

Matthew podszedł do kanapy. Miarowe oddechy kobiety i chłopca nieco go uspokajały. Odchylił koc Seana i sprawdził jego stopy. Nadal były sztywne od zimna. Matthew, masując jedną stopę, chuchał na nią delikatnie, by ją rozgrzać. Uważając, żeby nie obetrzeć skóry, powtórzył to samo z drugą stopą, a potem sprawdził ręce chłopca. Ich temperatura była bardziej zbliżona do normalnej, więc odłożył je z powrotem na brzuchu Seana i owinał znowu chłopca kocami. Tak samo zrobił ze stopami Deirdre, a potem otulił ją szczelnie. Na wszelki wypadek okrył ich jeszcze oboje dodatkową kołdrą. Wiedział, że trzeba czasu, by rozgrzać ciało, i że najważniejsze jest zachować cierpliwość i nie próbować robić tego zbyt szybko.

Matthew podniósł się z kolan i ostre uczucie rwania w stopach przypomniało mu, że musi też zająć się sobą. Zdjął swoje buty i skarpety, ułożył je w pobliżu ognia obok pozostałych, podwinął przemoczone nogawki spodni i wysuszył stopy. Następnie przysunął sobie krzesło blisko paleniska i wyciągnął nogi w stronę ciepła.

W głowie kłębiły mu się myśli przeniknięte bezradnością i frustracją. Jedynym, co mu teraz zostało, niezależnie od tego, czy mogło pomóc, czy nie, była modlitwa. Zamknął oczy i wylewał rozdzierające serce błagania przed Wszechmocnym.

Proszę, Panie, nie pozwól temu chłopcu umrzeć przeze mnie. Prowadź mnie, żebym uczynił to, co najlepsze dla niego, to, co pomoże mu wyzdrowieć. Daj pokój jego rodzicom i wszystkim, którzy martwią się teraz o niego. I proszę, obdarz również Deirdre Twoim uzdrowieniem.

Musiał chyba zasnąć. Sam nie wiedział, na jak długo, ale kiedy się zbudził, ogień prawie całkiem wygasł. Szybko dorzucił więcej drewna i zapalił jeszcze kolejną zapalną, by płomień rozbłysnął na nowo. Ich przeżycie zależało od tego ciepła.

Kiedy powtórzył swoje zabiegi wobec Seana i obmył jego ranę wodą ze stopionego śniegu, przeszedł do Deirdre. Ostrożnie odstłonił jej stopy i na nowo wykonał wszystkie czynności, by je rozgrzać. To było niewiarygodnie intymne doznanie, kiedy trzymał jej delikatną stopę w swoich ciepłych już dłoniach. Modlił się tylko w duchu, żeby się nie obudziła i nie zastała go w takiej krępującej sytuacji.

Otulił już ją z powrotem kocem, a potem podniósł jej chłodną rękę i ujął w swoje dłonie. Dmuchał w ich stykające się palce, starając się je ogrzać. Jednocześnie wpatrywał się w jej piękną twarz – długie rzęsy opadające na policzki, drobny pieprzyk pod brwią. Odgarnął kosmyk włosów z jej czoła, próbując opanować dławiący go strach. Jego najgorszy koszmar znów dochodził do głosu. Po raz kolejny życie kobiety, na której mu zależało, a także bezbronного dziecka było w jego rękach.

Czy tym razem również zawiedzie?

Zaciął się w mocnym postanowieniu. Nawet jeśli Bóg nie będzie chciał odpowiedzieć na jego modlitwy, Matthew nie powinien – nie może! – po raz kolejny zawieść.

Zaczęła do niego docierać prawda. Najpierw nieśmiało rodziła się w głowie, a potem odnajdywała drogę do jego zmaltretowanego serca. Uczucia tak mocne, że nie dało się im zaprzeczyć,

przenikały każdą jego komórkę. Choć Matthew troszczył się o swoją zmarłą żonę, nigdy nie był w niej zakochany. I choć bardzo smucił się z powodu odejścia Priscilli, przeżywał ten żal głównie z powodu Phoebe, która miała dorastać bez matki. Wiedział z własnego bolesnego doświadczenia, że nic nie zastąpi prawdziwych więzi.

Teraz, gdy muskał palcami blady, satynowy policzek Deirdre, był pewien, że nigdy wcześniej z nikim nie łączyło go nic podobnego. Jedynie jego oddanie wobec córki było z tym porównywalne – ta relacja, umocniona dzięki tej wspaniałej, odważnej kobiecie, która oddawała się całkowicie wszystkim, których kochała.

Ponownie ujął jej dłoń w swoje ręce, ale gdy Deirdre się poruszyła, szybko ją puścił.

Kobieta zamrugła w słabym świetle ognia i spojrzała na niego spod przymrużonych powiek.

– Matthew. – Spróbowała się podnieść, od razu skupiając się na Seanie. Poglaskała chłopca dłonią po policzku. – Jak on się czuje?

– Wciąż śpi. Ale wydaje mi się, że stopniowo się rozgrzewa. – Nie potrafił oderwać wzroku od kaskady włosów opadających na jej ramiona. – A jak ty się czujesz? Bolą cię ręce albo stopy?

Zmarszczyła nos i odparła:

– Pieką mnie stopy.

– Masz lekkie odmrożenia, ale powinno być dobrze.

Zacisnęła palce u rąk i przyjrzała mu się badawczo.

– Trzymałeś moją dłoń?

Ciepło oblało mu kark i nagle zauważył, że koniecznie trzeba dołożyć do ognia.

– Sprawdzalem tylko, czy jest ciepła. – Nie ośmielał się nawet na nią spojrzeć, w obawie, iż jego uczucia mogłyby być wypisane na twarzy.

Podniósł się i przeszedł do okna. Wyrzwał na zewnątrz, niezbyt udolnie próbując ocenić godzinę, ale ciemność zwieszająca się ponad drzewami i gęsto padający śnieg uniemożliwiały jakiegokolwiek domysły. Mógł być wczesny wieczór albo środek nocy. Gdyby tylko dzisiaj miał przy sobie swój zegarek kieszonkowy.

Z czarnej szyby patrzyło na niego jego własne, nieostre odbicie, a blask ognia stanowił jasne tło.

Byli sami w lesie i wyglądało na to, że pozostaną tu aż do końca śnieżycy. Aż do czasu, gdy O’Leary’owie nie wyślą ekipy poszukiwawczej, co, uwzględniając pogodę, nie wydawało się zbyt prawdopodobne.

Matthew wpatrywał się w swój ponury obraz w ciemnej szybie. Jedyną rzeczą, którą nade wszystko się szczycił, była jego prawość. Był człowiekiem honoru i zrobiłby, co tylko trzeba, jako doktor, jako mężczyzna, żeby ochronić tę kobietę i dziecko. Nieważne, jakie konsekwencje musiałby za to ponieść.

– Matthew?

Drgnął zaskoczony i wyrwany ze swojego zamyślenia.

Deirdre stała obok niego, otulona kocem, a na jej twarzy malowała się troska.

– Chyba nie ukrywasz czegoś przede mną, prawda? – Z włosami rozpuszczonymi na ramionach wyglądała na znacznie młodszą.

Przeniknęła go fala czułości i spróbował się uśmiechnąć.

– Wszystko dobrze. Poza tym, że śnieżycy nie odpuszcza. Obawiam się, że będziemy tu uwięzieni do czasu, aż minie.

– Nie przeszkadza mi to... dopóki ty tu jesteś. Wiem, że zapewnisz nam bezpieczeństwo. – Wpatrywała się w niego z taką ufnością, że odebrało mu dech.

W tej chwili nie pragnął niczego bardziej od tego, by ją pocałować. By znaleźć potwierdzenie, że oboje żyją, że przeżyli. Przysunął się bliżej i pogładził dłonią jej policzek. Jej źrenice rozszerzyły się, a oddech przyspieszył. Wokół unosił się zapach palonego drewna. Zamknął oczy, westchnąwszy. Choć tak bardzo tego pragnął, to nie byłoby właściwe. Nie w sytuacji, gdy byli w zasadzie sami w lesie.

Matthew był dumny z tego, że jest dżentelmenem, a dżentelmen nigdy nie wykorzystywałby w ten sposób takiej sytuacji. Uśmiechnął się do niej lekko i rzekł:

– Chodźmy się czegoś napić. – Ująwszy ją za rękę, poprowadził w kierunku wiadra, które następnie zdjął z ognia. Wcześniej w szafce znalazł blaszany kubek, chochlę i łyżkę. Nalał trochę przegotowanej wody do kubka i podał kobiecie.

Najpierw pociągnęła łyk, a potem wypila całą zawartość.

– Dziękuję. – Postawiła kubek na stole i zaczęła grzebać w szafkach. – Dobrze by było, gdybyśmy znaleźli coś do jedzenia.

– Nie ma. Sprawdzalem wcześniej. Powinnaś oszczędzać stopy, by nie podrażniać skóry.

Zaprowadził ją z powrotem na kanapę. Okazało się jednak, że Sean przekręcił się tak, iż zajmował teraz większość powierzchni. Zamiast się kłaść, Deirdre usiadła na krześle koło kominka.

Matthew nalał jeszcze trochę wody dla chłopca. Uniósł jego głowę i zdołał wlać kilka kropli w spękane usta. Nawet niewielka ilość płynu pomoże mu uniknąć odwodnienia.

Sprawdził temperaturę ciała Seana, żalując niepomniernie, że nie ma termometru. Chłopiec był już chyba cieplejszy niż ostatnim razem i Matthew wznosił dziękczynną modlitwę. Owinął go na nowo kocami, a potem przyniósł drugie krzesło, żeby usiąść obok Deirdre przy ogniu.

– Tata, Connor i Gil będą nas szukać. Gdy tylko wrócą z miasta. – Kobieta zapatrzyła się w płomienie. – Szkoda, że nie mamy ich jak powiadomić, że jesteśmy cali.

Matthew pokiwał głową.

– Miałem nadzieję, że uda nam się wrócić, gdy tylko minie zagrożenie dla Seana, ale chyba będziemy musieli poczekać, aż skończy się śnieżycy.

Matthew pragnął ukoić troski Deirdre. Musiał znaleźć jakiś sposób, by zwrócić jej myśli na inną tory.

Inne niż zadręczanie się o rodzinę.

Inne niż jego skupienie na tym, że są tu we dwoje, w tak intymnym otoczeniu – sami.

Deirdre usadowiła się wygodnie na krześle, pozwalając, by ciepło ognia łagodziło drzenie jej ciała, chociaż wyglądało na to, że nic nie mogło pomóc jej rozedrganemu sercu. Było tak blisko tragedii. Tylko dzięki Bożej łasce udało im się znaleźć tę chatę.

W przeciwnym razie z pewnością by zginęli.

Setki razy dziękowała Bogu za to, że nie jest sama, że jest z nią Matthew i wspiera ją swoim spokojem.

– Powiedz zatem, kiedy planujesz wrócić na studia? – Niski męski głos niósł ukojenie. Pozwoliła, by kołysał ją i oddalał troski. Była dalej od tych dolegliwości, które trapiły jej ciało.

Zerknęła na miejsce obok, gdzie siedział.

– Nie wcześniej niż mama stanie na nogi i będzie mogła sobie sama radzić.

– To może potrwać miesiącami. Czy będą dla ciebie trzymać miejsce na uczelni?

To pytanie ostatnio prześladowało również Deirdre. Wyjechała już prawie sześć tygodni temu. Jak w ogóle sobie poradzi z nadrobieniem tego wszystkiego, co ją ominęło?

– Nie wiem. Pewnie będę musiała zacząć w najbliższym semestrze. – Uniosła brodę, zdecydowana nie nastawiać się negatywnie. – Ale dobrze byłoby doprowadzić mamę do dobrego stanu.

– To szczęście, że ma ciebie – stwierdził szorstkim głosem. – Wiem, jak to jest być niesprawnym, z dala od domu i rodziny. Nie życzyłbym tego nikomu.

Deirdre z żalem pomyślała o nim, gdy był ciężko ranny w obcym kraju.

– Twoja żona pewnie bardzo rozpaczała.

Jakieś polano przemieściło się w palenisku, wzniecając snop iskier. Matthew klepięciem dłoni zgasił pojedynczy ognek, który wylądował na jej kocu.

– Z listów Priscilli wynikało, że się martwi, ale też, że jest zła. Nie chciała, żebym dołączył do walki, i traktowała to jako mój wymysł.

– Musiało być ci ciężko wyjeżdżać ze świadomością, że ona tak to odbiera.

– To prawda. – Przerwał. – Zwłaszcza gdy powiedziała mi, że prawdopodobnie jest przy nadziei. Choć, muszę przyznać, początkowo myślałem, że kłamie, by mnie zatrzymać.

Deirdre próbowała wyobrazić sobie, jakby się czuła, gdyby mężczyzna, którego kocha, jej mąż, miał wyjechać na wojnę.

– Priscilla nie lubiła żadnych zmian w życiu, które zaplanowała – mówił dalej Matthew z goryczą

wypisaną na twarzy. – Mimo to powinienem był bardziej respektować jej obawy.

Deirdre poprawiła się na twardym krześle i choć przez chwilę się wahała, nie wytrzymała.

– Wybacz, że to mówię, ale wydaje mi się, że nie rozumieliście się za dobrze.

Mięśnie jego twarzy spięły się nagle.

– Przepraszam. To nie moja sprawa – dodała szybko.

Westchnął ciężko.

– Słusznie to stwierdziłaś. Ożeniłem się z Priscillą, bo wtedy wydawało mi się to rozsądne. Niestety, nie spełniłem jej oczekiwań jako mąż.

Deirdre poczuła bolesne ukłucie żalu nad Matthew. Żona powinna być pocieszeniem i wsparciem dla rannego męża. Priscilli Clayborne najwyraźniej daleko było do tego.

– To musiał być dla ciebie okropny czas.

Pokiwał głową, wpatrując się w ogień, a następnie potarł dłonią udo.

– Gdy wróciłem do Anglii, próbowałem jej to zrekompensować dla dobra Phoebe, ale to nic nie dało. Potem Priscilla zachorowała.

Deirdre sięgnęła w jego stronę, kładąc dłoń na jego ręce.

– Nawet nie potrafię sobie wyobrazić cierpienia, którego doświadczyłeś, patrząc na ich chorobę.

Kiedy odwrócił się w jej stronę, w jego oczach było widać, że przechodzi katusze.

– Wolałbym przeżyć dziesięć lat na polu bitwy niż znosić kolejną chorobę mojej córki – oświadczył. Potem przez kolejne kilka minut nie mówił nic, aż nagle wychrypiał szeptem: – Śmierć Priscilli to moja wina. Czekałem zbyt długo, by wysłać ją do sanatorium. Jej rodzice wciąż mnie o to oskarżają.

Deirdre poczuła wielką bezsilność i frustrację, kiedy dotarło do niej, jak wielki żal przytłaczał Matthew. Przypomniała sobie jego gburowate zachowanie, kiedy się poznali, i po raz pierwszy pojęła, jak ogromne cierpienie ukształtowało jego wnętrze. Te rzadkie przejawy niezdecydowania wobec pacjentów stawały się teraz zrozumiałe. Słyszała już kiedyś o lekarzach, którzy tracili wiarę w siebie, bo czuli się odpowiedzialni za śmierć jakiegoś człowieka.

Uścisnęła mocniej jego dłoń i rzekła:

– Nie pozwól im podważać twoich kompetencji, Matthew. Pracowałam z wieloma medykami i muszę przyznać, że jesteś świetnym lekarzem.

Potrząsnął ze smutkiem głową.

– Chciałbym w to wierzyć. – Wstał i po raz kolejny podszedł, by sprawdzić stan Seana, jakby

pragnął udowodnić, że nie uchyla się od swoich obowiązków.

Serce Deirdre ścisnęło się, gdy na niego patrzyła. Jak to możliwe, żeby Matthew nie był świadomy swojej wartości? Gdyby nie on, Sean już by nie żył.

Mężczyzna wrócił na krzesło obok niej.

– Powinnaś odpoczywać. Nie chciałem, żebyś się rozchorowała przez to niefortunne zdarzenie.

– Nawet gdyby, to będzie moja wina. – Wyrzuty sumienia, które ciążyły jej nieznośnie, teraz wypłynęły na powierzchnię.

Popatrzył na nią zdezorientowany.

– Jak to twoja wina?

– Działałam bez zastanowienia. Byłam gotowa sama wyruszyć mu na pomoc. Gdyby tak było, Sean by nie przeżył. – Gdy tak na głos przyznała się do swojej bezmyślności, łzy same popłynęły jej z oczu.

– To nieprawda...

– Ależ tak. Nie zdołałabym sama podnieść tego drzewa. Musiałabym wrócić się po pomoc, a wtedy byłoby za późno. – Otarła dłonią oczy. – To ty ocaliłeś życie Seanowi.

Przypatrywał się jej uważnie, a na jego twarzy odbijało się światło z kominka.

– Ale to ty wiedziałaś o tej chacie. Gdybym musiał zawieźć Seana do domu w takiej śnieżycy, sprawy wyglądałyby zupełnie inaczej.

Głupie łzy wezbrały na nowo.

– Nie przemyślałam dobrze sytuacji. Jestem zbyt impulsywna. To jedna z moich najgorszych wad.

Tym razem Matthew ujął jej dłoń i otoczył w uścisku.

– Szybkie działanie wcale nie jest takie złe. Ja, z drugiej strony, jestem zbyt ostrożny, co może być równie groźne.

Próbowała się uśmiechnąć z drżeniem, czerpiąc radość z dotyku jego ciepłej dłoni.

– Chyba się wzajemnie uzupełniamy.

– Chyba tak. – Uniósł jej dłoń do ust, nie spuszczać ani na chwilę wzroku z jej twarzy.

Głębia jego spojrzenia sprawiła, że serce jej drgnęło. Miała wrażenie, że powietrze zrobiło się gęstsze i wokół nich było jeszcze cieplej. Płomienie tańczyły na palenisku, rzucając cienie na drewnianą ścianę za głową Matthew. Nagle na jego twarzy pojawił się wyraz żalu i mężczyzna odsunął się. Puściwszy jej dłoń, chwycił swoje buty i założył szybko na nogi.

– Co robisz?

Wstał i odgarniając pasmo włosów z jej policzka, rzekł ze smutnym uśmiechem:

– Myślę, że dobrze mi teraz zrobi trochę chłodnego powietrza.

Gdy tylko drzwi zamknęły się za nim, Deirdre starała się uspokoić oddech. Jeśli nie zachowałyby ostrożności, mogłaby łatwo zakochać się w Matthew Clayborne, a taki obrót spraw poważnie zachwiałby jej planami na przyszłość.

Musiała lepiej strzec swojego serca, choćby nie wiadomo jak bardzo atrakcyjny wydawał się ten mężczyzna.



Poranne światło wpadające do izby przez brudne szyby okienne było dla Matthew znakiem, że skończyła się noc. Wstał ze swojego koca rozłożonego przed kominkiem i rozciągnął mięśnie. Choć podłoga była twarda, udało mu się przespać godzinkę albo dwie. Miał nadzieję, że Deirdre i Sean wypoczęli nieco lepiej na kanapie.

Dorzucił do ognia, a potem poszedł sprawdzić, jak się miewa jego mały pacjent wciąż drzemiący w ramionach cici. Ostrożnie odwinął z koca stopy Seana i z ulgą stwierdził, że są cieplejsze w dotyku. Sean poruszył się, gdy Matthew odkrył narzutę z jego klatki piersiowej. Lekarz przyjrzał się uważnie dłoniom dziecka i stwierdziwszy, że mają dobrą temperaturę, odłożył je na brzuch Seana. Chłopiec nadal był trochę wychłodzony, ale jego stan się poprawiał.

Zamrugął kilka razy i spojrzał na Matthew.

– Doktor Clayborne?

Napięcie w ramionach lekarza ustąpiło. Wypuścił głośno powietrze i odparł:

– Witaj, Seanie. Jak się czujesz?

– Pić mi się chce.

– Przyniosę ci wody.

Kiedy wrócił z blaszany kubkiem, Deirdre także już nie spała.

– Dzień dobry – powiedział. – Możesz pomóc Seanowi usiąść?

– Obudził się już? – Szeroki uśmiech rozpromienił jej zasną twarz.

Matthew uśmiechnął się w odpowiedzi.

– Obudził i chce mu się pić.

Deirdre ucałowała głowę Seana, a potem podniosła się, aby oprzeć go o swoje ciało.

Matthew przysunął kubek do jego spękanych warg i chłopiec pił.

– Jestem głodny – oświadczył ponuro Sean.

Deirdre roześmiała się w głos.

– My też, kochanie. Mam nadzieję, że damy radę na tyle szybko dotrzeć do domu, żeby załapać się jeszcze na owsiankę pani Harrison.

Popatrzyła na Matthew z taką radością, że poczuł, jak serce urosło mu w piersi.

Dziękuję Ci, Panie, za powrót do zdrowia Seana.

Chłopiec, pocierając oczy, zapytał:

– Gdzie jesteśmy?

– W myśliwskim domku dziadka. Pamiętasz, co się wydarzyło?

Przez jakiś czas zastanawiał się, a potem wytrzeszczył oczy.

– Poślizgnąłem się i spadłem w dół zbocza, a potem uderzyłem o drzewo i spadło na mnie.

Matthew nadal z zachwytem myślał o tym cudzie, że udało im się w porę odnaleźć chłopca.

Deirdre przytuliła siostrzeńca, mówiąc:

– Twoje siostry przyszły nam o tym powiedzieć. Doktor i ja wyciągnęliśmy cię.

Matthew sprawdził opatrunek na udzie Seana.

– Boli cię noga?

– Tak, i pieką mnie stopy.

Mężczyzna z powrotem naciągnął na niego koc.

– Masz je odmrożone, bo byłeś długo w zimnej wodzie, ale wyzdrowieją.

Matthew przyniósł wody dla siebie i Deirdre. Z głodu bolał go żołądek i marzył o jajecznicy na bekonie.

Deirdre pozbierała części garderoby, które rozłożyła do wyschnięcia.

– Ubiorę się w pokoju obok.

Matthew skinął głową.

– Sprawdzę konie i trochę odśnieżę.

Wszystko, byleby tylko nie wyobrażać sobie Deirdre zakładającej pończochy i nie wspominać tego momentu, gdy je z niej ściągał. Wsunął nogi w buty i zarzucił na siebie płaszcz, a potem wyszedł z chaty, odgarniając drzwiami śnieg z werandy. Zimne uderzenia wiatru chłostały go po policzkach, więc szybko zamknął za sobą wejście, żeby nie wypuszczać ciepła. Przez jakąś chwilę przyglądał się roztaczającej się przed nim nieskazitelnej bieli. Przesuwające się ponad wierzchołkami drzew ciemne chmury rzucały cienie na śnieżne zasy. Jak to możliwe, że coś tak pięknego jest tak śmiertelnie niebezpieczne?

Butami odgarnął śnieg ze schodów i brnął przez głęboki biały puch w stronę przybudówki, gdzie wciąż stały konie. Na szczęście ta prymitywna wiata wystarczyła, aby osłonić zwierzęta od najgorszych podmuchów. Poklepał je po grzbiecie i wyszeptał jakieś słowa pocieszenia, po czym skierował się z powrotem do chaty.

Gdy wrócił, Deirdre była już w pełni ubrana, a włosy splecione miała w długi warkocz. Teraz pomagała Seanowi się ubrać.

– Dobra wiadomość jest taka – zaczął – że śnieg przestał padać, a konie mają się dobrze. Myślę, że możemy ruszać do domu.

Uśmiech Deirdre rozświetlił całe pomieszczenie. Włożyła skarpety na nogi Seana.

– Jesteś gotowy, kochanie? Twoja mama i tata pewnie chętnie dowiedzą się, że wszystko u nas dobrze.

– Myślisz, że pani Harrison zrobi mi placuszki?

Roześmiała się.

– Jestem pewna, że przygotuje ci, co tylko będziesz chciał.

Nagle, bez ostrzeżenia, drzwi otworzyły się z hukiem.

Serce Matthew skoczyło do gardła, gdy troje mężczyzn, odzianych w obszerne płaszcze, z kapeluszami i szalami zasłaniającymi ich twarze, wtargnęło do chaty. Natychmiast stanął pomiędzy Deirdre a intruzami.

Ale ona ku jego zaskoczeniu ruszyła w ich stronę, piszcząc z radości.

– Tato! Wiedziałam, że przyjdiesz.

James O’Leary złapał ją w mocnym uścisku.

– Wszystko dobrze, skarbie?

– W porządku. Z Seanem też. – Odsunęła się i uśmiechając się promiennie, dodała: – Dzięki Matthew.

Nagle trzy pary oczu zwróciły się na niego. Jeden z mężczyzn minął ich i podszedł do kanapy.

– Tata! – Sean zanurzył się w ramionach Gila.

Gil przytulił syna, cały drżąc z emocji.

– Dzięki Ci, Boże!

Deirdre podeszła do nich i położywszy dłoń na ramieniu Gila, rzekła:

– Jest cały i zdrowy, Gilu. Ma tylko brzydkie rozcięcie na nodze i lekkie odmrożenia.

Matthew zwrócił się w stronę Jamesa i Connora:

– Właśnie przygotowywaliśmy się, by ruszyć, bo przestało padać. Mam nadzieję, że nie szukaliście nas całą noc.

– Nie. – James ściągnął w dół szalik. – Śnieżycyca zmusiła nas do pozostania w domu aż do rana.

– Tak mi przykro, że się martwiliście. Gdyby istniała jakaś możliwość na powrót, spróbowałbym wrócić wczoraj. – Matthew, pochyliwszy się, dodał ciszej: – Ale stan Seana był, delikatnie mówiąc, groźny. Gdyby Deirdre nie powiedziała o tej chacie... – Przerwał, dając do zrozumienia, jak poważna była sytuacja.

– Dzięki Bogu, że nie wyburzyłem tej chałupy. Wiedziałem, że kiedyś może się przydać.

– Tak było. – Matthew westchnął. Po raz pierwszy od wielu godzin czuł, jakby ktoś zdjął mu ciężar z ramion. – Panowie wybaczą, zbiorę resztę swoich rzeczy i możemy ruszać.

Connor skinął głową.

– Przygotuję konie.

James poklepał Matthew po plecach.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo jestem ci wdzięczny za to, że ochraniałeś moją córkę i wnuka. – Spojrzał na niego porozumiewawczo. – Ale gdy tylko wrócimy do domu, chyba powinniśmy porozmawiać o tym, co dokładnie zaszło w tej chacie minionej nocy.

Matthew zamarł, a jego ręce i nogi zrobiły się tak ciężkie jak konary przywalone śniegiem. W głowie przewinęły mu się obrazy tych chwil, gdy zdejmował pończochy Deirdre i poczuł na karku ciepło.

Deirdre podeszła i ujęła ojca pod ramię.

– Tato, nie strasz go tak. Wiesz dobrze, że Matthew zachował się jak na dżentelmena przystało.

– Skoro tak mówisz, córeczko. – James puścił do niej oko. – A teraz odwieźmy już tego chłopca mamie i babci, bo umrą tam ze zgryzoty.

Jeszcze nigdy Deirdre nie cieszyła się aż tak bardzo na widok domu. Kiedy wszyscy przemoczeni uczestnicy wyprawy weszli do salonu, gdzie cała rodzina zebrała się, by modlić się o ich szczęśliwy powrót, Deirdre miała z wdzięczności ściśnięte gardło.

Z wdzięczności za ocalenie, a także za miłość i modlitwy rodziny.

Dziękuję Ci, Panie, że uchronałeś nas przed śmiercią i pozwoliłeś nam przyprowadzić Seana bezpiecznie do domu.

Brianna zerwała się z sofy i wybiegła w ich stronę. Łzy płynęły jej strumieniami po policzkach, gdy Gil przekazał Seana w jej rozpostarte ramiona. Obsypała jego twarz i głowę lawiną pocałunków i tuliła go tak, że aż zaczął wznosić okrzyki protestu.

Deirdre otarła wilgotne oczy.

– Jak mamy panu w ogóle dziękować, doktorze Clayborne? – Brianna pochwyciła Matthew w mocnym uścisku.

Odsunął się i ze zmarszczonym czołem rzekł:

– Właściwie to większe podziękowania należą się waszej siostrze.

W odpowiedzi na jego pełne podziwu spojrzenie Deirdre splonęła się.

– Ja tylko zrobiłam to, co każdy by zrobił w takich okolicznościach.

Stojąc za plecami żony, Gil położył dłoń na ramieniu Brianny.

– Weźmy dzieci do domu. Możemy zaprząć sanie i ruszać w każdej chwili.

Na obliczu Brianny zarysowała się troska.

– Nie wydaje mi się, żeby dobrze było znów wychodzić z Seanem na zewnątrz. Wykąpię go tutaj i zobaczę, czy poczuje się lepiej po rosole pani Harrison.

Gil podrapał się po głowie, a na twarzy miał wyraz dezorientacji. Deirdre domyśliła się, że nie do końca zgadzał się z żoną, ale nie chciał się z nią sprzeczać zwłaszcza po tym, przez co niedawno przeszła.

– Niech będzie, pani Whelan – odrzekł z łagodnym uśmiechem. – Zabiorę dziewczynki z kuchni i pójdziemy nakarmić zwierzęta. – Ucałował żonę w policzek i pogłaskał Seana po głowie, a potem wymaszerował z pokoju.

Gdy tylko Brianna wzięła Seana na górę, Connor wyszedł do stajni doglądać koni. Mama powiedziała, że jest zmęczona i po kolejnych uściskach i całusach tata zabrał ją do jej pokoju, więc Deirdre została sama z Matthew.

– Chyba powinnam iść się przebrać – stwierdziła, czując nagle, że nie wie, co powiedzieć. – A potem pewnie udam się na długą drzemkę. – Jej mięśnie zaprotestowały, gdy tylko się ruszyła.

Matthew przesunął się koło drzwi.

– Też tak zrobię, tylko najpierw dam znać Phoebe, że wszystko dobrze.

Deirdre przystanęła, jakoś dziwnie nie chciała się z nim rozstać. Przeżyli wspólnie ciężką próbę, ratując Seana, a potem siedzieli razem zaszyci samotnie w chacie i to wytworzyło jakiś rodzaj więzi, której nie chciała utracić. Matthew otworzył się przed nią, tak jak jeszcze nigdy przedtem, i obawiała się, że kolejnego dnia znów zamknie się w swoim wyobcowaniu, ukryje bezpiecznie za murami, które wznosił.

Jej uczucia wobec niego nie miały sensu, nie pasowały do tego, co pragnęła osiągnąć w życiu, a jednak nie umiała się z nich wyzuć. Podeszła bliżej i kładąc rękę na jego ramieniu, rzekła:

– Dziękuję ci jeszcze raz, Matthew. Nie udałoby się nam przez to przejść bez ciebie.

– Nie masz za co. – Wpatrywał się w nią, a niebieski odcień jego oczu był jeszcze bardziej intensywny niż kiedykolwiek.

Poczuła, jak przyspiesza jej tętno na widok głębi tego spojrzenia. Czyżby wyczuwała w nim podobną tęsknotę. Nigdy się tego nie dowie, jeśli nie spróbuje.

Wspięła się na palce i złożyła pocałunek na jego ustach. Jego całe ciało się spięło, nawet się nie poruszył. Nie wziął jej w ramiona tak, jak liczyła.

Czyżby myliła się wtedy, gdy wydawało się jej, że pragnął ją pocałować?

Odsunęła się nieco i zerknęła na niego. Stał nieruchomo z zamkniętymi oczami, a rysy jego twarzy stężały w bolesnym wyrazie. Deirdre ścisnęło się serce. Po raz kolejny zadziałała pod wpływem impulsu... i zrobiła coś złego.

Matthew otworzył oczy. Dostrzegła w jego wzroku takie katusze, że widok ten zaparł jej dech w piersi.

– Przepraszam, Matthew. Nie powinnam była...

Uciał jej przeprosiny, zwierając swoje wargi z jej ustami. Mocne ramiona otuliły ją i przyciągały tak blisko niego, że nie wiedziała, gdzie kończy się jego serce, a zaczyna jej. Po kilku sekundach pocałunek zelżał. Matthew tylko muskał ją ustami z cudowną czułością. Jego wargi przesuwaly się po jej powiekach, policzku, skroniach i znów wróciły na usta. Chwyliła się mocno jego ramion, bojąc się, że nawałnica emocji, które się w niej burzyły, sprawi, że zemdleje.

To było to uczucie, o którym zawsze marzyła. To było tak, jak sobie wyobrażała, że przeżywa się miłość. I wtedy, kiedy już wydawało się jej, że wybuchnie od tego ogromu doznań, Matthew delikatnie się odsunął.

– Deirdre – wyszeptał jej imię z takim smutkiem, że poczuła ucisk w środku. – Wybacz mi. Nie

powiniennem był tego robić.

– Proszę, nie przepraszaj. – Mrugała, starając się odpędzić łzy zbierające w jej oczach.

Jego potargane włosy opadały teraz na czoło.

– To nie było wobec ciebie uczciwe. Nie w sytuacji, gdy nie mogę ci dać tego, na co zasługujesz.

Pragnęła, by pochwycił ją jeszcze raz w ramiona i znów całował, ale nieustępujący wyraz cierpienia, który znaczył jego rysy, mówił jej, że tak się nie stanie. Niezależnie od tego, jak bardzo mu na niej zależało, prześladowały go wspomnienia nieudanego małżeństwa.

Potrząsnęła głową, mówiąc:

– To tylko moja wina.

Uśmiechnął się smutno i pogładził palcem jej policzek, a w jego oczach był ogrom żalu.

A potem, bez słowa, odszedł.



Connor wrzucił belę słomy do pustego boksu i przymierzył się do niej z widłami, licząc, że ciężka fizyczna praca uspokoi jego wzburzone myśli.

Gdy Deirdre i Sean wrócili do domu cali i zdrowi, Connor nie mógł już dłużej unikać tej sprawy, która go prześladowała.

Co miał zrobić z Josephine Miller?

Wczoraj znów przyjechała w swoim męskim przebraniu i pracowała dalej, jak gdyby nigdy nic. Choć podziwiał jej nieustępliwość, to wcale nic nie zmieniało. Gdyby nie musiał pojechać z tatą i Gilem do miasta, z pewnością poruszyłby kwestię poszukiwania nowego pracownika. Jednakże nie było czasu na taką rozmowę.

A potem, gdy już wrócili, niepokój o życie Seana i Deirdre przesłonił wszystko inne. Długie poszukiwania w chłodzie i ciemności, następnie bezsenna noc i kolejna wyprawa nad ranem sprawiły, że Connor był wykończony i gderliwy. Wiedział, że nie powinien w takim stanie stawać do rozmowy z tą dziewczyną. Musiał myśleć trzeźwo, by poradzić sobie z tym problemem i opanować swoje odczucia wobec niej.

Co do jednego nie miał żadnych wątpliwości – Jo była zakłóceniem, którego nie potrzebował.

Pracował tak długo, aż cała słoma była równomiernie rozrzucona na podłodze, a potem przeszedł do czyszczenia kilku siodłał w siodlarni.

Kiedy już skończyły mu się niewymagające myślenia zadania, uświadomił sobie, że słońce zaczęło chować się za drzewami na zachodzie.

Dobrze. Jo pewnie już pojechała do domu, więc nie będzie musiał się martwić, że się na nią dziś natknie.

Tchórz.

Wymaszerował ze stajni i przeszedł do ogrodzenia toru wyścigowego. Oparł się łokciami o górny szczebel i wpatrywał w sielski widok, wdychając chłodne powietrze. Wszystko było takie spokojne pod świeżą pokrywą śniegu.

Rozległ się chrzęst kroków i ktoś stanął obok niego.

– Tak myślałem, że będę mógł cię tu znaleźć.

Connor uśmiechnął się na dźwięk głosu przyjaciela.

– Caleb. Co cię sprowadza?

– Słyszałem o Seanie i chciałem... – Urwał.

Connor oderwał wzrok od pastwiska i mrużąc oczy, zwrócił całą uwagę na przyjaciela.

– Co chciałeś?

W brązowych oczach Caleba błysnęło zmieszanie.

– Przynoszę ciastka, które upiekła mama. – Wzruszył nieśmiało ramionami i uniósł trzymany w dłoniach koszyk. – Pomyślałem, że złożę Dee wizytę, żeby się upewnić, czy wszystko dobrze.

Dopiero teraz Connor zauważył, że zwykle rozwichrzone brązowe włosy Caleba były starannie zaczesane nad czołem i że zmienił swoje ogrodniczeki na niedzielne ubranie.

– Nie mów, że dalej się kochasz w mojej siostrze...

– A co, jeśli tak? – Głos Caleba brzmiał prowokacyjnie.

– W takim razie obawiam się, że znów się rozczarujesz, mój drogi. Dee nie zmieniła zdania, co do decyzji, by zostać lekarzem.

– Nigdy nie wiadomo, dopóki się nie spróbuje. Taką mądrą radę dał mi dawno temu pewien przyjaciel.

– Hm, cóż, w takim razie się mylił. – Connor ruszył ścieżką w stronę domu, a śnieg skrzypiał mu pod nogami. – Sam widzisz, ile mi to dało. Clara i tak poślubiła Silasa Baldwina.

– Ale z Clarą przeszło ci już wiele lat temu. – Caleb bez problemu dorównywał mu kroku. – Co w takim razie cię gryzie?

Connor zatrzymał się u stóp schodów prowadzących na werandę. Tak to już jest z przyjacielem – zawsze umie dostrzec, kiedy się ma problem. Connor westchnął, wypuszczając obłok białej pary.

– Chodzi o jednego stajennego. – Zawahał się. – Możesz to zachować dla siebie?

– Wiesz, że tak.

– Okazuje się, że ten akurat – ściszył głos – to tak naprawdę dziewczyna. – Connor nie zamierzał wymieniać nazwiska Jo, wiedząc, że Seth Miller pracował dla Caleba. – Teraz, gdy się o tym dowiedziałem, nie wiem, czy powinienem ją zatrzymać.

– Rzeczywiście masz dylemat. – Caleb uniósł koszyk.

– Gdy tylko inni się dowiedzą, nie będą chcieli pracować z kobietą. Ale mam wrażenie, że ona desperacko potrzebuje pracy. Nie wiem, co robić.

Caleb podrapał się wolną ręką po brodzie.

– Może dowiedz się, czy twoja matka nie wie o jakichś wolnych posadach w okolicy. Mogę się też rozpytać, jeżeli chcesz.

Cień ulgi przeniknął spięte mięśnie Connora. Klepnął Caleba po plecach, mówiąc:

– Wspaniały pomysł! – Gdyby mamie udało się znaleźć dla Jo inną pracę, Connor nie czułby się winny, że musi ją zwolnić.

Caleb uśmiechnął się do niego.

– Dzięki. A może tymczasem zaprosiłbyś mnie, żebym się rozgrzał, zanim wrócę do siebie? – Uniósł koszyk. – Możemy nimi przekupić twoją matkę.

Matthew próbował skoncentrować się na rozłożonych przed nim notatkach, ale słowa rozmazywały się w niewyraźną plamę. Miał zbyt wiele na głowie i jego myśli uciekały w różne strony. Zainteresowanie, którym został obdarzony przez rodzinę O’Leary i Whelanów za uratowanie Seana, choć wzmacniało jego poczucie wartości, jednocześnie go drażniło. Każdy robił z niego bohatera, ale, jak już się dawno nauczył, bohaterowie szybko spadają z piedestału.

Co gorsza, Matthew nie mógł przestać myśleć o upajającej słodczy pocafunku Deirdre. Ani o jej wielkim rozczarowaniu, gdy uświadomił sobie, jakim błędem to było. To duchowe wręcz doznanie zmieniło wszystko między nimi i nie miał pojęcia, jak przywrócić ich poprzednią relację.

– Wszystko w porządku, Matthew?

Ciche pytanie Kathleen wyrwało go z zamyślenia.

– Tak. Czemu pytasz?

– Siedzisz tak z piórem w powietrzu od ponad dziesięciu minut. – Ton jej głosu i wyraz twarzy ukazywały lekkie rozbawienie.

Wyprostował się i odłożył trzymany przedmiot.

– Chyba trudno mi oderwać myśli od tego nieszczęśliwego wypadku Seana.

Westchnęła z drzeniem i rzekła:

– Na szczęście Bóg przyprowadził go bezpiecznie do domu.

Matthew odwrócił wzrok, nie chcąc wchodzić w dysputy religijne. Zwłaszcza iż w tym akurat przypadku nie mógł zaprzeczyć jej stwierdzeniu. Wciąż pamiętał to uczucie, że nie był sam w tamtej chatce, gdy Sean i Deirdre przechodzili przez najtrudniejszy czas.

Kathleen podjechała wózkiem do jego biurka.

– Matthew, mogłabym cię o coś zapytać?

– Oczywiście. – Zamknął swój dziennik.

– Co czujesz do mojej córki?

Wziął gwałtowny wdech, ale postarał się zachować obojętny wyraz twarzy. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnął, była rozmowa o jego uczuciach wobec Deirdre. Ale musiał coś odpowiedzieć.

– Podziwiam bardzo Deirdre – odparł ostrożnie. – Jej charakter, życzliwość i lojalność. – A także jej impulsywną naturę, tak różną od jego własnej.

Kathleen zmierzyła go przenikliwym wzrokiem.

– Czy czujesz do niej coś więcej?

Matthew aż podskoczył na siedzeniu.

– Skąd w ogóle taki pomysł?

– Widziałam, jak na nią patrzysz.

Serce waliło mu w piersi i nagle poczuł, że zrobiło mu się wyjątkowo gorąco.

– Nie wiem, o czym mówisz. – Przeszedł na drugą stronę pokoju, jakby chciał uciec od jej prób wysondowania go.

– Pytam, bo jestem raczej przekonana, że Deirdre również się tobą interesuje.

Matthew stłumił nadciągający przyływ paniki i patrząc na nią, odparł:

– Ta rozmowa nie ma sensu, Kathleen. Po śmierci żony przysiągłem sobie, że nigdy ponownie się nie ożenię. Byłbym więc wdzięczny, gdybyś nie wracała już do tego tematu.

Przyglądała mu się w milczeniu.

– Musiałeś bardzo kochać swoją żonę, skoro poczyniłeś taką przysięgę.

Matthew spiął się jeszcze bardziej. Musiał zejść z tego piedestału, zanim spadnie i się potłucze.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo się mylisz. Moje małżeństwo było kompletną porażką i dlatego właśnie nie zamierzam znowu się w to pakować. Nauczyłem się już, że nigdy nie będę wystarczająco dobry dla jakiegokolwiek kobiety. Ani dla matki, ani dla żony. Pragnę jedynie, żebym nie zawiódł Phoebe.

– Tak gwałtownie wypuścił powietrze, że aż zaboląły go żebra.

– Skazujesz się na straszne osamotnienie – stwierdziła ze smutkiem.

– Nie do końca. Przez większość życia musiałem sobie radzić sam. – Bolesny ucisk wspomnień drwił z jego własnych słów. Zaciśnął dłonie w pięści. – Wybacz mi, Kathleen, potrzebuję zaczerpnąć trochę świeżego powietrza.

Wymaszerował z pokoju i skierował się do wyjścia, nie zatrzymując się nawet, by wziąć płaszcz. Ostry wiatr przenikał jego koszulę, a stopy zapadały się w śnieg. Matthew cieszył się wręcz z tego dyskomfortu. Dużo łatwiej było mu znieść fizyczny ból, niż ukoić emocjonalne cierpienia z przeszłości.

Szedł, desperacko próbując przegonić swoje demony. Obawiał się jednak, że już jest za późno. Że jego zewnętrzna skorupa – ta, która zdawała się tak mocna – zaczynała pękać.

Panika zaciskała szpony na jego gardle. Musiał jak najszybciej wyjechać z Irlandzkich Łąk, zanim całkiem się rozpadnie i nie będzie już w stanie się pozbierać.

Mokry śnieg przeniknął jego buty, więc zawrócił, żalując, że jego serce nie może zdrętwieć tak szybko jak jego stopy.



Matthew jej unikał.

Deirdre wstała od stołu z głośnym westchnieniem. Teraz jadał śniadania, zanim ona wstała. Była pewna, że to tylko dlatego, żeby nie musieć z nią jeść. Usilnie się starał również dopilnować, by nigdy nie byli sam na sam, a gdy tylko ona zostawała w pokoju, szybko wychodził.

Wszystko z powodu jednego głupiego pocałunku. *Jednego głupiego, poruszającego serce pocałunku* – dodała w myślach.

Działając pod wpływem uczuć, które należało zachować dla siebie, zniszczyła ich bliską relację i odstraszyła Matthew – pewnie na zawsze. Już nigdy więcej nie otworzy się przed nią. Mur wokół jego serca będzie jeszcze wyższy, umocniony kolejną warstwą, przez którą już nigdy nie będzie w stanie się przebić.

Kiedy ona wreszcie nauczy się panować nad swoją impulsywnością?

Deirdre wzięła pustą filiżankę po kawie i odstawiła ją na kredens. Następnie uniosła podbródek i wyszła na korytarz. Czy się to Matthew podobało, czy nie, zamierzała uczestniczyć w sesji terapeutycznej mamy, więc będzie musiał się z nią stykać, niezależnie od tego, jak bardzo źle się z tym czuł.

Pani Johnston dogoniła ją, wymachując kopertą, zanim Deirdre weszła do pokoju mamy.

– Panienko Deirdre, przyszedł do panienki list. Wygląda na oficjalny.

Przeszył ją niespokojny dreszcz, gdy odbierała pocztę z rąk służącej.

– Dziękuję, pani Johnston.

Nazbyt wyraźnie widziała adres zwrotny z Bostonu. Westchnęła ponownie. Terapia mamy będzie musiała poczekać. Deirdre potrzebowała samotności, by przeczytać to, co chciano jej zakomunikować z uniwersytetu.

Korzystając z tego, że ojciec pracował na zewnątrz, Deirdre weszła do jego gabinetu i zajęła miejsce w jednym z wysokich foteli ustawionych przed kominkiem. Przesuwała kopertę pomiędzy palcami, próbując się trochę uspokoić, jednak cała była kłębkim nerwów. Być może to była tylko jakaś rutynowa korespondencja? A może zapytanie o jej powrót? Zebrała się na odwagę i otworzyła list.

Szanowna Panno O'Leary,

z przykrością zawiadamiamy, że ze względu na Pani przedłużającą się nieobecność, zmuszeni byliśmy wykreślić Panią z listy studentów na kierunku medycyna.

Jesteśmy świadomi, że Pani osobista sytuacja przeważała nad karierą akademicką, jednakże zatrzymywanie miejsca dla Pani pozbawia innych studentów możliwości kształcenia się.

Jeśli będzie Pani zainteresowana, może Pani aplikować na studia w nowym roku akademickim rozpoczynającym się we wrześniu 1923 roku.

Z poważaniem

Josiah Q. Abernathy,

Dziekan Wydziału Medycyny na Uniwersytecie Bostońskim

Deirdre poczuła, że ogarnia ją odrętwienie. Kartka wypadła jej z ręki i sfrunęła na podłogę. Po tym wszystkim, co poświęciła, by dostać się na studia medyczne w Bostonie, została po prostu wyrzucona.

Jak to będzie wyglądało, kiedy ponownie złoży tam papiery w przyszłości? Czy zaryzykują i przydzielą jej ponownie miejsce na uczelni?

Mało prawdopodobne.

Sama myśl, że będzie musiała od nowa walczyć, żeby dostać się na uniwersytet, była zbyt przytłaczająca, by nawet ją brać pod uwagę.

Smutek i złość ścierały się w jej wnętrzu, przeszywając jej serce rozdzierającym bólem. Schwyciła kartkę z dywanu i zwinęła w kulkę, którą zaraz cisnęła w ogień.

Płomienie przyjęły ofiarę, pożerając i trawiąc ją, aż nie zostało z niej nic prócz tłących się popiołów jej marzeń.

Deirdre podeszła do okna w gabinecie i wpatrywała się w smętny widok. Przyłożyła czoło do chłodnej szyby i pozwoliła popłynąć wszystkim wcześniej tłumionym łzom.



Matthew odwiózł Kathleen do sypialni i pomógł jej przejść na łóżko. Ta poranna sesja była jeszcze bardziej wyczerpująca niż zwykle. Dzisiaj po raz pierwszy od udaru kobieta z pomocą Matthew stanęła na nogach. Wspierał ją od tej słabszej strony, a ona przeniosła prawie cały ciężar na zdrową nogę. Kiedy przypomniła sobie, jak to jest stać, lekarz pomógł jej trochę bardziej obciążyć chorą nogę i udało się triumfalnie zrobić dwa kroki bez upadku. Krople potu, które wystąpiły na jej czoło, mówiły mu jednak o ogromnym wysiłku, jaki ją to kosztowało. Nalegał, by skrócić sesję, żeby trochę odpoczęła i zachowała siły na popołudniowe ćwiczenia dłoni.

Euforia, z jaką Kathleen przyjmowała te postępy, dawała największą satysfakcję. Matthew żałował jedynie, że nie było z nimi Deirdre, by była świadkiem tego zwycięstwa jej matki. Wspominając tę radość, którą dzielili, gdy Kathleen udało się zagrać kilka dźwięków na pianinie, zdusił w sobie żalosne westchnienie. Być może lepiej nawet unikać takich pokus.

Zamknął swój zeszyt i zdjął okulary do czytania. On i Phoebe zbyt mocno zżyli się tu w Irlandzkich Łąkach z losami rodziny O'Leary. Nadszedł czas, by pomyśleli o powrocie do domu... do rzeczywistości.

Wczoraj minął ostatni dzień miesięcznego okresu, na który się umówili. Teraz już nie było wątpliwości, co do wyzdrowienia Kathleen, więc mógł wyjechać bez wyrzutów sumienia. Wypełnił swoją obietnicę i nic nie zatrzymywało go przed zarezerwowaniem biletu powrotnego do Toronto.

Wstał od biurka i podjął decyzję. Wykona tę rozmowę telefoniczną od razu, zanim zdoła ją odłożyć na później.

Skierował się prosto do gabinetu Jamesa. Wszedł i zamknął za sobą drzwi. Zrobił już kilka kroków, delektując się miłym zapachem tytoniu fajkowego i dopiero wtedy do jego uszu dotarł niespodziewany dźwięk... coś, co przypominało zdławione szlochanie. Stanął zaskoczony, zastanawiając się, skąd dochodził ten płacz. Na drugim końcu, w rogu, dostrzegł zgarbioną w przygnębieniu sylwetkę Deirdre. Stała do niego tyłem, z głową przytkniętą do okna. Jej ramiona drżały w cichym łkaniu.

Wstrząsnął nim silny niepokój, więc natychmiast podszedł do niej.

– Deirdre? Co się stało?

Drgnęła i otarła ręką policzki.

– Matthew, przestraszyłeś mnie.

Wyglądała na tak zdruzgotaną, że aż go ścisnęło w środku.

– Powiedz, co się stało.

Zacisnęła palce na zmiętej chusteczce.

– Zostałam skreślona z listy studentów medycyny.

Przez chwilę nic nie mówił, jakby dopiero to do niego docierało.

– Wyrzucili cię?

– Tak – odparła i wybuchnęła na nowo płaczem. – Nie mogę wrócić, chyba że złożę aplikację od nowa.

Bez większego namysłu otulił ramionami jej drżące ciało i przyciągnął do siebie.

– Tak mi przykro. Wiem, jak wiele te studia dla ciebie znaczyły.

Sam był zdziwiony, jak bardzo pragnął umieć pomóc jej w tej sytuacji. Każdy szloch, każde pociągnięcie nosem wydawały się odbijać donośnym echem w jego sercu. Trzymał ją tak przez kilka minut, ciesząc się jej bliskością i tym, że może dać jej choć trochę pocieszenia.

Kiedy w końcu przestała szlochać, odsunęła się i popatrzyła na niego, a w jej oczach widać było morze smutku.

– Nie chcę, żeby mama się o tym dowiedziała. Czułaby się źle... uważając, że to wszystko jej wina.

W głowie szukał jakiegokolwiek sposobu, by pomóc.

– Znam paru doktorów w zarządzie szpitala w Bostonie. Mógłbym wykonać kilka telefonów. Sprawdziłbym, czy mają jakieś wejścia na uniwersytecie.

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

– Zrobiłbyś to dla mnie?

– Oczywiście. Nie mogę zagwarantować żadnych pozytywnych wyników, ale nie zaszkodzi spróbować.

Deirdre uśmiechnęła się do niego z drżeniem.

– Dziękuję ci, Matthew. Już samo to, że zadasz sobie ten trud, wiele dla mnie znaczy. – Zgarbiła się. – Chociaż może ta przerwa wyjdzie mi na dobre. Mama będzie mnie jeszcze przez jakiś czas potrzebować, a tak nie pokusi mnie, żeby wrócić na studia zbyt szybko.

Matthew z podziwem myślał o wewnętrznej sile Deirdre. Właśnie utraciła perspektywy na spełnienie jej najgłębszych pragnień, a martwiła się o dobro swojej matki.

– Przepraszam – powiedziała. – A z czym ty tutaj przyszedłeś? Bo przecież nie po to, żeby pocieszać płaczącą niewiastę.

Rzucił okiem na stojący na biurku telefon, a potem potrząsnął przecząco głową.

– Z niczym, co nie mogłoby poczekać.

Skoro Deirdre mogła odłożyć swoje marzenia na cały rok, by pomóc matce, on również może spędzić kolejny tydzień albo dwa w Irlandzkich Łąkach. Tyle, ile będzie trzeba, żeby przyspieszyć powrót do zdrowia Kathleen i upewnić się, że będzie sama chodzić. To nie było tak wiele, ale wydawało się konkretnym sposobem wsparcia Deirdre w poukładaniu własnego życia.

Spojrzał na jej ukochaną twarz. Kosmyki kasztanowych włosów opadały na zaczerwienione policzki. Jej drżące usta rozciągały się w kolejnej próbie uśmiechu i musiał powstrzymać przemożną chęć, by ją pocałować. Zamiast tego uczynił bolesny krok w tył.

Kariera zawodowa Matthew pewnie nie ucierpi przez ten przedłużony pobyt w Irlandzkich Łąkach, jak jednak poradzi sobie jego serce?

Obawiał się prawdziwej odpowiedzi.

Jo skończyła zgrzeblić dwa konie pociągowe i otarła pot z czoła. Minęły trzy dni od tamtej wizyty Connora O'Leary'ego w jej domu. Trzy dni, odkąd odkrył jej prawdziwą płęć... i od tamtego czasu nie rozmawiali ze sobą.

Czy to dobrze, czy nie?

Wzięła zgrzebla do siodlarni i odłożyła je starannie na odpowiednie miejsca na półce. Teraz codziennie wykonywała swoje obowiązki, ale nad głową wisiała jej groźba katastrofy. Czy Connor pozwoli jej zostać, czy raczej każe jej odejść?

Z każdym dniem rosła nadzieja, że zwycięży w nim pełna współczucia natura i zdecyduje, by jej nie wyrzucać.

I każdego dnia musiała coraz mocniej walczyć ze sobą, by nie myśleć o tej pełnej współczucia naturze... oraz innych wspaniałych przymiotach Connora. O jego sile i delikatności. O orzechowych oczach, w których w jednej chwili widniały figlarne ogniki, by zaraz potem rozbłysnąć sympatią.

Cóż za wierutne bzdury! Mężczyźni tacy jak Connor nie są dla niej.

W stajni rozległ się odgłos kroków. Jo spięła się i wychyliła głowę z pomieszczenia. W jej stronę szedł Mac, jeden z pozostałych stajennych.

– Hej, Miller. Szef chce się z tobą widzieć. Czeka na zewnątrz koło toru.

Jo zamarła, a w jej wnętrzu aż się zakotłowało. Wyglądało na to, że Connor podjął decyzję.

– Dzięki, Mac.

Wyszła przed stajnię, naciągając kapelusz mocniej na głowę, by nie zwał go wiatr.

Connor stał oparty o białe ogrodzenie, patrząc nieufnie, jak nadchodzi.

– Chciałeś się ze mną widzieć?

– Tak. – Jego surowy wzrok nie pomagał uspokoić roju rozszalałych os huczących w jej wnętrzu. Zmusiła się, by stać spokojnie i czekać.

– Po pierwsze, mam do przekazania wiadomość od doktora Clayborne'a. Razem z Deirdre pojedą dziś zobaczyć twojego ojca. Trochę im to umknęło przez śnieżycę i takie tam.

Jo skupiła się na śnieżnej brei pod stopami.

– Słyszałam o twoim siostrzeńcu. Cieszę się, że nic mu nie jest.

– Dziękuję za troskę. Bardzo się wtedy martwiliśmy.

Nastąpiła chwila ciszy i kiedy Jo nie mogła już dłużej wytrzymać, podniosła głowę i zapytała:

– Czy podjąłeś już decyzję, co zrobisz? – wyrzuciła z siebie.

Skrzyżował ramiona, a potem odparł:

– Chciałbym, żebyś porozmawiała z moją matką, zanim podejmę decyzję.

Otworzyła ze zdziwienia usta.

– Powiedziałeś o mnie swojej matce? – zapytała, nie mogąc odgadnąć, do czego on zmierza.

– Nikomu nie ufam bardziej niż jej.

– A jeśli odmówię? – spytała, wznosząc wyżej brodę.

Zmrużył oczy.

– To tylko znacznie ułatwi moją decyzję.

Serce waliło jej w piersi.

– Domyślam się w takim razie, że nie mam wyboru.

– Dobrze. Powiem gospodyni, żeby cię oczekiwała.

Skinął krótko głową w jej stronę i odszedł.



Connor wytarł już prawie dziurę w dywanie, przemierzając gabinet ojca tam i z powrotem. Nie mógł już dłużej wytrzymać. Poprosił matkę o pomoc, spodziewając się, że Jo może być łatwiej rozmawiać z inną kobietą. Dokładniej rzecz ujmując, zapytał mamę, czy nie mogłaby się dowiedzieć, jaki rodzaj pracy odpowiadałby Jo, i zaproponować jej jakieś miejsca, gdzie znalazłaby zatrudnienie. Wtedy, gdy on powie dziewczynie, że musi opuścić Irlandzkie Łąki, będzie spokojny, że zrobił, co mógł, aby jej pomóc.

Wyszedł z gabinetu i skierował się do pokoju mamy, całkowicie przekonany, że rozmowa dobiegła już końca. Nie mógł się doczekać, by usłyszeć, co matka sądzi o sytuacji Jo.

Słyszając kobiece głosy dochodzące ze środka, zwolnił kroku. Wyglądało na to, że nie miał najlepszego wycucia czasu.

Jednakże zamiast się wycofać, pozwolił, by ciekawość wygrała z dobrymi manierami. Podeszedł do lekko uchylonych drzwi i zajrzał do wewnątrz. Mama otaczała ramieniem przygarbioną dziewczynę, która wciąż miała na sobie ten wstrętny kapelusz. Jo, pociągając nosem, wycierała twarz chusteczką.

Czyżby płakała?

Connor przywarł plecami do ściany. Umiał sobie poradzić niemal ze wszystkim, oprócz kobiecych łez.

– Tak mi przykro z powodu twojego ojca. – Dobiegł go głos mamy. – Uzależnienie od alkoholu to straszna choroba. Kiedy tylko obejmie władzę nad człowiekiem, trudno się go pozbyć.

– Sytuacja pogorszyła się w ciągu kilku ostatnich lat. Mój brat próbuje utrzymać wszystko, usprawiedliwiając tatę i zastępując go, gdy tylko się da, ale nawet on ma już dość. – Głośne pociągnięcie nosem przerwało wypowiedź. – Miałam nadzieję, że z nadejściem prohibicji trudniej mu będzie zdobyć whiskey, ale tatko zawsze znajdował jakiś sposób.

– Muszę cię o coś spytać, skarbie, i mam nadzieję, że zaufasz mi i odpowiesz zgodnie z prawdą...

Connor wstrzymał oddech. Gryzły go wyrzuty sumienia z tego powodu, że podsłuchiwał prywatną rozmowę. A jednak jakaś jego część usprawiedliwiała to ze względu na oszustwo, którego dopuściła się wobec niego Jo.

– Czy twój ojciec znęcał się nad tobą, kiedy... przedobrzył?

Mijały kolejne minuty, a potem odezwała się cicho:

– Zazwyczaj tylko krzyczy, ale czasem, gdy się naprawdę wścieknie... bije mnie.

Connor zacisnął dłonie w pięści. Złość ryknęła w nim gniewnie. Miał ochotę pojechać do tamtej chaty i dopilnować, żeby ten człowiek już nigdy nie dotknął Jo.

– Ale tatkowi zawsze jest potem przykro.

Connor nie był już w stanie dłużej się powstrzymać i odepchnąwszy się od ściany, wtargnął do pokoju.

– Przepraszam, nic nie znaczą, jeśli nie zmieni zachowania.

Jo poderwała głowę, a jej policzki pokryte były strugami łez. Bardzo kobiece policzki i cudownie piękne niebieskie oczy. Jak to możliwe, że w ogóle dał się nabrać, że ona jest chłopakiem?

– Connorze! – Surowy wyraz twarzy mamy wyraźnie dawał mu do zrozumienia, że nie pochwała tego, że im przerwał, ani tego, że podsłuchiwał.

Ale nie potrafił stać beczynnie i nic nie mówić. Musiał wiedzieć, że Jo była bezpieczna w domu.

– A co z twoim bratem? On też cię bije?

Jo zaprzeczyła ruchem głowy.

– Seth nigdy by mnie nie skrzywdził. Tatko robi się agresywny tylko wtedy, gdy nie ma Seta, który mnie broni.

Złość zalała go zupełnie, gdy przemierzał tam i z powrotem niewielką przestrzeń.

– Dlaczego mieszkasz z ojcem, który cię maltretuje?

Nieznacznie wzruszyła ramionami, mówiąc:

– Chyba czuję się odpowiedzialna. Tatko nie pił, dopóki moja matka nie zmarła przy moim porodzie. Nie potrafił sobie poradzić z tą stratą.

– To niedorzeczne. To nie twoja...

Mama wyciągnęła dłoń i dotknęła jego ręki, wpatrując się w syna znacząco.

– Jestem pewna, że Jo kocha swojego ojca bez względu na jego wady.

Jo skinęła głową.

– Tatko i Seth są wszystkim, co mi zostało.

Connor czuł palącą potrzebę, by uratować ją od takiego żalosnego bytu. Ale nie było zbyt wiele możliwości. W jego głowie zrodziła się myśl. Mógł przynajmniej ułatwić jej życie pod jednym względem...

– Chciałbym, żebyś wiedziała, że masz u nas pracę, dopóki tylko będziesz jej potrzebować.

Ulga rozlała się na twarzy Jo.

– Dziękuję, panie O’Leary.

– Connor... i nie ma za co. Jeśli twój ojciec będzie sprawiał jakieś problemy, chciałbym, żebyś przyszła tu po pomoc. Obiecuj mi.

Zagryzła wargi i pokiwała tylko głową.

– Dobrze. Pamiętaj, że nie musisz przez to przechodzić sama.

– Dziękuję – wyszeptała po raz kolejny i wstała.

Napięcie ustąpiło nieco z jego wnętrza. Nie zrobił wiele, ale przynajmniej tyle mógł uczynić, by ją chronić.

Na razie.



Siedząc na grzbiecie Amber, Deirdre zaciskała i rozprostowywała zmarznięte dłonie, by poprawić krążenie. Żałowała, że nie wie, o czym myśli teraz Matthew. Była mile zaskoczona, kiedy poprosił ją, żeby towarzyszyła mu podczas wizyty kontrolnej u pana Millera. Od czasu, gdy zastał ją płaczącą w gabinecie, wrócił do zachowywania wobec niej grzecznej rezerwy. Lepsze to niż uniki, choć nie mogła przestać tęsknić za bliskością, której doświadczyli w tamtej chatce.

Westchnęła przeciągle, a jej oddech w zimnym powietrzu zmienił się w białe obłoczki pary. Była pewna, że znosił jej towarzystwo tylko dlatego, że nie znał zbyt dobrze okolic i nie miał obycia z końmi.

Deirdre zeskoczyła z grzbietu Amber i kiedy tylko Matthew zsiadł ze swojego wierzchowca,

przeszli przez pokryte śniegiem podwórko do drzwi chaty. Zapukała głośno i czekała. Nikt nie odpowiadał, więc zapukała ponownie.

Po kilku chwilach ciszy Matthew spojrział na nią porozumiewawczo i pchnięciem otworzył drzwi.

– Panie Miller? Tu doktor Clayborne. – Wszedł do środka. – Przyjechałem skontrolować pańską nogę.

Przestrzeń wypełniała upiorna cisza. Matthew pokazał gestem Deirdre, by trzymała się z daleka, a sam wsunął się głębiej do pokoju. Marszcząc brwi, ruszyła za nim. Nie chciała pozwolić, aby wchodził tu sam.

Kanapa była pusta, jeśli nie liczyć wymiętego prześcieradła. Na stole leżały w nieładzie blaszany kubek i talerz.

Gdzie był pan Miller? Może poczuł się na tyle dobrze, że zaryzykował wyjście na zewnątrz?

Deirdre otworzyła drzwi sypialni. Pomieszczenie było czyste, łóżko zasłane, a jedyną ozdobę prostej komody stanowiła szczotka do włosów. Matthew sprawdził stryszek, który również był pusty.

– Gdzie on może być? – zastanawiała się Deirdre, oparłszy zaciśnięte w pięści dłonie na biodrach.
– Z pewnością Jo uprzedziłaby nas, że jej ojciec był na nogach.

Connor zwierzył się jej i mamie, że Jo była dziewczyną, ale poprosił, żeby nikomu nic nie mówiła. Mimo to Deirdre powiedziała Matthew, bo czuła, że powinien wiedzieć, skoro leczy pana Millera. Miał prawo znać prawdę.

– Chodźmy się rozejrzeć na zewnątrz. Może gdzieś obok jest wychodek. – Matthew wyszedł z chaty.

Deirdre ruszyła za nim w stronę pompy. Na dużej połaci stopionego śniegu leżało przewrócone wiadro. Miała jakieś złe przeczucia i przeszła na tył chaty, a potem nagle stanęła, kiedy zauważyła rozciągnięte na śniegu ciało.

– Matthew! Chodź szybko!

Ponury wyraz twarzy zdradzał trochę jego myśli, gdy upadłszy na kolana obok mężczyzny, sprawdzał jego puls.

– Żyje. Pomóż mi go podnieść.

Włożyła ramię pod rękę pana Millera, wstrzymując oddech od duszącego smrodu niemytego ciała i alkoholu, a Matthew dźwignął go z drugiej strony.

– Musimy go natychmiast zawieźć do szpitala – oświadczył lekarz.

Nie trzeba było nawet Deirdre mówić, by wiedziała, że pan Miller był na granicy życia i śmierci. Wspólnymi siłami przyciągnęli ciało mężczyzny do miejsca, gdzie czekały ich wierzchowce. Matthew zmarszczył czoło i zapytał:

– Jak to najlepiej zrobić?

– Jeżeli przetrzucisz go przez grzbiet swojego konia, możemy razem dosiąść mojego.

– Dobrze. Pomóż mi go podnieść.

Z pewnym wysiłkiem udało im się przełożyć nieprzytomnego mężczyznę na grzbiet klaczy Matthew, a następnie przywiązali konia do tylnej części siodła Amber.

Deirdre ujęła wodze.

– Ja wsiądę najpierw, a ty za mną.

Kiedy sadowiła się w siodle, Matthew przytroczył do niego swoją skórzaną torbę.

Widząc jego grobową minę, Deirdre zapewniła go:

– W porządku. Jeździłam tak wiele razy z Connorem. – Wysunęła nogę ze strzemienia i wskazując na nie, rzekła: – Włóż tutaj stopę, a ja ci pomogę. – Wyciągnęła do niego rękę.

Matthew westchnął, ujął jej dłoń i wskoczył za nią.

Deirdre znieruchomiała, gdy poczuła na plecach jego muskularną pierś.

– Trzymaj się mnie, żebyś nie spadł.

Minęła chwila i dopiero potem Matthew objął ją rękami w pasie. Zamknęła oczy i napawała się tym rozkosznym uczuciem jego siły.

Zaraz potem popędziła Amber i ruszyli.

Koń parł przed siebie, a Matthew czuł, że kłębią się w nim setki doznań. Strach o życie tego mężczyzny, który jechał za nimi, niewygodny związane z kolejną jazdą konną i niespokojne odczucia wywołane bliskością Deirdre.

Gdy trzymał ją w ramionach, doświadczał jednocześnie udręki i rozkoszy. Siłą woli odpędzał od siebie wspomnienia ich namiętnego pocałunku, starał się nie myśleć o jej kobiecych kształtach opartych o jego ciało i nie wdychać zapachu jej włosów, bo w przeciwnym razie ponownie uległby pokusie.

Dlatego też wpatrywał się przed siebie w labirynt drzew i planował, jak najlepiej dowieźć pana Millera do szpitala. Samochód Jamesa byłby najszybszym środkiem transportu, dużo szybszym niż czekanie na ambulans.

Podróż powrotna ciągnęła się nieznośnie, chyba głównie z powodu tych słodkich tortur bliskości Deirdre. W końcu jednak ich oczom ukazała się stadnina.

– Będę musiał pożyczyć samochód twojego taty – oświadczył, gdy tylko zwolnili. – Możesz w tym pomóc?

Obróciła się i zerknęła na niego znad ramienia. Matthew wziął szybki wdech, gdy dostrzegł jej gorące spojrzenie. Czy czuła do niego ten sam pociąg co on do niej?

– Auto taty zaparkowane jest za stajnią. Zanieś tam pana Millera, a ja poszukam kogoś, kto mógłby nas odwieźć.

– Ja mogę prowadzić.

Uniosła brew.

– W porządku. W takim razie pójdę po Jo. Na pewno będzie chciała jechać z nami.

Zsiadł z konia i przeciągle wypuścił powietrze, pozwalając, by napięcie powoli uchodziło z jego ciała. Skupił uwagę na Claytonie Millerze, podczas gdy Deirdre ruszyła do stajni.

Kiedy Matthew prznosił mężczyznę do samochodu, czuł wyraźnie charakterystyczną woń alkoholu, której nie był w stanie zamaskować nawet smród niemytego ciała. Pan Miller musiał jakoś znaleźć zapasy whiskey... i to duże ilości, sądząc po jego aktualnym stanie. Gdyby Matthew wiedział, że to tylko kwestia odsypiania zbyt dużej ilości wypitego alkoholu, zostawiłby go w chacie. Ale obawiał się, że jego życiu groziło coś dużo gorszego.

Tym razem Matthew nie zamierzał ryzykować. Ponieważ mężczyzna był nieprzytomny i nie mógł protestować, on zamierzał zawieźć go do szpitala na dokładne badanie.

Kiedy tylko Deirdre i Jo wsiadły do samochodu, Matthew zgodnie ze wskazówkami Deirdre skierował pojazd w stronę miasta. Ciche pociągnięcia nosem dochodzące z tylnego siedzenia podpowiadały mu o rozpaczę Jo. Modlił się, by jej ojciec to przeżył.

Matthew wniósł pana Millera do szpitala. Od razu podbiegło kilku pracowników, żeby pomóc. Szybko przełożyli mężczyznę na łóżko do przewożenia chorych i odjechali.

Matthew zwrócił się do Deirdre:

– Pójdę i przekażę im wszystko na temat stanu pana Millera.

Skinęła głową i objęła ramieniem Jo.

– Będziemy w poczekalni.

Idąc korytarzem, Matthew czuł, że żołądek podchodzi mu do gardła. Po raz kolejny złapał się na tym, że na jego ustach gości modlitwa, tym razem za życie Clayтона Millera. Nie umiał nie wyrzucić sobie, że gdyby przyszedł wcześniej skontrolować stan mężczyzny, nie musiałoby dojść do tej sytuacji.

Pielęgniarka wskazała na przesłoniętą część, gdzie wywieźli pacjenta. Pracował już nad nim zespół specjalistów. Jeden z lekarzy podniósł głowę i popatrzył na Matthew.

– To pan przywiózł tego mężczyznę?

– Zgadza się. Jestem doktor Clayborne. – Matthew zdjął kapelusz z głowy. – Leczyłem ranę na nodze pana Millera. Kiedy przyszedłem dzisiaj na kontrolę, znalazłem go nieprzytomnego w śniegu.

– Czuć od niego, jakby cały zlał się alkoholem. – Lekarz przytknął głowicę stetoskopu do piersi pana Millera. – Jego funkcje życiowe są bardzo osłabione. Wie pan może, od jak dawna przebywał na zewnątrz?

– Nie, ale sądząc po jego stanie, gdy go odnalazłem, powiedziałbym, że nie więcej niż dziesięć do dwudziestu minut.

– Zgadzam się. To też prowadzi mnie do podejrzenia, że jego problem wiąże się raczej z alkoholem, a nie wyiębieniem. – Mówiący wyprostował się. – Jestem doktor West. Czy jest tu ktoś z rodziny, z kim mógłbym porozmawiać?

– Jego córka. Zaraz ją poproszę. – Matthew się zawahał. – Wykonałem zabieg chirurgicznego oczyszczenia rany na nodze, gdyż okazała się zgorzelinowa. Mógłby pan sprawdzić, czy to się nie pogorszyło?

Doktor West spojrzał na niego przenikliwym wzrokiem.

– Sprawdzę.

Matthew przełknął gulę strachu, która tkwiła mu w gardle. A co, jeśli infekcja rozprzestrzeniła się w organizmie mężczyzny i spowodowała tę zapaść? Czy Matthew mógł być odpowiedzialny za jego stan?

Zacisnął szczękę i poszedł odnaleźć Deirdre i Jo. Gdy dotarł do poczekalni, z zaskoczeniem zauważył, że Jo nie ma już kapelusza, a jej długie, jasne włosy splecione były w staranny warkocz.

Kobiety podniosły się na jego widok.

– Jak się ma mój tata? – zapytała Jo.

– Lekarz właśnie go bada. Chciał z tobą porozmawiać.

Deirdre położyła dłoń na ramieniu Jo.

– Pójdę z tobą.

Matthew poprowadził je na miejsce i przedstawił doktorowi Westowi. Mężczyzna uśmiechnął się, gdy tylko zauważył Deirdre.

– Siostra O’Leary. Miło panią znów widzieć.

– I pana, doktorze West.

Nagle spochmurniał.

– Dlaczego jest pani tutaj?

– Pomagałam doktorowi Clayborne’owi w opiece nad panem Millerem.

– Rozumiem. Cóż, chciałbym porozmawiać z panną Miller na temat jej ojca, ale jeszcze wcześniej, doktorze Clayborne, pozwól pan, że pochwalę, iż świetnie się pan spisał, jeśli chodzi o nogę tego mężczyzny. Infekcja ładnie się wyleczyła. Z pewnością nie ona jest źródłem obecnego problemu.

Na te słowa Matthew poczuł, że olbrzymi głaz spadł mu z serca.

– Dziękuję. Dobrze wiedzieć.

Deirdre uścisnęła go za ramię, jakby rozumiała, co takiego go nurtowało.

Po raz pierwszy od śmierci Priscilli Matthew poczuł, że wraca mu częściowo dawne zaufanie we własne siły. Może wcale nie był takim złym lekarzem, za jakiego się uważał.

Gdyby tylko udało im się teraz zachować Claytona Millera przy życiu. Bo chociaż rana się goiła, Matthew wiedział, że z mężczyzną działo się coś dużo gorszego.



Kilka godzin później Jo przemierzała tam i z powrotem pustą poczekalnię szpitala na Long Island. Doktor Clayborne i panna O'Leary zostali z nią jeszcze przez jakiś czas, ale gdy zaczęło się robić późno, doktor nalegał, by odwieźć pannę O'Leary do Irlandzkich Łąk. Obiecał jednak, że wróci, by informować ją na bieżąco o stanie jej ojca.

Gdyby tylko Seth mógł tu być. Jo jednak nie widziała innej możliwości, aby powiadomić go o sytuacji taty poza udaniem się na farmę Sullivanów. Przypuszczała, że mogłaby poprosić kogoś, żeby zadzwonił do Sullivanów i przekazał mu wiadomość, choć wątpiła, by Seth ryzykował pracę i przyjechał tu tylko po to, żeby potrzymać ją za rękę.

Jo otuliła się ramionami w pasie. Miała tak zszargane nerwy, że nie potrafiła nawet usiedzieć pięciu minut na którymś z tych niewygodnych krzeseł. Zamiast tego chodziła po pokoju i odmawiała na okrągło wszystkie modlitwy, jakie tylko pamiętała.

W końcu na korytarzu rozległy się kroki. Jo podbiegła do drzwi, licząc, że może to ktoś z wiadomościami o jej ojcu.

Jednak zamiast lekarza jej oczom ukazał się Connor O'Leary. Jej serce skoczyło jak narowisty mustang. Jak to możliwe, że on zawsze wyglądał tak dobrze? Niestopione jeszcze płatki śniegu błyszczały na jego kapeluszu i ramionach. Kołnierz z wełny owczej przy płaszczu miał wysoko postawiony koło uszu. Strzepnął kapelusz, gdy szedł w jej kierunku.

– Witaj, Jo, Deirdre powiedziała mi o twoim tacie. Tak mi przykro. – Jego orzechowe oczy w sztucznym oświetleniu sprawiały wrażenie zielonkawych.

– Dziękuję, ale nie musiałaś przyjeżdżać. – Dłonie Jo zrobiły się wilgotne od niepokoju. Odgarnęła warkocz z ramienia, uświadamiając sobie nagle, że na pewno wygląda strasznie.

– Przyjechałem z doktorem Clayborne'em. Chciałem się upewnić, że masz się dobrze.

Wyprostowała plecy. Choć bardzo ceniła jego życzliwość i tak całe życie była zmuszona radzić sobie sama z alkoholizmem ojca. Nie mogła pozwolić na to, by teraz musieli polegać na Connorze O'Learym.

– Doceniam twoją troskę, ale nie masz obowiązku troszczyć się o mnie.

Connor potrząsnął przecząco głową.

– Nie zgadzam się. Mam w tym interes, żeby ta sytuacja skończyła się dobrze, ponieważ wpłynie na to, jak będziesz wykonywać swoją pracę.

Spojrzała na niego, pewna, że to tylko wymówka, by ją udobruchać, ale ponieważ nie było nic gorszego niż samotne czekanie, nie kłóciła się z nim więcej.

– A może usiądziemy? – zaproponował Connor, wskazując na rząd krzeseł. – Doktor Clayborne powiedział, że wróci z nowinami.

Jo skinęła głową i zajęła miejsce na krześle. Connor usiadł obok niej tak, że ich uda się stykały. Odsunęła się troszkę, z niepokojem uświadamiając sobie bliskość postawnego mężczyzny. Złożyła dłonie na kolanach i z nerwów wykręcała palce.

– Mój brat będzie się martwił, gdy wróci do domu i nas nie zastanie.

– To już załatwione. Zatrzymaliśmy się po drodze u Sullivanów. Caleb przekaże twojemu bratu informację.

Zagryzła wargę. Ten życzliwy gest utwierdził ją w przekonaniu, że Connor O’Leary był rzeczywiście dobrym człowiekiem.

– Dziękuję ci.

Nagle na dłoni poczuła ciepło jego dotyku.

– Nie jesteś sama, Jo. Przejdziemy przez to. Zobaczysz.

Ścisnęło ją coś w gardle. Wpatrywała się w jego oczy, z trudem panując nad emocjami i ze wszystkich sił walcząc, by nie rozkleić się przed nim.

– To nie pierwszy raz, prawda? – Ciche pytanie Connora wydawało się grzmieć donośnie w pustym pomieszczeniu.

Spuściła wzrok na poznaczone plamami płytki na podłodze.

– Nie. Po ostatnim takim... epizodzie... wyjechaliśmy z Illinois i przeprowadziliśmy się tu, licząc na nowy start. Kiedy tatko dostał tę pracę jako nadzorca, myśleliśmy, że sprawy wreszcie przybrały lepszy obrót. – Jo westchnęła z drzeniem. – Chyba jednak byłam w błędzie.

Była tak zmęczona uciekaniem, ukrywaniem sekretu taty, zmęczona wysiłkami, by uzbierać wystarczająco pieniędzy, żeby dało się spłacić długi i mieć jeszcze na jedzenie.

Connor otoczył ją ramieniem i przyciągnął do siebie. Znieruchomiała, a serce waliło jej w piersi.

– Nie musisz sama cały czas dźwigać tego ciężaru. – Niski głos Connora tuż obok jej ucha

sprawił, że przeszło ją miłe ciepło. – Chciałbym ci pomóc go nieść. Pozwolisz mi?

Gdy jeszcze mocniej przyciągnął ją do siebie, pozwoliła, żeby jej głowa opadła na jego ramię. Tama wstrzymująca te wszystkie emocje pękła i po jej policzkach popłynęły gorące łzy. Płakała tak długo, aż wydawało się, że w środku nie ma już nic. Chociaż wstydziła się swojej słabości, nie mogła zaprzeczyć, że dobrze było mieć kogoś, z kim można podzielić się zmartwieniami.

Kolejną rzeczą, jaką potem pamiętała, były męskie głosy, które ją zbudziły. Doktor West i doktor Clayborne stali przed nią. Jo zamrugła szybko i zerwała się z ramienia Connora.

– Jak się czuje mój ojciec?

Doktor West miał bardzo poważną minę.

– Obawiam się, że rokowania nie są zbyt dobre.

Słowa unosiły się w powietrzu i powoli docierały do jej umysłu.

– Co to oznacza?

– Pani ojciec jest obecnie w śpiączce. Nie mamy pewności, czy kiedykolwiek odzyska przytomność.

Dreszcze przeszły jej ciało. Connor otoczył ją ramieniem w pasie, podtrzymując ją.

– Co mu jest? – zdołała w końcu z siebie wydusić.

Lekarze wymienili spojrzenia, a doktor West westchnął przeciągle.

– Lata picia zebrały swoje żniwo. Jego organy wewnętrzne są mocno wyniszczone. I... – Przerwał. – Wygląda na to, że pani ojciec znacznie nadużył alkoholu. Cierpi na poważne zatrucie alkoholowe.

Nie mogła zrozumieć.

– Więc to nie chodziło o to, że przebywał na zewnątrz w śniegu? – To prawda, że płaszcz ojca mocno przesiąknięty był zapachem whiskey, ale była do tego już tak przyzwyczajona, że nawet nie zwracała na to uwagi.

– Nie. – Ponury wyraz twarzy doktora Clayborne'a wszystko tłumaczył.

Zacisnęła usta. Skąd tata zdobył alkohol? Przecież Seth na pewno nie przyniósłby mu ani kropli.

Doktor Clayborne wskazał gestem na korytarz.

– Może pani z nim chwilę posiedzieć, jeśli pani chce.

Przełknęła ciężko i kiwnęła na znak zgody. Teraz mogła już tylko towarzyszyć tacie i modlić się o cud.

Skończywszy przepyszny niedzielny obiad, na który składała się pieczeń wołowa z purée ziemniaczanym i sosem, a na deser szarlotka, Matthew odsunął krzesło od stołu w jadalni państwa O’Leary i pomasaował się po brzuchu. Jeśli nadal będzie tak dobrze jadał, przydałoby mu się pomyśleć o regularnych ćwiczeniach, by zachować wagę pod kontrolą. Dogłębne poczucie zadowolenia przyniosło mu stan zupełnego odprężenia, a było to coś tak niecodziennego, że prawie zapomniał, jak to jest.

Z boku Phoebe, ciągnąc go za rękaw, zapytała:

– Tatusiu, a kiedy są moje urodziny?

Matthew wyrwał się z otępienia wywołanego przejedzeniem. Jej słodki głosik przeszył go dreszczem radości.

– Już bardzo niedługo. A czemu pytasz?

– Pani Harrison mówi, że upiecze dla mnie specjalny tort. – W jej niebieskich oczach tańczyły iskiereki podekscytowania.

Podziwiał to, jak łatwo dzieciom przychodzi się cieszyć.

Deirdre przechyliła się ponad stołem. Wyglądało na to, że jest nie mniej podekscytowana od Phoebe.

– Musimy urządzić ci przyjęcie urodzinowe. Betsy, Rose i Sean na pewno będą chcieli przyjść.

Phoebe wytrzeszczyła oczy.

– Przyjęcie? Dla mnie?

– Właśnie tak. Będzie tort, prezenty i zabawy. Właśnie tego nam tu teraz potrzeba.

– Świetny pomysł! – Kathleen klasnęła w dłonie, jakby sama była małą dziewczynką. – Brianna pomoże nam wszystko zorganizować. I zaprosimy też Colleen i Adama z ich rodzinami.

Nagle całe odprężenie Matthew uleciało. Przekalkulował w głowie, ile to może być gości i poczuł przypływ paniki. Jak zawsze, gdy wyobrażał sobie córkę pośród dużej grupy innych ludzi, jego niepokój osiągał szczyty. I nawet mimo tego, że zdrowie Phoebe znacznie się poprawiło od czasu przyjazdu do Irlandzkich Łąk, wciąż nie mógł się pozbyć zwykłego w tych sytuacjach zaniepokojenia. Zarówno Adam, jak i Colleen mieszkali w mieście. Colleen i jej mąż Rylan pracowali w sierocińcu, gdzie każdego dnia byli narażeni na wiele zarazków. A co, jeśli przywiozła tu jakąś chorobę?

Matthew chciał już położyć kres wszelkim rozmowom o przyjęciu, ale widząc pełen fascynacji wyraz na twarzy córki, zmiękł.

Będzie musiał znaleźć sposób, by pokonać swój strach i zmierzyć się z tą sytuacją, bo nie wyobrażał sobie, że miałby rozczarować Phoebe.

Deirdre wyszła za Matthew do salonu, chcąc się dowiedzieć, dlaczego tak nagle zamilkł i odszedł od stołu. Miała nadzieję, że nie był zły o to przyjęcie urodzinowe. Powinna była wcześniej z nim to omówić, ale ten pomysł powstał tak spontanicznie...

Stał przy drzwiach balkonowych, wychodzących na zaśnieżony taras, a ręce miał założone za plecami. Podeszła do niego i zapytała nieśmiało:

– Czy to chodzi o przyjęcie z okazji urodzin Phoebe? Zdaje się, że nie cieszysz się za bardzo z tego pomysłu.

Odwrócił głowę w jej stronę i rozpacz przebijająca z jego spojrzenia spowodowała, że serce się w niej ścisnęło.

– Phoebe jeszcze nigdy nie miała przyjęcia urodzinowego – powiedział.

– Nigdy?

Pokręcił głową.

– Priscilla zachorowała tuż przed drugimi urodzinami naszej córki, zaś trzecie Phoebe spędziła w sanatorium. Później z kolei... cóż, była tak słabowita, że nie chciałem zapraszać do niej innych.

– I dlatego teraz się martwisz? Obawiasz się, że będzie zbyt wielu ludzi?

Uśmiechnął się blado.

– Chyba trudno się pozbyć starych przyzwyczajęń. Wciąż nie jest mi łatwo pozwolić Phoebe... być dzieckiem. Moim pierwszym odruchem jest troska, by schować ją przed wszelkimi możliwymi krzywdami.

Przejęło ją współczucie i kładąc mu dłoń na ramieniu, rzekła:

– Z czasem będzie ci coraz łatwiej, zobaczysz. – Uśmiechnęła się z radości, że najwyraźniej Matthew nie odczuwał już tego uporczywego skrępowania w jej obecności i ponownie potrafił jej zaufać.

Ich spojrzenia spotkały się, przyciągając go do niej. Choć to głupie, pragnęła, by znów ją pocałował. Emocje związane z ich ostatnim uściskiem wciąż wybrzmiewały w jej sercu i sprawiały, że marzyła o czymś więcej niż przyjaźń. Czy uda mu się kiedykolwiek znowu pozbyć tego dystansu?

Ktoś odchrząknął za ich plecami.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzam – rozległ się śpiewny głos mamy.

Palące ciepło oblało policzki Deirdre, gdy Connor wprowadził wózek matki do pokoju, a obok niego dreptała Phoebe.

– Oczywiście, że nie – odparła Deirdre. – Właśnie omawialiśmy przyjęcie urodzinowe.

– To musiała być poważna dyskusja – skwitował Connor, uśmiechając się zawadiacko w jej stronę. – Wybaczenie, ale tata chciał się ze mną zobaczyć i czeka na mnie w gabinecie.

Phoebe przebiegła przez pokój i nieco lepką od ciasta rączką złapała dłoń Deirdre.

– Panno Deirdre? Możemy zaprosić na urodziny moją babcię i dziadka?

Deirdre odgarnęła pasemko jasnych włosów z policzka dziewczynki. Gdy patrzyła na tę szczerą twarzyczkę, jej serce przepęłniało się miłością.

– Będziesz musiała zapytać o to tatusia.

Matthew zniżył się do poziomu córeczki.

– Twoi dziadkowie są teraz na wycieczce. A nawet gdyby nie byli, to Toronto jest zbyt daleko stąd.

Phoebe zmarszczyła czoło, ale zaraz jej twarz ponownie się rozpromieniła.

– Mogliby przyjechać pociągiem, tak jak my.

Pokręcił głową.

– Nie wydaje mi się. Ale nie martw się, wkrótce już się z nimi zobaczymy. Gdy tylko skończymy leczenie pani O’Leary, wrócimy do domu.

Deirdre przeczuwała, że dziewczynka spodziewała się, iż już na zawsze zostaną w Irlandzkich Łąkach, więc czekała na jej sprzeciw.

Faktycznie, oczy Phoebe wypełniły się nagle łzami.

– Ja nie chcę wracać do domu. Podoba mi się tutaj. Dlaczego nie możemy tu mieszkać?

Rozdarcie widoczne na twarzy Matthew wstrząsnęło Deirdre nie mniej niż rozpacz Phoebe. Kołysała dziewczynkę w ramionach.

– Może moglibyście odwiedzić nas w lecie i nauczyłabyś się wtedy jeździć na Piruecie. – Liczyła, że jej wymuszona wesołość poprawi humor dziewczynki.

Łzy rzeczywiście zniknęły.

– Mogłabym wtedy popływać z Betsy i Rose.

– Świetny pomysł, ale na razie skupmy się na twoich urodzinach. Musisz powiedzieć pani Harrison, jakie ciasto najbardziej lubisz.

Podstęp zadziałał. Spojrzenie Phoebe pojaśniało i dziewczynka zaczęła wymieniać ulubione smaki.

Deirdre napotkała wdzięczny wzrok Matthew ponad jej głową.

– Dziękuję – rzekł bez słów.

Deirdre skinęła, ciesząc się, że nie musi nic odpowiadać. Nie tylko Phoebe miała trudności, by pogodzić się z myślą o wyjeździe Clayborne'ów.



Connor zapukał do drzwi gabinetu, a następnie wszedł do środka. Tata, jak zawsze, siedział za wielkim mahoniowym biurkiem, nad rozłożoną księgą.

– Jestem. Chciałeś się ze mną zobaczyć? – Connor klapnął na skórzany fotel ustawiony na wprost biurka.

Tata zdjął okulary do czytania i pocierał grzbiet nosa.

– Muszę z tobą o czymś porozmawiać.

Nastrój Connora zaczął opadać.

– Chodzi o Excalibura?

– Prawdę mówiąc, tak. Państwo McCready przyjeżdżają w przyszły weekend, żeby zobaczyć, jakie postępy poczyniłeś w pracy z ich koniem. – Zmrużył oczy. – Czy powinienem się martwić?

Connor znieruchomiał. Nie poświęcił temu zwierzęciu tyle czasu, ile powinien. Tym bardziej, że odkąd odkrył więź pomiędzy Jo a tym koniem, pozostawił Excalibura pod jej opieką.

– Jest coraz lepiej. Mój stajenny, Jo, zdołał któregoś dnia objechać na nim dookoła zagrody.

Ojciec ściągnął brwi.

– To stanowczo za mało, jeśli mowa o gotowości do stawania w wyścigach.

– Jestem tego świadom.

– Jak zamierzasz naprawić tę sytuację? Jeżeli nie będzie gotowy do wiosny, właściciele zażądają zwrotu wszystkich kosztów.

Connor potarł dłonią dolną szczękę.

– Potraktuję to od teraz priorytetowo. Jo świetnie sobie z nim radzi. Powinniśmy być wkrótce gotowi na próbny wyścig.

– To też sprowadza mnie do kolejnego tematu.

Connor przełknął z trudem i czekał.

– Gil mówi, że pozwoliłeś nowemu stajennemu przejąć szkolenie Excalibura. – Przeszywający wzrok ojca działał na niego tak samo, jak wtedy, gdy Connor był dzieckiem. Nagle znów czuł się jak dziesięciolatek czekający na ukaranie za któryś z wielu jego żartów.

Zmierzył się wzrokiem z ojcem i odparł:

– Tak, Jo mi pomaga.

– Gil twierdzi, że ten dzieciak jest wciąż zielony i choć podziwiam, że próbujesz go wyszkolić, państwo McCready płacą za twoją pracę, a nie nieopierzonych stajennych. – Tata zamknął księgę. – Od dzisiaj chcę widzieć, że poświęcasz całą uwagę temu ogierowi. Odsuń chłopaka od tego.

Connor skrzywił się. W ciągu paru minut cała jego ciężka praca przestała się liczyć i ważna była tylko opinia Gila. Stał ze skrzyżowanymi ramionami i patrząc prosto na ojca, rzekł sztywno:

– W porządku. Poświęcę cały mój czas Excaliburowi.

– Dobrze. Za kilka dni upewnię się, jak ci idzie.

Connor skłonił się szorstko i wyszedł zdecydowanym krokiem. Jutro będzie musiał wymyślić coś, żeby Excalibur słuchał go pod nieobecność Jo.

Ale obawiał się, że to może okazać się niemożliwe.

Matthew podłożył ramiona pod głowę i wpatrywał się w sufit swojej sypialni. Nie mógł jednak nawet zmrużyć oka. Po drugiej stronie korytarza spała jego córka, uspokojona rozmową z Deirdre i panią Harrison na temat przyjęć urodzinowych i tortów.

Matthew westchnął, jeszcze raz wspominając przebieg tych niepokojących wydarzeń. Jego córka uzależniła się od Deirdre i rodziny O’Leary dużo bardziej, niż się spodziewał. Nawet nowy członek rodziny w Toronto, w postaci szczeniaczka, mógł nie wystarczyć, by pocieszyć Phoebe, gdy będą musieli opuścić Irlandzkie Łąki. Matthew musiał zacząć przygotowywać ją na to, że już niedługo wrócą do domu.

Wybiegł myślami do ponurej panny Shearing i konieczności znalezienia nowej niani. Wydawało mu się nieuczciwe, żeby dawać tej kobiecie nadzieję, że ma wciąż u niego pracę. Z samego rana napisze jej list z wypowiedzeniem i jeszcze drugi do gosposi, by zaczęła szukać zainteresowanych na to stanowisko. Jak się uda, to może do czasu ich powrotu będzie już miał przegląd najlepszych kandydatek.

Przekręcił się na bok i uderzył pięścią w poduszkę. Prawdziwy powód, dla którego nie mógł spać, palił go w piersi jak największa zgaga. Nie tylko Phoebe będzie nieszczęśliwa, wyjeżdżając z Irlandzkich Łąk. Myśl o tym, że już nigdy nie zobaczy Deirdre, wzbudzała w nim jakiś ból, którego nic nie mogło złagodzić.

Ta nieproszona tęsknota rujnowała jego zdrowie psychiczne, wywracając do góry nogami wszystko, co do tej pory udawało mu się kontrolować w życiu. Miał wrażenie, jakby żył w jakimś dziwnym zawieszeniu. Nawet jeśli zebrałby w sobie na tyle odwagi, by zaryzykować i wypowiedzieć na głos swoje uczucia, na ich drodze stała przyszła kariera Deirdre. Aby zostać lekarzem, potrzeba było wielu lat studiów i długie godziny staży. W jej życiu nie będzie miejsca na męża albo pasierbicę. I nie liczyło się, jak bardzo Matthew i Phoebe mogli tego pragnąć.

W ciągu tych najbliższych kilku tygodni będzie musiał się jakoś nauczyć, by przyjąć to... i pożegnać się.

Connor patrzył w osłupieniu, jak Jo wprowadza Excalibura do zagrody. Przecież powinna być w szpitalu ze swoim ojcem. Connor liczył, że podczas jej nieobecności będzie miał czas, by obmyślić plan, jak powiedzieć jej, że nie będzie się już dłużej zajmowała ogierem.

Podszedł do ogrodzenia. Wiedząc, że w pobliżu są inni pracownicy, zawołał:

– Jo, mogę cię prosić na minutkę?

Poklepawszy Excalibura po boku, ruszyła w jego stronę.

– Dzień dobry, panie O’Leary. – Ten cholerny kapelusz zakrywał jej pół twarzy.

Szkoda, że musiała mieć na sobie to okropne przebranie, ale inni mężczyźni nie zgodziliby się pracować z kobietą. Nie wspominając już o tym, jak zareagowałby jego ojciec, gdyby tylko się dowiedział.

A jednak nie mógł pozostać obojętny na fakt, że gdzieś w głębi serca pragnął, by mogła uwolnić swoje piękne, jasne włosy z tego ohydneho więzienia i odsłonić tę śliczną twarz.

Connor przechylił się przez płot, pytając:

– Czemu nie jesteś w szpitalu?

Dziewczyna zmarszczyła czoło.

– Nie mogę siedzieć całymi tygodniami przy łóżku taty. Poza tym inni stajenni mówili, że przyjeżdżają właściciele Excalibura, żeby sprawdzić postępy. Nie chciałam, żebyśmy zwolnili tempo jego szkolenia.

– My?

– Dobrze słyszałeś. Jak mamy coś osiągnąć, będziesz potrzebował mojej pomocy – odparła, unosząc brodę.

Zacisnął zęby. Choć pamiętał, co przykazał mu ojciec, Connor wiedział, że Jo miała rację. Nigdy nie uda mu się przygotować ogiera przed przyjazdem właścicieli, jeśli ona mu nie pomoże.

Dziewczyna uniosła lekko rondo kapelusza i uśmiechnęła się.

– Pracując zespołowo, na pewno osiągniemy dobre wyniki.

Drgnął, uświadamiając sobie, że jeszcze nigdy przedtem nie widział jej prawdziwego uśmiechu. Efekt... wprawiał go w zmieszanie... najdelikatniej mówiąc. Wziął głęboki wdech, by opanować emocje, i skupił się na najpilniejszych zadaniach. Będzie musiał zaryzykować tę współpracę.

– W porządku. Zaczynamy.

Wyciągnął rękawice robocze z kieszeni kurtki i wszedł do zagrody, modląc się w duchu, żeby jego ojciec nie przyszedł dzisiaj na kontrolę.

W ciągu kolejnych kilku godzin Connor i Jo wypracowali sobie pewien rytm. Pracowali w tandemie, każde z nich na zmianę oprowadzało i próbowało dosiąść Excalibura. Pod koniec poranka koń pozwalał już, by każde z nich siedziało na jego grzbiecie.

W czasie przerwy na lunch Connor jadł przy biurku ojca, uzupełniając jakąś dokumentację. Nie mógł się jednak skupić, bo myśli same kierowały się w stronę Jo. Co do jednego miała rację – bez jej pomocy Excalibur nie byłby gotowy na wizytację. Zamknął księgę z uśmiechem i z zaskoczeniem zauważył, że chętnie wróciłby już do pracy.

Do Jo.

Tak wiele rzeczy w niej podziwiał. Jej wierność etyce pracy, jej umiłowanie zwierząt, jej oddanie rodzinie. Nie wspominając nawet o idealnych, niebieskich oczach, które wpatrywały się w niego, jakby był jakimś bohaterem.

Wstając, pokręcił głową. Musiał trzymać się z dala od takiego myślenia podczas zajęć.

Gdy szedł do stadniny, usłyszał wybuch męskiego śmiechu z pomieszczenia gospodarczego. Zatrzymał się z żalem. Tak mu brakowało koleżeńskich relacji, które kiedyś łączyły go z tymi mężczyznami. Zamiast iść dalej, skierował się tam, licząc, że dołączy do ogólnej wesołości.

Kilku stajennych tłoczyło się koło drzwi do siodlarni. Z wewnątrz dobiegały odgłosy przepychanek.

Dobry humor Connora nagle zniknął.

Mac stał na tyłach i z zagniewaną miną zawołał:

– Zostawcie dzieciaka w spokoju, dobra? Nie widzicie, że jest przerażony?

Najwyższy wzrostem stajenny – Tyczkowaty Luke, jak go wołali, pchnął Maca w barki.

– Tylko się tak bawimy. Musi się kiedyś nauczyć, jak być mężczyzną.

– Najwyższa pora, żebyśmy zobaczyli, co ma pod tym kapeluszem. – Dobiegł jakiś głos ze środka. – Albo pod tymi workowatymi ogrodniczkami.

Rozległa się kolejna salwa rechotów.

Connor poczuł, że coś ścisnęło go w gardle. W przyływie adrenaliny rzucił się do przodu.

– Co tu się, do jasnej cholery, dzieje?

Mężczyźni rozstąpili się, robiąc Connorowi przejście.

W środku, skulona na ławce Jo zaciskała mocno w obu dłoniach swój kapelusz.

Eugene Jones trzymał w garści szelki jej ogrodniczek.

Furia zaćmiła wzrok Connora. Wskoczył do pomieszczenia, chwycił Gene'a za koszulę i przyparł go do najbliższej ściany. Ściskając jeszcze mocniej, uniósł mężczyznę tak, że ten ledwie dotykał nogami ziemi.

– Jeśli kiedykolwiek cię przyłapię na ponownym prześladowaniu Jo, wylatujesz z pracy. I obiecuję ci, nie znajdziesz żadnej innej w tej okolicy. – Przesunął surowym wzrokiem po pozostałych zgromadzonych mężczyznach. – Wyraziłem się wystarczająco jasno?

Mając zaciśniętą pięść Connora na gardle, Gene mógł tylko skinąć głową.

Connor niespiesznie zwolnił uścisk, do czasu aż buty stajennego zetknęły się z ziemią.

– A teraz wracać do pracy... wszyscy.

Eugene spojrzał na Connora piorunującym wzrokiem, a potem poprawił koszulę i zamaszystym krokiem wyszedł z siodlarni. Inni poszli za nim i tylko mamrotane pod nosem przekleństwa były dowodem ich sprzeciwu.

Connor wziął wdech, by uspokoić gniew, i stanął twarzą w twarz z Jo.

– O co chodziło?

Otarła twarz rękawem koszuli.

– O nic.

– Nie wciskaj mi kitu. Coś musiało się stać, że się przyczepili.

Uniosła głowę, a jej oczy błyszczały od hamowanych łez. Serce Connora stanęło jak samochód z pustym bakiem.

– Nigdy mnie nie lubili, od samego początku. Wołali na mnie berbeć i wyśmiewali mój ubiór. Wszyscy poza Makiem. On zawsze był miły.

Connor poczuł zupełnie irracjonalną niechęć do Maca.

– A teraz mi zazdroszczą, bo pracuję z koniem wyścigowym. – Jo wzruszyła ramionami. – Nazywają mnie pupilkiem szefa.

Connor chodził tam i z powrotem po małym pomieszczeniu.

– Ach, ci małostkowi, niedojrzali...

Jo wstała i poprawiła szelki ogrodniczek.

– Zapomnijmy o tym i wracajmy do roboty. Chcę skończyć na czas, żeby pojechać jeszcze do szpitala.

Wyprostowała się, próbując być silna, jednak jej twarz przeszły wyraz smutku.

Connor poczuł, że przez jego serce galopują tabuny uczuć – takich, których nie śmiał nawet dokładnie nazywać.

– W porządku. Ale jak jeszcze raz coś takiego się stanie, liczę, że przyjdiesz do mnie. Nie będę tolerował zastraszania pod moim okiem.

– Dobrze. – Minęła go i wyszła na korytarz.

Connor pozostał jeszcze chwilę, by odczekać, aż wróci mu jasność umysłu. Musiał skupić się na Excaliburze, a nie pewnej kobiecie, która z chwili na chwilę sprawiała mu coraz więcej problemów.

I to nie tylko wśród pracowników stadniny.



Po ostatnim treningu w sobotni poranek Jo wyszczotkowała sierść Excalibura, aż zaczęła błyszczeć. Państwo McCready mieli przyjechać za niecałe dwie godziny i Connor poprosił ją, by była w pobliżu, żeby ogier czuł się spokojny. Nie umiała teraz uciszyć skołatanych nerwów, żałując, że nie może przewidzieć, co się dzisiaj stanie. Mogła się jedynie modlić, by wszystko poszło dobrze... ze względu na Connora.

Jej serce drżało na samą myśl o tym mężczyźnie. Mężczyźnie, który pozwolił jej tu dalej pracować mimo jej oszustwa. Mężczyźnie, który traktował ją jak równą sobie i który cenił jej zdanie w kwestii Excalibura. Mężczyźnie, który obronił ją przed innymi stajennymi, którzy ją terroryzowali.

Jak miała ustrzec swe serce przed kimś takim?

Westchnęła i przesunęła dłonią po boku Excalibura. Nie było sensu marzyć o tym, co nierealne. Była niewykształconą córką włączącego się po kraju alkoholika, a on należał do jednej z najbogatszych rodzin. I na dodatek był dla niej szefem. Oto kolejny powód, by pohamować swoje uczucia.

– Cześć, Jo! Jak się masz? – Głowa Connora pojawiła się ponad wejściem do boksu.

Przestraszyła się trochę, ale potem dalej szczotkowała konia.

– Trochę się denerwuję.

– To normalne. – Podniósł rękę i pokazał pakunek. – Pomyślałem sobie, że może chciałabyś się przebrać w coś bardziej odpowiedniego dla trenera czempiona.

Przeszyła ją panika.

– Ale nie mogę...

– Przyniosłem spodnie, koszulę i szeroką kamizelkę. I jeszcze dżokejkę. Wszystko jak najbardziej męskie. – Wręczył jej zawiniątko. – Przymierz i sama zobaczysz.

– Gdzie? – Nie mogła tak po prostu zdjąć ubrań przed nim.

– W mieszkaniu Sama. Zaprowadzę cię.

Poszła za nim na drugi koniec gospodarczej stajni. Tam Connor zatrzymał się przed drzwiami, które najwidoczniej prowadziły do prywatnych kwater mastalerza.

– Nie martw się. Sam nie miałby nic przeciwko – powiedział Connor, otwierając drzwi. – Nad umywalką jest lustro.

Jo weszła i zamknęła za sobą drzwi. Pokój był mały, ale przytulny. Było tam pojedyncze łóżko, krzesło i stolik nocny. Pod przeciwległą ścianą zobaczyła komodę i umywalkę, a nad nią prostokątne lustro.

Dziewczyna szybko przebrała się w ubrania, które przyniósł jej Connor, i nałożyła dżokejkę. Zapięła pasek pod brodą i przyglądając się sobie uważnie w lustrze, sprawdzała, czy nigdzie nie wystaje jej siatka na włosach. Bez obwisających boków kapelusza, który nosiła na co dzień, Jo poczuła się naga. Wyciągnęła chustkę z kieszeni ogrodniczek i obwiązała ją wokół szyi. Dzięki Bogu tego dnia było dość zimno. Gdyby to było lato, wyglądałaby śmiesznie w tych wszystkich warstwach ubrań pozapinanych pod samą szyję.

Podeszła do drzwi i uchyliła je lekko. Connor, który stał na straży, obrócił się na pięcie i rzekł:

– Zobaczmy...

Popchnął drzwi szerzej i przyglądał się jej od czapki po buty.

– Znaczna poprawa. – Uśmiechnął się szeroko.

– Czy wyglądam nadal jak chłopak? – wyszeptała z niepokojem.

– Jasne. Dopóki nikt nie podejdzie zbyt blisko, ale przecież nie będą mieli do tego powodu.

– A co z innymi? Od razu zauważą i... – Przelknęła głośno ślinę. Co wtedy zrobi Eugene?

– Możesz się z powrotem przebrać zaraz po wyścigu. Chłopaki nawet się nie spostrzegą.

Jo zdusiła w sobie zdenerwowanie i złożyła swoje rzeczy na drewnianym krześle koło łóżka.

– Czy twój ojciec nie będzie oczekiwał, że to ty dosiądziesz Excalibura?

Connor nie mówił jej dokładnie, co jego ojciec sądził o tym, że pracowała z ogierem.

– Już ja się będę martwił o mojego ojca. Chodźmy. Pokażmy tym ludziom, na co stać ich konia.

Pół godziny później Jo siedziała na grzbiecie wielkiego ogiera na pozycji startowej toru wyścigowego i gorąco pragnęła, by jej serce nie waliło tak gwałtownie. Jej zdenerwowanie nie pomoże Excaliburovi pokazać swoich możliwości i nieważne było, że to tylko próbny bieg. Zdecydowali, że nie będą używać bramek, bo nie mieli jeszcze okazji, żeby na nowo przyzwycząić do tego konia. Dzisiaj chodziło tylko o bieg.

Connor wybrał do tego wyścigu jeszcze trzy inne konie o spokojnym temperamencie. Jak jej tłumaczył, idealnym scenariuszem byłoby pokazać właścicielom Excalibura, że ich koń potrafi biec w wyścigu jako rywal. Nie chodziło jeszcze o to, by wygrywał. Teraz należało pokazać McCreadym, że jest nadzieja, iż ich pieniądze nie zostały wyrzucone w błoto i Connor osiągnął pewne wyniki.

Proszę, Boże, pozwól, by Excalibur ukończył czysto ten bieg.

Jakby w odpowiedzi ogier zarżał i potrząsnął głową. Jo pochyliła się nad nim i pogłaskała go na zachętę.

– Damy radę – wyszeptwała.

Naciągnęła dżokejkę na głowę najmocniej, jak się dało i pochyliła się w siodle, zaciskając w dłoni szpicrutę, której i tak nigdy by nie użyła.

Rozległ się strzał startera i konie pomknęły do przodu. Jo trzymała wodze miękko, pozwalając Excaliburovi prowadzić. I nie zawiodła się. Gnał po torze, jakby frunął. Po drugim okrążeniu Jo w końcu zwolniła i oddała się czystej przyjemności jazdy. W ostatniej kolejce spięła konia lekko nogami, a on odpowiedział nagłym przyspieszeniem. Wyszedł na pierwszą pozycję, wyprzedzając pozostałe ogiery na odległość ogona. W końcu jednak drugi koń prześcignął go i przekroczył metę przed nim.

Jo zrobiła długi wydech i stopniowo zwolniła tempo. Nie wygrali, ale miała nadzieję, że właściciele będą zadowoleni z mocnego drugiego miejsca.

Kątem oka dostrzegła Connora, pana O’Leary’ego i państwa McCready, którzy obserwowali ją, jak kończy bieg. Serce wciąż waliło jej w piersi. Zrobiła to, co do niej należało... a teraz powinna cicho zniknąć.

Zanim ktokolwiek zechce ją o coś pytać.



Connor wciąż triumfował po udanej gonitwie Excalibura, kiedy pogwizdując ulubioną melodię, udał się na poszukiwania Jo. Bez jej pomocy Excalibur nigdy nie zdołałby się przygotować do tego biegu, a tym bardziej nie byłoby możliwe, żeby zajął drugie miejsce. Ta utalentowana dziewczyna ocaliła jego dumę oraz reputację i miał wobec niej wielki dług wdzięczności.

Na szczęście ojciec nie powiedział ani słowa na temat tego, że to nie Connor dosiadał konia, pewnie z powodu zachwyty państwa McCready.

Connor nie mógł powstrzymać uśmiechu na twarzy, gdy praktycznie wbiegł do stajni. Jo pewnie zdążyła się już przebrać. Miał nadzieję, że nie pojechała do domu.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej, kiedy zauważył, jak dziewczyna wychodzi z mieszkania Sama i zamyka za sobą drzwi. Jak to możliwe, że nagle ten jej okropny kapelusz wydawał mu się taki sympatyczny?

– Udało się nam! – Connor pochwycił ją w niedźwiedzim uścisku, unosząc lekko i obracając wokół siebie, tak że jej nogi nie dosięgały już ziemi.

Wytrzeszczyła oczy i pisnęła tylko:

– Postaw mnie!

Ale on nie puszczał.

– Czy ty wiesz, jaka jesteś wspaniała? – Okręcił ją znów wokół siebie.

Chwilę później powoli postawił ją na ziemi, jednak nadal nie puszczał z objąć. Zbyt dobrze mu było mieć ją tak blisko swojej piersi.

– Uratowałaś mi życie. Jak ja ci się odwdzięczę?

Jej policzki oblały się rumieńcem i spuściła skromnie rzęsy.

– Przesadzasz.

Uniósł jej podbródek.

– Nawet nie wiesz, ile od tego zależało. Jeśli Excalibur wypadłby źle, kosztowałyby mnie to utratę dumy i szacunku ojca. A co ważniejsze, gdyby nie ty, stracilibyśmy cennego klienta.

Jej wargi rozciągnęły się w lekkim uśmiechu.

– Przynajmniej tak mogłam się odwdzięczyć za to, że pozwoliłeś mi tu dalej pracować. Nie wspominając o tym, co zrobiłeś dla mojego ojca, płacąc za jego pobyt w szpitalu.

Nagły wybuch irytacji przygasił wcześniejszą euforię.

– To nie...

– Nie zaprzeczaj, Connorze O’Leary. Doktor West powiedział mi, co zrobiłeś.

Zmarszczył brwi, rozsierdzony faktem, że lekarz nie zachował tej wiadomości dla siebie.

– Nie wiem, co by ze mną teraz było, gdyby nie ty. Cieszę się, że mogłam coś zrobić, żeby odplacić ci się za twoją życzliwość.

Patrzyła na niego z takim podziwem, takim uczuciem, takim... pragnieniem, że Connor ledwie łapał oddech. Serce mu waliło, jakby setka koni kopytami wybijała w jego piersi rytm galopu. Zanim zdołał to przemyśleć, pochylił głowę i złączył ich usta. Jęknęła delikatnie. Odsunął się, a jego usta wciąż były blisko i czekał, czy go odepchnie... czy nie.

– Connorze – wyszeptala.

Biorąc to za przyzwolenie, ponownie zbliżył wargi. Otuliła ramionami jego szyję, przyciągając go bliżej, a on miał wrażenie, że zaraz pęknie od tych wszystkich uczuć, które buzowały w jego wnętrzu. Smakowała jak miód, pachniała świeżym powietrzem. Jej gibkie ciało idealnie wpasowywało się w jego sylwetkę. Nie widział świata poza jej ustami, pieszczotą dłoni na jego szyi i ciepłem jej ciała.

– Co tu się, do cholery, dzieje? – Wrzask jego ojca przeszył mgłą spowijającą umysł Connora.

Tłumiąc okrzyk, Jo wyrwała się z jego ramion. Na jej twarzy błysnął wyraz przerażenia.

Nie było już wyjścia, więc Connor zrobił krok w stronę ojca i patrząc mu w twarz, rzekł:

– Tato, to jest Josephine Miller, osoba, która stoi za wyjątkowymi postęпами Excalibura.

Ojciec ściągnął gniewnie brwi.

– Josephine? Chcesz mi powiedzieć, że pracuje tu dziewczyna? I trenuje jednego z najdroższych koni w tej części kraju?

Nerwy ścisnęły żołądek Connora, ale nie zamierzał ulec ojcowskim metodom zastraszenia. Uniósł brodę.

– Zgadza się. I wykonała świetną robotę, czego sam dzisiaj byłeś świadkiem.

Tata chrząknął.

– Przesuń się na bok.

W pierwszym odruchu chciał zrobić wszystko, by chronić Jo, ale odsunął się, gotów jednak ponownie zasłonić ją, gdy tylko będzie potrzeba.

Tata uniósł rondo kapelusza Jo.

– Czy to ty jechałaś w gonitwie?

– T-tak, sir.

– Dlaczego udawałaś, że jesteś chłopakiem?

Connor spodziewał się, że dziewczyna skuli się pod tym gradem pytań, ale ona wyprostowała się i odparła:

– Ludzie nie chcą zatrudniać kobiet jako stajennych, a ja potrzebowałam pracy.

Zwrócił się do Connora:

– Więc nie wiedziałeś, że to dziewczyna?

– Na początku nie.

Szczęka ojca drgnęła.

– Choć doceniam to, co uczyniłaś dla Excalibura, obawiam się, że nie możemy pozwolić sobie na to, by pracowała tu kobieta. Wywołałoby to zbyt wiele sprzeciwów wśród mężczyzn. – Uniósł brwi, patrząc na Connora. – Między innymi.

Fala gorąca oblała szyję Connora, ale powstrzymał się i nie spuścił głowy.

– Nikt nie musi wiedzieć, że jest dziewczyną. Do tej pory przebranie wystarczało.

Na twarzy ojca błysnął nieznacznie wyraz współczucia.

– Przykro mi, ale nie mogę na to pozwolić. Obawiam się, że kończysz tu pracę, młoda damo.

Jo spuściła wzrok na podłogę.

– Rozumiem, sir. W takim razie, jak pan wybaczy, muszę już iść. – Wcisnęła kapelusz mocniej na głowę i skierowała się do drzwi.

– Jo, poczekaj! – Connor ruszył za nią, ale ojciec złapał go za ramię.

– Pozwól jej iść. Musimy porozmawiać.

Connor patrzył na plecy odchodzącej dziewczyny i westchnął. Porozmawia z nią później na osobności, kiedy wszystko się uspokoi. Odwrócił się, przygotowany już na reakcję ojca.

Faktycznie, dostrzegł kipiący w jego oczach gniew.

– Czyś ty postradał zmysły!? Całujesz się ze stajennym?

Connor poczuł się przygnieciony do ziemi. Te słowa brzmiały tak poniżająco, gdy tata powiedział to na głos.

– Nie chciałem. Przyszedłem jej pogratulować i... akurat przyłapałeś mnie w tej chwili.

Widać było pulsujące żyły na skroniach ojca.

– Masz szczęście, że państwo McCready nie przyszli ze mną. Z pewnością ucieszyliby się, gdyby dowiedzieli się, że ich nagradzanego konia wyścigowego szkoliła jakaś niewykwalifikowana nastolatka. – Przesunął dłonią po twarzy. – Sprzeciwiłeś się moim wyraźnym wskazaniom dotyczącym Excalibura i na dodatek przekroczyłeś granice właściwego zachowania w stosunku do podwładnego. Widzę wyraźnie, że nie mogę polegać na twoim rozsądku. – Ojciec wyprostował się, jakby podjął właśnie decyzję. – Zostajesz odsunięty od stanowiska mastalera do odwołania. Możesz zająć wakat stajennego, jeśli tylko uważasz, że dasz radę. – Długo mierzył Connora wzrokiem, a w jego oczach kryło się rozczarowanie. Potem odszedł.

Oniemiały, Connor oparł się o ścianę stajni. Powietrze zeszło z niego jak z przebitej opony. Jak to możliwe, że wszystko nagle potoczyło się tak źle? Najpierw unosił się na fali zwycięstwa, a za chwilę stracił zupełnie szacunek i aprobatę ojca.

Jedna chwila zapomnienia kosztowała Jo pracę i wykoleiła przyszłość Connora.

I nie miał bladego pojęcia, jak to naprawić.

Dzień urodzin Phoebe był zimny, ale słoneczny. Deirdre wyskoczyła z łóżka, przepelniona determinacją i rozemocjonowana nadchodzącym dniem, gotowa do działania w celu poczynienia wszystkich koniecznych przygotowań.

Ale przede wszystkim miała misję. Pogrzebała w głębi szafy, wyciągnęła kwieciste pudło po kapeluszu i otworzyła pokrywkę. W środku znajdowała się jej ukochana porcelanowa lalka odziana w niebieską aksamitną sukienkę. Angelina miała złociste pukle, niebieskie oczy z mrugającymi powiekami i czerwone usteczka. Deirdre nabożnie pogładziła włosy lalki i uśmiechnęła się nostalgicznie. Gdy była dzieckiem, Angelina była jej ulubioną zabawką. Deirdre miała tylko nadzieję, że lalka przyniesie Phoebe choćby w połowie tyle radości.

Ostrożnie włożyła lalkę z powrotem do pudełka i przy użyciu wstążki, którą znalazła w górnej szufladzie, zawiązała kokardę. Następnie odłożyła prezent na komodę.

Po szybkim śniadaniu Deirdre odszukała w szafie w przedpokoju torbę z dekoracjami i tak uzbrojona ruszyła do salonu. Ledwie zaczęła przeglądać jej zawartość, gdy wpadła Brianna, wyposażona w swoje zapasy.

– To cudowny pomysł! – Bree na powitanie ucałowała Deirdre w policzek. – Moje dzieci są prawie tak podekscytowane, jakby to były ich własne urodziny. Gil stara się je jakoś zająć, zanim przyjdzie właściwy czas.

Deirdre przerwała przeglądanie szpilek ze wstążkami.

– Nie mogę uwierzyć, że Phoebe nigdy nie miała przyjęcia urodzinowego!

Brianna odstawiła swoją torbę na krzesło.

– Nigdy!?

Deirdre pokręciła głową.

– Najpierw straciła matkę, potem ponad rok spędziła w sanatorium. Od tamtego czasu rzadko widziała się z kimkolwiek innym poza nianią.

– Biedne dziecko! Nawet nie umiem sobie wyobrazić, przez co przeszła. – Pod rzęsami Brianny zebrały się łzy. Usiadła ciężko na sofie i wyciągnęła chusteczkę.

Deirdre odłożyła girlandę i zmarszczyła brwi. Brianna zawsze była najbardziej podatna na łzy, ale ten przejaw teraz nie był normalny... nawet dla niej.

Deirdre podeszła i usiadła obok siostry.

– Wszystko w porządku, kochana?

Bree ocierała oczy.

– W jak najlepszym. – Roześmiała się cicho, a jej policzki się zaróżowiły.

Deirdre oniemiała.

– Ty chyba nie jesteś?...

Brianna uśmiechnęła się.

– Jestem.

Deirdre chwyciła siostrę w mocnym uścisku.

– Kiedy?

– Na wiosnę. – Cofnęła się i dalej wycierała mokre policzki. – Och, Dee. Tak bardzo pragnęłam kolejnego dziecka, ale czuję się winna. W końcu mamy trójkę cudownych dzieci. Czy to nie chciwość pragnąć więcej?

– To nie jest chciwość, że kochasz dzieci. Jesteś wspaniałą mamą. A ja tak się cieszę, że wasza rodzina powiększy się o kolejne maleństwo. – Oczy Deirdre zwilgotniały od łez szczęścia, a potem jej zachwyty zmieszały się z poczuciem żalu, że ona sama pewnie nigdy nie doświadczy tej radości. – Wygląda na to, że znów będziecie mieć z Colleen dzieci w tym samym czasie.

Brianna rozpromieniła się.

– Muszę przyznać, że czułam się trochę zazdrosna, kiedy dowiedziałam się, że ona i Rylan spodziewają się dziecka. Ale teraz nasze pociechy będą miały więcej towarzystwa do zabawy. – Pochyliła się i szeptem dodała: – I o ile nie myli mnie intuicja, wydaje mi się, że Adam i Maggie również oczekują potomstwa.

Ukłucie zazdrości przeszło serce Deirdre. Jak widać, jej rodzeństwo, oprócz niej i Connora, cieszyło się darem dużej rodziny. Wzięła haust powietrza i z wymuszonym uśmiechem rzekła:

– To wspaniale.

Jakby wyczuwając smutek siostry, Brianna ścisnęła jej dłoń.

– Nie martw się, kochanie. Przyjdzie i na ciebie kolej.

Westchnęła.

– Nie wydaje mi się, Bree. Wydaje mi się, że Bóg chce, bym poświęciła się moim pacjentom. – Zdecydowanie odsunęła od siebie żale i podniosła się z siedzenia, zanim jej siostra zaczęłaby z nią dyskutować. – Lepiej zabierzmy się do udekorowania tego pokoju, nim przyjdzie tu nasza solenizantka.



Matthew siedział w wysokim fotelu ustawionym w kącie salonu państwa O'Leary i obserwował otaczający go chaos.

Dzieci goniły się dookoła pokoju, krzycząc i piszcząc, a dorośli najwyraźniej byli w stanie prowadzić w tym hałasie normalną rozmowę. Co najdziwniejsze, Phoebe wydawała się zupełnie nieporuszona w samym środku tego zamętu.

Matthew bezskutecznie starał się zapamiętać imiona wszystkich siostrzeńców, siostrzenic oraz bratanków i bratanic Deirdre. Ciężko mu nawet było połapać się, kto jest kim z jej rodzeństwa i ich współmałżonków. Rylan i Colleen, jak zapamiętał, prowadzili sierociniec na Manhattanie i mieli dwójkę adoptowanych dzieci oraz dwóch własnych synów. I sądząc po zaokrąglonym brzuchu Colleen, wkrótce spodziewali się kolejnego maleństwa. Najstarszy brat Deirdre, Adam, i jego żona, Maggie, również żyli w mieście z trójką pociech. Jedyne dzieci, które potrafił rozróżnić, to potomstwo Brianny i Gila.

Deirdre przeszła środkiem pokoju i gwizdnęła przenikliwie. O dziwo, wszyscy się zatrzymali i przez dwie cudowne sekundy panowała cisza.

– Dobrze. Czas na tort i prezenty.

Zaraz potem rozległ się głośny okrzyk i kolejne rozdzierające ucho gwizdnięcie.

– Tort będzie pod warunkiem, że wszyscy będą grzecznie siedzieć. – Deirdre przerwała i spojrzała znacząco na siostrzeńców, którzy przepychali się łokciami. – Proszę znaleźć sobie krzesło albo usiąść na podłodze. Phoebe, kochanie, podejdź tutaj.

Kiedy pozostałe dzieci biegały w poszukiwaniu miejsca do siedzenia, Phoebe zbliżyła się do Deirdre z lekkim niepokojem wypisanym na twarzy.

Kobieta wysunęła przystrojone krzesło i wskazała je Phoebe.

– Honorowe miejsce dla solenizantki.

Dziecko obdarzyło Deirdre olśniewającym uśmiechem, a potem wdrapało się na krzesło i usiadłszy, poprawiało fałdy sukienki.

Kathleen uparła się, żeby przygotować dla Phoebe specjalny strój, tłumacząc, że może szyć prawą ręką i przy okazji poćwicy lewą dłoń. Jasnyniebieski materiał dziwnie podobny był do tego, z którego miała sukienkę Deirdre.

Wszyscy się starali, żeby uczynić ten dzień szczególnym dla córki Matthew, i sam już nie wiedział, jak wyrazić wdzięczność za to, co robili.

Pani Harrison weszła, popychając przed sobą wózek, na którym ustawiony był najwspanialszy tort, jaki kiedykolwiek widział. Miał wiele warstw i polewę czekoladową oraz dekoracje z różyczek, a także pięć zapalonych świeczek.

Oczy Phoebe zrobiły się wielkie jak spodki.

Rozległ się dźwięk pianina i wszyscy zaczęli śpiewać. Matthew zamrugał szybko, a w głowie tliły mu się jakieś mgliste wspomnienia własnych urodzin, kiedy jego mama urządziła coś podobnego.

Wózek zatrzymał się przed jego córką.

Deirdre położyła dłoń na ramieniu Phoebe i rzekła:

– Dobrze, kochanie, najpierw życzenie, a później zdmuchnij świeczki.

Dziewczynka skinęła głową, najwyraźniej biorąc sobie poważnie do serca instrukcje.

– Chciałabym...

Betsy złapała ją za rękę.

– Nie możesz powiedzieć nikomu, bo się nie spełni.

Phoebe zasłoniła usta ręką i zachichotała. Potem dmuchała tak długo, aż zgasła wszystkie płomyki.

Goście klaskali i wiwatowali. Podchodząc bliżej, pani Harrison powiedziała:

– Pokroję tort, a pani Brianna porzadaje dzieciom, które grzecznie siedzą.

Matthew podziwiał, jak dorośli potrafią opanować ten rozgardiasz. Dzieci, choć rozkrzyczane, były wyjątkowo posłuszne.

– Sądząc po twojej minie, domyślam się, że nie brałeś udziału w zbyt wielu przyjęciach urodzinowych.

Matthew podniósł wzrok i dostrzegł uśmiech Deirdre.

– Nie za bardzo.

Położyła dłoń na jego ramieniu, nie przestając się uśmiechać. Jej kuszący zapach otulał go delikatnie. Pochyliła się i przez jedną nedorzeczną chwilę wyobrażał sobie, że mogłaby go pocałować. Ona tymczasem wyszeptala mu do ucha:

– Masz prezent dla Phoebe?

Zamarł nagle.

– Nawet o tym nie pomyślałem.

Popęłnił błąd i obrócił głowę w jej stronę. Nagle zobaczył, że wielkie, zielone oczy są zbyt blisko jego.

– Nie dajecie sobie prezentów urodzinowych? – W jej pytaniu było tyle niedowierzania, że poczuł się jak najgorszy drań.

– Nie, nie praktykuję tego zwyczaju. – Nie powiedział jej, że po śmierci Priscilli w jego domu nie było już żadnych uroczystości.

Na jej twarzy odmalowało się pełne powagi współczucie. Ucisnęła lekko jego ramię.

– Nie martw się. Możesz dać ze mną.

Kiedy tylko posilili się najpyszniejszym tortem czekoladowym, jaki Matthew kiedykolwiek próbował, dzieci podeszły z małymi, owiniętymi w kolorowy papier paczuszkami. Wyglądało na to, że każde dziecko wybrało jedną ze swoich zabawek i przygotowało ją w prezencie dla Phoebe. Dziewczynka otwierała po kolei zawiniątka i zachwycała się każdym.

Kathleen podjechała na wózku bliżej Phoebe.

– Wiem, mówiłam, że prezentem ode mnie będzie sukienka – zaczęła. – Ale mam jeszcze coś małego.

Wręczyła Phoebe książkę. Dziewczynka przerzucała po kolei strony i Matthew rozpoznał niektóre z kolorowych ilustracji.

– To Biblia w obrazkach. Kiedyś należała do mojego synka... zanim zmarł. Pomyślałam, że ci się spodoba. – Smutnemu uśmiechowi Kathleen towarzyszył błysk łez w jej oczach.

Matthew zerwał się na równe nogi.

– Kathleen, to naprawdę hojny gest. Na pewno nie chcesz jej zachować dla siebie? – Zdawał sobie sprawę, jak wiele jej syn dla niej znaczył i jak cenna musiała również być ta Biblia.

Uśmiechnęła się do niego.

– Wolę, żeby ktoś cieszył się tymi opowiadaniem tak, jak kiedyś Daniel.

Jakby wyczuwając znaczenie tego podarunku, Phoebe podeszła do Kathleen i przytuliła ją.

– Dziękuję, pani O’Leary. Bardzo mi się podoba.

– Nie ma za co, kochanie.

Kobiety stojące wokół ocierały policzki chusteczkami. Nawet James wydawał się poruszony.

Deirdre odwróciła się i wzięła wielkie pudło po kapeluszu przewiązane wstążką.

– Wszystkiego najlepszego, Phoebe. To od twojego tatusia... z moją małą pomocą. – Puściła do niego oko i wręczyła prezent jego córce, która z powrotem usadowiła się na specjalnym krześle.

Phoebe popatrzyła w zachwycie.

– Ale duży!

Deirdre roześmiała się.

– Dalej, otwórz.

Phoebe ostrożnie uniosła pokrywę i wyciągnęła lalkę o jasnych lokach. Dziewczynka bezwiednie rozwarła usta, a potem westchnęła z radości. Tuląc mocno prezent do piersi, zeskoczyła z krzesła

i rzuciła się w ramiona Matthew.

– Dziękuję, tatusiu. Zawsze chciałam mieć taką.

Matthew zamarł na chwilę, a później pochylił się, by ucałować ją w główkę.

– Proszę bardzo. Ale tak naprawdę musisz podziękować pannie Deirdre. To był jej pomysł.

Deirdre przyklękła przed Phoebe i pogłaskała włosy lalki.

– To kiedyś była moja zabawka, gdy miałam tyle lat co ty. Mam nadzieję, że będziesz ją kochać równie mocno jak ja.

Phoebe oplótła ramionami szyję Deirdre.

– Będę. Dziękuję, panno Deirdre.

Tuliły się przez jakiś czas, a potem Deirdre ucałowała Phoebe w policzek. Mrugając szybko, podniosła się.

– Dobrze, może teraz poprosimy ciocię Maggie, żeby zagrała dla nas na pianinie i pośpiewamy jakieś piosenki?

Rozległy się chóralne okrzyki radości i dzieci zaczęły się przepychać, żeby znaleźć się jak najbliżej pianina.

Kiedy zbieranina wszystkich głosów zaczynała robić się ogłuszająca, Matthew podszedł do Deirdre i ujmując ją za łokieć, zaproponował:

– Wyjdiesz ze mną na chwilę?

Uniosła pytająco brew, ale skinęła głową i poszła za nim na korytarz. Pragnąc znaleźć odrobinę prywatności, pokierował ją do pokoju, gdzie przeprowadzał terapię.

– Wszystko w porządku? – W jej szczerym spojrzeniu przebijała troska.

Uśmiechnął się.

– Wszystko idealnie... dzięki tobie.

Jej policzki oblał rumieniec.

– To nie tylko moja zasługa.

– Ty wymyśliłaś to przyjęcie i zorganizowałaś wszystko, włącznie z doskonałym prezentem dla Phoebe. – Podszedł bliżej. – Jeszcze nigdy nie widziałem mojej córki szczęśliwszej i muszę ci za to podziękować. – Po raz pierwszy naprawdę zrozumiał, co omijało Phoebe, gdy żyła pod kloszem.

W oczach Deirdre odbijało się światło lampy.

– Cieszę się, że mogłam to zrobić. To wyjątkowa dziewczynka, Matthew. Potrzeba jej tylko trochę miłości i uwagi, by mogła prawdziwie rozkwitnąć.

Matthew przełknął emocje, które uwięzły mu w gardle. Nie miał nawet słów, żeby wyrazić, jak bardzo ta stojąca przed nim kobieta ubogacała jego relację z córką.

– Obiecuj mi coś – powiedziała z poważną miną. – Obiecuj mi, że znajdziesz dla Phoebe matkę, która ją będzie kochać.

Czuł, jakby sztylet przebił mu serce.

– Znasz moje poglądy na temat małżeństwa.

– W takim razie obiecuj, że znajdziesz dla Phoebe nową nianię. Taką, która będzie ją kochać, a nie gasić jak panna Shearing.

– Właśnie planowałem zmienić nianię, kiedy tylko wrócę do domu.

Przechyliła głowę w bok.

– Naprawdę?

– Tak. Widać, że nie była to właściwa osoba. – *I to pod wieloma względami.* Westchnął. – Szkoda, że to nie ty zajmiesz jej miejsce.

– Co?

Oblało go gorąco. Czyżby powiedział to na głos?

– Chodziło mi o to, że świetnie się dogadujesz z Phoebe i ona cię uwielbia. Ale wiem, że masz swoje plany na przyszłość.

Z ust Deirdre dobiegło ciche westchnienie.

– Dobro jednostki a dobro wielu.

– Słucham?

– Coś takiego powiedziałeś mi jeszcze w Toronto, odnosząc się do opuszczania swoich pacjentów na rzecz jednego chorego po udarze. Teraz rozumiem, co miałeś na myśli. – Założyła pasmo włosów za ucho. – Chociaż chciałabym się poświęcić Phoebe, jako pediatra będę mogła pomóc znacznie większej liczbie dzieci. – Uśmiechnęła się blade. – Matthew, wiem, że znajdziesz właściwą kobietę, która pomoże ci wychować córkę. Będę polecać ciebie i Phoebe w swoich modlitwach. Zawsze.

Serce w piersi Matthew ścisnęło się aż do bólu. Oczywiście nie mogła marnować swoich talentów jako zwykła niania.

– Dziękuję ci, Deirdre, za wszystko.

Pochylił się, by ucałować ją w policzek. Ona odwróciła twarz i Matthew przestał oddychać. Znow

przeniknęła go ta nieodparta potrzeba, żeby przyciągnąć ją bliżej i zakosztować jej ust. Ale powstrzymał się, wiedząc, że to nie byłoby w porządku. Nie byłoby uczciwie.

Patrzyli sobie nawzajem w oczy przez kilka sekund, a potem zalała go fala smutku i odsunął się z ogromnym ociąganiem.

– Chyba pójde zobaczyć, jak sobie radzi solenizantka.

Gdy wychodził z pokoju, próbował wyrzucić z głowy to idiotyczne wyobrażenie, że Deirdre mogłaby kiedykolwiek stać się częścią ich rodziny. Widać było wyraźnie, że ona nie chce takiej przyszłości, a Matthew, działając w dobrej wierze, nie mógł prosić, by poświęciła swoje marzenia dla jego córki.

Będzie musiał zaufać Bogu, aby pomógł mu znaleźć właściwą osobę dla Phoebe.

Zanurzony w tych rozmyślaniach, nie zauważył nawet gospodyni, która wyszła z gabinetu Jamesa, i nieomalże w nią wpadł.

– Proszę wybaczyć, pani Johnston. Nie widziałem pani.

– Doktorze Clayborne, właśnie miałam pana szukać. – Na twarzy starszej kobiety malowało się wyraźnie zmieszanie. – Mam przy telefonie kogoś, kto chce rozmawiać z panią Phoebe.

Matthew zupełnie znieruchomiał.

– Czy ta osoba się przedstawiła?

– Pani Pentergast.

Mężczyznę ścisnęło w żołądku. Teściowie mieli być w Anglii. Jak udało im się dowiedzieć, że Phoebe jest tutaj?

– Dziękuję, pani Johnston. Załatwię to.

Z ponurą miną wszedł do gabinetu i zamknął za sobą drzwi.

Jo siedziała przy łóżku ojca, patrząc, jak jego klatka piersiowa unosi się nieznacznie w płytkim oddechu. Walczyła z rozpaczą, która zaczynała ją osnuwać niczym mgła.

Proszę, Boże, spraw, żeby tata się obudził. Obiecuję, że będę się nim lepiej opiekować, jeśli tylko pozwolisz mu do nas wrócić.

Pomimo tego, co powiedzieli lekarze, Jo musiała wierzyć, że jej ojciec wyzdrowieje. Bywał już w gorszym stanie i wychodził z tego. Była więc przekonana, że i tym razem tak będzie.

Wciąż nie mogła uwierzyć, że tatko ją oszukiwał, wmawiając, że jest słabszy, niż był w rzeczywistości, i kiedy ona była w pracy, wyszedł w poszukiwaniu alkoholu. Seth odkrył pustą butelkę w śniegu obok wychodka i idąc po śladach taty, dotarł do baraku na posiadłości Sullivanów, w którym mieszkali stajenni. Najprawdopodobniej tata wślizgnął się tam, gdy mężczyźni pracowali, i wykradł butelkę burbona. Musiał wlać w siebie wszystko podczas drogi powrotnej i stracił przytomność, zanim dotarł do chaty.

Kipiała w niej złość. Złość na to, że musiała nieustannie pilnować ojca na każdym kroku, jakby to ona była rodzicem, a on dzieckiem.

A jednak wciąż gryzły ją wyrzuty sumienia. Czy byłaby w stanie zapobiec jego autodestrukcyjnym zachowaniom, gdyby nie była tak pochłonięta swoją pracą w Irlandzkich Łąkach? Z utęsknieniem wypatrywała każdego poranka, żeby uciec z tej posępnej chaty. Nie mogła się doczekać, by znów spędzać czas z końmi. I z Connorem.

Teraz zaś, kiedy życie jej ojca wisiało na włosku, została wyrzucona. Przygarbiła się. Będzie musiała poszukać innej pracy. Może jakieś gotowanie albo sprzątanie, bo przecież nikt nie zatrudni kobiety do pracy z końmi. Reakcja pana O'Leary'ego dobitnie to pokazała.

Odchyliła głowę do tyłu i próbowała znaleźć jakąś znośną pozycję na twardym krześle. Nie miała czym zająć myśli, więc te uciekały do Connora i ich pocałunku w stajni. Krew zaczęła jej szybciej krążyć, gdy przypomniła sobie to uczucie, kiedy ich usta stykały się, a jego silne ramiona ją otaczały.

Pozostawało jednak jedno pytanie – dlaczego Connor ją pocałował?

Przecież to niemożliwe, żeby interesował się biedną córką alkoholika – dziewczyną, którą jeszcze do niedawna uważał za chłopaka. Nie, najpewniej po prostu stracił głowę pod wpływem chwili.

Rozległy się kroki, gdy ktoś wszedł do sali. Może w końcu Seth przyszedł w odwiedziny, jak obiecywał.

Jo otworzyła oczy i zamrugała kilka razy. W nogach łóżka stał Connor.

Czując przyspieszone bicie serca, wyprostowała się na krześle.

– Connorze, po co tu przyszedłeś?

– Chciałem zobaczyć, jak się... jak się czuje twój ojciec.

Wstając, pragnęła ze wszystkich sił, by jej oddech się uspokoił. Przyglądała na sobie ubranie.

– Tak samo. Ale przynajmniej nie jest gorzej.

– To dobrze, chyba... – Zwykle wesoły Connor gdzieś zniknął. Wokół jego ust rysowały się zmarszczki.

– Przepraszam za to, co się stało z twoim ojcem – powiedziała. – Mam nadzieję, że nie miałeś problemów w związku z... – Gorąco oblało jej policzki. Nie chciała wspominać o pocałunku, ale ta kwestia narastała pomiędzy nimi zbyt mocno.

– Z całowaniem stajennego? – Connor skrzywił usta. – Tak, nie był przesadnie szczęśliwy. Myślę jednak, że raczej z ulgą przyjął to, że jesteś dziewczyną.

– Ach! – Stłumiła nerwowy śmiech, po raz pierwszy naprawdę uświadamiając sobie, jak to musiało wyglądać w oczach pana O’Leary’ego.

– Jestem ci winien przeprosiny, Jo. Nie zachowałem się właściwie, całując cię. Mam nadzieję, że mi wybaczysz.

Wybaczyć mu? – pomyślała. Wolałaby raczej, żeby powtórzył tę zbrodnię.

– Nie masz za co przepraszać – odparła. – Kijem cię nie odganiałam. – Ponownie jej twarz spłonęła się, gdy przypomniała sobie, jak bezwstydnie odpowiedziała na jego gest. Zaczęła poprawiać poduszki za głową ojca.

Connor odkasznął.

– A więc, czym się teraz będziesz zajmować?

– Znajdę jakąś pracę... gdzieś. Zawsze coś znajduję. – Zajął się pościelą.

Podszedł do niej i ujął ją za ramię, zwracając twarzą do siebie.

– Jo, nie jest mi obojętne, co się z tobą stanie. – W jego orzechowych oczach płonęło wielkie przejęcie. – Jak mogę ci pomóc?

Głupie łyzy zaczęły piec ją pod powiekami.

– I tak zrobiłeś już więcej niż trzeba. Ale gdy tylko odbiorę ostatnią wypłatę, przestanę być twoim problemem.

– Nie mogę się na to zgodzić. Nie zgodzę się.

Przyciągnął ją bliżej i pochylił swoje usta ku jej wargom. Zniknęła cała słodycz ich pierwszego pocałunku. Ten smakował desperacją, próbą udowodnienia jej czegoś. Złapała go za marynarkę i trzymała, a jej serce wierzało mocniej niż Excalibur tego dnia, gdy ją zrzucił.

Kiedy w końcu Connor odsunął się, posłał jej gorące spojrzenie.

– Zbyt mocno mi na tobie zależy, bym mógł pozwolić ci odejść z mojego życia.

Przez krótką chwilę czuła, jak serce jej rośnie. Nie mogła uwierzyć w to, co właśnie jej mówił. Gdyby tylko...

– Twój ojciec nie zaakceptuje naszego związku, Connorze. Moja rodzina pracuje dla takich bogatych ludzi jak wy. Ledwie nam każdego dnia starcza na jedzenie. – Pokręciła głową. – Nie ma sensu zaczynać czegoś, co się nigdy nie ziści.

Ściągnął gniewnie brwi, przez co w tej jednej chwili wyglądał jak jego ojciec.

– Nie obchodzi mnie to. Znam twoje serce. Jesteś dobra i lojalna i kochasz swoją rodzinę, czy na to zasługują, czy nie. Potwierdzeniem tego jest fakt, że siedzisz i czuwasz tu, mimo tego, co ojciec ci wyrządził. – Ujął jej twarz w dłonie, zgrubiałymi kciukami gładząc jej policzek. – Jo, ja...

Od strony łóżka za ich plecami doszedł dziwny, bulgoczący dźwięk. Jo skoczyła, mijając Connora i dopadła do ojca. Jego usta były sine, a twarz koszmarnie biała. Wyglądało na to, że nie może oddychać.

– Wołaj lekarza! – krzyknęła.

Connor wybiegł z sali.

– Tatku! Słyszysz mnie? – Potrząsała jego ramieniem, ale z jego piersi wciąż dochodził ten straszny odgłos. Nie miała pojęcia, co robić, by mu pomóc. – Nie odchodź, tato. Proszę... – W płucach czuła duszący strach.

Jakiś lekarz i dwie pielęgniarki wbiegli do sali i od razu zajęli się chorym. Jedna z pielęgniarek podeszła do niej.

– Musi pani wyjść.

Jo stała, jakby wrosła w podłogę, a wzrok miała wbity w płataninę rąk i sprzętu. Ktoś wbił igłę w ramię ojca. Jo stłumiła płacz, czując, że nogi nagle odmawiają jej posłuszeństwa.

– Chodź, Jo. – Connor otoczył ją ramieniem, delikatnie ciągnąc w stronę wyjścia.

Powietrze uwięzło jej w płucach. Wbiła palce w rękę Connora.

Zatrzymał się na środku korytarza i wziął ją w objęcia.

– Będzie dobrze. Wytrzymaj jeszcze trochę.

Położyła głowę na jego ramieniu. Otuliło ją ciepło jego ciała i powoli jej spięte mięśnie zaczynały się rozluźniać. Skupiła się na miarowym biciu serca Connora i zwykłej czynności oddychania.

Nie umiała powiedzieć, jak długo tak stali, ale gdy za nimi dobiegł odgłos kroków, mięśnie Jo spięły się na nowo.

– Panna Miller?

Ostrożny ton głosu pielęgniarki sprawił, że Jo zaczęła drżeć. Nie musiała słyszeć tych słów, by wiedzieć, co kobieta powie. Siostra, kręcąc głową, rzekła:

– Tak bardzo mi przykro, ale lekarz nie mógł nic zrobić. Pani ojciec nie żyje.



Connor poczuł wstrząs przeszywający ciało Jo. Cała spięła się, a potem nagle zrobiła się wiotka. Gdyby nie trzymał ją ramionami w pasie, przewróciłaby się na podłogę.

Z jej gardła dobył się lament.

Przyciągnął ją bliżej i głaskał dłonią po plecach.

– Tak mi przykro.

Szloch wstrząsał jej sylwetką, a gorące łzy moczyły jego koszulę. Trzymał ją przez kilka długich minut, aż płacz ustał i Jo wyprostowała się.

Connor wyciągnął z kieszeni chusteczkę, którą jej podał. Jo podniosła otępiały wzrok i rzekła tylko:

– Muszę powiedzieć Sethowi. Mógłbyś mnie tam zabrać?

– Oczywiście.

Zrobiła krok w tył.

– Ale najpierw chciałabym zobaczyć mojego tatę.

Connor został w poczekalni, pozwalając, by Jo na osobności pożegnała się z ojcem. Potrzeba chronienia jej tętniła w nim z bezsilnością. Kiedy w końcu Jo pojawiła się z powrotem, sprawiała wrażenie przytłoczonej życiem, a jej oczy były wyraźnie zaczerwienione.

– Lekarz powiedział, że jego serce nie wytrzymało. – Pociągnęła cicho nosem. – Naprawdę myślałam, że wyjdzie z tego. Wcześniej zawsze mu się udawało.

Connor wyciągnął rękę w jej stronę. Oddałby wszystko, żeby móc ukoić jej ból.

– Chodź. Zawiozę cię do Sullivanów.

Dwadzieścia minut później zajechali na rozległe ranczo. Jo wyjrzała przez okno.

– Nie miałam pojęcia, że to jest tak olbrzymie.

Connor wysiadł z auta i obszedł pojazd, by otworzyć przed nią drzwi. Wygładziła dłonią włosy.

– Nawet nie wiem, gdzie szukać Seta.

Słońce zaczęło już popołudniową wędrówkę za horyzont.

– Pozwól, że poszukam Caleba. On może wiedzieć.

Poprowadził Jo do stajni. Zanim dotarli do drzwi, ze środka wyszedł Caleb, a jego powitalny uśmiech mieszał się ze zdziwieniem.

– Wydawało mi się, że słyszałem samochód. Co cię sprowadza o tej porze?

Connor wypchnął Jo przed siebie.

– To Josephine Miller. Szukamy jej brata, Seta.

Caleb zmarszczył czoło.

– Jest w stajni. Coś się stało?

– Czy mógłbyś go poprosić tutaj?

– Nie trzeba, już jestem. – Jakiś mężczyzna w wieku Connora wyszedł ze stajni, wycierając dłonie w ścierkę. Jego wzrok od razu spoczął na Jo. – Chodzi o tatę, prawda?

Jo zagryzła wargę i skinęła głową.

Seth znieruchomiał na chwilę, a potem podszedł i pochwycił ją w ramiona.

– Prędzej czy później to i tak by się stało – powiedział. – Nie martw się, dzieciaku. Damy sobie radę.

Caleb zbliżył się do Connora, pytając:

– Pan Miller zmarł?

Connor głośno wypuścił powietrze.

– Tak. Niecałą godzinę temu.

– Jaka szkoda. – Caleb zdjął czapkę i przeczesał palcami zmierzwione włosy.

Seth podszedł do nich.

– Panie Sullivan, proszę o uwzględnienie mojej kandydatury na posadę nadzorcy. Zastępowałem ojca przez kilka tygodni i wydaje mi się, że dobrze wypełniałem swoją pracę.

Caleb przeniósł wzrok z Seta na Jo.

– Może powinniśmy to omówić innym razem.

– Nie ma takiej potrzeby. Nie ukrywam nic przed siostrą.

Caleb westchnął powoli.

– Obawiam się, że mój ojciec szuka kogoś starszego na to stanowisko. Ale sprawdzę, czy nie mamy innej pracy.

Jo jeszcze bardziej pobladła.

– Czy z tą pracą będzie się wiązać zakwaterowanie? – zapytała.

– Jest barak dla stajennych, ale... – Caleb popatrzył na nią przeprasząco. – Tylko dla mężczyzn.

Connor nieomalże potrafił wyczytać pytanie kryjące się w jej spojrzeniu. *Gdzie ja się podzieję?*

– Nie musicie się spieszyć z opuszczeniem chaty – dodał Caleb. – Nie będzie potrzebna, dopóki nie znajdę nowego nadzorcy, co może chwilę potrwać.

– Dziękuję – wyszeptała Jo.

Caleb skinął głową i zwrócił się do Setha:

– W takim wypadku możesz wziąć do końca dnia wolne. Z pewnością jest trochę spraw, których musisz teraz dopilnować.

Mięśnie szczęki Setha drgnęły.

– Wolałbym raczej dokończyć pracę na swojej zmianie, jeśli to panu nie robi różnicy. – Odwrócił się w stronę Jo. – Zobaczmy się w domu. Wtedy porozmawiamy.

Myśli kłębiły się w głowie Connora, gdy odwoził Jo do chatki nadzorcy. A co, jeżeli Seth nie zechce przystać na warunki Caleba? Co, jeśli on i Jo wyjadą zaraz po pogrzebie ojca? Czy Seth będzie chciał tkwić tu nawet do tego czasu? Sądząc po jego beznamiętnej reakcji na śmierć ojca, Connor domyślał się, że nie łączyła ich jakaś szczególna miłość.

A co z Jo? Czy pójdzie ślepo za bratem, dokądkolwiek ten będzie chciał się udać, tak jak to robiła tyle lat z ojcem? Nie miała swojego życia. Potrzebowała miejsca, gdzie mogłaby zapaść korzenie, zaprzyjaźnić się, stworzyć jakieś więzi.

Nie, musiało istnieć jakieś lepsze rozwiązanie. Nawet gdyby miał się nad tym głowić całą noc, coś wymyśli. Musiał, bo nie był gotów tak po prostu pozwolić Josephine Miller odejść ze swego życia.

Gdy wszyscy goście już wyszli, a pani Johnston zabrała Phoebe na górę, Matthew podszedł do Jamesa i Kathleen w holu.

– Czy mógłbym z wami porozmawiać, zanim pójdziecie spać?

Kathleen podjechała bliżej.

– Czy wszystko w porządku, Matthew? Jesteś bardzo blady.

– Wyjaśnię w środku. – Wskazał ręką na drzwi salonu.

W tej samej chwili w holu pojawiła się Deirdre i zaraz podeszła do nich.

– Powiedz, kiedy będziesz gotowa, mamó. Pomogę ci pójść do łóżka.

– Za parę minut, kochanie. Matthew chce z nami porozmawiać.

Brwi Deirdre uniosły się w zdziwieniu i przeniosła na niego spojrzenie. Skłonił się lekko przed nią i dodał:

– Proszę, dołącz też do nas. To dotyczy również ciebie.

Weszli do salonu, patrząc na niego z wyczekiwaniem, a także z jakąś ostrożnością.

– Cóż, Matthew, nie trzymaj nas w napięciu. O co chodzi? – W pokoju rozległ się tubalny głos Jamesa.

Matthew zebrał się w sobie.

– Obawiam się, że muszę natychmiast wyjechać z Irlandzkich Łąk.

W powietrzu zawisła cisza wyrażająca zaskoczenie. Matthew bezwiednie przeniósł wzrok na Deirdre, która siedziała po królewsku na swoim fotelu. Dostrzegł w jej oczach to rozczarowanie, którego zawsze się obawiał. Zwrócił się do Kathleen:

– Gdybym nie był przekonany, co do powodzenia twojego leczenia, nie wyjechałbym. Ale doszłaś tak daleko w tak krótkim czasie, że wiem, iż dalej poradzisz sobie sama.

Podjechała do niego na wózku i ujawszy jego dłoń, rzekła:

– Mój drogi Matthew. Moje leczenie się nie liczy. Liczysz się ty i twoja słodka córeczka. Co się stało, że musisz tak nagle wyjechać?

Trudno mu było opanować emocje, gdy patrzył w jej pełną troski twarz.

– Moi teściowie wrócili niedawno z Anglii. Nie byli zbyt szczęśliwi, kiedy dowiedzieli się, że

wywiozłem Phoebe za granicę.

Kathleen obruszyła się.

– Masz prawo zabrać córkę, gdzie tylko chcesz.

– To nie do końca prawda. – Przesunął się i stanął przed kominkiem, wpatrując się w płomienie. – Już opowiadałem to Deirdre, że po śmierci mojej żony Pentergastowie próbowali odebrać mi Phoebe. Po dosyć niemiłych negocjacjach doszliśmy do porozumienia w kwestii ich kontaktów z wnuczką. Niesłusznie założyłem, że skoro są za granicą, nie muszę ich informować o tym, gdzie jesteśmy. Wygląda na to, że się pomyliłem. A teraz grożą, że wystąpią o przyznanie im opieki nad dzieckiem, jeśli nie wrócimy natychmiast do domu.

Pokręcił głową, jakby próbował się otrząsnąć ze wspomnień tej pełnej wrogości rozmowy telefonicznej. Najwyraźniej panna Shearing, przeżywając gorycz swojego zwolnienia, powzięła sobie za obowiązek poinformować jego teściów o tym, że zabrał Phoebe do Nowego Jorku. Pentergastowie tak się tym zdenerwowali, że skrócili swój wyjazd i wrócili do Toronto z misją... ściągnięcia ich wnuczki z powrotem do kraju.

Fakt, że zgodził się, by Phoebe porozmawiała z nimi, na krótko złagodził ich gniew, ale nie powstrzymał ich przed rzuceniem groźby na koniec rozmowy: „Skontaktujemy się z naszym prawnikiem”.

James przeszedł przez pokój.

– Nie rozumiem. Dlaczego mieliby robić coś takiego? Coś musi się za tym kryć.

Prawda ścisnęła gardło Matthew, ale wyjaśnił:

– Walczymy o Phoebe od kiedy Priscilla zmarła. Pentergastowie uważają, że jestem odpowiedzialny za śmierć ich córki.

– Och, Matthew! To przecież niesprawiedliwe. – Kathleen uściśnęła jego rękę.

James pokiwał głową.

– To prawda, ale teraz najważniejsze jest dopilnować, żeby twoja córka została przy tobie. Jedź z naszym błogosławieństwem i wdzięcznością. – Poklepał Matthew niedźwiedzią dłonią po ramieniu. – I jeśli jest coś, co możemy zrobić, proszę, daj nam znać.

– Dziękuję. – Matthew odetchnął z ulgą, widząc, że zrozumieli jego trudne położenie. Tylko Deirdre milczała, co było do niej niepodobne, i siedziała ze wzrokiem wbitym w jakiś punkt przed sobą. Czy była tak samo rozbita świadomością, że już nigdy więcej się nie zobaczą? – Wybaczcie, ale chyba pójdę już spać. To był męczący dzień.

Matthew miał nadzieję, że Deirdre wyjdzie za nim i będą mieli okazję porozmawiać na osobności, ale nie zrobiła żadnego ruchu i gdy Matthew szedł po schodach na górę, usilnie starał się przestać o niej myśleć. Teraz musi skupić się jedynie na Pentergastach. Co zrobi, jeśli okaże się, że oni wcale nie blefowali... jeśli dopną swego i spróbują odebrać mu prawa do opieki nad córką?

Serce ścisnęło mu się w piersi. Nie mógł stracić dziecka. Dopilnuje tego, choćby nie wiadomo co trzeba było zrobić.

Deirdre wstała z fotela i podeszła do okna. Jej myśli były wzburzone jak fale rozbijające się o skały. Matthew i Phoebe już jutro wyjeżdżają. To była ostatnia noc, którą z nimi spędzi. Ostatnie chwile, gdy będzie mogła patrzeć w jego oczy albo usłyszeć słodki śmiech Phoebe. Bolesne uklucie przeszło jej serce.

Ale jeszcze gorsza od jego wyjazdu była groźba, że Matthew mógłby stracić prawa do opieki nad córką. Deirdre złożyła dłonie, starając się pohamować ich drzenie. Jak Phoebe poradziłaby sobie, gdyby odłączono ją od ojca? Czy znów nastąpiłby regres i stałaby się tym przestraszonym, wątlym dzieckiem, które Deirdre po raz pierwszy poznała w szpitalu w Toronto?

Kobieta zacisnęła zęby. Nie mogła na to pozwolić.

– Pomogłabyś mi przejechać do pokoju, kochanie? – Głos mamy sprowadził myśli Deirdre z powrotem do salonu.

Odwróciła się i dostrzegła, że matka była sama. Ojciec wyszedł już wcześniej. Jak długo wpatrywała się tak przez okno?

– Oczywiście, mamo – odparła.

Deirdre, popychając wózek, opuściła salon i przejechała korytarzem do jej pokoju.

– Tak mi przykro, że nie będziesz już miała Matthew, mamo. Ale obiecuję, że będę dalej z tobą pracować, aż zupełnie wyzdrowiejesz. – Deirdre włączyła światło i wprowadziła mamę do środka. – Przygotuję ci rzeczy na noc.

– Jeszcze nie. Chodź tu i usiądź ze mną na chwilę.

Deirdre zwróciła baczniej uwagę na matkę. Mama bynajmniej nie wyglądała na zmęczoną, a wręcz wydawała się przepelniona poczuciem jakiejś misji.

– Chciałabym z tobą o czymś porozmawiać. – Mama wskazała gestem na krzesło obok łóżka.

– O czym?

Mama podjechała bliżej i patrzyła na nią z błyskiem w oku.

– Chciałabym porozmawiać o twoich uczuciach do Matthew i o tym, co zamierzasz z nimi zrobić.

Deirdre otworzyła usta i aż zaniemówiła z zaskoczenia.

– Nie próbuj nawet zaprzeczać. Wiem, że zależy ci na Matthew i podejrzewam, że on czuje coś podobnego wobec ciebie, jest tylko zbyt uparty, żeby cokolwiek z tym zrobić.

Rozpacz ścisnęła gardło Deirdre.

– Mamo...

– Proszę, posłuchaj... – Surowy głos mamy ściągnął wspomnienia z dzieciństwa, kiedy rodzice strofowali ją za jakieś wykroczenie. – Wierzę, że Bóg nie bez powodu przyprowadził tu Matthew... i nie chodziło tylko o moje leczenie. Sama widzisz, jak Phoebe rozkwitła. Jest zupełnie innym dzieckiem w porównaniu do tego, gdy przyjechała tu zaledwie kilka tygodni temu. Zaś twój wpływ, kochanie, też nie jest bez znaczenia.

Deirdre mrugała, próbując powstrzymać łzy, które nagle napłynęły jej do oczu, i spuściła wzrok na kolana.

– Również Matthew się zmienił. I znowu głównie przez ciebie.

Deirdre kręciła głową, stanowczo zaprzeczając prawdzie, jaka zawarta była w słowach matki.

Mama sięgnęła i uścisnęła dłoń córki.

– Rozumiem twoje pragnienie, by zostać lekarzem i leczyć chore dzieci. Ale co z tym jednym, najdroższym dzieckiem, dla którego tak wiele możesz zrobić? Matthew i Phoebe cię potrzebują.

Deirdre westchnęła.

– Nawet jeśli to prawda, Matthew nie chce żony. Mówił mi to nie raz. Muszę to uszanować i skupić się na swojej przyszłości zawodowej.

– A co z miłością? Co z rodziną? – zapytała cicho i to matczyne pytanie przebijało skorupę serca Deirdre.

– Chyba nie takie zamiary ma dla mnie Bóg – odrzekła ściszym głosem.

Kobieta przytknęła dłoń do policzka córki.

– Jesteś pewna? A może jesteś tak zdecydowana podążać tą drogą, że nawet dobrze nie wsłuchałaś się w głos Boga, by się upewnić, czy to na pewno zgodne z Jego wolą?

Deirdre pokręciła głową.

– Nie wiem, mamo... Chciałabym znać odpowiedzi na takie pytania.

– A co, jeśli Matthew zmieniłby zdanie i oświadczyłby ci się dzisiaj? Co byś mu odpowiedziała?

Deirdre podniosła drżące dłonie i przytknęła je do piersi. Czy naprawdę zrezygnowałaby z tej misji, żeby zaspokoić własne pragnienia?

– Gdyby Matthew był zaręczony albo, jeszcze lepiej, żonaty, miałby dużo większe szanse w jakichś prawniczych starciach, które mogą nadejść. Czy obiecasz mi, że przynajmniej się nad tym zastanowisz? Pomodlisz się o światło?

Deirdre przełknęła wątpliwości i konsternację.

– Pomodłę się, mamó, ale wątpię, żeby odpowiedź się zmieniła.

Mama uśmiechnęła się pogodnie, a jej oczy błyszczały jakimś wewnętrznym światłem.

– Tylko o to proszę, kochanie. Bóg zajmie się resztą.

❖❖❖
Po prawie całkiem bezsennej nocy Deirdre wstała skoro świt i szybko się umyła i ubrała. Tak jak obiecała matce, modliła się całą noc, robiąc przerwy na czytanie Biblii.

Podjęła decyzję. Miała tylko nadzieję, że Matthew będzie otwarty, ale musiała z nim porozmawiać – na osobności – zanim wyjedzie na pociąg. I jedynym sposobem, jaki przychodził jej do głowy, było spotkać się z nim w jego pokoju.

Miała wilgotne dłonie, gdy uniosła rękę, by trzykrotnie mocno zapukać do jego drzwi.

– Kto tam?

– Deirdre. Muszę z tobą porozmawiać.

Serce waliło jej w piersi tak mocno, że ledwie mogła złapać oddech. Modliła się, żeby Bóg prowadził ją podczas tej rozmowy.

Drzwi się otworzyły. Matthew spojrzał na nią spod ściągniętych brwi. Cienie pod oczami sprawiały, że jego twarz robiła upiorne wrażenie. Gdyby tylko mogła, chciałaby ukoić jego cierpienia i troski. Gdyby tylko on jej pozwolił...

– Deirdre. Czy coś się stało? – Poprawił kamizelkę, którą najwyraźniej narzucił na siebie w pośpiechu.

– Przepraszam, że cię niepokoję tak wcześnie, ale nie spałam prawie całą noc, myśląc i... – Przerwała. – Mogę wejść? Nie chciałabym, żeby ktoś nas usłyszał.

Jego brwi uniosły się pod same włosy.

– Dobrze, ale zostawimy uchylone drzwi.

– W porządku.

Weszła do pomieszczenia, które niegdyś było sypialnią jej brata Adama i z zaskoczeniem zauważyła, że wszystko jest tu tak samo, oprócz nowej narzuty na łóżku.

Matthew zwrócił się w jej stronę.

– O czym to mówiłaś?

Złożyła razem dłonie.

– Na myśl o tym, że mógłbyś stracić Phoebe... co byś bez niej zrobił... – Z trudem próbowała

opanować emocje, bo nie chciała się przed nim załamać. Musiała przedstawić ten pomysł spokojnie i logicznie. – Nie możemy na to pozwolić.

Matthew podszedł do biurka. Wyglądało na to, że również czytał Biblię. Złapał za oparcie krzesła tak mocno, aż zbieleły mu knykcie.

– Wierz mi, nie zamierzam.

– Co zrobisz?

Stanął na wprost niej.

– Kiedy tylko wrócę do domu, poproszę Victora, by pomógł mi zdobyć prawnika. Skupię się na mojej pracy, zatrudnię nową nianię i będę się ze wszystkich sił starał zapewnić moje córce dobry dom. – Wskazał na Biblię. – I będę się modlił, żeby Bóg zgodził się zostawić ją przy mnie.

Deirdre podeszła do niego.

– A co, jeśli byłaby opcja, która dałaby ci przewagę? Czy wziąłbyś ją pod uwagę?

Spojrzał surowo i odparł:

– Zrobiłbym wszystko, jeżeli tylko mogłoby to pomóc.

– Nawet... – Zawahała się i próbowała opanować przyspieszone bicie serca. Kiedy tylko wypowie na głos te słowa, nie będzie odwrotu.

– Chyba nie sugerujesz czegoś nielegalnego?

– Ależ nie. Choć porwanie przyszło mi już do głowy w pewnym momencie. – Roześmiała się nerwowo.

– Również to rozważałem, ale jako ostateczność.

Z ulgą dostrzegła w jego oczach lekki błysk humoru. Szybko jednak oprzytomniał.

– A jaki ty masz pomysł?

Westchnęła cicho.

– Może pamiętasz, że mój były narzeczony jest prawnikiem. Wczoraj wieczorem zadzwoniłam do niego, żeby zapytać go o radę, co mógłbyś zrobić, aby zyskać przewagę nad teściami. – Ścisnęła razem dłonie. – Powiedział to jasno. Najlepszym rozwiązaniem byłoby, gdybyś... miał żonę.

Matthew zeszywniał.

– Nie ma mowy.

Spodziewając się takiej odpowiedzi, miała już w zanadrzu przygotowaną alternatywę.

– Rozumiem. Zbyt drastyczne. Ale co byś powiedział, gdybyśmy byli zaręczeni?

Gapił się na nią, jakby wyrosły jej skrzydła i zaraz miała zacząć latać po pokoju. Na jego twarzy kłębiły się chmary emocji, a potem zamknął stanowczo usta, mówiąc:

– Nie.

Podeszła kilka kroków i położyła dłoń na blacie biurka.

– Wiele nad tym myślałam. Jeśli zaręczylibyśmy się na jakiś czas, to mogłoby wystarczyć, by przekonać sędziego o trwałości twojego życia rodzinnego. – Jej słowa zawisły w powietrzu.

Matthew podszedł bliżej.

– Dlaczego, Deirdre? Dlaczego miałabyś to robić?

W jej duszy rozbrzmiała niezaprzeczalna prawda. Kochała nie tylko Phoebe, ale też jej nieznośnego ojca. Jednak daleko jej było do zebrania w sobie na tyle odwagi, by obnażyć przed nim serce i pokazać te uczucia.

Zamiast tego wyprostowała się, stojąc nieruchomo pod jego czujnym okiem.

– Bo kocham Phoebe i zrobię, co tylko będzie trzeba, żeby mogła być szczęśliwa.



Matthew wpatrywał się w tętniące życiem zielone oczy Deirdre, rozświetlone żarliwością ich gwałtownej wymiany zdań, i walczył z tłumionymi emocjami.

Jak bardzo żałował, że nie dała innej odpowiedzi.

Ponieważ po bezsennej nocy, gdy prześladowały go myśli o tym, że miałby na zawsze opuścić to miejsce... opuścić ją na zawsze, aż nazbyt dobrze rozumiał, że wyjątkowo mocno zależało mu na Deirdre.

Tak bardzo, że jego serce rozdzierało się na samą myśl o konieczności pożegnania.

Odeszła od biurka i rzekła:

– Moglibyśmy, ogłaszając nasze zaręczyny, powiedzieć, że zamierzamy wziąć ślub w przyszłym roku. A kiedy tylko wszystko się unormuje, zakończylibyśmy po cichu nasz związek jeszcze przed tym, zanim aplikuję na nowy uniwersytet. W ten sposób oboje mielibyśmy to, na czym nam zależy i nikt by na tym nie ucierpiał.

Powietrze drżało od tego kłamstwa jak od czułości. Czy ona naprawdę wierzyła, że wyszliby z tego fałszywego narzeczeństwa bez angażowania się uczuciowo? Bez wyrządzenia krzywdy Phoebe?

Westchnął.

– Nie mogę pozwolić, aby Phoebe myślała, że zostaniesz jej mamą, skoro potem jej nadzieja miałaby zostać zdeptana. To byłoby nieuczciwe.

Twarz Deirdre przygasła.

– Nie pomyślałam o tym. – Zmieszana wzruszyła ramionami. – Cała ja, znów działam zbyt impulsywnie...

– Próbujesz pomóc. I doceniam to bardziej, niż jesteś w stanie sobie wyobrazić. Gdyby tylko... – Zaciśnął usta, zanim wyrzuciłby z siebie coś, czego nie powinien powiedzieć, a potem podeszedł do okna i wbił wzrok w widok na zewnątrz. Jego spakowana torba czekała na łóżku, gotowa do wyjazdu. W jednej chwili do głowy przyszło mu rozwiązanie. Odwrócił się na wprost niej.

– A może pojechałabyś ze mną jako niania Phoebe... tymczasowo, dopóki nie zostaną ustalone kwestie opieki prawnej?

Wpatrywała się w niego.

– Jakby to miało pomóc?

– To byłby dowód, że w życiu mojej córki jest oddana, troskliwa kobieta. Taka, którą Phoebe uwielbia. – Zrobił krok w jej stronę. – W ten sposób byłoby widać, że ma dobrą opiekę, gdy ja jestem w pracy, że jest szczęśliwą, pewną siebie dziewczynką. Bo taka by była... gdybyś tylko mieszkała z nami.

Kiedy tylko ostatnie słowa opuściły jego usta, dostrzegł swój błąd. Uświadomił sobie, jaką torturą będzie mieszkanie pod jednym dachem z Deirdre – jakby była członkiem rodziny, ale nie do końca.

Cierpienie w jej oczach odzwierciedlało jego poczucie żalu. Zamrugła kilka razy i podeszła do biurka, a potem zaczęła przerzucać kartki Biblii. Po kilku sekundach wyprostowała się, jakby odzyskała opanowanie.

– W porządku, Matthew. Przyjmuję propozycję. – Kiedy czekała na jego reakcję, w jej oczach jaśniała determinacja.

– Jesteś pewna, że tego chcesz?

– Całkowicie. – Nie zawahała się ani chwili.

Poczuł w środku rozlewającą się ulgę.

– Dziękuję ci, Deirdre.

Jej drżące usta rozciągnęły się w uśmiechu.

– Nie mogę pozwolić, żebyś ją stracił, Matthew. Choćby nie wiem co.

Podeszła do drzwi, ale on zatrzymał ją, kładąc dłoń na jej ramieniu.

– Jest jeszcze coś. Musimy zadbać, by Phoebe wiedziała, że to tylko chwilowe rozwiązanie do czasu, aż znajdę nową nianię. Nie chcę, żeby myślała, że zostajesz na zawsze.

Jej wzrok przesłonił wyraz cierpienia, ale skinęła głową.

– Zgoda.

Ich spojrzenia się spotkały, a on miał nadzieję, że to wystarczy, by przekazać jej dozągonną wdzięczność za tak hojny gest.

W końcu ona się odsunęła.

– Chyba już pójdę się spakować, jeśli chcemy zdążyć na pociąg.

Matthew pozwolił, żeby miarowy stukot kół pociągu wprowadził go w senne odrętwienie. Cokolwiek, byle przestać obsesyjnie myśleć o tym dziwnym zwrocie wydarzeń w jego życiu. Phoebe spała, opierając głowę na jego kolanach, zmęczona po płaczu wywołanym wyjazdem z Irlandzkich Łąk. Dzieci Whelanów przyszły do domu pożegnać się i nie było końca uściskom i zapewnieniom, że będą opiekować się Łatką, dopóki nie urośnie na tyle, by mógł pojechać z nią do domu. Jedynie fakt, że Deirdre miała im towarzyszyć, oraz obietnica Matthew, że jeszcze tam wrócą przed świętami Bożego Narodzenia po szczeniaka, zdołały uspokoić Phoebe.

Naprzeciw nich siedziała Deirdre, ze zmarszczonym czołem wpatrując się w widoki za oknem. Czyżby żałowała swojej decyzji?

Jego duszę przygniatał potężny ładunek wyrzutów sumienia. Po pierwsze z racji tego, że opuścił Kathleen, choć ta zapewniała go, że będzie dalej ćwiczyć po okiem siostry Cramer, którą James ponownie zatrudnił do czasu powrotu Deirdre. A po drugie, że pozwolił, aby Deirdre została zamieszana w jego osobisty dramat. Była zbyt utalentowaną pielęgniarzką, by miała porzucić swoją misję. Matthew zacisnął szczęki. Gdy tylko sytuacja z jego teściami zostanie wyjaśniona, odeśle ją taktownie do Nowego Jorku.

Z powrotem tam, gdzie jest jej miejsce.

– Matthew, możemy o czymś porozmawiać? – Deirdre wychyliła się w przód, zniżając głos. – Zanim Phoebe się zbudzi.

Wrócił myślami do terażniejszości.

– Oczywiście.

– Myślałam o tym naszym planie.

Matthew powściągnął uśmiech, słysząc jak mówi „nasz” i patrząc, jak jej nos się marszczy, gdy nad czymś intensywnie myśli.

– O!

– Chodzi o to, jak będziemy mieszkać. – Spuściła wzrok na śpiącą Phoebe. – Wiem, że spodziewasz się, iż zamieszkam w twoim domu. Jednak wydaje mi się, że lepiej byłoby, gdybym zatrzymała się u wuja Victora i ciotki Maimie.

Matthew zmarszczył czoło.

– Ale bywa tak, że wracam bardzo późno do domu. Nie chciałbym, żebyś o takiej porze musiała jeszcze jechać do siebie i wracać z powrotem rano.

– To na pewno nie będzie problem. Wujek Victor wyśle po mnie kierowcę, gdy tylko będzie taka potrzeba.

Matthew przyjrzał się jej badawczo.

– Dlaczego nie chcesz zamieszkać z nami?

Pochyliła głowę i bawiła się rękawiczkami.

– Wydaje mi się, że musimy przeprowadzić wszystko bardzo ucziwie, tak żeby wytrącić Pentergastom z rąk wszelką możliwą broń przeciwko tobie.

Matthew pokręcił przecząco głową.

– Nie rozumiem. Wielu ludzi mieszka z nianią na stałe. Panna Shearing nie miała żadnych skrupułów, by mieszkać naprzeciw pokoju Phoebe.

Rumieniec na jej policzkach przybrał mocniejszy odcień.

– Myślę, że byłoby roztropniej, żebyśmy unikali... pokus.

Nagle w jego głowie powstał obraz Deirdre odzianej w koszulę nocną, z rozpuszczonymi długimi włosami. *Rzeczywiście, kuszące* – zadrwił z siebie w myślach. Przelknął głośno i odparł:

– Dobrze.

– Dziękuję. – Oparła się z powrotem na siedzeniu, jakby spadł jej kamień z serca. – Opowiedz mi coś więcej o swojej rodzinie. Dorastałeś w Toronto?

– Tak.

– A twoi rodzice? Skąd pochodzili?

– Mój ojciec się tam urodził. Moja matka jako dziecko przyплыnęła z Anglii.

– Oboje byli jedynakami?

Matthew zmarszczył brwi, posyłając jej spojrzenie, które miało powstrzymać dalsze pytania. Jego rodzina to nie był temat, o którym kiedykolwiek rozmawiał.

– Mówiłeś, że nie masz krewnych oprócz Phoebe. Żadnych ciotek, wujków, kuzynów?

– Nie.

Rysy Deirdre złagodniały, gdy zadała kolejne pytanie:

– Kiedy zmarli twoi rodzice? To był wypadek?

Matthew zgrzytnął zębami, pragnąc jakoś uciec przed jej badawczym wzrokiem. Ale stwierdził, że zasługiwała na to, by wiedzieć. Lepiej mieć to już za sobą.

– Moja matka zmarła, gdy miałem osiem lat. Mój ojciec zginął podczas epidemii hiszpanki.

Spojrzała na niego wielkimi oczami.

– Nie wiedziałam. To musiało być smutne wychowywać się bez matki. To cię łączy z Phoebe.

Spiął się, widząc jawne współczucie na jej twarzy.

– A jak zmarła? – zapytała cicho.

Cierpienie przeszło jego serce. Dlaczego to tak bolało, nawet po dwudziestu latach? Wypuścił wstrzymywane wcześniej powietrze. Może właśnie najwyższy czas, żeby o tym porozmawiać... pozwolić się zagoić tej zaognionej ranie. Te wszystkie lata milczenia najwyraźniej wcale nie pomogły.

– Po śmierci mojego brata matka zapadła w głęboką depresję... i nigdy już się z niej nie wyleczyła. – Przerwał na kilka sekund, przygotowując się, by mówić dalej. – Dokładnie rok po śmierci George'a... powiesiła się. Znalazłem ją w sypialni brata...

Zamknął oczy, starając się odsunąć od siebie tamten obraz, próbując zapomnieć cierpienie ośmiolatka, zastanawiającego się, dlaczego on nie wystarczył matce za powód do życia.

Nagle poczuł ciepło otaczające jego dłoń. Otworzył oczy i zobaczył przed sobą Deirdre. W jej oczach błyszczały łzy.

– Nawet nie potrafię sobie wyobrazić tego cierpienia, którego doświadczyłeś, Matthew. Tak bardzo mi przykro.

Czuł ucisk w gardle. Odwrócił wzrok, nie wiedząc, co jeszcze powiedzieć. Miał wrażenie, jakby wydarto mu duszę.

Uścisnęła jego dłoń i usiadła z powrotem, jakby wyczuwając, że on nie da rady dalej rozmawiać. A może uświadamiając sobie, jak bardzo był poraniony?

Na szczęście milczała przez resztę podróży, która minęła im względnie spokojnie. Zanim pociąg dojechał na Union Station, Matthew zdołał odzyskać emocjonalną równowagę.

Pół godziny później taksówka zatrzymała się przed jego domem. Zapłacił kierowcy, który następnie wyciągnął na chodnik ich bagaże. Matthew wpatrywał się w ceglany budynek, próbując wykrzesać z siebie radość z powrotu w to miejsce. Jednak zamiast tego w środku odczuwał mdłości i nie było to spowodowane tylko jazdą pociągiem. Ten dom wiązał się z wieloma niemiłymi wspomnieniami, które przypominały o sobie za każdym razem, gdy tu wracał.

Nie zdążyli jeszcze wejść, kiedy do drzwi podbiegła gosposia, by ich przywitać.

– Witam w domu, doktorze Clayborne. Dobrze, że pan wrócił.

– Dziękuję, pani Potts. – Zdjął kapelusz i rękawiczki, a następnie odłożył je na stolik w korytarzu.

Starsza kobieta pochyliła się, aby przywitać się z Phoebe.

– Proszę spojrzeć, panienko. Wydaje mi się, że urosła panienka z pięć centymetrów, od kiedy panienka wyjechała.

Dziewczynka zachichotała.

– A wie pani, że będziemy mieć szczeniaczka? Jest zbyt mały, żeby tu teraz przyjechał, ale tatuś powiedział, że wrócimy potem i zabierzemy go do nas.

Pani Potts wytrzeszczyła oczy. Matthew zaśmiał się.

– Domyślam się, że nie słyszała pani jeszcze, żeby Phoebe tak dużo mówiła.

– O, z pewnością! Ale to taki miły dźwięk.

Matthew wskazał dłonią na Deirdre.

– Proszę pozwolić, że przedstawię pannę Deirdre O’Leary, tymczasową nianię Phoebe.

– Miło mi panią poznać – powiedziała Deirdre.

Pani Potts rozpromieniła się.

– Panią również. Jeśli tylko coś trzeba, proszę mówić.

Matthew pomógł Phoebe zdjąć płaszcz.

– Chętnie się czegoś napijemy, jeśli można – powiedział.

– Oczywiście, sir. Poproszę kucharkę, żeby od razu coś przygotowała. – Dygnęła i zniknęła w głębi korytarza.

– Tatusiu, a gdzie będzie mieszkać panna Deirdre? W starym pokoju panny Shearing?

Matthew zamrugał. Jak to się dzieje, że Phoebe nagle miała więcej sił niż wschodzące słońce, a jeszcze przed chwilą wydawało się, że była kompletnie wycieńczona? On czuł, że zmęczenie podróży, a także stres związany z całą tą sytuacją dotyczącą nieszczęsnych praw rodzicielskich, zupełnie go przygniatały. Musiał coś z tym zrobić, bo za chwilę miał przyjechać Victor z prawnikiem, tak jak się umawiali.

Deirdre ujęła dziewczynkę za rękę, pytając:

– Phoebe, a może pokazałabyś mi swój pokój, zanim coś zjemy?

Loczki Phoebe podskoczyły radośnie.

– Mogę ci pokazać moje zabawki?

– Bardzo proszę. Możemy wprowadzić Angelinę do jej nowego domu. – Deirdre mrugnęła do Matthew.

Poczuł, jak rozlewa się w nim fala ulgi. Ściągnięcie Deirdre do jego domu może okazać się najlepszą decyzją, jaką podjął...

Albo najgorszą.

Bo gdy tylko jej żywiołowość przeniknie to mdłe mieszkanie, już nigdy nie będzie umiał się tu odnaleźć bez niej.



– Deirdre, moja droga, jak dobrze cię znów widzieć – zawołał wujek Victor, wchodząc tego dnia po południu do salonu Matthew. Uśmiechał się szeroko.

Zaraz potem kobieta znalazła się w powitalnym uścisku. Przeniknęło ją miłe uczucie.

– Też się cieszę, że cię widzę, wujku.

Odsunął ją od siebie i popatrzył jej prosto w oczy.

– Twój tata dzwonił i prosił, czy mogłabyś zatrzymać się u nas na jakiś czas. Powiedziałem mu, że z radością cię przyjmiemy, ale czy to prawda, że przyjechałaś tu jako niania Phoebe? – Po jego tonie Deirdre wyczuła, że uważa to za niedorzeczność.

– To prawda – odparła z uśmiechem. – Proponowałam zaręczyny, ale Matthew je odrzucił.

Na drugim końcu pokoju rozległ się łomot. Deirdre spojrzała w tamtym kierunku i zobaczyła gniewną minę Matthew, gdy podnosił właśnie książkę, którą upuścił.

Liczyła, że taki żart trochę rozładuje napięcie w tej poważnej sytuacji i obaj mężczyźni się odprężą. Zamiast tego Matthew miał jeszcze bardziej marsową minę, a wujek Victor milczał.

– W zasadzie – od wejścia rozległ się nieznamy głos – ta młoda dama wysunęła doskonałą propozycję.

Wujek Victor obrócił się i rzekł:

– Och, Williamie, wejdź, proszę. Zapomniałem, że zostałeś na korytarzu.

Do pokoju wszedł przystojny, jasnowłosy mężczyzna około trzydziestki ze skórzaną aktówką w dłoni.

– Williamie, to jest doktor Clayborne i panna O’Leary. William Bancroft, mój prawnik. Zgodził się służyć ci radą i jeśli zajdzie taka konieczność, poprowadzić twoją sprawę.

Matthew podszedł do pana Bancrofta i uściskał jego dłoń.

– Dziękuję, że pan przyszedł. Jestem bardzo wdzięczny.

Prawnik skłonił się grzecznie przed Deirdre i wszyscy zajęli miejsca. Matthew zamknął drzwi do salonu, pewnie po to, by Phoebe, która właśnie pomagała kucharce piec ciasteczka, nie mogła niczego podsłuchać. Następnie usiadł na kanapie obok Deirdre.

Pan Bancroft postawił aktówkę na podłodze obok fotela.

– Żarty żartami, doktorze Clayborne, ale małżeństwo jest faktycznie najlepszym rozwiązaniem, które zapewniłoby wygraną w procesie o prawa rodzicielskie. Sędzia będzie szukał dowodów na to, że dziecko żyje w stabilnej rodzinie, ma dobry dom, kochających rodziców.

Matthew odsunął się nieznacznie.

– Jak już to tłumaczyłem panie O’Leary, małżeństwo nie wchodzi w grę.

Wujek Victor przechylił się w przód.

– A co z narzeczeństwem, Williamie?

Jakby w ogóle nieporuszony panującym w pokoju napięciem, pan Bancroft wpatrywał się w Matthew.

– Zaręczyny to drugie z kolei rozwiązanie. Jeśli sędzia zobaczy, że planuje pan wprowadzić do rodziny odpowiednią kobietę, taką, która stworzy pełną miłości domową atmosferę, wtedy tak, może to przechylić szalę na pana korzyść.

Matthew zmarszczył brwi.

– Panna O’Leary przyjechała tu jako niania mojej córki. Jest wykwalifikowaną pielęgniarką i osobą, którą Phoebe uwielbia. Czy to nie wystarczy?

Pan Bancroft posłał Matthew spojrzenie pełne litości.

– Niestety, płatna opiekunka nigdy nie przebije kochających dziadków. Przykro mi.

Matthew zerwał się na równe nogi i zaczął chodzić po pokoju.

– Ale zrobiłem już wszystko, żeby zapewnić Phoebe wygodę i bezpieczeństwo. Pani Potts prowadzi dom. Kucharka i pokojówki zajmują się resztą, a teraz jeszcze panna O’Leary będzie doglądać Phoebe. Czego więcej może oczekiwać sędzia od mężczyzny, który stracił żonę?

Deirdre wstrzymała oddech. Matthew starał się sprawiać wrażenie, że jest tak pogrążony w żalobie, iż nawet nie chce myśleć o ponownych zaślubinach. Ale Deirdre знаła prawdę.

– To, o czym pan mówi, doktorze, to logistyka, a nie opieka. – Pan Bancroft założył nogę na nogę. – Sąd będzie widział człowieka oddanego swojej pracy, który spędza wiele czasu poza domem. Zobaczą dziewczynkę pozostawioną w towarzystwie służących. Szczerze mówiąc, da pan Pentergastom córkę jak na tacy.

Matthew przestał chodzić i cały zeszywniał. Zaciśnięte pięści i drganie szczęki dobitnie świadczyły o jego wielkiej frustracji.

Od momentu, gdy wsiedli do pociągu, Deirdre obserwowała, jak Matthew zmienia się z powrotem w zamkniętego człowieka, jakim był, kiedy go poznała. Takiego, który trzyma córkę w domu, z dala od świata. Zachowywał się tak, jakby nigdy nie byli w Irlandzkich Łąkach, jakby nigdy nie widział, że jego córka wychodzi ze swojej skorupy, bawi się z innymi dziećmi...

Ścisnęło ją w żołądku. Potrzeba było przedsięwziąć radykalne środki, żeby Phoebe nie utraciła tej bezcennej więzi z ojcem. Ale jakie?

– Mam jeszcze jedną propozycję. – Pan Bancroft przeniósł teraz spojrzenie na Matthew. – Co by pan powiedział na tymczasowe narzeczeństwo, do czasu rozwiązania kwestii praw rodzicielskich? Prawnik Pentergastów może nawet zasugerować im, żeby nie wnosili sprawy, jeśli będzie się spodziewał, że weźmiecie ślub. A nawet jeżeli nie, to na pewno pomoże nam to w sądzie.

Serce Deirdre zaczęło bić szybciej.

– Załatwilibyśmy to wszystko po cichu. Nie musiałbyś nawet mówić Phoebe.

Matthew posłał jej sceptyczne spojrzenie, a potem skupił wzrok na panu Bancrofcie.

– Nawet gdyby udało mi się wygrać, co zatrzymałoby moich teściów przed udaniem się do sądu, gdy tylko dowiedzą się, że zerwaliśmy zaręczyny?

Pan Bancroft poprawił się na siedzeniu.

– Kiedy sędzia wyda wyrok, nie będzie zbyt skłonny do tego, by ponownie otwierać tę samą sprawę.

Wujek Victor, który do tej pory w milczeniu przyglądał się tej wymianie zdań, klepnął dłonią w kolano i zaśmiał się.

– Przynajmniej raz plotki Maimie mogą się na coś przydać. Wydaje mi się, że wspominała ostatnio o drugiej córce Pentergastów, tej, która poślubiła inwestora z Kalifornii.

Matthew zmarszczył brwi.

– I co w związku z tym?

– Chodzą słuchy, że spodziewa się bliźniaków. Wygląda na to, że Helen planuje pojechać do pomocy, gdy będzie już bliżej terminu porodu. W takim wypadku może jej nie być tutaj, by śledzić z uwagą stan twojego związku.

Próbując zebrać w sobie cały entuzjazm, Deirdre wstała i podeszła do Matthew, który stał obok kominka.

– To może się udać, Matthew, ale wszystko zależy od ciebie.

Przesunął dłonią po szczęce, a na jego twarzy rysowała się desperacja. W końcu zrobił długi wydech i rzekł:

– Jeśli to pozwoli mi zatrzymać córkę, niech tak będzie. Ogłoszę zaręczyny moim teściom jutro, kiedy przyjadą zobaczyć się z Phoebe.

Pan Bancroft odchrząknął i wstał.

– Doskonale, cieszę się, że to już ustaliliśmy. Mógłbym jeszcze coś zasugerować, doktorze Clayborne?

– Co takiego?

– Byłoby roztropnie wystarać się o pierścionek, żeby zaręczyny wyglądały na oficjalne. I... – Przynął się bliżej Matthew. – Proszę zachowywać się tak, jakby rzeczywiście cieszyli się państwo z nadchodzących zaślubin. – Zaśmiał się i poklepał Matthew po ramieniu, a potem zwrócił się do Deirdre: – Miło panią poznać, panno O’Leary. Na pewno wkrótce jeszcze się spotkamy.

Deirdre popsuł się humor. Skoro ten prawnik zauważył, z jakim wstrętem Matthew traktuje te zaręczyny, co pomyślał sobie Pentergastowie?

Wujek Victor dołączył do pana Bancrofta.

– Odprowadzę cię, Williamie. Deirdre, zobaczymy się wieczorem. Zadzwon, gdy będziesz chciała, żeby Davis po ciebie przyjechał.

– Dziękuję. – Deirdre uśmiechała się z przymusem, aż wszyscy mężczyźni wyszli z pokoju.

Kiedy tylko została sama, opuściły ją wszystkie siły. Zgarbiła się, podeszła do gzymsu kominka, a jej uwagę przykuł zbiór zdjęć. Na jednym był Matthew jako absolwent medycyny, na innym on w mundurze żołnierskim, z piękną młodą kobietą i niemowlęciem. Trzecie przedstawiało samą Phoebe, siedzącą na krześle z wysokim oparciem, a na jej twarzy malował się smutek. Deirdre przesunęła dłonią po ramce i westchnęła.

Boże, pomóż mi skupić się na tej słodkiej dziewczynce i nie zważać na jakiekolwiek krzywdzące słowa lub czyny Matthew.

Wbrew wszystkiemu gdzieś w głębi swej duszy pragnęła, żeby okoliczności były zupełnie inne. Żeby jakimś cudem Matthew nagle wyznał jej swoje uczucia i naprawdę poprosił o rękę, ale on jasno się wyraził, że to nigdy się nie zdarzy.

– Musimy porozmawiać. – Głęboki baryton Matthew odbił się echem w przestronnym pokoju.

Zebrała się w sobie i powoli zwróciła ku niemu. Sądząc po jego wyrazie twarzy, ta rozmowa nie będzie miła. Przeszedł przez pokój i stanął przed nią.

– Myślę, że powinniśmy wyznaczyć zasady naszego... układu.

Polano w kominku przesunęło się i płomienie skoczyły do góry, wypełniając przestrzeń migotliwymi odblaskami. Czekwała, aż podejmie temat. On w końcu odkaszlnął i nie patrząc na nią, rzekł:

– Jak sama mówiłaś, zawrzemy tymczasowe zaręczyny do czasu rozwiązania kwestii praw rodzicielskich. Po tym, kiedy tylko zatrudnię nową nianię, będziesz wolna i wrócisz do swojego życia, a ja do swojego.

Czyżby martwił się tym, że mogłaby mieć jakieś plany wobec niego? Że mogłaby rościć jakieś pretensje, gdy przyjdzie czas zerwania zaręczyn? Westchnęła.

– Chciałbyś, żebym podpisała kontrakt? Czy wystarczy, że umówimy się na słowo?

Uniósł brodę.

– Chciałbym jedynie, żebyś wiedziała, że robię to dla Phoebe. I nie ma żadnego innego powodu.

– Nie martw się. Wyraziłeś się wystarczająco jasno. – Ruszyła przez pokój, ale przystanęła jeszcze na chwilę. – Jednak pan Bancroft ma rację co do jednego. Żeby te zaręczyny wyglądały na prawdziwe, musimy zachowywać się jak para, która pragnie ślubu. Myślisz, że dasz radę?

– Oczywiście, że dam. Całkiem dobrze mi szło udawanie szczęśliwego małżeństwa. – Powiedziawszy to, odwrócił się i zdecydowanym krokiem wyszedł z pokoju.

Och, Matthew! Irytacja ustąpiła zrozumieniu – on się bał, że znów zostanie skrzywdzony.

Pragnęła ulżyć jego cierpieniu. Trzymać go w ramionach, aż zostawi to wszystko, co go wstrzymuje, by czerpać z życia pełnymi garściami. Ale tylko jakaś siła wyższa mogłaby to uczynić. Potrzeba było uzdrowienia od Boga, aby uwolnić Matthew z więzienia, które sam sobie stworzył.

Jedyne, co Deirdre mogła dla niego w tej chwili zrobić, to modlić się.

Terrence i Helen Pentergastowie przyjechali dokładnie o pierwszej po południu kolejnego dnia. Pani Potts wprowadziła teściów Matthew do salonu, ale on czekał jeszcze parę minut w swoim gabinecie, przygotowując się mentalnie na bój. Od czasów wojny nie czuł się tak osaczony, tak niepewny... jakby ziemia ruszała się pod jego stopami przy każdym kroku.

Do korytarza dobiegał podekscytowany głos Phoebe, gdy raczyła dziadków kolejnymi opowiadaniem o Irlandzkich Łąkach. Matthew przysłuchiwał się z radością tym słodkim dźwiękom. Potrafił sobie nawet wyobrazić napiętą twarz Helen, kiedy jego córka mówiła o koniach oraz szczeniakach, śnieżycy i niebezpiecznej wyprawie Seana. Dla Pentergastów, którzy postrzegali Toronto jako jedyne prawdziwie cywilizowane miasto po tej stronie oceanu, Irlandzkie Łąki musiały wydawać się Dzikim Zachodem.

Wyciągnął zegarek z kieszeni kamizelki i sprawdził godzinę. Jeszcze pół godziny do przyjazdu Deirdre. Victor zapewnił go, że kierowca podwiezie ją dokładnie na pierwszą trzydzieści, a to dawało mu wystarczająco dużo czasu, żeby na osobności pomówić z teściami. W ciągu najbliższych trzydziestu minut musiał znaleźć jakiś sposób, żeby obwieścić im swoje zaręczyny.

Na samą myśl o tym ścisnął mu się żołądek, przypominając, co było na lunch.

Westchnął głośno, poprawił krawat i wszedł do salonu.

– Tatusiu. Babcia i dziadek przyjechali! – Phoebe przebiegła przez pokój i objęła go rękami za nogi.

Matthew położył dłoń na jej ramieniu, nie spuszczać wzroku z mężczyzny i kobiety, którzy siedzieli na kanapie. Jak zawsze byli nienagannie ubrani, jakby wybierali się na wieczór do opery.

Terrence i Helen wstali równocześnie. Mężczyzna zrobił krok w stronę Matthew i wyciągnął rękę.

– Matthew, dobrze wyglądasz.

– Dziękuję, sir. Pan również. – Uścisnął jego dłoń, a potem ucałował Helen w policzek. – Mam nadzieję, że mieli państwo miłą wycieczkę.

Wąskie, wypielęgnowane brwi Helen uniosły się wysoko.

– Trudno ją tak nazwać, skoro moja droga siostra była chora.

– Tak mi przykro. Nie wiedziałem. – Matthew zacisnął usta. Jak to się działo, że zawsze mówił coś niewłaściwego?

Terrence położył dłoń na ramieniu żony.

– Na szczęście stan Edith znacznie się poprawił. A reszta naszego wyjazdu była całkiem udana. – Jego przeprasający wyraz twarzy sprawił, że napięcie promieniujące wzdłuż kręgosłupa Matthew

trochę zelżało.

– Proszę, usiądźcie. Czy mogę zaproponować coś do picia?

– Ja chętnie wypiję herbatę. – Helen zajęła z powrotem swoje miejsce na kanapie.

Phoebe od razu przytuliła się do niej.

Matthew zadzwonił po panią Potts, a potem usiadł w jednym z foteli, nagle czując, jakby sam był gościem we własnym domu. Przyczyniał się do tego pewnie fakt, że Pentergastowie mieli akt własności tej rezydencji.

– Phoebe opowiadała nam o tym miejscu, do którego ją zabrałeś. – Dziewczynka na szczęście nie zauważyła pogardy w głosie Helen.

– Bardzo by ci się tam spodobało, babciu. – Phoebe odsunęła się od ramienia Helen i przysiadła na brzegu kanapy. – Mają szczeniaki i konie, i kucyka. Kiedy wrócę tam w lecie, Sean nauczy mnie jeździć na Piruecie. – Z błyskiem entuzjazmu w oczach dziewczynka szczebiotała dalej, zupełnie niepomna na przerażenie malujące się na twarzy Helen. – Może ty i dziadek moglibyście nas tam odwiedzić. Pani O’Leary mówiła...

– Moje drogie dziecko, już tam nie wrócisz, więc nie musimy się tym martwić.

Matthew stłumił jęk, widząc, że twarz córki przybrała marsowy wyraz.

– Ale panna Deirdre obiecała...

Matthew wstał.

– Phoebe, czy mogłabyś poprosić panią kucharkę, żeby przyniosła dla nas te specjalne ciasteczka? Te, które pomagałaś piec?

Gniewna mina zniknęła i dziewczynka rozpromieniła się, zwracając się do Terrence’a:

– Upiekłam dla ciebie ciasteczka, dziadziu, bo wiem, że je lubisz.

Surowość na twarzy mężczyzny stopniała jak podgrzane masło.

– To bardzo miło z twojej strony, Phoebe. Chętnie ich spróbuję.

– Zaraz wrócę.

Kiedy wybiegła z pokoju, Matthew westchnął powoli, wdzięczny za dywersyjne taktyki, których nauczyła go Deirdre, aby mógł radzić sobie z wybuchami Phoebe. Opanował wyraz twarzy i zwrócił się w stronę teściów.

Terrence się zaśmiał.

– Mój Boże, zmieniła się w niezłą szczebiotkę. Wspaniale widzieć, że tak się otwiera.

– Cieszę się, że pan to zauważył. – Matthew w kilku krokach przeszedł przez pokój. – Krótki pobyt na wsi bardzo się przysłużył Phoebe. Wpłynął pozytywnie nie tylko na jej zdrowie, ale ogólne zachowanie... w dużej mierze dzięki panie O'Leary.

Zapadła niezręczna cisza. Matthew wrócił do swojego fotela, ale nie potrafił się zmusić, aby usiąść. Zamiast tego zacisnął dłonie na rzeźbionym oparciu, jakby miał czerpać siłę z tego twardego drewna.

– Zanim Phoebe wróci, jest coś, o czym muszę państwu powiedzieć.

Helen wstała ze swojego miejsca niczym królowa podnosząca się z tronu.

– Jeśli to ma cokolwiek wspólnego z zabranie naszej wnuczki gdzieś do tej zabitej dechami...

– Ależ, Helen! – Terrence wstał i ujął ramię żony. – Nie wiesz nawet, co Matthew chce nam oznajmić.

Posłała mu pełne wyniosłości spojrzenie i wróciła na miejsce.

– Dobrze, w takim razie co takiego chciałeś nam powiedzieć?

Matthew miał wrażenie, że język przyrósł mu do podniebienia.

– Panna O'Leary przyjechała z nami do Toronto. Ona... – Przełknął ślinę, nie będąc w stanie, a może wcale nie chcąc, wypowiedzieć tych słów, bo wiedział, że to kłamstwo przypieczeruje jego los.

– Co ona? – Na rumianej twarzy Terrence'a odmalowało się wyczekiwanie.

– Ona jest... to znaczy, my jesteśmy...

– Zaręczeni i zamierzamy wziąć ślub.

Matthew zamarł, słysząc głos Deirdre za plecami. Odwrócił głowę i zobaczył, jak lekkim krokiem weszła do pokoju z powitalnym uśmiechem na ustach. Utkwił w niej spojrzenie. Była ubrana w cytrynową sukienkę. Kasztanowe włosy, odgarnięte z twarzy, spływały na ramiona w idealnych lokach. Jeszcze nigdy Deirdre nie wyglądała piękniej!

Podeszła i ujęła go pod ramię.

– Państwo to pewnie pan i pani Pentergast. Wspaniale państwa poznać.

Terrence podniósł się z fotela, ale Helen siedziała dalej z szeroko otwartymi ze zdziwienia oczami.

– Dobrze słyszałam, że jesteście zaręczeni? – wrzasnęła piskliwie.

Matthew chciał otworzyć usta, ale nie potrafił. Deirdre roześmiała się beztrósco.

– Matthew, kochanie. Nie mówiłeś im? – Zrobiła krok w przód i wyciągając dłoń w stronę Terrence'a, rzekła: – Jestem Deirdre O'Leary, narzeczona Matthew.

Mężczyzna uściskał jej dłoń, najwyraźniej oniemiały z zaskoczenia.

Jakby niewzruszona gęstniejącą atmosferą Deirdre usiadła obok Helen.

– Pani musi być babcią Phoebe. Tak wiele mi o pani opowiadała.

Helen znieruchomiała, odsuwając się nieco, jakby Deirdre miała ją czymś zarazić, i rzuciła pełne wściekłości spojrzenie w stronę Matthew.

– Nie wierzę! Od jak dawna się znacie?

Uśmiech Deirdre wydawał się trochę wymuszony, a tuż koło jej ust rysowały się lekkie zmarszczki.

– To wszystko stało się tak nagle, ale kiedy Matthew i Phoebe mieli wyjeżdżać, uświadomiliśmy sobie, że nie potrafimy żyć oddzielnie. – Posłała Matthew wstydlive spojrzenie spod rzęs. – Czyż nie tak, kochanie?

Wciąż nie potrafiąc wydusić z siebie słowa, Matthew zdobył się tylko na nieszczęsne wzruszenie ramion. Może Deirdre tak naprawdę mijała się z powołaniem i powinna zostać aktorką. Obliznął wyschnięte wargi, rozpaczliwie pragnąc odzyskać zdolność mówienia.

– Nie widzę pierścionka – prychnęła Helen, patrząc na lewą dłoń Deirdre.

– Jest u jubilera, bo trzeba było dopasować rozmiar. – Deirdre pochyliła się bliżej Helen i dodała: – Czekamy na odbiór. Wtedy powiemy Phoebe i ogłosimy to oficjalnie. Tak więc wychodzi chyba na to, że państwo dowiedzieli się jako pierwsi. – Uśmiechała się i zdawało się, jakby zaraz jej twarz miała pęknąć.

Matthew czuł coraz bardziej nieznośny ucisk w żołądku, przygotowując się już na nadchodzącą nieuchronnie eksplozję. Jeśli Deirdre liczyła na to, że swoją życzliwością zdoła powstrzymać negatywną reakcję jego teściów, marnowała tylko swoje teatralne talenty.

Rysy twarzy Helen stały się jeszcze surowsze i patrząc spod przymrużonych powiek, kobieta wycedziła:

– Jeśli wydaje ci się, że możesz zająć miejsce naszej córki w życiu Phoebe, nawet nie wiesz, jak bardzo się mylisz, droga panno O’Leary. – Helen zerwała się z siedzenia, ściskając w dłoniach torebkę, i szarpnęła męża z fotela. – Idziemy, Terrence. Mamy spotkanie z prawnikiem.

– Ale, Helen...

Zignorowała proszące spojrzenie męża i ostentacyjnie przemaszerowała przez pokój. Kiedy dotarła do drzwi, właśnie weszła Phoebe, trzymając tacę z ciastkami.

– Dokąd idziesz, babciu? Nie spróbowałaś jeszcze ciasteczek.

Helen pochyliła się i poklepała wnuczkę po główce.

– Obawiam się, że musimy już iść, kochanie. Może następnym razem przyjdiesz do nas w odwiedziny.

Dolna warga Phoebe zaczęła drżeć.

Patrząc w stronę Matthew, Terrence wzruszył przepaszająco ramionami, gdy go mijał. Kiedy stanął obok wnuczki, zniżył się do jej poziomu i wziął jedno ciastko.

– Na pewno są przepyszne. Do zobaczenia wkrótce, księżniczko. – Wyszeptał jeszcze coś, co sprawiło, że dziewczynka się uśmiechnęła. A następnie ugryzł ciastko, puścił oko do Phoebe i wyszedł za żoną na zewnątrz.



Deirdre opadła ciężko na sofę. To by było na tyle, jeśli chodzi o zjednanie sobie Pentergastów. Wszystko, co zrobiła, tylko zaogniło i tak już napiętą sytuację.

– Czemu dziadzio i babcia tak szybko wyszli? – Phoebe zmarszczyła czoło, gdy Matthew, wzięwszy od niej tacę, odstawił ją na stolik.

Jego twarz zrobiła się chorobliwie szara.

– Przypomniało im się, że mają ważne spotkanie, ale niedługo znów się z nimi zobaczysz.

– Czy mogę jutro pojechać do ich domu? – Phoebe wybrała ciastko z talerza i ugryzła.

– Zobaczymy. – Matthew zacisnął dłonie na wysokim oparciu fotela tak mocno, że aż pobieleły mu palce.

Deirdre podniosła się i podeszła do niego.

– Tak mi przykro. Nie chciałam pogorszyć sprawy – powiedziała cichym głosem. Zanim weszła, wyczuła, że w pokoju panuje napięcie, i stwierdziła, że sytuacja nie przebiega tak, jak tego pragnął Matthew.

– Nie pogorszyłaś. – Jego cierpki ton jej nie pocieszał.

Położyła rękę na jego dłoni. Natychmiast znieruchomiał i zaraz się odsunął.

– Jeśli mogłabyś, zostań z Phoebe, bo muszę pojechać do szpitala. – Unikał jej spojrzenia, patrząc gdzieś w dal za nią.

Deirdre poczuła, że coś ścisnęło ją w gardle. Czy tu chodziło tylko o Pentergastów, czy zrobiła coś jeszcze, co go zdenerwowało? Bardzo chciała, by powierzył jej swoje troski. Jednak teraz, gdy Phoebe słuchała każdego ich słowa, wiedziała, że to będzie musiało poczekać.

– Oczywiście. Kierowca wujka Victora odbierze mnie, kiedy tylko będę chciała – odparła z wymuszonym uśmiechem.

Skierował na nią zmęczony wzrok.

– Wiesz, że możesz odejść, kiedy tylko będziesz chciała.

Serce zabiło jej nierówno. Czyżby sprawdzał jej oddanie? Ich spojrzenia się spotkały, a ona nawet nie mrugnęła okiem.

– Będę tu, dopóki będziesz mnie potrzebował.

Widziała, jak drgnęły mu mięśnie szyi.

– Dziękuję.

To właśnie on teraz najbardziej potrzebował, by go uściskać, ale wszystko w jego zachowaniu krzychało: „trzymaj się ode mnie z daleka”.

– Nie martw się – powiedziała. – Przejdziemy przez to... razem.

Patrzył jej w oczy przez jakąś chwilę, a potem skinął krótko głową i wyszedł z pokoju.

W podziemiach wojskowego szpitala Matthew otworzył drzwi do swojego gabinetu, włączył światło i stał, patrząc na swoje królestwo. Nic się nie zmieniło, odkąd wyjechał ponad sześć tygodni temu, poza kurzem, który teraz zalegał wszędzie jeszcze grubszą warstwą.

Tak się właśnie dzieje, gdy wyda się sprzątającym bezwzględny zakaz ruszania czegokolwiek.

Zdjął kapelusz oraz rękawiczki i odłożył je na biurko. Księga, w której robił notatki dotyczące postępów w leczeniu pacjentów, leżała dokładnie w tym samym miejscu, gdzie ją zostawił. Czyżby doktor Marlboro jej nie używał?

Matthew usiadł i otworzył ją, z ulgą dostrzegając zapiski wykonane obcą ręką. Przejrzał skrupulatnie wszystkie sprawozdania o każdym z pacjentów. Kiedy zaczęła do niego docierać treść, zmarszczył brwi i zaczął czytać jeszcze szybciej. Prawie każdy żołnierz został wypisany spod opieki lekarskiej.

Co ten doktor Marlboro zrobił?

Matthew zerwał się gwałtownie z siedzenia, wywracając krzesło. Ostry ból przeszył jego kaleką nogę. Skrzywił się i złapał się biurka, aż ból zmniejszył się do tępego ćmienia. Ta noga praktycznie przestała mu przeszkadzać w ciągu tych minionych tygodni w Irlandzkich Łąkach. Dlaczego więc ból teraz wrócił?

Zacisnąwszy usta w wąską linię, z lekkim utykaniem wyszedł z gabinetu i ruszył korytarzem do pokoju ćwiczeń. Włączył światła i wpatrywał się w prawie całkiem pustą przestrzeń. Jedyнным pozostałym świadkiem jego pracy było wyposażenie wetknięte w najdalszy kąt i szafka obciążników obok.

Matthew czuł, że się w nim gotuje, pot ciekł mu strumieniami po plecach, a jego noga pulsowała boleśnie. Jak to możliwe, że cała jego praktyka zniknęła w ciągu kilku tygodni? Czy jego pacjenci myśleli, że ich opuścił i w zamian znaleźli sobie innego lekarza? Będzie musiał zadzwonić do każdego z nich i dowiedzieć się...

– Dzień dobry, doktorze Clayborne. Słyszałem, że pan wrócił i pomyślałem, że może tu pana znajdę.

Fred Knox!

Ulga rozlała się w piersi Matthew. Przynajmniej jeden nie odszedł.

– Fred! Dobrze pana widzieć. – Matthew obrócił się. Przeszyło go niezmierne zdziwienie.

Mężczyzna chodził o lasce. Gdzie się podział jego wózek inwalidzki?

Brązowe oczy Freda błyszczały, gdy podszedł bliżej.

– Niespodzianka! Musiałem przyjść i to panu pokazać. – Machnął ręką.

Matthew gapił się z otwartymi ustami, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Kiedy... jak...?

Czyżby doktor Marlboro okazał się lepszym fizjoterapeutą niż on? Czy umiał pomóc Fredowi osiągnąć to, czego Matthew nie mógł mu dać?

– Razem z żoną chcieliśmy, żeby mógł być pan dumny z mojego postępu, gdy pan wróci. Kupiła mi tę laskę i ćwiczyłem w domu codziennie wieczorem. Zajął mi to cztery tygodnie, ale w końcu się udało.

– Ja... ja nie wiem, co powiedzieć.

Fred pokręcił przecząco głową, a jego usta powoli rozciągały się w uśmiechu.

– To jeszcze nie koniec. Dostałem z powrotem moją starą pracę i... – Zaśmiał się. – Marjorie i ja spodziewamy się kolejnego dziecka.

Powietrze uleciało z płuc Matthew, jakby dostał prosto w twarz. Fredowi udało się odzyskać całe swoje stracone życie. Małżeństwo, pracę i jeszcze nowego członka rodziny. Nie potrzebował już jego pomocy.

Doktor z trudem zdusił w sobie negatywne odczucia. Powinien się cieszyć szczęściem Freda. W końcu przecież taki był cel jego zabiegów fizjoterapeutycznych... W takim razie dlaczego Matthew miał teraz ochotę walić pięściami o ścianę?

– Wszystko w porządku, doktorze? – Zmarszczki nad brwiami Freda pogłębiły się. – Bardzo pan zbladł.

– W porządku. Jestem po prostu zaskoczony. – Matthew spróbował się uśmiechnąć. – Bardzo miło zaskoczony, oczywiście.

– Tak samo jak my. – Fred mrugnął do lekarza. – Marjorie chce zaprosić pana na kolację któregoś wieczoru jako drobny wyraz naszej wdzięczności. – Twarz Freda spoważniała. – Nie udałoby mi się

wyjść z tych mrocznych chwil bez pańskiej pomocy. Nigdy nie będę w stanie odplacić się panu za to.

Przechylił się i na krótko objął Matthew jednym ramieniem.

Matthew znieruchomiał. Dlaczego nie potrafił tak po prostu przyjąć wdzięczności tego człowieka?

Fred wyprostował się i poprawił laskę.

– Cóż, chyba powinienem już wracać. Zadzwonimy i ustalimy termin tej kolacji. – Jeszcze raz błysnął zębami w uśmiechu, a potem odwrócił się i wyszedł.

Matthew oparł się ciężko o ścianę, czując, że drżą mu nogi. Czy wszyscy jego pacjenci doświadczyli tak radykalnych powrotów do zdrowia podczas jego nieobecności? Jeśli tak, jak to o nim świadczyło?

Kiedy uspokoił nieco oddech, wyprostował się i podszedł do drzwi. Po raz kolejny objął wzrokiem pomieszczenie, a cierń goryczy wciąż przeszywał jego serce.

Następnie zgasił światło i zamknął drzwi ostatnich czterech lat swojego życia.



Kilka minut później mężczyzna, utykając, dotarł do gabinetu Victora.

– Dlaczego nie powiedziałeś mi, że wszyscy moi pacjenci odeszli? – warknął.

Victor spojrział na niego ponad biurkiem.

– Usiądź, Matthew.

Spokojny, budzący zaufanie głos Victora kołł gniew Matthew. Doktor przeszedł przez pomieszczenie i opadł na jedno z krzeseł, czując się jak szkolniak, który zaraz dostanie burę od dyrektora.

– Dopiero dzisiaj rano dowiedziałem się o stanie twojej praktyki. – Victor przesunął papiery w jego stronę. – Doktor Marlboro przyszedł i dał mi końcowy raport. Rozumiem z tego, że większość twoich pacjentów zdecydowała się nie kontynuować terapii.

– Ale dlaczego? Czy stoi za tym Marlboro?

– Myślę, że wielu żołnierzy czuło, że mogą już skończyć, ale nie wiedzieli, jak ci to powiedzieć. Twoja nieobecność dała im do tego okazję. – Westchnął. – Przykro mi, Matthew, ale wiedziałeś, że ten dzień kiedyś nadejdzie.

Matthew nie mógł usiedzieć. Wstał i przemierzał wykafelkowaną podłogę, krzywiąc się z powodu dolegliwości w udzie.

– I co ja teraz zrobię? – Przystanął, gdy dotarła do niego przerażająca prawda. – Pentergastowie szukają czegoś, co mogliby wykorzystać przeciw mnie w sądzie. Bezrobotny ojciec, który nie ma jak utrzymać dziecka...

– Poczekaj. Wcale nie jesteś bezrobotny.

Poczuł, jakby jego serce ściśnięte było w imadle i opadł z powrotem na krzesło. Schował głowę w kolana, próbując normalnie oddychać.

– Mówiłeś, że masz plan na ten czas, gdy żołnierze nie będą cię już potrzebować – przypomniał mu Victor. – Może opowiesz mi teraz o tym...

Matthew z trudem próbował pozbierać myśli.

– Miałem nadzieję, że uda mi się zdobyć nowych pacjentów, a może nawet otworzyć własną klinikę. Ale na to potrzeba czasu i pieniędzy, a teraz nie stać mnie na takie luksusy.

– Jest jeszcze jedno rozwiązanie. – Victor mierzył go trzeźwym wzrokiem. – Ostatnio otworzyła się nowa Klinika Fizjoterapii w Toronto. Jestem prawie pewien, że chętnie przyjmą cię na pokład.

Matthew wyprostował się.

– Słyszałem o tej klinice.

– Mogłoby to być chwilowe rozwiązanie do czasu, aż ułoży się sytuacja z Pentergastami. W międzyczasie miałbyś stałe zatrudnienie i dobrą pensję. Zawsze też pozostaje możliwość, by odbudować tutaj twoją bazę pacjentów.

Matthew czuł pulsujący ból w skroniach.

– Muszę o tym pomyśleć.

Victor skinął głową.

– Rozumiem.

Matthew wstał, choć kręciło mu się w głowie. Zasmucała go myśl, że miałby pracować w innym miejscu niż Victor, bo on był dla niego jak drugi ojciec.

– Dziękuję, że jesteś dla mnie głosem rozsądku pośród tego chaosu. – Uniósł lekko kącik ust. To było najlepsze, na co było go stać w ramach uśmiechu.

– Cała przyjemność po mojej stronie. – Victor podniósł się zza biurka. – A tak przy okazji, Phoebe i Deirdre są u mnie. Maimie zaprosiła was wszystkich na kolację.

Matthew nie umiał sobie nawet wyobrazić, że mógłby teraz cokolwiek przełknąć. Nie w sytuacji, gdy dzisiejsze wydarzenia zupełnie go przygniotły. Ale ze względu na Phoebe będzie udawał, że cieszy się tym posiłkiem.

Tak samo jak będzie udawał, że jego życie wcale nie wymyka mu się spod kontroli.

Kolejnego dnia rano Deirdre jak zwykle pojawiła się w domu Matthew. Zdjęła kapelusz oraz płaszcz i podała je gospodyni.

– Dziękuję, pani Potts. Czy Phoebe jadła już śniadanie?

– Aniołek jeszcze śpi. – Pani Potts się zaśmiała. – Wygląda na to, że wczoraj porządnie się zmęczyła.

Deirdre przeszył nagły niepokój.

– Może lepiej, żebym tam do niej zajrzała.

– Nie trzeba, moja droga. Wysłałam z jej pokoju na chwilę przed pani przybyciem. Ma się dobrze. – Serdeczne usposobienie pani Potts pomogło Deirdre się uspokoić. – Doktor Clayborne chciał z panią porozmawiać w swoim gabinecie. – Wskazała dłonią na korytarz. – Drugie drzwi po lewej.

Deirdre zawahała się. W jakim humorze będzie dziś Matthew? Wczoraj wieczorem początkowa radość z faktu, że dołączy do nich u Fullmanów, zniknęła zupełnie, gdy tylko zobaczyła jego twarz. Zamiast cieszyć się powrotem do swojej praktyki, Matthew wydawał się jeszcze bardziej posępny. Może dowiedział się czegoś złego na temat jakiegoś pacjenta.

Miała nadzieję, że się jej uda z nim porozmawiać, zanim wyjdą z Phoebe do domu, ale Matthew zabrał córkę zaraz po posiłku. Może teraz Deirdre zdoła wybadać, co go tak dręczyło.

Zapukała do drzwi.

– Proszę.

Deirdre weszła do urządzonego po męsku pokoju. Matthew siedział za dużym dębowym biurkiem, przystrojonym stosami książek i papierów. Na czubku nosa miał okulary do czytania. „Mizernie” – to słowo najlepiej opisywało jego wygląd. Ciemne cienie pod oczami i zapadnięte policzki.

– Dzień dobry, Matthew. Pani Potts powiedziała, że chciałeś ze mną rozmawiać.

– Tak. Proszę, usiądź.

Deirdre przełożyła stertę książek z krzesła. Rzuciła mu rozbawione spojrzenie, przypominając sobie ich pierwsze spotkanie w jego gabinecie w piwnicach szpitala.

Jakiś przeblýsk wspomnień mignął także w jego oczach, ale zaraz wróciła mu powaga.

– Wygląda na to, że Pentergastowie zrobili kolejny krok w celu przejęcia praw rodzicielskich – powiedział bez zbędnych wstępów.

Deirdre usiadła ciężko w fotelu.

– Niedobrze, ale to było do przewidzenia.

– Czy nadal jesteś gotowa, żeby odgrywać tę szaradę? – Przewiercał ją spojrzeniem swoich niebieskich oczu.

Czyżby ponownie ją sprawdzał? A może dawał jej szansę, by mogła się wycofać?

– Oczywiście, że tak.

– Jesteś gotowa klamać pod przysięgą?

Pochyliła się do przodu i z determinacją odparła:

– Ja bardziej obawiam się czegoś innego. – Patrzyła w jego oczy przenikliwie. – Czy ty w ogóle będziesz... umiał zachowywać się jak narzeczony?

Obruszył się i uciekł wzrokiem, układając stertę papierów na biurku.

– Jeśli oczekujesz, że będę paradował jak jakiś zakochany głupiec, muszę cię rozczarować.

Deirdre nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

– Zakochany nie. Ale mógłbyś przynajmniej zachowywać się tak, jakbym była przez ciebie mile widziana.

Zbladł.

– Nie wiedziałem, że zachowywałem się aż tak ordynarnie.

– Odkąd wyjechaliśmy z Irlandzkich Łąk, trzymasz mnie na dystans – powiedziała już ciszej. – Jeśli chcemy, aby Pentergastowie wierzyli, że jesteśmy parą, przydałby się choć uśmiech.

Matthew podniósł się ze swojego skórzanego fotela i podszedł do okna za nim.

– Nie mam ostatnio zbyt wielu powodów do uśmiechu. – Odsunął na bok koronkową firankę i zapatrzył się w dal.

Deirdre żałowała, że nie umie zrobić nic, co mogłoby przywrócić blask jego oczom.

– Myślałam, że się ucieszysz z powrotu do domu – powiedziała. – Z powrotu do swoich pacjentów...

Jego ramiona spięły się nagle, a kiedy obrócił się do niej przodem, na jego twarzy dostrzegła przygnębienie.

– Okazuje się, że niezbyt wiele zostało z mojej praktyki.

– Co masz na myśli? – zapytała, wstając.

– Okazało się, że podczas mojej nieobecności większość pacjentów zdecydowała się zakończyć

terapię.

Ogarnęło ją oburzenie. Minąwszy biurko, podeszła do niego.

– Niewiarygodne! Czy wujek Victor nie mógłby czegoś zrobić w tej sprawie?

– To nie leży w jego gestii. – Wzruszył ramionami. – Mogę jakoś próbować odnowić swoją praktykę... albo znaleźć pracę gdzie indziej.

Wiedziała, jak wiele dla niego znaczyli ci żołnierze. A teraz, dlatego że wyjechał pomóc jej matce, stracił wszystko.

– Tak mi przykro. – Położyła dłoń na jego ramieniu, ale nawet ten delikatny dotyk sprawił, że cały się spiął. – A co z możliwością otwarcenia twojej własnej kliniki?

– To też oznaczałoby konieczność szukania nowych pacjentów. – Zacisnął dłoń na oparciu fotela i westchnął ciężko. – To nie jest dobry czas. Zwłaszcza teraz, gdy jest jeszcze ta sprawa sądowa. Wyznaczono już rozprawę na przyszły tydzień.

Stłumiła okrzyk.

– Jak to możliwe, że udało im się tak szybko to załatwić?

– Pieniądze i władza mogą wiele. – Wykrzywił usta. – Terrence pewnie uruchomił jakieś swoje znajomości, by przyspieszyć ten proces.

Nic dziwnego, że Matthew wyglądał na przygnębionego. Na pewno odnosił wrażenie, że wszystkie aspekty jego życia wymykają mu się spod kontroli.

Deirdre uniosła głowę.

– Nie możemy się jeszcze poddawać, Matthew. Jeżeli Bóg jest po naszej stronie, pomoże nam znaleźć właściwe rozwiązanie.

Pokręcił głową i westchnął z rezygnacją.

– Szkoda, że nie mam takiej wiary. W tym momencie trzeba by było cudu, żebym mógł zatrzymać przy sobie córkę.

– W takim razie dokładnie tego będziemy oczekiwać. – Ucisnęła jego dłoń, jakby samą siłą woli mogła przelać w niego pokrzepienie.

Patrzył na nią przez dłuższą chwilę, a potem w końcu odwzajemnił uścisk, minimalnie rozluźniając ściągnięte brwi.

– Obawiam się, że będziesz musiała mieć wiarę za nas oboje.



– Myślę, że tatuś powinien wrócić do Irlandzkich Łąk – oświadczyła Phoebe przy śniadaniu.

Deirdre podniosła wzrok znad czytanej gazety i przyjrzała się dziewczynce, która jadła owsiankę.

– Dlaczego tak mówisz?

– Bo jest cały czas smutny... A w Irlandzkich Łąkach nie był smutny.

Deirdre ścisnęło się serce. Gdyby to było takie proste...

– Twój tata ma trudną sprawę, którą musi się teraz zająć. Kiedy tylko się z tym upora, poczuje się lepiej.

Phoebe z pluskiem zanurzyła łyżkę w misce owsianki.

– Po tym będziemy mogli wrócić do Irlandzkich Łąk?

– Nie wiem, skarbie. – Deirdre posłała jej blady uśmiech. – Ale może teraz mogłybyśmy coś wymyślić, by rozweselić twojego tatę.

Phoebe się rozpromieniła.

– Mogłybyśmy zrobić mu tort urodzinowy.

– Teraz są jego urodziny?

– Pani Potts mówiła, że jutro. – Uśmiechnęła się promiennie w stronę Deirdre. – Mogłybyśmy przyozdobić tort marcepanem. Tatusz lubi marcepan.

– Doskonały pomysł! – Deirdre postukała kilka razy palcem w usta. – W zasadzie może mogłybyśmy zrobić urodzinową kolację dzisiaj, kiedy wcale nie będzie się tego spodziewał...

Phoebe aż podskoczyła na swoim krześle, zapominając zupełnie o owsiance.

– Pójdę powiedzieć pani Potts.

– A ja zaproszę wujka Victora i ciocię Maimie.

Pierwszy raz od kilku dni humor Deirdre znacznie się poprawił. Miała konkretne zadanie, na którym mogła się skupić. Zorganizować niespodziankę, by pokazać temu mężczyźnie, tak bardzo potrzebującemu pocieszenia, że naprawdę były osoby, którym na nim zależało.



Zanim Matthew wrócił do domu po południu, niebo spowijał już mrok. Rzeczywiście zima była coraz bliżej, bo robiło się ciemno przed kolacją.

Odstawił ciężko swoją teczkę na podłogę, ściągnął nakładane na buty kalosze, zdjął płaszcz i odwiesił kapelusz na hak koło drzwi.

Spędził większość dnia na porządkach w gabinecie, sortowaniu teczek i gazet. Przez pozostałą część czasu konferował z Victorem na temat różnych możliwości pracy oraz zwiększenia liczby jego pacjentów.

Jedno zdanie Victora mocno utkwilo mu w glowie: „Nie musimy nikomu mówić o stanie twojej praktyki. To twoja prywatna sprawa”.

To znacznie złagodziło obawy Matthew. Victor miał rację. Nikt niczego nie ogłosił oficjalnie, więc Pentergastowie nie będą się mieli skąd dowiedzieć, że on może być bez pracy.

W korytarzu zjawila się pani Potts.

– Dobry wieczór, doktorze. Właśnie mają zacząć posiłek, więc może pan dołączyć.

– W rzeczy samej, pani Potts. Dziękuję. – Poprawił krawat i skierował się do jadalni.

– Sto lat! – rozległo się chóralnie, kiedy tylko wszedł.

Matthew stanął jak wryty. Phoebe i Deirdre uśmiechały się, stojąc z boku, a Victor i Maimie siedzieli przy stole.

– Co to ma być?

Deirdre postąpiła krok w jego stronę.

– To przyspieszone przyjęcie urodzinowe.

Matthew wpatrywał się w nią, dostrzegając, jak pięknie lawendowa sukienka podkreśla jej sylwetkę. Włosy Deirdre były misternie upięte z wyjątkiem kilku kosmyków opadających na kark. Phoebe również była odświętnie ubrana.

Przeniósł wzrok na dwupoziomowe, lukrowane ciasto ustawione na środku stołu. Daleko mu było do profesjonalnie wyglądającego tortu, jaki kucharka O’Learych przygotowała dla Phoebe. Przechylał się lekko na bok, jakby ilość wiórków czekoladowych i masy marcepanowej miała go przewrócić.

– Zrobiliśmy z Deirdre tort dla ciebie – oświadczyła Phoebe. – Jest czekoladowy, tak jak mój.

Patrząc spod przymrużonych powiek na Victora, Matthew zapytał:

– Wiedziałaś o tym?

Victor zachichotał.

– Zostałem zobowiązany do zachowania tajemnicy przez pewną przekonującą młodą damę. – Puścił oko do Deirdre.

Matthew skupił wzrok na jej spłótnionym obliczu.

– Ty to wszystko zrobiłaś?

Pokręciła przecząco głową.

– To był pomysł Phoebe. Ja tylko trochę pomogłam.

Córka podbiegła do niego i ciągnąc go za rękę, zawołała:

– Chodź i usiądź, żebyśmy mogli zjeść. Są też prezenty!

Wciąż oszołomiony Matthew pozwolił, by Phoebe poprowadziła go na jego miejsce na końcu stołu.

Mały stosik dziwnie zapakowanych prezentów stał ustawiony obok tortu. Matthew nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni ktoś zwracał sobie głowę jego urodzinami. Zwykle nawet sam ignorował tę datę. Poczuł, że ma ściśnięte gardło.

– Dziękuję. Zupełnie się nie spodziewałem.

Phoebe wskoczyła na swoje krzesło.

– Panna Deirdre mówiła, że musimy najpierw zjeść brukselkę, żeby dostać tort. – Skrzywiła się, ale ujęła widelec w dłoń, gotowa zacząć.

Maimie odkaslnęła.

– Najpierw złożmy Bogu dziękczynienie. Również za brukselkę.

Matthew ukrył uśmiech i pochylił głowę nad złożonymi rękami, podczas gdy Maimie prowadziła modlitwę.

Pół godziny później, gdy jego brzuch był pełen dobrodziejstw, a jego dusza pokrzepiona miłymi rozmowami, Matthew odchylił się na oparciu swojego krzesła. To było dokładnie to, czego potrzebował, żeby sobie wszystko poukładać. Rodzina i przyjaciele. Najważniejsze rzeczy w życiu. Wszystko inne mogło poczekać.

Deirdre podniosła tort, ustawiła przed nim i wtedy wszyscy zaczęli śpiewać. Poczuł jakiś dziwny ucisk w piersi.

– Pomyśl życzenie, tatusiu.

Podniósł głowę i napotkał wzrok Deirdre. Dostrzegł w nim nutę współczucia. Ona dokładnie wiedziała, czego mógł sobie życzyć. Żeby wszystkie groźby ze strony Pentergastów zniknęły i córka pozostała przy nim.

– A może pomożesz mi ze świeczkami? – zapytał Phoebe, zmuszając się do radosnego tonu.

Dziewczynka chętnie wspięła się mu na kolana i dmuchnęła mocno na świeczki.

– Kto chciałby pełnić honory i pokroić tort? – Matthew rozglądał się z nadzieją po zgromadzonych wokół stołu.

Maimie podniosła się z krzesła.

– Ja chętnie. Phoebe może podawać talerzyki.

– A ja przyniosę prezenty. – Deirdre uskładała dziwną zbieraninę paczuszek i przesunęła je koło miejsca Matthew.

Ten wziął kolorowe papierowe zawiniątko podpisane wielkimi literami – „Wszystkiego najlepszego, tatusiu”. Niektóre litery „s” były lustrzanie odwrócone, a pod napisem Phoebe narysowała mężczyznę i dziewczynkę stojących obok wielkiego tortu.

– Dziękuję ci, Phoebe. Piękny obrazek.

Uśmiechnęła się do niego promiennie.

– Mam nadzieję, że spodobają ci się prezenty. Nie miałyśmy czasu jechać na zakupy.

– Na pewno będą mi się bardzo podobały. – Wziął pierwszy pakunek, rozwinął papier i zobaczył w środku swoje wieczne pióra.

W kolejnym prezencie był kamień, który Matthew pamiętał z kolekcji skał Phoebe. Pozostałe były podobne – zebrała różne domowe przedmioty i zawinęła je w papier.

– Bardzo miło z twojej strony, kochanie. Dziękuję.

– Nie ma za co, tatusiu. Chciałyśmy, żebyś znów był szczęśliwy.

Zawstydziła go ta pełna powagi deklaracja dziewczynki. Wyciągnął do niej rękę, a ona wskoczyła mu na kolana.

– Ty sprawiasz, że jestem szczęśliwy, Phoebe. Nic innego na świecie nie liczy się bardziej od ciebie.

Tulił ją mocno do czasu, aż zaczęła się wiercić w jego uścisku.

– Możemy teraz zjeść tort?

Roześmiał się.

– Oczywiście, że tak.

Gdy tylko zjedli, Deirdre podsunęła mu jeszcze jedno zawiniątko.

– To nic wielkiego, ale mam nadzieję, że ci się spodoba. – Na policzki wypłynął jej rumieniec.

Matthew rozpakował prezent i zobaczył tomik poezji Roberta Frosta. A więc zapamiętała jego rzuconą mimochodem uwagę, że lubi poezję, gdy nie musi czytywać się w periodyki medyczne. Poczł falę ciepła w piersi, kiedy najpierw przesunął palcami po skórzanej oprawie, a potem otworzył książkę. W środku była inskrypcja: „Mojej kochanej Deirdre, niech te wiersze sprawią Ci radość. Kochająca mama”.

Solenizant podniósł wzrok.

– Nie mogę tego przyjąć. To był prezent od twojej matki i na pewno wiele dla ciebie znaczy.

Przechyliła się w jego stronę, z poważnym wyrazem zielonych oczu.

– Chciałam ci go dać.

Widząc jej zasmuconą minę, Matthew ustąpił.

– Potraktuję to jako pożyczkę i zwrócę, gdy tylko przeczytam.

Zmarszczone czoło rozpogodziło się nieznacznie.

– Niech tak będzie. A ja w międzyczasie poszukam kolejnego egzemplarza, który będę mogła ci ofiarować. Naturalnie, jeśli spodobają ci się te wiersze.

– Na pewno. Dziękuję.

Urzekło go ciepło w jej spojrzeniu. Niechętnie oderwał od niej wzrok i zwrócił uwagę z powrotem na resztę gości.

– I dziękuję wam wszystkim za to, że uczyniliście te moje urodziny tak wyjątkową uroczystością.

– Cała przyjemność po naszej stronie. – Victor wytarł serwetką wąsy i odsunął się od stołu. – Obawiam się jednak, że musimy już jechać, bo jutro rano wcześniej zaczynam. Czy to ci odpowiada, Deirdre? Bo jeśli nie, mogę później posłać po ciebie Davisa.

– Nie ma takiej potrzeby. Pojadę z wami. O ile tylko Matthew nie będzie miał nic przeciwko temu, żeby samemu położyć Phoebe do snu.

Matthew przełknął poczucie rozczarowania związane z tym, że tak szybko zamierzała ich opuścić.

– Zupełnie nic.

Wszyscy się podnieśli, oprócz Phoebe, która nadal zdrapywała polewę z talerzyka.

Matthew pomógł Maimie i Deirdre założyć płaszcze i kiedy życzył już państwu Fullmanom dobrej nocy, nagle przypomniał sobie o czymś, co miał w kieszeni.

– Deirdre, czy mógłbym porozmawiać z tobą jeszcze chwilę, zanim wyjdiesz?

– Nie spiesz się, moja droga. – Victor uchylił kapelusza. – Będziemy w aucie.

Gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi, Matthew stanął twarzą do niej. W blasku przedpokojowego światła wydawała się tak nieziemsko piękna.

– Jeszcze raz dziękuję za dzisiejszy wieczór. Właśnie tego mi było trzeba. – Uśmiechnął się i choć rozpalą go w piersi pokusa, by ją dotknąć, nie ośmielił się. Wsunął dłoń do kieszeni i poczuł chłodny dotyk metalu.

– Ja też mam coś dla ciebie.

– Dla mnie? – Zmarszczyła uroczo czoło.

Wyciągnął drobny pierścionek ze szmaragdem i uniósł go przed sobą. Jeszcze przez chwilę wahał się, bo sytuacja była tak intymna. Planował dać jej pierścionek rzeczowo, ale po tym, co dla niego zrobiła, nie wydawało mu się to właściwe. Dlatego też uniósł jej lewą dłoń i powoli wsunął klejnot na palec. Pasował idealnie.

– To był ulubiony kamień mojej mamy.

Podniosła na niego wzrok i widział, jak błyszczą jej oczy.

– Zaopiekuję się nim, obiecuję.

Matthew nie był w stanie nic z siebie wydusić, więc tylko skinął głową. Nagle zaczął żałować, że nie daje jej prawdziwego pierścionka zaręczynowego, takiego, który wybrałby specjalnie dla niej.

Złożyła na jego policzku lekki pocałunek.

– Wszystkiego najlepszego, Matthew. Mam nadzieję, że wszystkie twoje marzenia się spełnią.

A potem, zostawiając za sobą unoszącą się w powietrzu woń perfum, wyszła na zewnątrz.

Trzy dni po śmierci pana Millera Connor przemierzał skutą lodem drogę prowadzącą do chaty nadzorca na terenie posiadłości Sullivanów. Pomimo mroźnych temperatur jego dłonie w rękawiczkach były śliskie od potu. Serce pracowało mu tak szybko, jak wtedy, gdy po raz pierwszy dosiadał Excalibura. Trochę strach, a trochę ekscytacja, bo nie wiedział dokładnie, jak zareaguje koń. Teraz odczuwał podobne emocje. Tak samo nie wiedział, jak Jo zareaguje na jego odwiedzinę.

Przez kilka ostatnich dni Connor dużo myślał, próbując znaleźć rozwiązanie. Takie, dzięki któremu ona nie musiałaby wyjeżdżać stąd za pracą. Najlepszy pomysł wydawał mu się na początku trochę drastyczny, ale im więcej się o to modlił, tym bardziej miał wrażenie, że Bóg popierał ten plan.

Gdyby tylko udało mu się jeszcze przekonać Jo.

Connor podjechał do przybudówki i z ulgą dostrzegł w środku starą szkapę Jo, co znaczyło, że dziewczyna była w pobliżu, o ile nie wybrała się gdzieś na piechotę.

Zeskoczył z grzbietu Sztyleta i przywiązał wodze do słupka.

Przystanął i wyszeptał ostatni raz żarliwą modlitwę, żeby Bóg nakłonił Jo do jego pomysłu albo żeby przynajmniej nie zamknęła się na rozwiązanie, które chciał jej zaproponować. Następnie, wyprostowawszy się, podszedł do drzwi wejściowych i trzykrotnie głośno zapukał.

Kilka sekund później stanęła przed nim Jo. W jej przepięknych oczach, których kolor dodatkowo podkreślała błękitna sukienka, mignęło zaskoczenie. Jej długie włosy spływały swobodnie złotymi falami na ramiona.

Uświadomiwszy sobie, że się gapi, Connor przelknął i zdjął czapkę.

– Dzień dobry, Jo. Mogę wejść?

Zmarszczyła czoło.

– Po co tu przyjechałeś?

– Mam pomysł, który chciałbym... z tobą omówić. – Wetknął czapkę do kieszeni.

Spojrzała na niego z powątpiewaniem, a potem wzruszyła ramionami.

– Jeśli to tylko nie zajmie zbyt długo. Muszę skończyć sprzątanie. – Cofnęła się do środka, a on wszedł, zamykając za sobą drzwi.

W środku czuć było ługiem i octem. Na podłodze koło zlewu stało wiadro z wodą.

Rozejrzał się dookoła i gwizdnął.

– Jeszcze chyba nigdy nie było tu tak czysto.

Jo otarła dłonie o fartuch.

– Chcę zostawić to miejsce w dobrym stanie dla przyszłych mieszkańców.

Zamarł.

– Czy Caleb najął już nowego nadzorcę?

Podeszła do zlewu.

– Mężczyznę z żoną i trójką dzieci. Potrzebują chaty od jutra.

Connor zachował neutralny wyraz twarzy, jednocześnie uświadamiając sobie, że być może to na jego korzyść. Seth przyjął pracę jako stajenny, więc miał zakwaterowanie w baraku. A gdzie ona planowała się udać?

– O czym chciałeś porozmawiać? – zapytała przez ramię.

Connor wziął głęboki wdech i podszedł do niej.

– Wydaje mi się, że wymyśliłem rozwiązanie twojej... sytuacji i mam nadzieję, że mnie wysłuchasz. – Ujął jej dłoń i poprowadził ją przez pokój na podniszczoną kanapę.

Usiedli i choć próbowała oswobodzić dłoń, on trzymał ją w uścisku, bo czuł się pewniej, mając taki namacalny kontakt. Odkaslnął, a potem rzekł:

– Jo, mam nadzieję, że wiesz, jak bardzo cię podziwiam i szanuję. Twój talent do koni, twoją ciężką pracę, oddanie rodzinie... to tylko niektóre z twoich zalet.

W jej spojrzenie wkradła się nieufność.

– Nawet wtedy, kiedy myślałem, że jesteś chłopakiem, te cechy przykuły moją uwagę. A potem odkryłem, że jesteś kobietą... i wszystko złożyło się w sensowną całość.

Wyrwała rękę z jego dłoni.

– Co chcesz mi przez to powiedzieć?

Zignorował jej pytanie, całkowicie skupiając się na dokończeniu tego przemówienia, które sobie przygotował.

– Myślę, że znalazłem sposób, żebyś mogła zostać w Irlandzkich Łąkach i dalej trenować konie.

W jej oczach zapłonęła nadzieja i pochyliła się w jego stronę.

– Naprawdę? Jaki?

Zwilżył wyschnięte na wiór usta i przełknął.

– Możesz wyjść za mnie.

Otworzyła bezwiednie usta.

– Chyba nie mówisz serio.

Connor poprawił się na wysłużonej kanapie, walcząc, by nie poczuć się urażony jej niedowierzaniem.

– Pomyśl o tym, Jo. Jako moja żona mogłabyś trenować konie bez udawania, że jesteś mężczyzną. Nie musiałabyś się martwić tym, gdzie będziesz mieszkać i czy będziesz miała co jeść. I wciąż byłabyś blisko brata.

Wstrzymał oddech, czekając na jej reakcję. Kiedy tylko dotrą do niej konsekwencje tego rozwiązania, z pewnością dostrzeże, jak logiczny to plan.

Jednakże zamiast się uspokoić, Jo zerwała się i przeszła szybko w stronę paleniska. Stała plecami do niego, postukując nerwowo stopą o drewnianą podłogę.

Connor przełknął i wstał, starając się powstrzymać niecierpliwość do czasu, aż ona odwróci się twarzą do niego. W końcu to zrobiła.

Oparła dłonie na biodrach i rzekła:

– Chyba przeoczyłeś kilka drobnych szczegółów.

Zapłonęła w nim irytacja. Nie okazała ani trochę wdzięczności za jego pomysł.

– Jakich szczegółów?

– Nawet gdyby twój ojciec zgodził się na to...

– Poradzę sobie z ojcem. Co jeszcze? – Skrzyżował przed sobą ramiona.

Jej nozdrza drgały tak, że przypominała rozdrażnioną młodą klacz.

– Czy ty w ogóle pomyślałeś o tym, że mogłabym wcale nie być zainteresowana wyjściem za mąż za ciebie?



Jo walczyła sama ze sobą, by nie uderzyć Connora w twarz tak, by zniknęła ta jego skonsternowana mina. Czy wszyscy mężczyźni byli tak niedomyślni, żeby nie zauważyć, czym kierują się kobiety?

A czym nie?

– Zapewne myślałeś, że zemdleję z zachwyty na sam pomysł stania się panią O’Leary, ale ja, wręcz przeciwnie, bardzo cenię sobie swoją niezależność i to, że mogę sama podejmować decyzje.

Connor wykrzywił twarz w grymasie i przypominał teraz gotowego do ataku jeżozwierza.

– Naprawdę? I jak ci idzie? – Jego słowa ociekały sarkazmem. – Właśnie jesteś bez pracy i nie masz, gdzie się podziać. Twój brat nie robi nic, żeby ci pomóc. Pomyślałem, że docenisz gest kogoś, kto troszczy się o to, co się z tobą stanie.

Każde jego słowo uderzało w jej czułe miejsce niczym młot. Tak szybko, jak się zdenerwowała, cała chęć do walki zniknęła. Jej dolna warga zaczęła drżeć i obróciła się w stronę sypialni, żeby nie widział, że płacze.

Złapał ją za ramię, zanim zdążyłaby zniknąć w drugim pokoju.

– Jo, poczekaj. – Westchnął ciężko. – To nie tak miało być.

Wyrwała się z jego uścisku.

– Nie, spodziewałeś się, że upadnę ci do nóg z wdzięcznością za wielkie poświęcenie, którego się podejmiesz. Hm, nie potrzebuję takiej jałmużny.

– Kto mówił coś o jałmużnie?

Obejmując się ramionami w pasie, oparła się plecami o drewniane drzwi.

– W takim razie o co w tym chodzi poza tym, że szukasz darmowej pomocy na farmie? Będziesz mieć tylko problem z żoną, której nie chciałeś. A co, jeśli poznasz dziewczynę i... – Jej głos zadrzał. – I zakochasz się? Będziesz uwięziony w związku małżeńskim ze mną. – Pokręciła głową. – Nie mogę pozwolić, żebyś zmarnował swoje życie.

– Źle to zrozumiałaś.

Odepchnęła się od ściany i rzuciła:

– Powinieneś już iść. Muszę się stąd wyprowadzić przed popołudniem.

– Jo...

– Proszę, Connorze. Po prostu już idź.

Jęknął tak, że aż dostała gęsiej skórki. Silnym ramieniem przyciągnął ją do swojej mocnej piersi. A potem celowo złączył ich usta w pocałunku.

Serce podskoczyło jej do gardła, wałąc tak głośno, że nie słyszała nic poza nim. Chociaż niczego nie pragnęła bardziej niż odwzajemnić jego pocałunek, jakaś racjonalna część mówiła jej, że musi go zatrzymać.

Zebrawszy w sobie całą wewnętrzną siłę, oparła się rozłożonymi dłońmi o jego pierś i odepchnęła go... mocno.

– Tego chcesz... – wyrzuciła z siebie. Trudno jej było nawet oddychać. – Uległego ciała, które będzie grzało ci łożę. Cóż, na mnie nie licz. Na pewno znajdę jakiś sposób na życie, bym nadal mogła zachować szacunek dla samej siebie.

Rumieniec oblał jego policzki. Widząc to, poczuła ostre wyrzuty sumienia.

Znieruchomiał, a jego twarz sprawiała wrażenie, jakby była wykuta z kamienia.

– Rób, jak chcesz – odgryzł się. – Możesz odebrać swoją ostatnią wypłatę u Maca, gdy będziesz wyjeżdżać z miasteczka.

Patrzył na nią jeszcze przez chwilę, a potem wyszedł stanowczym krokiem, trzaskając za sobą drzwiami.



Minęły dwa kolejne dni.

Connor przechodził przez stajnię, czując narastającą w nim irytację. Zdjął rękawice i rzucił je na ziemię.

– Dlaczego te boksy nie są wysprzątane!? – wrzeszczał tak, że każdy w pobliżu mógł go usłyszeć.
– Nie mogę przyprowadzić z powrotem koni do takiego syfu!

– Przepraszam. – Mac przeszedł szybko obok niego. – To było zajęcie Joego, więc...

– Znajdź kogoś do tego! Natychmiast! – Connor podniósł rękawice i wymaszerował, walcząc z chęcią, by uderzyć pięścią w ścianę. Może nie był już ich szefem, ale nadal był głównym stajennym.

Wypadł jak burza ze stajni i przeszedł przez zmarzniętą ziemię. Nic nie mogło złagodzić gniewu, który nieustannie w nim kipiał, od kiedy Jo go odrzuciła.

Gdy dotarł do ogrodzenia, wypuścił powietrze. Niemiła prawda docierała do niego pomimo paskudnego nastroju, niosąc ze sobą bardziej poczucie wstydu niż gniew. Był winien Jo przeprosiny za swoje ordynarne zachowanie. Miała rację. Spodziewał się, że po kilku pocałunkach powinna przyjąć jego oświadczyzny i paść mu w ramiona z wdzięcznością... nie zastanawiając się nawet, czego tak naprawdę chciała.

Teraz zżerała go świadomość, że nawet nie wie, co się z nią dzieje. Gdzie mieszka? Czy ma pracę? A co, jeśli musiała spać pod gołym niebem na zimnie?

Connor odwrócił się gwałtownie. Dla własnego spokoju musiał się dowiedzieć, a jedyną osobą, która była poinformowana w tym temacie, był jej brat.

Dwie godziny później, po krótkiej rozmowie z Sethem, Connor zatrzymał samochód swego ojca przed posiadłością pani Bingham. Z tego, co powiedział mu Seth, wielbny Filmore pomógł Jo dostać posadę przy sprzątaniu rezydencji Binghamów. Choć powinien był się ucieszyć z wiadomości, że u niej wszystko dobrze, musiał sam to sprawdzić i przeprosić ją. Nie mógł tego zostawić tak, jak było teraz.

Nie chcąc przeszkadzać mieszkańcom, Connor zaszedł od zaplecza i zastukał głośno do tylnych drzwi.

Otworzyła mu pulchna kobieta w średnim wieku.

– Tak? – Zmierzyła go wzrokiem, zwracając uwagę na jego kozuch i dżinsowe spodnie.

Może powinien się przebrać w coś lepszego.

– Czy pracuje tu panna Miller? – zapytał.

– Ta nowa dziewczyna?

– Tak. Muszę z nią porozmawiać. To nie zajmie długo.

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Jest tam. – Wskazała na betonowe schody tuż za drzwiami.

– Dziękuję pani.

Connor zszedł wąskimi schodami do wilgotnej piwnicy. Pomieszczenie było słabo oświetlone, a w powietrzu czuć było stęchlizną. Skierował się w stronę, skąd dochodził odgłos szorowania i dotarł do Jo, która, klęcząc na zimnej kamiennej posadzce, czyściła szczotką metalową balię.

Sądząc po zapale, z jakim pracowała, najwyraźniej nie zauważyła, że przyszedł, więc jeszcze przez chwilę sycił się jej widokiem. Patrzył na jej brązową roboczą sukienkę, fartuszek w paski i włosy, prawie całkiem ukryte pod białym, falbaniastym czepkiem.

Serce zabiło mu szybciej z samego faktu, że przebywał z nią w jednym pomieszczeniu. Odkaszlnął i rzekł:

– Cześć, Jo.

Pisnęła. Jej ręka drgnęła tak, iż szczotka wyleciała jej z dłoni na drugi koniec pomieszczenia.

– Co ty, do cholery, tu robisz? – Wstała i wygładziła mokrymi dłońmi fartuszek. Jej policzki pokryły się rumieńcem.

Pochylił się, by podnieść szczotkę i podał ją jej z powrotem.

– Seth powiedział mi, gdzie jesteś. Przyszedłem, bo jestem ci winien przeprosiny. – Zawahał się, ale zaraz odsunął dumę na bok, żeby uczynić to, co należało. – Myliłem się, zakładając, że będziesz chciała mnie poślubić. Byłem arogancki i nietaktowny, a powinienem był liczyć się z twoimi uczuciami.

Westchnęła.

– W porządku, Connorze. Po prostu próbowałeś mi pomóc. – Wepchnęła pod czepek pasmo włosów, które się jej wymknęło z upięcia.

– To nie usprawiedliwia tego, że zachowałem się jak prostak. – Uśmiechnął się z zażenowaniem. – To moja największa wada, zawsze próbuję rozwiązać czyjeś problemy. To i przekonanie, że wszystko wiem.

Podeszła do niego z uniesioną głową.

– To nie wada. Myślę, że to chwalebna cnota pragnąć pomagać innym.

Oparł się ramieniem o kamienną ścianę i skrzyżował nogi.

– Cieszę się, że tak myślisz, bo mam jeszcze jedną propozycję dla ciebie.

W jej spojrzeniu błysnęła nieufność.

– Jaką propozycję?

– Rozmawiałem z moim szwagrem, który jest dyrektorem w sierocińcu na Manhattanie, o możliwości zatrudnienia dla ciebie. – Przerwał na chwilę. – Rylan powiedział, że chętnie się z tobą spotka i zobaczy, czy mogłabyś zastąpić moją siostrę, Colleen, kiedy ta urodzi. Miałabyś zapewniony pokój i wyżywienie. – Connor przypatrywał się jej uważnie, żeby upewnić się, jak zareaguje.

Zmarszczyła brwi ponad zadartym noskiem.

– Ale ja dopiero tutaj zaczęłam...

Popatrzył na obskurne pomieszczenie i sterty kubłów czekających na czyszczenie.

– Podoba ci się ta praca?

Jej wzrok powędrował na wiadro u jej stóp.

– Niezbyt – wyszeptła.

Connor wyciągnął kawałek kartki z kieszeni kozucha i podał jej.

– Tu są dane Rylana. Zrobisz, co będziesz chciała. Nic na siłę. – Opuścił rękę wzdłuż boku, żałując, że nie może przedłużyć tego spotkania. – Cóż, chyba nie powinienem ci już dłużej przeszkadzać w pracy. – Z ociąganiem oderwał od niej wzrok i ruszył w górę schodów.

– Connorze?

Wstrzymał oddech, licząc, że może zmieniła zdanie co do zaślubin.

– Tak?

– Dziękuję. Za przeprosiny... i za informację.

Przełknął i skinął głową.

– Nie ma za co. Mam nadzieję, że wszystko ci się ułoży.

A potem, zanim błękit jej oczu zupełnie by go rozproszył, szybkimi susami pokonał schody i wyszedł na zewnątrz w jasne dzienne światło.

Dzień rozprawy sądowej o przyznanie opieki był zimny i szary, a w powietrzu czuć było, że zanoszą się na śnieg. Choć Deirdre miała na sobie ciepły płaszcz z futrzanym kołnierzem, drżała, gdy szła za Matthew po schodach prowadzących do budynku, który służył jednocześnie jako ratusz miejski i siedziba sądu okręgowego.

Zdenerwowanie ścisnęło jej żołądek, kiedy przemierzali wykafelkowany korytarz. Towarzyszył im stukot ich obcasów odbijający się echem w rozległej przestrzeni. Po drodze zdjęła rękawiczki, ostrożnie, żeby pierścionek od Matthew nie zsunął się z palca. Schowała je w głębokich kieszeniach płaszcza i patrzyła na rzędy złowieszczo wyglądających drzwi. Pan Bancroft powiedział, że spotka się z nimi tutaj godzinę przed rozpoczęciem.

Zerknęła na Matthew i po jego spiętej twarzy widziała, że on również się niepokoi. Wiedzieli, co mają zeznawać przed sądem, ale to nie umniejszało strachu przed nieznanym. Całe rano Deirdre modliła się, żeby Bóg wypowiedział jej, co mówić, by pomogła Matthew zatrzymać córkę.

– Jest już pan Bancroft. – Matthew wskazał na koniec korytarza.

Prawnik pomachał i ruszył w ich stronę.

– Dzień dobry, doktorze Clayborne, panno O’Leary. – Uśmiechnął się do nich promiennie, nie okazując po sobie najmniejszego zdenerwowania.

Deirdre stwierdziła, że pewnie wszyscy prawnicy muszą mieć wyjątkowo dużo pewności siebie... albo przynajmniej odznaczać się niemałą zuchwałością.

Pan Bancroft wskazał im na ławkę pod ścianą. Deirdre ujęła od tyłu sukienkę i usiadła, a następnie rozpięła guziki płaszcza. Nie mogła pozwolić, żeby jej elegancki ubiór pomiał się przed rozprawą.

– Postarajcie się nie okazywać zdenerwowania – zaczął prawnik. – I zachowujcie się najbardziej naturalnie, jak to możliwe.

Deirdre okręciła pierścionek na palcu, wciąż nienawykła do jego ciężaru.

Matthew pochylił się do przodu.

– Jak długo to zajmie?

Pan Bancroft zacisnął usta, a potem odparł:

– Zapewne niecałą godzinę. – Przyglądał się badawczo Matthew, a potem Deirdre. – Zdaję sobie sprawę, że nie jesteście zbyt biegli w odgrywaniu ról, ale czy moglibyście nie sprawiać wrażenia, jakby to był koniec świata? I może usiądźcie nieco bliżej siebie, okażcie sobie trochę uczuć jak prawdziwa para...

Ciepło paliło Deirdre w policzki. Jej próba odgrywania kochającej narzeczonej przed

Pentergastami nie zrobiła zbyt dobrego wrażenia... na nich ani na Matthew. Ale skoro teraz wszystko zależało od gry aktorskiej, postara się jeszcze raz.

Przysunęła się bliżej do Matthew, wyciągnęła dłoń i czekała. Westchnął długo, a następnie podał jej rękę. Splotła z nim swoje zimne palce i czerpała pociechę z samego dotyku.

– Będzie dobrze – powiedziała.

Widać było, jak drży mu grdyka.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz.

I właśnie wtedy w korytarzu pojawili się Pentergastowie. Zwolnili koło nich, nieznacznie skinąwszy w ich stronę, a potem poszli dalej.

Deirdre pochyliła się w jego stronę i szepnęła:

– Nie pozwól im się sprowokować. Pamiętaj, oni na swój sposób chcą jak najlepiej dla Phoebe.

Pan Bancroft się podniósł.

– Przepraszam, że przerywam, ale powinniśmy się już udać do sali rozpraw. Sędzia Blackthorn nie znosi czekać.



Matthew skoncentrował się na wspaniałej architekturze budynku, gdy przechodzili za panem Bancroftem przez korytarz, a potem przez podwójne drzwi. Cokolwiek, byleby oderwać myśli od wydarzeń, które miały zaraz nastąpić w tej sali, gdzie zadecyduje się o losie jego córki.

Czy sędzia Blackthorn okaże się pełnym współczucia człowiekiem, sprawiedliwym wobec ojcowskiego prawa do wychowania własnego dziecka? A może to stronniczy znajomy Pentergastów, skłonny odwdzińczyć się parze za bajońskie sumy, które przekazywali na różne sprawy miasta?

Matthew przeszedł w ślad za prawnikiem przez krótkie przejście i wahadłowe drzwi.

Pan Bancroft położył swoją dyplomatkę na blacie stolika i wskazał Matthew miejsce siedzące.

– Panno O’Leary, może pani usiąść za nami.

Bez słowa skargi Deirdre podeszła do Matthew i ująwszy jego dłonie, rzekła:

– Będę tuż za tobą i będę się modlić. – Ucisnęła jego ręce. – Spróbuj się nie martwić. Bóg jest z nami. – To powiedziawszy, wspięła się na palce i ucałowała go w policzek.

Matthew zarumienił się, a jego wzrok uciekł w stronę przejścia, gdzie stanęli Pentergastowie i teraz mu się przyglądali. Poczul, że ciepło oblało całą jego twarz, ale odwzajemnił spojrzenie bez drżenia.

– Dziękuję, Deirdre – odparł, nieudolnie próbując zmusić się do uśmiechu.

Pochyliła głowę i przeszła w stronę rzędu siedzeń za niską barierką.

Matthew usiadł obok pana Bancrofta. Patrzył przed siebie na imponujący stół, zza którego sędzia będzie się przysłuchiwał zeznaniom obu stron. Kątem oka dostrzegł, że jego teściowie ze swoim prawnikiem zajmują miejsca po drugiej stronie przejścia. Matthew przycisnął dłoń do brzucha, pragnąc gorąco, żeby opuściło go zdenerwowanie, a potem obrócił się, by spojrzeć za siebie. Po stronie Pentergastów siedziało kilku widzów – zapewne ich przyjaciół lub znajomych. Jego strona była pusta, jeśli nie liczyć Deirdre. Victor miał rano spotkanie, ale liczył, że zdąży dotrzeć później. Przez chwilę Matthew przyglądał się Deirdre siedzącej teraz z dłońmi złożonymi na kolanach, z zamkniętymi oczami i ustami poruszającymi się w bezgłośniejszej modlitwie. Zrobiło mu się cieplej na sercu. Naprawdę dobrze było mieć teraz przy sobie wsparcie tej cudownej kobiety.

„Nie jesteś sam” – usłyszał w głębi duszy.

Obrócił się twarzą w stronę stołu sędziego, nie do końca pewien, czy sam sobie wymyślił te słowa, czy przyszły od Kogoś z góry.

Tak czy inaczej, jego duszę przeniknął spokój. Deirdre miała rację. Musiał wierzyć, że Bóg był po ich stronie i że nie pozwoli odebrać Matthew ostatniej najbliższej osoby, jaka mu została na tym świecie.

Drzwi z boku sali otworzyły się i do środka wszedł mężczyzna w uniformie.

– Proszę wstać, sąd idzie. Rozprawę prowadzi sędzia Aloysius Blackthorn.

Krzesła zaszurały po podłodze, gdy wszyscy się podnieśli. Do sali wszedł tęgi mężczyzna o siwych włosach w obszernej, czarnej todze. Następnie wspiął się na sędziowskie miejsce, objął wzrokiem zgromadzonych na sali i rzekł:

– Proszę usiąść.

Sędzia spojrzał badawczo na dokumenty rozłożone przed nim na biurku, a potem podniósł głowę.

– Rozpatrywana będzie sprawa o przyznanie opieki nad małoletnią... – Zerknął w papiery. – Phoebe Helen Clayborne.

– Zgadza się, Wysoki Sądzie. – Prawnik Pentergastów, mecenas Whitmore, podniósł się ze swojego miejsca.

– Strony zainteresowane to ojciec, doktor Matthew Edward Clayborne, oraz dziadkowie małoletniej ze strony matki, państwo Helen i Terrence Wilson Pentergast.

– Tak.

Sędzia Blackthorn przewertował leżący przed nim dokument.

– Udzielam głosu mecenasowi Whitmore’owi.

Wywołany mężczyzna zatknął kciuki za kieszenie spodni i dumnie wyszedł na miejsce przed ławą.

– Na początku, Wysoki Sądzie, chciałbym przedstawić historię, jaka kryje się za tą sprawą.

Sędzia uniósł dłoń.

– Wolałbym raczej wysłuchać tego bezpośrednio od pana klienta, jeśli pan pozwoli, mecenasie Whitmore.

– Oczywiście, Wysoki Sądzie. Wzywam do złożenia zeznań doktora Terrence’a Pentergasta.

Terrence podniósł się z właściwą sobie godnością, poprawił marynarkę i podszedł do miejsca dla świadka. Gdy tylko się tam znalazł, urzędnik sądowy przyjął od niego przysięgę i mężczyzna usiadł.

– Doktorze Pentergast, czy mógłby pan przedstawić szczegóły pańskiej relacji z zięciem, doktorem Clayborne’em? – zaczął pan Whitmore.

– Oczywiście. – Terrence zerknął na Matthew, a następnie skupił spojrzenie na prawniku. – Poznałem Matthew, kiedy odbywał staż w Szpitalu Ogólnym w Toronto. Stwierdziłem, że jest bardzo obiecującym młodym człowiekiem i przedstawiłem go swojej córce, Priscilli.

Pan Whitmore oparł się o drewnianą barierkę, przy której znajdował się świadek.

– Rozumiem, że pańskiej córce doktor Clayborne wydawał się równie interesujący?

Nieznaczny uśmiech zarysował się na twarzy Terrence’a.

– Tak, wzięli ślub rok przed ukończeniem przez Matthew studiów medycznych, z założeniem, że dołączy on do mojej praktyki lekarskiej.

– Ale tak się nie stało, prawda?

– Nie. – Usta mężczyzny zacisnęły się teraz w wąską kreskę. – W tamtym czasie już od kilku lat trwała wojna i Matthew był przekonany, że chce do niej dołączyć jako medyk. Priscilla kategorycznie sprzeciwiła się jego decyzji, zwłaszcza że podejrzewała, iż jest brzemienna.

– Czy to skłoniło doktora Clayborne’a do pozostania w kraju?

– Nie. – Terrence przygarbił się nagle. – Nawet nie wrócił na czas narodzin swojego dziecka.

Pośród osób zgromadzonych za plecami Pentergastów rozległ się pomruk. Matthew czuł już, co sobie musieli o nim w tej chwili pomyśleć.

– Ale doktor Clayborne w końcu kiedyś wrócił do domu? – ciągnął dalej pan Whitmore.

– Podczas urlopu bożonarodzeniowego. – Terrence popatrzył w stronę miejsca, gdzie siedziała Helen. Jego nozdrza drgały. Za chwilę spojrzał ponownie na prawnika. – Phoebe miała wtedy jakieś sześć tygodni, a Priscilla musiała sobie radzić z nową rolą matki... sama! – Ostatnie słowo zawisło w ciszy.

Matthew drżał od gniewu. Wiedział, że Pentergastowie będą starali się to przedstawić w jak

najgorszym świetle, ale Terrence sprawiał, że brzmiało to, jakby zupełnie opuścił żonę i dziecko. Nie był jedynym mężczyzną, który musiał zostawić rodzinę, by służyć swojej ojczyźnie.

– Zatem doktor Clayborne wrócił na wojnę?

– Tak. Priscilli było coraz trudniej radzić sobie z niespokojnym dzieckiem, więc przeprowadziła się z powrotem do nas.

– Rozumiem. A kiedy otrzymali państwo wiadomości o losie doktora Clayborne’ a?

– Wydaje mi się, że to było w marcu tysiąc dziewięćset osiemnastego roku. Dowiedzieliśmy się, że został ranny i trafił do Anglii na leczenie.

– A kiedy wreszcie wrócił do ojczyzny, czy podjął się swojej roli jako mąż i ojciec?

Terrence poprawił się na siedzeniu i jeszcze raz zerknął w stronę żony.

– Próbował. Tego nie można mu odmówić. Zgłosił się do mnie do pracy na krótko, do czasu, aż nie przeszedł do szpitala wojskowego.

– Domyślam się, że pańska córka przeprowadziła się z powrotem do męża, kiedy ten wrócił?

– Tak. Ale ich relacja była bardzo napięta. Było wiele niechęci z obu stron.

– Co się stało później?

Terrence skrzywił twarz. Przez chwilę próbował się opanować.

– Priscilla zachorowała na gruźlicę.

– I jak zareagował na to doktor Clayborne? – zapytał prawnik Whitmore.

– Uparł się, by samodzielnie ją leczyć.

– Rozumiem, że pan nie zgadzał się z tym.

– Nie, chciałem, żeby posłać ją do sanatorium.

– W końcu również pańska wnuczka zapadła na tę chorobę. Czy doktor Clayborne ostatecznie ustąpił i posłał je do sanatorium?

– Tak, ale było już o wiele za późno. Priscilla zmarła tydzień później. – Przełknął ślinę i zamrugął.

– Proszę mi powiedzieć, doktorze, czy obwinia pan swojego zięcia o śmierć pańskiej córki?

W sali nastąpiła pełna wyczekiwania cisza.

Terrence westchnął ciężko.

– Gdyby Priscilla pojechała do sanatorium wcześniej, pewnie udałoby się jej przeżyć.

Matthew zamknął oczy, a każde słowo przeszywało jego serce wszechobecnym poczuciem winy, które prześladowało go od śmierci jego żony.

– Co się dalej stało z córką doktora Clayborne’a? – Pewny siebie ton pana Whitmore’a wskazywał, że wie, jaka będzie odpowiedź.

– Phoebe pozostawała w sanatorium przez większość tamtego roku. Matthew odwiedzał ją od czasu do czasu, ale głównie oddawał się pracy.

– Co się okazało, kiedy Phoebe wydobrzała na tyle, że można było ją wypisać?

– Razem z żoną chcieliśmy wziąć ją do nas. Ale Matthew nawet nie chciał o tym słyszeć. Zamiast tego zatrudnił pielęgniarkę i nianię i zostawił Phoebe pod opieką obcych.

Matthew czuł, że jego gniew uleciał, a zamiast tego ogarnęło go poczucie wstydu, gdy docierała do niego prawdziwość słów Terrence’a. Czy rzeczywiście był aż tak zaślepiony? Tak nieczuły na potrzeby własnej córki? Nic dziwnego, że Pentergastowie nim gardzili. Pochylił głowę, nie będąc w stanie nawet na nikogo spojrzeć.

Kiedy sędzia wreszcie odprawił Terrence’a z miejsca dla świadka, Matthew starał się opanować emocje, przygotowując się już na kolejne zeznania.

– Jeszcze jedna rzecz, Wysoki Sądzie. – Pan Whitmore stanął przed sędzią.

– Proszę.

– Okazało się, że doktor Clayborne od niedawna ma narzeczoną. Kobieta, którą poznał zaledwie kilka tygodni temu. Państwo Pentergastowie wątpią w prawdziwość tego związku i boją się, że jest to jedynie podstęp, by przekonać sąd na korzyść doktora Clayborne’a.

Serce stanęło Matthew w piersi i przeszyły go dreszcze. Sędzia popatrzył gniewnie na pana Whitmore’a.

– Czy ma pan na to jakieś dowody?

– Nie, Wysoki Sądzie. Jednak chcieliśmy zwrócić na to uwagę Wysokiego Sądu, tak samo jak na fakt, że zaręczyny te nastąpiły akurat w czasie, gdy państwo Pentergastowie zagrozili podjęciem odpowiednich kroków prawnych.

– Rzeczywiście ciekawie się to zbiegło w czasie. – Sędzia zwrócił się do pana Bancrofta: – Chciałbym, żeby pański klient odniósł się teraz do tej kwestii.

Serce Matthew waliło tak mocno, że aż mu szumiało w uszach. Pan Bancroft wstał z krzesła, patrząc na Matthew, jakby chciał zapytać: „Jest pan gotowy?”. Zanim jednak zdołał cokolwiek powiedzieć, za ich plecami zaszurało krzesło i dało się słyszeć:

– Wysoki Sądzie, chciałabym to wyjaśnić. – Głos Deirdre drżał.

Co ona, na Boga, wyprawiała?

Deirdre wstrzymała oddech, czekając na decyzję sędziego, czy udzieli jej głosu. Nie miała tak naprawdę pojęcia, co powie. Ale wątpiła, czy Matthew podoła odpowiedzi na tak spontaniczne, bezpośrednie pytanie i nie narobi bałaganu w ich starannie skonstruowanym planie. Z ich dwójga ona była lepszą aktorką.

Sędzia zmarszczył brwi zza okularów.

– A kim pani jest?

– Deirdre O’Leary, narzeczona doktora Clayborne’a.

Poczuła, jak strużka potu spływa jej po plecach, ale stała nieruchomo pod baczny spojrzeniem mężczyzny, jednocześnie unikając spotkania z gniewnym wzrokiem pana Bancrofta.

– Dobrze, panno O’Leary. Proszę podejść.

Pragnąc, by jej nogi tak nie drżały, Deirdre przeszła przez niewielkie wahadłowe drzwiczki i zajęła miejsce przy barierce. Urzędnik sądowy w uniformie podszedł do niej z Biblią. Szybko złożyła przysięgę, że będzie mówić prawdę, i usiadła, modląc się, żeby Bóg prowadził ją swoją mądrością.

Sędzia obrócił się do niej twarzą.

– Proszę mi coś o sobie powiedzieć, panno O’Leary.

Przesunęła językiem po suchych wargach.

– Pochodzę z Long Island w stanie Nowy Jork. Niedawno ukończyłam pielęgniarstwo przy szpitalu Bellevue na Manhattanie. – Już chciała dodać, że uczęszczała również na studia medyczne, ale zatrzymała tę informację dla siebie w przekonaniu, że nic by to nie pomogło w tej sprawie.

– Zatem pracuje pani jako pielęgniarka?

– Obecnie nie. Moja matka ostatnio miała udar, więc wróciłam do domu, aby się nią opiekować.

Sędzia uniósł wysoko brwi.

– A jak poznała pani doktora Clayborne’a?

– Mój ojciec zatrudnił go do pomocy w leczeniu paraliżu mojej matki. Razem z doktorem Clayborne’em pracowaliśmy w ścisłej współpracy i nawiązaliśmy... dobre relacje.

– Rozumiem. A kiedy te relacje przerodziły się w związek?

Deirdre zmusiła się, by nie spojrzeć na Matthew. Przełknęła z trudem.

– Kiedy Matthew powiedział nam, że musi wracać do Toronto, uświadomiliśmy sobie, że... – Westchnęła lekko. – Że nie chcemy żyć osobno.

– I wtedy się oświadczył?

Zawahala się, zastanawiając się, jak to najlepiej ująć, by nie skłamać.

– To była nasza wspólna decyzja, którą podjęliśmy po licznych modlitwach i rozmowach.

W sali zapanowała niezręczna cisza. Serce Deirdre zamarło. Czy jej historia przekona sędziego.

– Proszę mi powiedzieć, panno O’Leary, czy kocha pani doktora Clayborne’a?

Znieruchomiła na krześle i wyrzuciła z siebie odpowiedź, którą wcześniej wyćwiczyła.

– Tak, oczywiście.

To nawet nie było trudne. Gdy Matthew ją zapyta, będzie mogła odpowiedzieć, że nie skłamała, że oczywiście kocha go, tak jak kocha Phoebe i wszystkich swoich bliskich przyjaciół.

– Rozumiem. – Przypatrywał jej się przenikliwie. – Ale czy jest pani w nim zakochana?

W tym momencie uleciało z niej całe powietrze. Zdawało się, że język przyrósł jej do podniebienia. Wykręcając ręce, modliła się, by stało się coś, co uratuje ją przed odpowiedzią. Pożar albo jakieś trzęsienie ziemi...

– Chciałbym tylko przypomnieć, panno O’Leary, że jest pani związana przysięgą. – Ton sędziego był teraz łagodniejszy.

Serce biło jej w szaleńczym tempie. Czy miała jakiś inny wybór poza prawdą?

– Proszę odpowiedzieć na pytanie. Czy jest pani zakochana w doktorze Clayborne?

Deirdre zrobiła długi wydech, a potem podniosła głowę i patrząc sędziemu prosto w oczy, odpowiedziała:

– Jestem, Wysoki Sądzie. – Wytrzymała jego spojrzenie bez drgnięcia.

Po jakiejś chwili sędzia skinął głową.

– Dziękuję, panno O’Leary. Może pani odejść. Zrobimy teraz krótką przerwę i wznowimy rozprawę za piętnaście minut.

Nie ośmielając się nawet zerknąć na Matthew, Deirdre przeszła na drżących nogach obok jego miejsca, przez wahadłowe drzwi i na zewnątrz sali rozpraw. Pognała na oślep do damskiej toalety, gdzie oparła się o ścianę i zamknęła oczy, czekając, aż jej przyspieszone tętno się uspokoi.

Całe jej ciało drżało od tłumionych uczuć.

Jak po tym wszystkim zdoła kiedykolwiek spojrzeć Matthew w oczy?

Do Matthew ledwie dotarło, że adwokat Bancroft go przeprosił i wyszedł z sali. Wciąż siedząc przy stole, patrzył pustym wzrokiem przed siebie na miejsce dla świadka, gdzie Deirdre właśnie wyznała, że jest w nim zakochana.

Serce waliło mu nieznośnie, gdy toczyły w nim bój przeróżne uczucia. Czy mówiła prawdę, czy dopuściła się krzywoprzysięstwa, by chronić go przed tym samym?

Każda odpowiedź wydawała się równie zgubna. Myśl o tym, że mogłaby naprawdę być w nim zakochana, powodowała, że w jednej chwili przenikał go dreszcz szczęścia, a zaraz potem ścisnął paraliż.

Co on miał zrobić z tą straszną świadomością? Świadomością tego, że mógł zrujnować jej życie, bo nic innego poza złamanym sercem nie mogło jej przyjść z miłości do niego.

Co też Priscilla mogłaby potwierdzić, gdyby tylko żyła.

Wziął głęboki wdech i rozejrzał się dookoła. Sala opustoszała, jeśli nie liczyć dwóch kobiet z tyłu. Musiał się odświeżyć, choćby na kilka minut, opanować emocje i przygotować mentalnie na kolejne zeznania.

Jego kaleka noga pulsowała boleśnie, kiedy, utykając, wyszedł z sali i ruszył głównym korytarzem. Ludzie w holu stanowili tylko zlewający się w tle pomruk w porównaniu do walki, która szalała w jego głowie.

Miał już skręcić za róg, ale zatrzymał się na dźwięk głosu pana Bancrofta:

– Moje gratulacje, panno O’Leary. Już samo pani zeznanie może uratować naszą sprawę.

Matthew wyglądał zza narożnika i dostrzegł ich dwoje naradzających się we wnęce. Widać, że nie byli świadomi, iż ktoś ich podsłuchuje. Cofnął się o krok, aby go nie zobaczyli, bo nie chciał ich spotkać, zanim nie odzyska opanowania.

– Cieszę się. – Usłyszał odpowiedź Deirdre. A jednak coś w jej drżącym głosie zadawało kłam słowom.

– Muszę przyznać, że świetnie pani grała, by tego dokonać. – Pan Bancroft zachichotał.

Jego słowa wbiły się cierniem w serce Matthew. Czyżby jego prawnik uczył ją, co mówić, na wypadek gdyby sędzia zadał to konkretne pytanie? Najwyraźniej wszystko na to wskazywało. A to by znaczyło, że Deirdre skłamała po zaprzysiężeniu na Biblię. Dlaczego miałyby to robić?

Bo kochała Phoebe najbardziej na świecie. To wystarczający powód, aby skłamać przed sądem.

Oparł się o ścianę, oddychając płytko. Od początku czuł, że cała ta farsa nie jest w porządku. Nie mógł pozwolić, by to się dalej ciągnęło. Musiał zwolnić Deirdre z tej szarady i zaufać Bogu, że On wesprze go w tej sprawie swoją łaską.

Do czasu, gdy sędzia z powrotem zwołał uczestników rozprawy, Matthew starannie zakuł w kajdany swoje emocje, żeby w chwili, kiedy będzie zeznawał, pozostał tylko lodowaty spokój. Wpatrując się w dal, poczuł, że wzrok Deirdre skupia się na nim, ale nie pozwolił sobie na nią spojrzeć.

Sąd oficjalnie zaprzysiął Matthew. Pan Bancroft podszedł bliżej, oparł łokieć na drewnianej barierce i zaczął:

– Doktorze Clayborne, słyszeliśmy już historię z jednej strony. Chciałbym usłyszeć pańską wersję wydarzeń. – Wyprostował się. – Jaki był stan pańskiego związku z pana zmarłą żoną?

Matthew rozluźnił dłonie, usilnie próbując się uspokoić.

– To żadna tajemnica, że moje małżeństwo nie było z miłości. Priscilla i ja lubiliśmy się i byliśmy zgodni, albo przynajmniej tak mi się wydawało. Postrzegaliśmy nasze małżeństwo jako partnerstwo, które miało być korzystne dla nas obojga.

– Kiedy to zaczęło się pogarszać?

Matthew znieruchomiał na krześle.

– Obawiam się, że dość szybko. Priscilla niechętnym okiem patrzyła na liczne godziny, które musiałem spędzać w szpitalu podczas ostatniego roku medycyny. Kiedy ukończyłem studia, trwała wojna, a ja chciałem wykorzystać moje zdolności, żeby pomóc rannym żołnierzom, więc zapisałem się jako lekarz do Korpusu Medycznego w Armii Kanadyjskiej.

– Wbrew życzeniom żony?

– Tak. Traktowałem to jako mój obowiązek wobec ojczyzny.

– A co zrobił pan, gdy dowiedział się, że pana żona rzeczywiście była brzemienna?

– Staralem się o urlop, żeby wrócić do domu na narodziny dziecka. – Zaryzykował spojrzenie w kierunku Pentergastów. – Niestety, został odroczony do połowy grudnia. Pomyślałem, że to nawet lepszy czas, bo będę w domu na święta razem z żoną i dzieckiem.

– Jak się pan czuł, kiedy zobaczył pan córkę?

Wspomnienie chwili, gdy pierwszy raz spojrzął w oczy maleńkiej Phoebe, na nowo ujęły go siłą tej miłości.

– To był najpiękniejszy moment w moim życiu – odparł gardłowo.

– Dlaczego więc wrócił pan na wojnę?

Matthew obruszył się.

– Miałem obowiązek do wypełnienia. Każdy jeden mężczyzna na froncie zostawiał kogoś. Dlaczego ja miałbym być wyjątkiem? – Wciąż prześladowały go wizje żołnierzy, którzy, umierając, zaciskali w dłoniach wyblakłe zdjęcia swoich ukochanych i błagali o pomoc w napisaniu ostatniego listu

do domu.

– A dlaczego nie dołączył pan do praktyki prowadzonej przez doktora Pentergasta, kiedy wrócił pan po zwolnieniu ze służby jako ranny?

– Skorzystałem wiele z pomocy fizjoterapii, dzięki której odzyskałem sprawność w nodze. Liczyłem, że uda mi się zrobić to samo dla rannych żołnierzy w kraju.

– Uważam to za godny podziwu wybór. Pana żona jednak nie podzielała tego zdania.

– Nie.

Pan Bancroft omawiał dalej wydarzenia związane z chorobą i śmiercią Priscilli. Matthew odpowiadał na wszystkie pytania tak konkretnie, jak umiał.

– Przejdźmy więc do tego, gdy pański zwierzchnik poprosił, by zajął się pan żoną jego znajomego. Dlaczego zgodził się pan przyjąć pracę u państwa O’Leary w Nowym Jorku?

Matthew wziął głębszy wdech.

– Zdrowie mojej córki znacznie się pogorszyło. Jej lekarz zasugerował, że mogłoby jej pomóc wiejskie powietrze. Kiedy dowiedziałem się, że państwo O’Leary mają farmę ze stadniną, pomyślałem, że skorzystałyby na tym równocześnie moja córka i pani O’Leary.

– Rozumiem. I co, okazało się to pomocne?

Matthew uśmiechnął się po raz pierwszy.

– Rzeczywiście tak. Phoebe stała się innym dzieckiem... zarówno pod względem fizycznym, jak i emocjonalnym.

– Zatem to była dobra decyzja?

– Jak najbardziej.

– A teraz w kwestii pańskich ostatnich zaręczyn... Czy mógłby pan opowiedzieć, jak doszło do tego radosnego wydarzenia?

Matthew poczuł napięcie w barkach. Decyzja, której był tak pewien, teraz traciła na sile. Zaryzykował krótkie spojrzenie w stronę Deirdre. Na jej czole kłębiły się zmarszczki, a w jej oczach odbijał się niepokój. Ścisnęło go w środku i umocnił się w swoim postanowieniu. Nie mógł trzymać jej w niewoli sideł tego oszustwa. Musiał ją uwolnić.

Unosząc brodę, odparł:

– Obawiam się, że nasze narzeczeństwo jest pomyłką.

Rozległo się głośnie westchnienie. Pan Bancroft patrzył się na niego, jakby postradał zmysły.

– Z panną O’Leary łączy nas przyjaźń oraz wielka miłość do Phoebe, ale zawarliśmy zaręczyny

z niewłaściwych powodów. – Nie będąc w stanie nawet spojrzeć na Deirdre ani na prawnika, zwrócił się w stronę sędziego: – Proszę mnie zrozumieć, Wysoki Sądzie, z całym szacunkiem. Oboje czujemy mocno, że dobro mojej córki zależy od tego, by została ze mną. A kiedy zasugerowano, że małżeństwo mogłoby pomóc mi wygrać tę sprawę, zadziałałem zbyt pochopnie. – Przerwał. – Choć panna O’Leary jest mi bliska, nie wydaje mi się, by którekolwiek z nas było gotowe na takie zobowiązanie.

Sędzia zmarszczył brwi.

– O czym pan mówi, doktorze?

Powoli wypuścił powietrze z płuc.

– Zwalniam pannę O’Leary z zobowiązania wynikającego z zaręczyn. – Wbrew własnej woli przeniósł wzrok na Deirdre.

Zamiast wyrazu ulgi, dostrzegł przerażenie, gdy zakrywała dłonią usta.

Czuł, że wszystko w środku ma spięte do granic możliwości. Czy dobrze zrobił? Odwrócił się do sędziego, który patrzył na niego z wyrazem rozczarowania.

– Sprawy przybrały najbardziej nieoczekiwany obrót, doktorze Clayborne. I muszę przyznać, że to skłania mnie do wniosku, że umyślnie zaręczył się pan wyłącznie w celu oszukania sądu.

Krew szumiała w uszach Matthew.

– Jednakże fakt, że zdecydował się pan przedsięwziąć takie kroki, aby zachować córkę, przemawia na pańską korzyść.

– Phoebe jest dla mnie najważniejsza na świecie – odparł łamiącym głosem. – Zrobiłbym, co tylko by trzeba było, żeby zapewnić jej bezpieczeństwo i szczęście.

Pan Whitmore zerwał się ze swojego miejsca, jakby już dłużej nie mógł się powstrzymać.

– Sprzeciw, Wysoki Sądzie! Ten mężczyzna kłamał, a ta kobieta... – Wskazał na Deirdre. – ...dopuszczała się krzywoprzysięstwa. To dziecko ma szlachetnych dziadków, którzy są gotowi się nim zająć.

Sędzia pokręcił głową.

– Potrzebuję czasu, żeby rozważyć wszystkie aspekty tej sprawy, zanim ogłoszę wyrok. – Zwrócił się do Matthew. – Może pan wrócić na swoje miejsce, sir.

Matthew miał nadzieję, że nogi nie odmówią mu posłuszeństwa, gdy wstał z krzesła. Pan Bancroft wrócił za biurko, a jego gniewny grymas dowodził, że był co najmniej niezadowolony z tego nieoczekiwanego rozwoju sytuacji. Gdy Matthew znalazł się z powrotem na swoim miejscu, odważył się spojrzeć krótko na Deirdre. Jego serce ścisnęło się na widok cierpienia i zdumienia na jej twarzy.

Zmusił się, by odwrócić wzrok i usiąść.

Sędzia zebrał swoje dokumenty i zwrócił się do zgromadzonych:

– Sąd ogłasza przerwę. Panno O’Leary, proszę do mojego gabinetu... bezzwłocznie. – Stuknął młotkiem i podniósł się.

Matthew zerwał się. Czego sędzia mógł chcieć od Deirdre? Przecież jej chyba nie aresztuje?

Wpatrzona przed siebie, Deirdre przeszła do przodu sali, skąd urzędnik sądowy wyprowadził ją bocznym wyjściem.

Fala desperacji ogarniała całe ciało Matthew, powodując, że raz robiło mu się gorąco, a raz zimno. Przesunął drżącą dłonią przez włosy, żałując, że nie może wybiec za Deirdre tym samym wyjściem. Ochronić ją. Powiedzieć sędziemu, że to wszystko jego вина.

Opadł na krzesło i schował twarz w dłoniach, sięgając po jedyne, co mu zostało, żeby jej pomóc.

Boże, nie pozwól, by Deirdre cierpiała za moje błędy.

Nerwy ścisnęły wnętrze Deirdre, gdy weszła za sędzią do przestronnego pokoju. Co Matthew sobie w ogóle wyobrażał? Jednym zdaniem zrujnował cały ich misternie skonstruowany plan.

– Proszę usiąść. – Sędzia Blackthorn zdjął swoją togę i odwiesił na wieszak. Poprawił rękawy marynarki, a potem zajął miejsce za masywnym biurkiem.

Deirdre usiadła na krawędzi gościnnego krzesła, zaciskając dłonie na leżącej na kolanach torebce. Wzięła głęboki wdech, by się uspokoić, delektując się jednocześnie aromatem tytoniu i olejku cytrynowego – zapachów, które przywodziły jej na myśl gabinet ojca.

Mężczyzna nie spieszył się do rozmowy, przerzucając jakieś papiery i książki na biurku, a potem spojrzał na nią spod przymrużonych powiek.

– A teraz, młoda damo, proszę mi podać powód, dla którego nie mam pani aresztować za krzywoprzysięstwo.

Serce waliło jej mocno w piersi, ale trzymała się.

– Bo nie kłamałam.

Zerknął na nią.

– Kłamała pani w kwestii zaręczyn.

– Wysoki Sądzie, pozwoli pan, że się nie zgodzę. – Uniosła lewą dłoń, na której wciąż miała pierścionek od Matthew. – Były zaręczyny, choć dość nietypowe.

Sędzia przechylił głowę.

– Ma pani rację. Jednakże chce pani, bym uwierzył, że wszystkie pani odpowiedzi były zgodne z prawdą?

– Tak, sir. – Deirdre zносиła jego wzrok ze spokojną godnością. – Jeśli przeanalizuje pan odpowiedzi, które dawałam, zobaczy pan, że nie padła tam żadna nieprawda.

Widać było, że jego rysy złagodniały.

– Więc jest pani zakochana w doktorze Claybornie?

Deirdre skrzywiła się wobec tej niewygodnej prawdy. Uciekła wzrokiem w dół.

– Niestety tak.

– Dlaczego? Czy on nie odwzajemnia pani uczuć?

Przypomniała sobie ich cudowny pocałunek i odrzucenie ze strony Matthew, które potem nastąpiło, i westchnęła cicho.

– Ja... wyraziłam swoje zainteresowanie, ale doktor Clayborne najwyraźniej tego nie odwzajemnia. – Nagła troska o Matthew przyćmiła wszystko inne, więc pochyliła się i dodała: – Jednak, Wysoki Sądzie, proszę nie mieć mu tego za złe. On od samego początku nie chciał zaręczyn.

Sędzia jeszcze raz przyjrzał się jej uważnie.

– Proszę mi powiedzieć, panno O’Leary, jeśli ogłoszę, że Phoebe będzie miała zamieszkać z dziadkami, jak, według pani, wpłynie to na dziecko?

Serce Deirdre ścisnęło się tak mocno, że ledwie była w stanie złapać oddech. Czyżby skłaniał się bardziej ku przekazaniu opieki prawnej Pentergastom? Chciałaby móc mu powiedzieć, że są za starzy, by zastąpić Phoebe rodziców, ale tak naprawdę to wcale nie o to chodziło.

Zamknęła oczy, starając się odepchnąć poczucie, jakby zdradzała Matthew.

– Wydaje mi się... – zaczęła powoli – że gdyby tylko Phoebe się przyzwyczaiła do nowej sytuacji, w końcu byłoby jej dobrze z dziadkami. Kochają ją ogromnie i działają według tego, co uważają za jej najlepszy interes. – Wyprostowała się. – Ale obawiam się, że państwo Pentergastowie mogą próbować obrócić Phoebe przeciwko ojcu, bo wyraźnie widać, że żywią wobec niego wielką urazę. – Pochyliła się znów w przód, zdecydowana, by bronić Matthew. – Błagam, Wysoki Sądzie, proszę nie zabierać Phoebe ojcu. Ona już straciła jedno z rodziców. Proszę nie pozwolić, żeby straciła kolejne.

Pomimo wszelkich wysiłków, by panować nad sobą, Deirdre poczuła pieczenie w kącikach oczu, co groziło tym, że zaraz się rozplacze. Przelknęła z trudem i odchyliła się do tyłu na oparcie krzesła.

– Mam nadzieję, że nie przekroczyłam swoich kompetencji – dodała.

Na twarzy sędziego nie widać było gniewu.

– Nie, panno O’Leary. Widać, że kocha pani to dziecko, co jest jak najbardziej chwalebne. Wezmę pani zdanie pod rozwagę.

Wyprostowała się.

– Czy to oznacza, że mogę odejść?

Na jego zmęczonej twarzy pojawił się uśmiech.

– Nie widzę dowodów na krzywoprzysięstwo, a zatem nie aresztuję pani dzisiaj.

– Dziękuję, Wysoki Sądzie. – Gdy wstawała, z jej ust dobyło się westchnienie ulgi.

– Panno O’Leary?

– Tak?

– Na miejscu doktora Clayborne’a nie spieszyłbym się tak z zerwaniem zaręczyn. – Puścił do niej oko, na co ona spłoniła się.

– Dziękuję, sir.

Chciała móc powiedzieć coś jeszcze, co mogłoby przechylić decyzję na korzyść Matthew, ale nie mogła już nic zrobić, więc wyszła z gabinetu i zamknęła za sobą ciężkie drzwi.

– Jesteś! – Matthew doskoczył do Deirdre, gdy tylko wyszła z gabinetu sędziego. Spędził ostatnie dwadzieścia minut, przemierzając nerwowo korytarze i modląc się, żeby urzędnik sądowy nie aresztował Deirdre i nie posłał jej do więzienia.

Kobieta stanęła. Wyrzeczyła oczy, jakby zdziwiła się, widząc go tutaj. Podszedł bliżej.

– Wszystko w porządku?

– Tak. – Rumieniec oblał jej policzki.

Minęła go szybko, a Matthew dogonił ją i idąc obok, zapytał:

– Czego chciał sędzia?

– Omówić moje zeznania. – Szła z wysoko uniesioną brodą.

Złapał ją za ramię i zatrzymał.

– Proszę, powiedz, że nie nakazał cię aresztować.

– Znaczy, po tym, jak celowo zniszczyłeś nasz plan? – Jej sarkastyczny ton pasował do furii, która biła z jej spojrzenia. – Nie, Matthew. Pokazałam mu pierścionek i zapewniłam, że nie kłamaliśmy, jeśli chodzi o zaręczyny, choć natura tego związku mogła być nieco inna, niż się wydawało.

– Co jeszcze powiedział?

Wzruszyła ramionami.

– Zadał mi kilka pytań i odesłał mnie.

– Jakich pytań?

Uciekła wzrokiem ponad jego ramieniem.

– O ciebie i Pentergastów. – Kiedy w końcu spojrzała na niego, w jej oczach nie było już gniewu, tylko przygnębienie. – Tak mi przykro, Matthew. Nie umiem kłamać. Powiedziałam sędziemu, że Pentergastowie chcą tylko tego, co najlepsze dla Phoebe.

Wziął szybko głęboki wdech. Opowiedziała się za jego teściami a przeciw niemu? Zabolalo go to.

– Ale powiedziałam mu też, że miejsce Phoebe jest przy tobie. Mam nadzieję, że weźmie pod uwagę moje zdanie, kiedy będzie formułował orzeczenie.

Powinien był wiedzieć. Kłamstwo było wbrew jej naturze, dlatego też wcześniejsze zeznanie Deirdre wprowadziło go w takie zakłopotanie.

– A co... z innymi rzeczami, które mówiłaś pod przysięgą? Czy pytał cię o to?

Znieruchomiała i spuściła wzrok na wzorzystą posadzkę.

– Sędzia Blackthorn wie, że wszystko, co powiedziałam, było zgodne z prawdą.

– Wszystko? – zapytał chrypliwie.

Uniosła głowę i odparła:

– Tak.

Matthew poczuł, jak jego wargi wyschły, a jego wnętrze zalewa ocean strachu.

W jej oczach błysnęła przekora.

– Nie masz się czego bać, Matthew. Moje uczucia to moja sprawa. Poradzę sobie z tym. – To powiedziawszy, ruszyła szybko korytarzem.

Matthew przesunął dłonią przez włosy. Powinien pójść za nią i powiedzieć jej...

Co miał jej powiedzieć?

Że także ją kocha, ale na nią nie zasługuje? Że nie był pewien, czy kiedykolwiek będzie umiał być dobrym mężem? Że uważał, iż nie będzie w stanie jej uszczęśliwić?

A co z jej karierą? Jak miał zignorować jej plany wobec tylu niepewności?

Powoli wrócił do głównego holu, gdzie pan Bancroft przywołał go gestem.

– Doktorze Clayborne, sędzia właśnie kazał przekazać, że chciałby porozmawiać z pańską córką w swoim gabinecie, zanim wyda orzeczenie.

Matthew stał przez minutę bez słowa, próbując pojąć zmieniające się jak w kalejdoskopie wydarzenia. Czuł się jak łódź rzucana przez fale w czasie sztormu, tak bezsilny wobec tego, co się działo, i przerażony tym, co będzie.

– Dobrze – odpowiedział ze zmęczeniem. – Pójdę po nią.

Deirdre stała w korytarzu gmachu sądu i czekała z Phoebe. Dokoła mijali się prawnicy i zwykli ludzie spieszący na swoje spotkania, ale w całej tej bieganinie nigdzie nie widziała ani Matthew, ani pana Bancrofta.

Doktor się oddalił, żeby porozmawiać z prawnikiem i sędzią Blackthornem, jeszcze zanim Phoebe wejdzie do jego gabinetu. Pewnie chciał się upewnić, iż sędzia będzie szanował prawa jego córki i nie wspomni też nic o fałszywych zaręczynach i tym podobnych sprawach.

– Panno Deirdre? – Cichy głosik Phoebe dotarł do jej uszu.

– Tak, skarbie?

– Co ja mam powiedzieć?

Deirdre zniżyła się do jej poziomu.

– Sędzia będzie cię pytał o twojego tatę i dziadków. Odpowiadaj szczerze.

Usta dziewczynki zadrżały.

– A pójdziesz ze mną?

Serce Deirdre ścisnęło się z żalu. O niczym nie marzyła bardziej, ale wątpiła, by sędzia na to pozwolił.

– Bardzo bym chciała, kochanie, ale razem z twoim tatą będziemy czekać pod drzwiami, a jak tylko będzie ci źle, powiedz panu sędziemu, to nas wpuści.

Deirdre podniosła wzrok i dostrzegła, że Matthew idzie w ich stronę. Rysy jego twarzy były spięte od zmartwienia.

– Już czas.

Phoebe schowała twarz w ramionach Deirdre.

– W porządku – pocieszała ją. – Sędzia Blackthorn to bardzo miły pan, zobaczysz.

Phoebe uniosła głowę.

– Dobrze. – Zaufanie w jej oczach sprawiło, że Deirdre czuła, iż zaraz się rozklei.

Uścisnęła dziewczynkę, a potem podniosła się, trzymając małą mocno za rękę. Matthew posłał jej pełne niepokoju spojrzenie ponad główką Phoebe i ujął córkę za drugą dłoń.

Gdy stanęli przed wejściem do gabinetu sędziego, Deirdre czuła nerwy kłębiące się w jej żołądku. Tak wiele zależało od tej rozmowy z Phoebe. Modliła się w duchu, żeby dziewczynka nie powiedziała

nic, co mogłoby zaszkodzić w sprawie Matthew.

Ojciec zapukał dwa razy i usłyszeli odpowiedź:

– Proszę wejść.

W środku czekał już na nich sędzia, siedząc na jednym z krzeseł dla gości. Wstał i uśmiechnął się w stronę dziewczynki.

– Witaj, młoda damo. Ty pewnie jesteś Phoebe.

Pokiwała głową.

– Chodź, porozmawiamy sobie troszkę.

Deirdre pomogła jej usiąść na krześle i rzekła:

– Pamiętaj, jak skończycie, idziemy na lody. – Ucałowała ją na pożegnanie, błagając Boga, by nie okazało się, że po tym wszystkim dziewczynka znów zaniemówi.

Matthew również pochylił się i wyszeptał coś córce do ucha, a potem ucałował ją.

– Będziemy czekać za drzwiami – powiedział, patrząc na sędziego.

– Rozumiem. Nie zajmie nam to długo.

Czekali, a minuty dłużyły się jak godziny. Deirdre nie była w stanie usiedzieć na twardej drewnianej ławce ustawionej wzdłuż korytarza. Musiała chodzić, by opanować zdenerwowanie.

W końcu drzwi się otworzyły i ze środka wybiegła Phoebe, z radosnym uśmiechem, trzymając w ręczce zielonego lizaka.

– Pan sędzia powiedział, że świetnie sobie poradziłam, i dał mi lizaka, tak jak lekarze w szpitalu.

Czując, że z ulgi zakręciło jej się w głowie, Deirdre się roześmiała.

– To wspaniale. – Spojrzała na sędziego Blackthorna i bezgłośnie rzekła: „Dziękuję”.

Puścił do niej oko i zwrócił się do Matthew:

– Ma pan wspaniałą córeczkę, doktorze.

Matthew zgarbił się z ulgi.

– Dziękuję, sir. Co teraz?

Sędzia skrzyżował ramiona na szerokiej piersi.

– Może zabierzecie Phoebe na lody? Kiedy przejrzę wszystkie notatki i spędzę chwilę na modlitwie, podejmę decyzję. – Uśmiechnął się i zniknął z powrotem w głębi swojego gabinetu.

Deirdre westchnęła długo. *Boże, napełnij sędziego Blackthorna Twoją mądrością i daj mu podjąć najlepszą decyzję dla Matthew i Phoebe.*

Matthew porozmawiał jeszcze krótko z adwokatem Bancroftem, a potem ich trójka odebrała swoje płaszcze i skierowała się do wyjścia. Zimny powiew wiatru owinął okrycie Deirdre wokół nóg. Złapała kapelusz, żeby go nie zgubić.

Matthew stanął przed nią i pochylił się bliżej, mówiąc:

– Po tym chciałbym, żebyś zabrała Phoebe do domu. – Wwiercał się w nią spojrzeniem swoich niebieskich oczu.

– Ale wyrok... – Urwała, widząc jego zacięty wyraz twarzy.

– Nie chcę, żeby tam była, gdyby okazało się... – Jego grdyka drgnęła. *Gdyby okazało się, że sąd przyznał opiekę Pentergastom.* – Proszę, Deirdre, możesz to dla mnie zrobić?

Przełknęła poczucie żalu i skinęła głową.

– Dobrze.

Cierpienie przebijające z jego spojrzenia ścisnęło jej gardło. Gdyby tylko mogła go przytulić i jakoś pocieszyć.

Uśmiechnąwszy się na siłę, wyciągnęła dłoń w stronę Phoebe.

– Chodź, skarbie. Idziemy na te lody.



Matthew chuchał i rozcierał dłonie, krążąc po korytarzach sądu. Nic nie pomagało mu się rozgrzać, jednak nie z powodu pogody. W głowie formułował pełne rozpaczki błagania – błagania, z których nie potrafił nawet sklecić sensownej modlitwy. Nie umiał sobie wyobrazić, że miałby stracić Phoebe. Albo jak w takim wypadku wyglądałoby jego życie.

Stał u podnóża wielkich, rozdzielających się na dwie strony schodów i z oczami skierowanymi w górę, wpatrywał się w olbrzymi witraż zdobiący ścianę przed nim. Kobieta z flagą wymieniająca uścisk dłoni z robotnikiem. Co to miało przedstawiać? Sprawiedliwość? Wolność? Czy dzisiaj w decyzji sędziego dopełni się sprawiedliwość? A jeśli tak, to czyja wersja sprawiedliwości?

Gdyby tylko Matthew wiedział, czy sędzia wykazywał zrozumienie dla jego sprawy. Próbował wypytać delikatnie Phoebe o to, co powiedziała temu mężczyźnie, ale nie dowiedział się nic poza tym, że rozmowa dotyczyła jej szczeniaka. A jednak przeczuwał, że słowa jego córki będą miały największy wpływ na decyzję sędziego.

Matthew podrapał się po twarzy, dziękując w sercu za to, że Deirdre zabrała Phoebe do domu. Przynajmniej nie musiał udawać przed nimi dzielnego albo próbować zachować spokój. Mógł poddać się zdenerwowaniu i samotnie stawić czoła losowi.

Panie, potrzebuję Twojej siły. Chyba nie dam rady bez Ciebie!

W korytarzu rozległy się kroki.

– Doktorze Clayborne. Sędzia jest gotowy. – Poważne zachowanie adwokata Bancrofta nie pomagało złagodzić niepokojów Matthew.

Skinął głową i poszedł za prawnikiem do sali rozpraw. Kiedy zmierzał przejściem między ławkami w kierunku stołu sędziego, nie mógł sobie odmówić zerknięcia na puste miejsce, które wcześniej zajmowała Deirdre. Poczul w sercu ukłucie żalu, ale zmusił się, by iść dalej.

Spojrzał w stronę, gdzie otaczając ramieniem żonę, stał Terrence Pentergast. Czy oni denerwowali się tak samo jak on, czy byli pewni swego zwycięstwa?

Matthew pochylał głowę, opierając czoło o splecione dłonie i starając się wykrzesać z siebie jakąś modlitwę, cokolwiek, co mogłoby ulżyć jego zmartwieniom, które odbierały mu oddech.

Poczul od tyłu dotyk ciepłej dłoni na ramieniu. Napięcie, które promieniowało w jego wnętrzu, ustąpiło nieznacznie. W końcu Victorowi udało się dotrzeć ze szpitala. Obrócił się na swoim miejscu, żeby popatrzeć za siebie, i wtedy rozdziawił usta ze zdumienia. Obok Victora stała Deirdre z trwożliwym uśmiechem na ustach.

– Victor. – Matthew uściśnął dłoń mężczyzny. – Dziękuję, że przyjechałeś. Ale... – Zmarszczył brwi, patrząc na Deirdre. – Gdzie jest Phoebe?

– Poprosiłam ciocię Maimie, żeby się nią zajęła. Mam nadzieję, że nie masz mi tego za złe.

Fale przeróżnych uczuć przelały się przez niego jednocześnie – ulga, żal i strach. Ale zaraz potem ona sięgnęła ponad oddzielającą ich niską ścianką i ująwszy go za rękę, uśmiechnęła się tak, że przeniknęło go ciepło.

– Nie mogłam pozwolić, żebyś przeżywał to sam – wyszeptła. – Cokolwiek się stanie, przejdziemy przez to razem. – W jej zielonych oczach błysnęły łzy.

Poczul taki ogrom wdzięczności, że nawet nie był w stanie wydusić z siebie ani słowa. Zdołał tylko skinąć głową i odwzajemnić uścisk dłoni.

Otworzyły się drzwi z przodu sali rozpraw i wszedł urzędnik.

– Proszę wstać, sąd idzie. Rozprawę prowadzi sędzia Aloysius Blackthorn.

Wszyscy wstali, a sędzia, zajmwszy miejsce, rzekł:

– Proszę usiąść. Wznawiam postępowanie.

Matthew usiadł. Serce waliło mu tak mocno, iż bał się, że usłyszą to wszyscy, nawet na drugim końcu sali. Z całych sił skupił się, by zrozumieć, co mówi sędzia.

– Dziękuję za państwa cierpliwość w tej sprawie. Trudno było opowiedzieć się po jednej stronie, ale podjąłem decyzję. – Popatrzył najpierw na Pentergastów, a potem na Matthew.

Jego twarz była nieprzenikniona i Matthew nie był w stanie się domyślić, jaki będzie wyrok.

– Sprawy takie jak ta są najtrudniejsze. Obie strony wykazują się troską i wyróżniają prawością. Obaj panowie są lekarzami oddanymi służbie innym i mają znakomitą reputację. I obie strony z pewnością łączą głęboką miłość do dziewczynki, której dotyczy ta sprawa.

Matthew czuł, że język przyrósł mu do podniebienia. Nie śmiał nawet mrugnąć, by nie stracić ani słowa.

– Z powodu tak równego rozdziału zdecydowałem się porozmawiać z samą Phoebe, aby ustalić z perspektywy dziecka, kto lepiej sprawdzi się w spełnianiu jej potrzeb, zarówno fizycznie, jak i emocjonalnie. – Na ustach sędziego zagościł uśmiech. – I rzeczywiście znacznie pomogła mi wyjaśnić tę kwestię.

Coś ścisnęło Matthew w żołądku. Phoebe uwielbiała dziadków. A co, jeśli opowiedziała sędziemu, jacy oni są wspaniali? Co, jeśli powiedziała o Matthew coś szkodliwego? O tym, że pracuje cały czas albo o surowej niani, z którą spędzała większość dzieciństwa?

Kropelki potu zebrały mu się pod kołnierzem koszuli, gdy starał się zobaczyć sytuację z punktu widzenia sędziego. Wydaje się, że Terrence i Helen są najbardziej oczywistym wyborem. Terrence był na emeryturze i poza zasiadaniem w radach nadzorczych kilku szpitali miał mnóstwo czasu, który mógł poświęcić swojej wnuczce. A Helen, pomimo wyniosłości manier, mogła służyć Phoebe kobiecą miłością i prowadzeniem, czego dziewczynka nie miała jak zaznać pod jego dachem.

Przeszyły go dreszcze. Krew huczała mu w uszach tak, że nie był już w stanie nic usłyszeć. Wargi sędziego poruszały się, ale Matthew w ogóle nie rozumiał, co mężczyzna mówił.

– ...dlatego też, będąc przekonany, że obie strony mają swoje wady i zalety, poszedłem za radą swojego sumienia oraz mądrymi słowami, które padły w moim gabinecie, i... – Przerwał i skierował spojrzenie na Matthew. – Na obecną chwilę postanowiłem zostawić Phoebe pod opieką ojca.

Od strony stolika Pentergastów rozległ się stłumiony okrzyk.

Matthew siedział, jakby go zamurowało, nie ośmielając się nawet dać wiary temu, co docierało do jego uszu.

Sędzia Blackthorn rzucił gniewne spojrzenie Whitmore'owi, a następnie przeniósł wzrok na Matthew.

– Na pewno zauważył pan, iż użyłem wyrażenia „na obecną chwilę”. Zaplanowałem dodatkowe przesłuchanie za sześć miesięcy, aby upewnić się, że pewne warunki zostaną wypełnione. Jednym z nich jest właściwy kontakt Phoebe z doktorem i doktorową Pentergast. Uważam, że mają prawo aktywnie uczestniczyć w życiu wnuczki. Również w najlepszym interesie dziewczynki byłoby, żeby często widywała się z dziadkami. – Przerwał i patrzył przez chwilę na Matthew. – Mam nadzieję, że nie ma tu żadnych sprzeciwów, doktorze Clayborne?

Matthew odchrząknął.

– Nie, Wysoki Sądzie.

– Dobrze. – Sędzia zwrócił się do Pentergastów: – W zamian oczekuję, że wyrzekną się państwo wszelkiej niechęci, jaką mogą państwo żywić w stosunku do zięcia. Chciałbym, żeby traktowali to państwo jako pracę zespołową, aby osiągnąć wspólny cel, jakim jest szczęście państwa wnuczki. Czy to jest zrozumiałe?

Terrence odwrócił się i spojrzał znacząco na żonę.

– Tak, sir – odparł poważnie.

– A zatem, jeśli wszyscy się zgadzają, ogłaszam tę sprawę za zamkniętą. Panie Bancroft, może pan odebrać dokumenty w moim gabinecie – zakończył i stuknął młotkiem.

Gdy tylko sędzia wyszedł, prawnik wyciągnął dłoń w stronę Matthew i rzekł:

– Gratulacje, doktorze!

Matthew uchwycił jego rękę w szczerzej wdzięczności.

– Dziękuję, panie Bancroft. Naprawdę nie potrafię nawet wyrazić, jak bardzo jestem wdzięczny za pańską pomoc.

– Cieszę się, że mogłem się panu przysłużyć. Pójdę po dokumenty.

Matthew odwrócił się, szukając tej jednej osoby, której teraz potrzebował. Twarz Deirdre wtulona była w marynarkę Victora. Uniosła głowę i widok łez płynących po jej policzkach na nowo rozdarł jego serce. Przecisnęła się obok kilku osób i przeszła przez drzwi wahadłowe. Ruszył w jej stronę, ale nie był gotowy, że kobieta zarzuci mu ramiona na szyję i przytuli się do niego.

– Och, Matthew! Bóg wysłuchał naszych modlitw.

Otoczył jej drżącą sylwetkę ramionami i zamknął oczy, by stłumić piekące łzy. Łzy wdzięczności za to, że Bóg obdarzył go taką łaską i dał mu kolejną szansę wobec córki. Łzy wdzięczności za tę kobietę, którą trzymał w ramionach. Nie liczyło się teraz dla niego, kto mógł zobaczyć, że tuli Deirdre. Pragnął jej pocieszenia, wiedząc, że dzieliła z nim radość i poczucie ulgi.

Deirdre odsunęła się i przytknęła chusteczkę do nosa.

Victor poklepał Matthew po plecach, mówiąc:

– Gratulacje, Matthew. Cieszymy się z Maimie, że ci się udało.

– Dziękuję, Victorze. – Głos Matthew stał się chrapliwy.

Victor pokiwał głową i dodał:

– Będę czekać na ciebie w holu.

Gdy odchodził, do stołu podszedł Terrence Pentergast z posępną miną. Deirdre cofnęła się o krok, mówiąc:

– Poczekam z wujkiem Victorem.

Matthew nie chciał, żeby odchodziła, ale stwierdził, że może tak będzie lepiej.

Terrence nie kwapił się, by uścisnąć dłoń zięcia. Jego twarz była wykrzywiona, a zza jego pleców Matthew dostrzegł skamieniałe oblicze Helen.

Przejęły go sprzeczne emocje, na chwilę przyćmiewając radość ze zwycięstwa. Nie potrafił zapomnieć niepokoju, jaki w nim wywoływali ci ludzie. A jednak wiedział, że Pentergastowie muszą przeżywać wielką stratę. Mógł więc zachować się wspaniałomyślnie i wyciągnąć przysłowiową gałązkę oliwną, dlatego rzekł:

– Mam nadzieję, że raz na zawsze uda nam się odsunąć to, co nas różni. Dla dobra Phoebe.

Terrence przyglądał mu się przez jakiś czas.

– Chcesz tego?

– Oczywiście. Jesteście dziadkami Phoebe. Ona was bardzo kocha. Nigdy nie mógłbym stawiać tu przeszkód.

Terrence ściągnął brwi.

– A co z panną O’Leary?

– Co z nią?

– Widać, że wiele was łączy. Co, jeśli zdecydujesz się ją poślubić? Przeprowadzicie się do Nowego Jorku?

Mięśnie ramion Matthew się spięły.

– Nikt tu nie bierze ślubu. I nikt się nigdzie nie przeprowadza. – Zwłaszcza teraz, po takim wyroku sędziego.

Twarz starszego mężczyzny rozluźniła się i głośno wypuścił powietrze z płuc.

– Moglibyśmy w takim razie opracować plan odwiedzin? – Nadzieja w jego oczach wzbudziła współczucie u Matthew.

– Doskonały pomysł. – Wyciągnął rękę w geście pojednania. – Mam nadzieję, że uda nam się zostawić przeszłość za sobą i iść do przodu. Musimy współpracować dla dobra Phoebe.

Usta Terrence’a drgnęły.

– Pewnie trochę trudniej będzie przekonać Helen, ale zrobię to, jeśli będziesz chciał. – Uścisnął dłoń Matthew. – Będziemy w kontakcie.

To powiedziawszy, wrócił do żony.

Matthew westchnął powoli. Może kolejna modlitwa również została wysłuchana i Pentergastowie w końcu wybaczą mu to, że nie potrafił uratować życia ich córce.

Może teraz on też nauczy się sobie wybaczyć.

Kolejnego dnia rano Deirdre, idąc za kuszącym zapachem jajek i kielbasy, weszła do jadalni państwa Fullmanów. Nalała sobie filiżankę kawy ze srebrnego serwisu stojącego na małym stoliku. Kiedy sączyła ciepły napój, powędrowała myślami do Matthew i tego cudownego momentu, gdy trwali w uścisku z radości po wyroku. Wspominała to miłe uczucie i ulgę, które przenikały jej ciało, kiedy ją obejmował. Jeszcze nigdy nie czuła, że tak do kogoś pasuje.

Niestety ta więź nie trwała długo, bo gdy wyszli z sądu, by odebrać Phoebe, miała wrażenie, że Matthew ponownie skrył swoje uczucia za murem powściągliwości. Po kolacji, która została wydana w tej jadalni dla uczczenia zwycięstwa, Matthew uprzejmie się pożegnał i zapytał, o której może się jej spodziewać następnego dnia rano.

Co będzie teraz z nimi, gdy już minęło najgorsze?

Całą wczorajszą bezseną noc spędziła na analizowaniu każdego słowa Matthew, każdego gestu, wyrazu twarzy, starając się wywnioskować na tej podstawie, na czym stała ich relacja, ale nie doszła do żadnego sensownego wniosku. Gdyby dał jej jakiś znak, że odwzajemnia jej uczucia, może nie czułaby się tak dziwnie, pracując dla niego nadal, ale myśl o tym, iż miałyby się codziennie zajmować Phoebe w jego domu i wyjeżdżać co wieczór, gdy tylko on wróci, wydawała się jej najgorszą torturą.

I nie była pewna, czy w ogóle da radę to znosić.

– Dzień dobry, Deirdre. Wczesnie dziś wstałaś. – Radosny głos Victora rozległ się, zanim jeszcze jego właściciel wszedł do pokoju.

Skoro tylko usiadł na swoim miejscu, od razu zaczęły się kręcić wokół niego pokojówki, podając śniadanie i nalewając mu kawę do posiłku.

Wujek Victor podziękował im, a potem zerknął na Deirdre, która popijała swój napój.

– A ty nie jesz?

– Chyba nie jestem głodna.

– Myślałem, że będziesz pełna entuzjazmu po wczorajszych dobrych wiadomościach. – Zmarszczył brwi. – Ale widzę, że coś cię gryzie.

Pokiwała głową i mocniej zacisnęła w dłoniach filiżankę.

– Chodzi o Matthew?

Skinęła ponownie i odstawiła naczynie z głośnym brzękiem.

– Sama nie wiem, co robić.

– Z czym? – Zabrał się za jajka.

Chwyliła lnianą serwetkę ze stołu i przesuwała palcami po haftowanych kwiatach.

– Obiecałam Matthew zajmować się Phoebe do czasu, aż znajdzie nową nianię. Wtedy wydawało mi się to właściwe, zwłaszcza że zostałam wykreślona z listy studentów medycyny. – Westchnęła mocno.
– Ale nie wydaje mi się, żebym mogła to dalej ciągnąć.

Przeżuwał śniadanie, przyglądając się jej uważnie.

– Dlatego, że się w nim zakochałaś? – zapytał ostrożnie.

Te słowa przejmowały ją rozdzierającym bólem. Ścisnęła serwetkę w garści.

– Tak. Obawiam się jednak, że on nie czuje tego samego.

Wujek Victor pokręcił przecząco głową.

– Zależy mu na tobie, Deirdre. Zapamiętaj moje słowa. Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby Matthew tak reagował na jakąś kobietę, jak na ciebie.

– Jest zdecydowany, by zostać sam. – Westchnęła. – A nawet gdyby wyznał mi uczucia, sama nie wiem, co zrobić ze swoją karierą zawodową. Małżeństwo oznaczałoby pozbawienie się wszelkich szans na medycynę, a jeśli zdecyduję się kontynuować studia, zajmie mi to jeszcze co najmniej pięć lat. Nie byłoby w porządku, żebym kazała Matthew i Phoebe tak długo czekać.

Wujek Victor odłożył widelec i ujął jej dłoń.

– Wydaje mi się, że potrzebujesz poważnie zajrzeć w głąb swojej duszy, kochanie. – Ucisnął lekko jej rękę. – Bóg postawił na twojej drodze Matthew z jakiegoś powodu. Może nadszedł czas, gdy musisz się dowiedzieć z jakiego.

Do gardła podeszły jej skłębione emocje. Starła się, jak mogła, by powstrzymać łzy.

– Dziękuję ci, wujku Victorze. Może masz rację. – Odsunęła się od stołu. – I coś mi się wydaje, że do takiego zagłębienia w głąb duszy potrzeba odosobnienia.

– Jeśli zdecydujesz się iść za karierą – powiedział – z chęcią wykorzystam moje niewielkie wpływy, aby pomóc ci znaleźć inną uczelnię medyczną.

Spojrzała w jego pełne życzliwości oczy i podeszła, by ucałować go w policzek.

– Jesteś najlepszy, wujku Victorze. Ciocia Maimie to ma szczęście.

Zaśmiał się.

– Jakby o tym nie wiedziała!



Jakiś czas potem, gdy Deirdre wchodziła do domu Matthew, czuła, jak wszystko się w niej kotłuje. Podjęła decyzję i teraz potrzebowała tylko odwagi, by ją wypełnić.

Pani Potts przywitała ją w przedpokoju i pomogła zdjąć płaszcz. Poinformowała, że Phoebe zjadła już śniadanie i teraz bawi się w swoim pokoju, a doktor Clayborne jest w gabinecie.

– Dziękuję, pani Potts. Wstąpię tam do niego na chwilę, zanim pójde na górę.

Deirdre przystanąła, by się uspokoić, a potem ruszyła korytarzem.

Gdy weszła, Matthew uśmiechnął się do niej zza biurka.

– Dzień dobry, Deirdre. Wcześniej przyszaś. – Po raz pierwszy od czasu urodzin Phoebe wyglądał na zrelaksowanego, a z jego twarzy zniknęło napięcie.

Jego szczęście normalnie przepełniłoby ją radością, teraz jednak, wiedząc, że zaraz miała popsuć mu humor, czuła, że chce jej się płakać. Nieśmiało zrobiła krok w jego stronę.

– Muszę z tobą porozmawiać.

Jego uśmiech zniknął i opuszczając dłoń z filiżanką, ściągnąwszy brwi, rzekł:

– Coś się stało?

Stojąc przed jego biurkiem, starała się zachować neutralny wyraz twarzy.

– Nic takiego. Ale podjęłam decyzję... i mam nadzieję, że ją uszanujesz.

Jeszcze mocniej zmarszczył czoło i odchylił się do tyłu na oparcie krzesła.

– Jaką decyzję?

Czując, że coraz trudniej jej oddychać, Deirdre wyprostowała się i wyrzuciła z siebie:

– Teraz, gdy już nie grozi ci dłużej sprawa z ograniczeniem władzy rodzicielskiej... – Zawahała się, ale mówiła dalej: – Zdecydowałam się wrócić do domu i spróbować ponownie aplikować na jakąś inną uczelnię medyczną.

Dostrzegła w jego oczach lodowaty błysk.

– Rozumiem.

– Przepraszam, że to się stało tak nagle, ale ciocia Maimie zaproponowała, że zajmie się Phoebe do momentu, aż kogoś zatrudnisz. Z tego, co pani Potts mi mówiła, miała już kilka kandydatek, zanim przyjechałam, więc nie powinno być trudności ze znalezieniem zastępstwa. – Wiedziała, że papla zbyt szybko, że zdominowały ją nerwy.

Matthew wstał bez słowa i okrążywszy biurko, podszedł do niej.

Deirdre nie mogła znieść oskarżycielskiego wyrazu jego twarzy, więc spuściła wzrok. Jej serce dudniło boleśnie w piersi wobec takiej bliskości. Dzieliła ich tak niewielka odległość, że dobrze czuła zapach jego mydła sandałowego.

– Dlaczego? – zapytał tak cierpiącym tonem, że to jedno słowo wstrząsnęło Deirdre do głębi.

– Chyba wiesz, czemu – wyszeptała. – Tak będzie lepiej dla nas obojga.

– Lepiej dla ciebie, ale nie dla Phoebe. – Cierpienie i gniew odmalowywały się na jego twarzy, przepelniając Deirdre poczuciem winy.

Wzięła płytki wdech. Ból związany z pozostawieniem Phoebe przeszywał ją równie mocno, jeśli nie bardziej, jak ból opuszczenia Matthew.

– Przepraszam. – To było jedyne, co zdołała z siebie wydusić.

– Co mógłbym uczynić, by cię zatrzymać?

Na jedną szaloną chwilę Deirdre wyobraziła sobie, że Matthew bierze ją w ramiona, wyznaje miłość i błaga, żeby została jego żoną.

Co by wtedy zrobiła?

Jej serce podskoczyło na myśl o prawdziwej odpowiedzi. Porzuciłaby wszystkie swoje marzenia, wszystkie cele, by zostać jego żoną.

Gdyby tylko kochał ją na tyle, żeby o to poprosić.

Sięgnęła do kieszeni i wyjęła pierścionek, który Matthew ofiarował jej na ich udawane zaręczyny, i po raz ostatni przesunęła pieszczotliwie palcem po złocie.

– Nic nie możesz zrobić. – Wyciągnęła pierścionek w jego stronę, a kiedy on nie uczynił najmniejszego ruchu, w końcu podniosła wzrok i ich spojrzenia skrzyżowały się.

Kolana niemalże ugięły się pod nią, gdy dostrzegła w jego oczach wcale nieskrywane katusze.

– Proszę, weź go – powiedziała.

Otulił dłonią jej palce.

– Deirdre, tak bym chciał...

Wysunęła dłoń z jego objęcia, pozostawiając mu pierścionek, a potem się cofnęła.

– Wiem. Ja też bym chciała, żeby to było inaczej. – W gardle stanęła jej gula przejmujących uczuć. Zmusiła się, by spojrzeć mu w twarz, choćby tylko po to, żeby zapamiętać te rysy... grzywkę opadającą mu na brwi, silnie zarysowaną szczękę, te stale zmieniające się oczy. – Mam nadzieję, że odnajdziesz szczęście, Matthew. Będę zawsze o tobie i Phoebe pamiętać w modlitwie.

Patrzył się na nią pustym wzrokiem.

– Pożegnasz się z Phoebe, zanim wyjedziesz. – To było raczej stwierdzenie niż pytanie.

– Oczywiście, że tak.

Odwróciła się od tego cierpienia widniejącego w jego oczach i wyszła z pokoju, kierując się w głąb korytarza.

– Panno Deirdre, co pani robi? – Phoebe stała u stóp schodów, pod ręką ściskając lalkę, którą Deirdre jej podarowała.

Kobieta ściągnęła usta, rozpaczliwie starając się opanować emocje jeszcze na kilka minut. Na trzęsących się nogach podeszła do wieszaka w przedpokoju.

– Niestety muszę wracać do domu, kochanie. Ciocia Maimie zajmie się tobą dzisiaj.

Matthew stanął u boku Phoebe i położył dłoń na jej ramionach, jakby chciał ją chronić.

Od cierpienia, które ja mam jej zadać – pomyślała sobie.

Phoebe zmarszczyła brwi.

– A kiedy wrócisz?

– Nie wiem. – Uśmiechnęła się sztucznie, wkładając płaszcz. – Ale musisz przyjechać jeszcze w odwiedziny do Irlandzkich Łąk.

Usta dziewczynki zaczęły drżeć.

– Ja nie chcę, żebyś jechała. Nie mogę jechać z tobą?

– Nie, kochanie. Musisz zostać ze swoim tatusiem i dziadkami.

– Ale ja chcę, żebyś ty też została. – Ze zduszonym płaczem wyrwała się od ojca, podbiegła do Deirdre i objęła ją za nogi.

Deirdre przykucnęła i przytuliła ją mocno. Otoczył ją charakterystyczny dla małych dziewczynek zapach talku. Na szyi poczuła gorące łzy i serce rozpadło jej się na drobne kawałki. Pragnęła zostać tu z tym najdroższym dzieckiem, które tak jej potrzebowało, ale jedno zerknięcie na sztywną sylwetkę Matthew przypomniało jej, dlaczego to było niemożliwe.

– Jesteś dla mnie szczególnie ważna, skarbie, i zawsze będę cię kochać. Ale muszę wracać do domu, tam, gdzie moje miejsce. – Łzy zamglily jej spojrzenie i nie była już w stanie ich dłużej powstrzymać. Popłynęły jej po policzkach i na jasne loki Phoebe. Deirdre ucałowała ją w głowę i podniosła się.

Rzuciła ostatnie pełne udręki spojrzenie w stronę Matthew i obróciwszy się na pięcie, wybiegła z domu.

Nie czekając na szofera, wsiadła na tylne siedzenie auta, obok swojego bagażu, i zatrzasnęła drzwi.

– Na Union Station, proszę.

– Dobrze, panienko.

Kiedy samochód odjeżdżał, Deirdre odwróciła się i spojrzała przez tylną szybę.

Tylko Phoebe stała na wejściowych schodach, machając za odjeżdżającym samochodem.

Jo siedziała w gabinecie Rylana Montgomery'ego i podziwiała misternie zdobioną drewnianą biblioteczkę i wielkie mahoniowe biurko. Chociaż pracowała już tydzień w sierocińcu, wciąż była pod wrażeniem eleganckiego wystroju tego budynku. Zanim tu przyjechała, wyobrażała sobie, że będzie to surowe, przypominające szpital miejsce, zupełnie inne niż ten stylowy, wręcz królewski gmach.

Tak naprawdę podobało się jej wszystko w Domu Dziecka imienia Świętej Rity – poczynając od małżeństwa, które go prowadziło, przez cudowne dzieci, po surowe siostry, żyjące na drugim piętrze.

Dosyć szybko skorzystała z kontaktu, który podał jej Connor i umówiła się na spotkanie z Rylanem Montgomerym, aby przedyskutować możliwość zatrudnienia. Wszystko wydawało się lepsze od czternastu godzin dziennie wyczerpującej pracy w rezydencji Binghamów.

Chociaż podczas pierwszego spotkania z Rylanem była bardzo zdenerwowana, szybko stwierdziła, że dobrze się czuje w towarzystwie tego przystojnego Irlandczyka. Po rekomendacji Connora od razu ją zatrudnił, a nawet zaproponował, że może odwiedzić ją na Long Island, żeby mogła zabrać swoje rzeczy.

Odgłos kroków stłumionych nieco przez wykładzinę wyrwał ją z rozmyślań.

– Przepraszam, że kazałem tyle na siebie czekać, panno Miller. – Rylan wszedł do pomieszczenia z szerokim uśmiechem na ustach. – Jedno, czego pani się tu szybko nauczy to fakt, że nigdy nie wiadomo, co przyniesie dzień.

Uśmiechnęła się.

– Proszę mówić mi Jo.

– Może być Jo. Chociaż jakoś Josephine wydaje mi się lepiej pasować do takiej pięknej młodej damy, którą mam tu przed sobą. – Puścił do niej oko, na co ona oblała się rumieńcem.

– Znów flirtujesz z personelem, panie Montgomery? – Colleen z szelestem przeszła przez drzwi i uniosła znacząco brwi.

Rylan uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Tak, ale wiesz, że ja świata poza tobą nie widzę, kochanie. – Ucałował Colleen w policzek i pomógł usiąść brzemiennej żonie na krześle.

Było wyraźnie widać, że Rylan darzy swoją żonę takim samym uwielbieniem, co ona jego. Jakby to było mieć tak cudownego męża?

Myśli Jo uciekły w stronę Connora i poczuła ukłucie żalu. Choć bardzo lubiła pracować z Colleen, kobieta była tak bardzo podobna do swojego brata, że wciąż przypominała Jo o tym, jak mocno każdego dnia tęskni za Connorem.

Rylan zajął miejsce za biurkiem.

– Jo, chcieliśmy porozmawiać i dowiedzieć się, czy podoba ci się praca tutaj. Czy może czegoś potrzebujesz?

– Dobry Boże, nie. Jesteście oboje tak dla mnie mili. Uwielbiam pracować z dziećmi. A mój pokój jest... – Przerwała, próbując opanować emocje. – Hm, to najprzyjemniejszy pokój, jaki kiedykolwiek miałam. Nie mogę nawet uwierzyć, jak bardzo mi się poszczęściło.

I to wszystko dzięki Connorowi.

– Bóg nam cię zesłał, bo dzięki tobie moja piękna żona może teraz trochę zwolnić. A ze względu na zbliżające się święta jest wiele do zrobienia.

Colleen poprawiła się na krześle i skrzywiła twarz.

– To też kolejny powód, dla którego chcieliśmy z tobą porozmawiać. Mamy tu na Boże Narodzenie taką tradycję, że zabieramy dzieci do kościoła, wracamy na późne śniadanie, a potem otwieramy prezenty. Kiedy już opadnie entuzjazm, siostry przejmują opiekę, a ja z Rylanem i naszymi dziećmi spędzamy resztę dnia w Irlandzkich Łąkach.

– Brzmi wspaniale. – Jo bardzo się starała, by z jej głosu nie przebijał smutek.

– Chcielibyśmy, żebyś do nas dołączyła... o ile nie masz innych planów. – Spojrzenie Colleen napęliło Jo niewytłumaczalnymi uczuciami.

Boże Narodzenie w Irlandzkich Łąkach? Chociaż myśl o tym, że zobaczyłaby się z Connorem, była wyjątkowo atrakcyjna, nie potrafiła sobie wyobrazić, że miałaby znosić dezaprobatację pana O'Leary'ego.

– Dziękuję, ale obiecałam, że spędzę ten dzień z moim bratem. Państwo Sullivanowie organizują świąteczny posiłek dla swoich pracowników i ich rodzin. – Tylko raz miała okazję porozmawiać z Sethem od czasu, gdy przyjął posadę stajennego, więc bardzo się cieszyła z tego zaproszenia.

– Cóż, możesz jednak nas potem odwiedzić. Zazwyczaj śpiewamy i gramy w gry przez cały wieczór.

Jo uśmiechnęła się z przymusem.

– Dziękuję. Będę to miała na uwadze.

Colleen wymieniła z mężem spojrzenia i Rylan wstał.

– Jeśli mi panie wybaczą, muszę jeszcze coś załatwić. – Ucałował żonę w policzek i energicznym krokiem opuścił gabinet.

Nagle nerwy ścisnęły żołądek dziewczyny. Widać było wyraźnie, że Colleen chce z nią porozmawiać na osobności, ale Jo nie mogła odgadnąć dlaczego.

Colleen posłała jej olśniewający uśmiech.

– Cieszę się, że podoba ci się praca tutaj. To bardzo miło ze strony mojego brata, że cię zarekomendował – powiedziała, najwyraźniej oczekując, by Jo coś na to odpowiedziała.

– Bardzo miło – odparła ostrożnie, czując, jakby stąpała po cienkim lodzie.

Colleen uniosła brew.

– Czy wiesz, że Connor dzwoni prawie każdego dnia, żeby zapytać o ciebie? Żeby upewnić się, czy jesteś szczęśliwa w tej pracy.

Serce Jo stanęło w piersi.

– Naprawdę?

Oczy zaczęły ją piec od łez i musiała szybko mrugać, by je powstrzymać. Connorowi zależało na niej na tyle, że znalazł jej tę pracę, a nawet dopytywał o nią. Codziennie.

– Naprawdę. – Colleen zacisnęła usta, przyglądając się badawczo Jo. – Wyraźnie widać, że Connor czuje wobec ciebie coś więcej. Ja z kolei chciałabym się dowiedzieć... co ty do niego czujesz?

Na to pytanie fala gorąca, a potem zimna przeszła Jo od stóp do głów.

– Nie... nie rozumiem, skąd takie pytanie.

Colleen uśmiechnęła się.

– Bo ja jestem nieuleczalną swatką i wydaje mi się, że mój brat może cię kochać.

– Och! – Całe powietrze uleciało Jo z płuc. Wpadła w popłoch. Ze wszystkich sił starała się opanować myśli. – Nie ma znaczenia, co czuję, bo twój ojciec nigdy nie pozwoli, żeby Connor zadawał się z kimś takim jak ja. Jasno to wyraził, gdy przyłapał nas, kiedy się całowaliśmy... – Jo aż jęknęła, jak tylko dotarło do niej, co powiedziała.

Oczy Colleen błysnęły.

– Tata przyłapał ciebie i Connora na całowaniu? – Roześmiała się w głos. – To się robi coraz lepsze. Myślę, że stanowczo powinnaś przyjechać do Irlandzkich Łąk na święta, Jo.

Kropelki potu spłynęły strużką po plecach dziewczyny.

– Ale co z twoim ojcem?

– Nie martw się tatą. On nigdy nie akceptował od początku wybranków swoich dzieci. Po prostu potrzebuje trochę czasu, żeby się oswoić. – Ponownie się roześmiała. – Teraz tylko musimy znaleźć dla ciebie idealną sukienkę.



Trzy dni po wyjeździe z Toronto Deirdre rozciągnęła się z przyjemnością pod puchową kołdrą na szerokim mosiężnym łóżku w miłym dziecięcym pokoju na poddaszu. Dokładnie tego jej było trzeba. Krótkiego odpoczynku w otoczeniu bezwarunkowej miłości Colleen i jej rodziny, w czasie którego jej

poranione serce mogło się goić.

Deirdre przyjechała do domu siostry prosto z dworca kolejowego, bo nie chciała spotykać się z rodzicami, dopóki nie wylizze się z ran. Spędziła całe dwa dni, śpiąc i prawie w ogóle nie schodząc na dół, poza porami posiłków. Colleen musiała wyczuć, że Deirdre potrzebuje zająć się swym cierpieniem na osobności, bo nie naciskała na nią, by jej cokolwiek opowiadała. W końcu zeszłej nocy, po tym jak Colleen położyła do łóżka dwie najstarsze córki, Deirdre w końcu ujawniła szczegóły swoich niespodziewanych uczuć do Matthew. Ku jej uldze siostra słuchała i wyrażała niezmiernie duże ilości współczucia, bez jakichkolwiek sugestii i pomysłów, jak zdobyć serce Matthew. Może to cięża tak łagodząco na nią wpływała.

Teraz, trzeciego dnia pobytu w stanowiącej dla niej azyl kamienicy, Deirdre spakowała walizkę i głęboko westchnęła. Czas wracać do domu. Czas wrócić do terapii mamy i pomóc jej odzyskać niezależność – by Deirdre mogła też odzyskać swoją.

Może do tego czasu wujek Victor zdobędzie jakieś informacje na temat wolnych miejsc na uczelniach medycznych. W przeciwnym razie Deirdre planowała skontaktować się z ciotką Fioną, siostrą taty, która pracowała w Barnard College. Jako wybitny wykładowca uniwersytecki, jej ciocia mogła użyć swoich wpływów, by pomóc Deirdre dostać się na jedną z lokalnych uczelni. W ten sposób mogłaby wciąż być blisko, żeby w razie potrzeby usługiwać mamie.

Gdy Deirdre schodziła na dół, słyszała już dobiegające z kuchni głosy. Charakterystyczny irlandzki akcent sprawił, że się uśmiechnęła. Pewnie odwiedziła ich bratowa, Maggie. Deirdre wyjątkowo ją lubiła za radosną osobowość i niegasnący optymizm.

Faktycznie Maggie i Colleen siedziały przy kuchennym stole, a na środku stał imbryk z herbatą.

– Deirdre! – Maggie zerwała się, by wziąć ją w serdeczne objęcia. – Tak mi przykro... Słyszałam o twoich problemach, kochana. – W jej szarych oczach widać było współczucie.

Również Colleen powstała z trudem.

– Mam nadzieję, że się nie gniewasz. Opowiedziałam Maggie o twojej... sytuacji.

Deirdre uśmiechnęła się krótko, ciesząc się, że zapasy łez już się jej chyba wyczerpały.

– Oczywiście, że nie. W końcu jesteśmy rodziną. – Zmarszczyła czoło. – Ale dlaczego nie jesteś dzisiaj w sierocińcu?

Wyjmując dla niej kubek z szafki, Colleen odparła:

– Rylan nalegał, żebym została w domu. Nawet zaprosił Maggie, żeby się mną opiekowała. – Wywróciła oczami w teatralnym geście, kiedy siadały znowu do stołu.

Maggie roześmiała się.

– To nic takiego, wierz mi. Zwłaszcza kiedy starsze dzieci są w szkole. A maleńka Molly lubi przesiadywać z zakonnicami.

– Korzystaj, póki możesz. – Colleen puściła do niej oko.

Deirdre wytrzeszczyła oczy.

– Nieee, ty też?

Policzki Maggie spowił rumieniec.

– Chyba tak. W drodze trójka małych O’Learych, choć Brianna i ja to dopiero na wiosnę.

Deirdre uśmiechnęła się.

– Gratulacje! Adam musi się bardzo cieszyć.

– Tak. Dziwię się, że jeszcze nie pękł z dumy.

Z głębi korytarza dał się słyszeć dźwięk telefonu. Colleen westchnęła.

– Maggie, mogłabyś odebrać? Nie dam rady szybko podejść w tym stanie.

– Oczywiście. – Maggie wstała i pobiegła przez korytarz do salonu.

Chwilę później wróciła ze łzami w oczach.

– Dzwonił wasz ojciec. Niestety mama nieszczęśliwie upadła. Chce, żeby Deirdre natychmiast przyjechała do domu.



Matthew patrzył przez okno w swoim gabinecie na szary pejzaż. Melancholia wisiała nad nim niczym czarna chmura. Nawet wiadomość o tym, iż Victor znalazł dwóch potencjalnych sponsorów dla jego kliniki, nie była w stanie go rozweselić.

Puścił z powrotem firankę, odwrócił się do biurka i wlepił tępy wzrok w nieuporządkowane sterty książek i papierów. Nie interesowały go tak przyziemne rzeczy jak uzupełnianie dokumentów. Nie od dnia, gdy opuściła go Deirdre.

I wszyscy inni najwyraźniej również.

Matthew wpatrywał się w kalendarz stojący na biurku. Była już połowa grudnia. Wkrótce w mieście zaczną się przygotowania do świąt Bożego Narodzenia, a w jego kościele postawią szopkę i będą czekać na przyjście Dzieciątka Jezus. Zapewne Victor i Maimie zaproszą go na kolację, a może w tym roku nawet Pentergastowie uwzględnią go w świętowaniu. Dla dobra Phoebe Matthew będzie musiał wykrzesać z siebie bożonarodzeniowy nastrój.

Chociaż jego serce było zamknięte w betonowej klatce i wydawało się, że nic nie zdoła jej przeniknąć, nie miał nawet sił, żeby porozmawiać z kandydatkami na nową nianię, więc korzystał z dobrego serca Maimie, która wciąż zajmowała się Phoebe. Prędzej czy później jednak będzie musiał zatrudnić kogoś, kto zajmie miejsce Deirdre.

Oparł się ciężko w fotelu i schował głowę w dłoniach, próbując zebrać myśli w jakąś modlitwę. Jedyne Wszechmocny był w stanie mu pomóc, by poradził sobie z żalem związanym z wyjazdem

Deirdre. Wiedział, że ona kiedyś w końcu wyjedzie, ale myślał, że będzie miał czas, żeby się na to przygotować, żeby przygotować na to Phoebe, może zaplanować jakieś małe przyjęcie pożegnalne. Jej nagły wyjazd sprawił, że nie mógł się pozbierać, i obudził w nim na nowo ból wszystkich dawnych zranień.

Matthew westchnął głośno. Wydawało mu się, że odzyskał wiarę, ale w obliczu pierwszych przeciwności jego zaufanie do Boga zniknęło i zwyciężyło uzalanie się nad samym sobą. Taki z niego chrześcijanin.

Gwałtowne pukanie wyrwało go z rozmyślań. Do pokoju wszedł Victor.

– Dzień dobry, Matthew. Mam nadzieję, że nie masz mi za złe tego najścia. Pani Potts poszła przygotować Phoebe.

Matthew wstał.

– Czy coś przegapiłem? Nie wiedziałem, że przyjedziesz po Phoebe.

– Chciałem porozmawiać z tobą w pewnej osobistej sprawie, więc stwierdziłem, że przyjadę tu, żeby oszczędzić ci jeżdżenia. – Pokazał na krzesło. – Mogę?

Matthew otrząsnął się.

– Oczywiście. – Nie wiedział, o czym Victor chciał rozmawiać, ale to musiało być ważne. – Mam nadzieję, że nic nie stało się Maimie.

– Ma się dobrze. Chciałem porozmawiać z tobą o... Deirdre.

Matthew poczuł w sercu niepokój.

– Wszystko z nią w porządku?

– Nie wiem, bo nie rozmawiałem z nią od jej wyjazdu. Ale odbyliśmy dość interesującą rozmowę tego dnia rano, gdy wyjeżdżała.

Matthew potrzebował chwili, żeby się uspokoić.

– Słyszałem, że zaproponowałaś, iż znajdziesz jej miejsce na innej uczelni medycznej. To bardzo miło z twojej strony. – Zaczął porządkować jakieś dokumenty na biurku, czując się wyjątkowo niezręcznie pod bezpośrednim spojrzeniem Victora.

– Czy wiesz, z jakiego powodu naprawdę Deirdre tak nagle wyjechała? – zapytał Victor.

– Tak mi się wydaje.

– W takim razie wiesz, że to dlatego, że się w tobie zakochała. I było jej zbyt trudno zostać tu ze świadomością, że nie odwzajemniasz jej uczuć.

Ciepło oblało kark Matthew. Zaciśnął mocno usta, żeby nie powiedzieć czegoś, czego mógłby potem żałować.

Victor zmrużył oczy.

– Ale ty i ja dobrze wiemy, że to nieprawda. Czujesz coś do Deirdre, ośmieliłbym się nawet rzec, coś poważnego, ale z jakiegoś niewiadomego powodu nie chcesz tego ujawnić.

– To moja sprawa. – Matthew odsunął się od biurka i podszedł do okna. Patrzył pustym wzrokiem, jakby rozpościerający się widok mógł ukoić jego niepokój.

– Matthew, doskonale zdaję sobie sprawę, że twoje małżeństwo z Priscillą nie było zbyt udane, ale nie możesz oceniać swojej relacji z Deirdre przez pryzmat nie najlepszych wspomnień. Z całym szacunkiem dla twojej zmarłej żony, ale Deirdre w niczym jej nie przypomina. Jest silna, kochająca i życzliwa. I dzieli twoją pasję leczenia ludzi. Nie darzyłaby twojej kariery taką niechęcią jak Priscilla. Nie wydaję ci się, że jesteś winien Deirdre prawdę o swoich uczuciach?

Matthew obrócił się szybko i stanął na wprost niego.

– A po co, Victorze? Jeśli porzuciłaby swoje marzenie o zawodzie lekarza po to, żeby wyjść za mnie, w końcu zaczęłaby żywić do mnie urazę z całkiem innego powodu. – Przesunął palcami przez włosy. – Nie dostrzegasz tego? Unieszczęśliwiam kobiety mojego życia.

Victor wstał z gniewem wypisanym na twarzy.

– Nie możesz porównywać Deirdre do Priscilli...

– Nie chodzi tylko o Priscillę. Nie potrafiłem także uszczęśliwić własnej matki. – Z jego ust dobyło się pełne irytacji westchnienie. – Po śmierci brata próbowałem wszystkiego, co w mojej mocy, żeby sprawić jej radość, by się uśmiechnęła, jednakże moja obecność chyba tylko ją denerwowała. Im bardziej starałem się do niej zbliżyć, tym bardziej ona mnie odpychała. Aż któregoś dnia stwierdziła, że nie ma po co żyć. Widocznie ja nie byłem do tego wystarczającym powodem. – Matthew zamknął oczy i zacisnął dłonie w pięści, próbując powstrzymać drżenie, które go ogarnęło. Dlaczego w ogóle to mówił?

Victor stanął za nim i położył dłoń na jego ramieniu.

– Mój drogi, na pewno zdajesz sobie sprawę, że gdy ktoś cierpi tak bardzo, iż chce odebrać sobie życie, nikt nie jest w stanie zbyt wiele zrobić. A tym bardziej dziecko. W takim wypadku to twój ojciec powinien był zapewnić jej pomoc psychiatry.

Matthew pokręcił przecząco głową. Jego ojciec był pogrążony w swoim własnym żalu. Ledwie sam sobie radząc, nie umiał pomóc żonie.

Victor ścisnął ramię przyjaciela.

– Boję się – rzekł cicho – że jeśli nie będziesz uważał, historia zatoczy krąg i podobne piętno odbije się na Phoebe. Będzie sądzić, że po śmierci jej matki nie była wystarczająco dobra dla ciebie, bo byłeś wiecznie nieszczęśliwy.

Matthew poczuł się, jakby serce mu stanęło.

– Musisz zrozumieć, że śmierć twojej matki nie przekreślała jej miłości do ciebie. Ona po prostu nie była na tyle silna, by przewyciężyć cierpienie. Nie pozwól, aby ta tragedia rzutowała na twoje życie i twoje relacje. Zostaw przeszłość za sobą, raz na zawsze... dla dobra Phoebe.

Oczy go piekły, gdy spojrzał przyjacielowi prosto w twarz.

– Sam nie wiem, Victorze. A co, jeśli się otworzę i się nie uda? Co się wtedy stanie z Phoebe?

Życzliwą twarz Victora przepełniał smutek.

– Niestety nikt nie zna odpowiedzi na to pytanie. Tylko sam Bóg. Czasem jedyne, co możemy, to z wiarą postawić krok naprzód i pozwolić, by Bóg dopełnił reszty.

– Przepraszam, sir. – W otwartych drzwiach pojawiła się pani Potts. – Phoebe jest już gotowa.

Matthew próbował wziąć się w garść.

– Dziękuję, pani Potts. Zaraz przyjdziemy.

– Mam nadzieję, że mi wybaczysz, że się wtrącam, chłopcze, ale jesteś mi jak syn, którego nigdy nie miałem, i chciałbym po prostu, żebyś był szczęśliwy. – Klepnął Matthew po plecach. – Przemyśl to dobrze i módl się o podpowiedź. Zobaczymy się później w szpitalu.

Gdy tylko Victor i Phoebe wyszli, Matthew usiadł przed kominkiem i próbował uporządkować myśli. To, co powiedział Victor, powracało do niego cały czas jak dźwięki z gramofonu, który się zaciął. Choćby nie wiadomo, jak próbował, nie mógł zaprzeczyć prawdziwości tych słów.

Pozostawiały w jego ustach metaliczny posmak. Czy był w stanie porzucić przechowywane od tak dawna przekonania dotyczące Priscilli i swojej matki i podjąć ryzyko otwarcia serca?

Wspominał te miłe momenty, które spędził z Deirdre. Więż, jaką nawiązali w tamtej chacie, ich pierwszy pocałunek, te chwile, gdy trzymał ją w ramionach, pocieszając po utracie miejsca na uczelni, ich wspólną euforię po wygranej sprawie o opiekę nad Phoebe...

Całą swoją istotą boleśnie tęsknił za jej żywiołowym usposobieniem, jej błyszczącymi oczami i zaraźliwym uśmiechem. A jednak rozumiał, czemu odeszła – że chroniła nie tylko siebie, ale również Phoebe, by nie przywiązywała się do niej za bardzo.

Ostry dźwięk dzwoniącego na biurku telefonu wyrwał Matthew z wiru jego myśli.

Choć tak naprawdę wcale nie miał ochoty z nikim rozmawiać, nie mógł pozwolić sobie na zlekceważenie telefonu od potencjalnych inwestorów, którzy zgodnie z zapowiedzią Victora mogli dzisiaj zadzwonić.

Westchnąwszy z ociąganiem, podszedł do biurka i podniósł słuchawkę.

– Matthew? Tu James O’Leary.

Matthew zamarł. Samo wspomnienie nazwiska O’Leary przyprawiło go o bolesne ukłucie.

– James, w czym mogę ci pomóc?

– Chodzi o Kathleen. Upadła nieszczęśliwie i jej stan znacznie się pogorszył – mówił łamiącym się głosem. – Prosiła, byś przyjechał. Niezręcznie mi jest narzucać ci się po raz drugi, ale czy mógłbyś wrócić i ocenić, jak wygląda sytuacja? Powiedzieć, do kogo możemy się udać?

Palce Matthew zacisnęły się kurczowo na słuchawce. Wrócić do Irlandzkich Łąk, gdzie będzie musiał ponownie spotkać się z Deirdre? Nie ma szans.

– Jestem pewien, że Deirdre jest w stanie sobie poradzić z...

– Nie rozumiesz. Deirdre w ogóle nie potrafi do niej dotrzeć. Kathleen nie chce nawet podnieść ręki, żeby jeść. Wciąż tylko prosi o ciebie.

Matthew zanurzył dłoń we włosy. Czy to była jego wina? Czy wyjechał zbyt szybko, opuszczając pacjenta przed ukończeniem leczenia?

– Proszę tylko o jakiś tydzień – powiedział James. – Potem może z twoją pomocą uda się znaleźć kogoś tu na miejscu, żeby wziął ją pod stałą opiekę.

Ogarnęły go wyrzuty sumienia. Przynajmniej tyle był winien Kathleen. Poza tym i tak musiał wrócić po szczeniaka Phoebe.

– Zgoda. Postaram się jutro dostać na pociąg.

– Dziękuję ci, Matthew. – W głosie Jamesa wyraźnie dało się wyczuć ulgę. – Nawet nie wiesz, jak bardzo jestem ci wdzięczny.

Matthew odłożył słuchawkę. Jego dłonie drżały, a w głowie mu wirowało. Co ma zrobić z Phoebe? Trudno mu było znieść myśl, że musiałby ją zostawić, ale jeszcze bardziej nie wyobrażał sobie, że miałby ją ze sobą zabrać. Nie mógł narażać ją na spotkanie z Deirdre i rodziną O’Learych tylko po to, żeby zaraz ponownie ją zranić, wyjeżdżając.

W geście dobrej woli poprosi Pentergastów, czy nie mogliby się nią zająć do czasu jego powrotu. Choć sama myśl, że będą rozdzieleni nawet choćby na tydzień przyprawiała go o skurcz żołądka. Wziął głęboki wdech i postarał się odsunąć od siebie obawy. Terrence był lekarzem. Phoebe będzie w dobrych rękach.

Matthew zaś wykorzystał to jako pierwszy krok do wypuszczenia córki ze swojego kurczowego uścisku.

I jako test swojej siły wobec ponownego spotkania z Deirdre.

– Mamo, musisz coś jeść. Nie spróbujesz nawet? – Deirdre trzymała wyciągniętą łyżkę z gulaszem wołowym pani Harrison, ulubioną potrawą mamy, ale ta pokręciła przecząco głową i odwróciła twarz do poduszki.

Westchnąwszy ciężko, Deirdre odłożyła łyżkę z powrotem do miseczki. Minęły już trzy dni od upadku mamy. Doktor Shepherd zbadał ją i stwierdził jedynie nieznaczne urazy, a jednak serce Deirdre przenikał jakiś niepokój. Jeszcze nigdy nie widziała, by jej mama była tak przygnębiona, nawet po udarze. Sprawiała wrażenie, jakby straciła wszelką wolę życia, odmawiała jedzenia i popijała jedynie swoją ulubioną herbatę z miodem.

Czyżby uderzyła się w głowę mocniej, niż im się wydawało? Ciężkie urazy głowy mogły wywoływać depresję i apatię. Może powinna przekonać tatę, żeby zabrali mamę do szpitala na dokładniejsze badania. Przeszył ją dreszcz, gdy wyobraziła sobie, jakie mogą być konsekwencje, jeśli nie uda im się stwierdzić przyczyn jej melancholii.

Wzięła tacę z nieruszoną posiłkiem.

– Odniosę to do kuchni i dam ci odpocząć.

Mama skinęła słabo głową i Deirdre czuła w gardle, że zbiera się jej na płacz. Pod żadnym pozorem nie powinna była jej opuszczać i jechać z Matthew i Phoebe. Gdyby tu była, mama nie próbowałaby sama schodzić z wózka bez pomocy, nie upadłaby i nie uderzyłaby głową o stół.

Mamo, czy ty mi w ogóle wybaczysz?

Spojrzała ostatni raz na bladą twarz i lekko drgające powieki leżącej bez ruchu matki.

Boże, proszę, pokaż mi, jak mogę pomóc mojej mamie. Musi być coś, co mogłabym zrobić.

Zostawiła drzwi lekko uchylone i z tacą w rękach wyszła do kuchni.

Pani Harrison pokręciła głową.

– Nie udało się?

– Niestety nie.

Kucharka wzięła tacę i odstawiła ją na blat.

– Możemy spróbować później. Może wtedy zgłodnieje. – Ale pełne sceptycyzmu spojrzenie mówiło Deirdre, że kucharka nie spodziewała się, by miało to nastąpić.

– Próbuje dalej skusić ją tym, co najbardziej lubi – orzekła Deirdre. – W końcu będzie musiała coś zjeść.

– Co daj, Panie Boże.

Deirdre przeszła do małego przedpokoju. Obiecała Colleen, że zadzwoni, aby powiedzieć, co nowego, ale wcale nie miała ochoty przekazywać tylko złych wiadomości. Zwłaszcza w tak delikatnym stanie, w jakim znajdowała się Colleen, kiedy wstrząs emocjonalny mógł wywołać poród. Może powinna poczekać z tym telefonem. Może później mama...

– Witaj, Deirdre.

Zawołana, poderwała głowę i stłumiła okrzyk zaskoczenia. Zamrugła parę razy, żeby upewnić się, że nie śni, ale on wciąż tam był – wysoki, przystojny i silny, taki, jakim go zapamiętała.

– Matthew. Co ty tutaj robisz?

– Twój ojciec zadzwonił i poprosił, żebym przyjechał.

Wpatrywała się w te znajome niebieskie oczy, w których jednak brakowało zwykłego ciepła, a zamiast tego podkreślone były cieniem.

– I tak po prostu przyjechałeś?

– Kathleen jest moją pacjentką.

Oczywiście. Zawsze oddany leczeniu, lojalny i wierny obietnicy.

Nie to co ona.

Choć czuła się niezbyt komfortowo w jego obecności, zrodził się w niej płomyk nadziei.

– Jeśli możesz coś zrobić, żeby do niej dotrzeć, żeby chociaż coś zjadła, będę ci niezmiernie wdzięczna.

Zmrużył oczy.

– Nie je?

Deirdre westchnęła z rozpaczą.

– Nawet nie chce podnieść głowy z poduszki. Tymczasem doktor Shepherd nie widzi żadnych śladów większych obrażeń. Wygląda to tak, jakby życie z niej uszło. – Przełknęła z trudem, starając się nie rozkleić przy nim.

– Zobaczymy, co uda mi się zrobić.

– Dziękuję. – Spojrzała za jego plecy. – Czy Phoebe jest tutaj?

Znieruchomiał.

– Nie. Została z dziadkami.

Deirdre poczuła ucisk w żołądku. Skoro Matthew zostawił córkę, musiał stwierdzić, że tak będzie

dla niej lepiej. Deirdre miała tylko nadzieję, że jej wyjazd nie spowodował regresu u Phoebe. Myślała, że dobrze robi, pozwalając, by każdy zajął się własnym życiem, bo jej pobyt tam odciągałby tylko w czasie to, co nieuniknione.

– Wybacz, pójdę zobaczyć się z twoją mamą. – Mężczyzna odsunął się od niej, jakby nawet nie był w stanie wytrzymać jej bliskości.

Patrzyła, jak odchodził, i czuła przepełniający ją smutek wobec tej otchłani, która teraz ich dzieliła. Jakoś jednak musiała znieść cierpienie związane z obecnością Matthew... dla dobra mamy.

– Naprawdę, Colleen, Matthew dokonał cudu. Od kiedy przyjechał tydzień temu, mamie wróciła chęć do życia.

Ze słuchawki dobiegło pełne ulgi westchnienie.

– Nie mogę w to uwierzyć. Już się obawiałam, że tym razem nie wyzdrowieje.

Deirdre oparła się w fotelu przy biurku taty.

– Ja tak samo. A teraz siada i je. Nawet podjęła znów lekkie ćwiczenia. Nie wiem, co Matthew zrobił, ale to działa.

– A jak się sprawy układają między wami? – zapytała Colleen po nieznacznej przerwie.

Serce Deirdre ścisnęło się z żalu.

– Matthew traktuje mnie oziębło, ale chyba sobie na to zasłużyłam po tym, jak ich zostawiłam.

– Nonsens! Nie chciałaś nikogo skrzywdzić. Po prostu starałaś się ochronić własne serce.

– I zламаłam je tym samym. – Deirdre odetchnęła. – Żałuję, że skrzywdziłam Phoebe.

– Jestem pewna, że da sobie radę. Dzieci mają w sobie niesamowitą odporność. A skoro już mowa o dzieciach, lepiej sprawdzę, co u chłopców. Są za cicho. Przekaż mamie całusy.

– Dobrze. Dbaj o siebie.

Deirdre odgarnęła kosmyk włosów z czoła i zerknęła na kalendarz w gabinecie taty. 23 grudnia. Boże Narodzenie tuż-tuż. Czy Matthew wyjedzie, żeby spędzić święta w Toronto?

Znów poczuła ból na myśl o ponownym pożegnaniu. Nie mogła zaprzeczyć, że jej serce podskakiwało za każdym razem, gdy go spotykała.

Westchnąwszy ciężko, podniosła się z fotela. Zamiast pławić się w pesymistycznych myślach, pomoże pani Johnston w dekorowaniu salonu i przygotowaniu pokoju na jodłę, którą Connor miał przywieźć dziś wieczorem. Razem z Gilem poszli ściąć drzewka dla obu rodzin.

Zanim Deirdre wyszła z pokoju, rozległ się dźwięk telefonu.

– Deirdre? Tu ciocia Fiona. Jak się masz, kochanie?

Serce Deirdre drgnęło radośnie. Czyżby jakieś nowiny w sprawie uczelni?

– Dobrze, ciociu. A ty?

– Trochę ostatnio mi dokucza artretyzm, ale poza tym w porządku. Jak się czuje twoja mama?

– Dużo lepiej, dziękuję.

– Ach, widzę, że dobry Bóg wysłuchał naszych modlitw. A teraz ja odpowiem na jedną z twoich.

– W tle było słycać ćwierkanie papużek cioci.

– Masz jakieś nowiny dla mnie?

– Istotnie. Udało mi się zapewnić ci miejsce na Uniwersytecie Columbia na kierunku medycyna, począwszy od stycznia.

Nogi ugięły się pod Deirdre i opadła z powrotem na fotel.

– Styczeń?

– Czyż to nie cudownie? A z tego, co słyszę, twoja mama jest na najlepszej drodze do zdrowia, więc będziesz mogła podjąć swoją drogę ku karierze.

– To wspaniałe wiadomości. Dziękuję ci, ciociu.

– Nie mogłam się doczekać, żeby ci to powiedzieć. Wesołych świąt, Deirdre.

– Wesołych świąt.

Deirdre odłożyła słuchawkę i zamknęła oczy. Za kilka tygodni znów będzie na medycynie. Zacznie jeszcze raz nowy rozdział swojej przyszłości.

Tylko dlaczego nie czuła... nic?

Drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem.

Deirdre uniosła wzrok i zobaczyła, że koło biurka stoi Matthew ze zmarszczonym czołem.

– Przepraszam. Przyszedłem skorzystać z telefonu. Nie wiedziałem, że ktoś tu jest.

– W porządku. Właśnie wychodziłam. – Wstała, ale nagle zakręciło jej się w głowie. Opierając się rękami o biurko, wzięła gwałtowny wdech.

– Dobrze się czujesz? – W uszach rozbrzmiewał jej niespokojny głos Matthew.

– Chyba zapomniałam dzisiaj cokolwiek zjeść.

– Jak twoja matka, ale ona przynajmniej ma wymówkę. – Po raz pierwszy patrzył na nią bez

rezerwy, ale z delikatną troską. – Schudłaś, odkąd wyjechałaś z Toronto.

– Naprawdę? – W zasadzie nie przykładala uwagi do własnego zdrowia, najpierw pochłonięta przeżywaniem żalu, a potem zamartwiając się o mamę.

– Tak. – Omiótł ją spojrzeniem w taki sposób, że poczuła ciepło na policzkach.

– Cóż, świąteczny obiad z pewnością mnie podtuczy. Zwłaszcza pieczona kaczka z nadzieniem i pudding śliwkowy, które przyrządza pani Harrison.

Na ustach błąkał mu się cień uśmiechu.

– Brzmi smakowicie. Podejrzewam, że menu Pentergastów nie będzie tak domowe.

Gwałtownie złapała powietrze.

– A więc planujesz tam jechać na święta?

Twarz Matthew przybrała niejednoznaczny wyraz i tylko skinął głową.

– Wyjeżdżam jutro.

Nawet gdyby Deirdre nie zaczęło się kręcić w głowie wcześniej, ta wiadomość z pewnością przyczyniłaby się do tego. To i bliskość Matthew, w której jej zmysły pieścił delikatnie zapach mydła sandałowego. Uniosła wzrok i ich oczy się spotkały. Czas wydawał się stanąć w miejscu. Na jej sercu ciążyło tysiąc powodów do żalu.

Kochała go tak, że brakowało jej tchu.

Dlaczego, Panie? Dlaczego dajesz mi kochać mężczyznę, który nie odwzajemnia moich uczuć? Mężczyznę, którego nigdy nie będę mogła mieć?

– Wydawało mi się, że mówiłaś coś o dobrych wiadomościach. Czyżby był jakiś powód do świętowania? Kolejne narodziny w rodzinie O’Leary? – Jego żartobliwy ton przywiódł falę miłych wspomnień ich dawnej przyjaźni.

– Jeszcze parę tygodni. – Zmusiła się do uśmiechu. – Dobra wiadomość jest taka, że ciocia załatwiła dla mnie miejsce na medycynie na Uniwersytecie Columbia od początku stycznia.

Zobaczyła, jak w jego oczach mignęła rozpacz, zanim zamaskował uczucia.

– Gratuluję, Deirdre! Wiem, że właśnie na to liczyłaś.

– Dziękuję ci, Matthew. I dziękuję, że pomagasz mamie. Dzięki temu, że ona powróciła do zdrowia, będę mogła skorzystać z tej możliwości.

Tylko dlaczego w takim razie wcale nie czuję się szczęśliwsza?

Wyprostował się i znów powrócił między nimi zwykły dystans.

– Cieszę się, że mogłem pomóc.

Wstała, tym razem skupiając się, by nogi utrzymały jej ciężar.

– Zrobię ci już miejsce, żebyś mógł zadzwonić. Domyślam się, że nie chciałbyś się spóźnić do domu na święta.



Kolejnego dnia rano Matthew wpatrywał się przez okno w oblodzony pejzaż i próbował się powstrzymać, żeby nie walić głową w szybę.

– Śnieżycy i gołoledzi? Nie mogło to poczekać jeszcze jeden dzień, żebym dotarł bezpiecznie do domu?

Według informacji podanych przez naczelnika stacji, tory były tak oblodzone, że żaden pociąg nie będzie w stanie po nich przejechać przynajmniej przez najbliższą dobę.

– Niektórzy twierdzą, że mówienie do siebie samego na głos to znak obłądu. – Śmiech Jamesa wcale nie pomógł paskudnemu nastrojowi Matthew.

Doktor przesunął dłonią po brodzie.

– Nie rozumiesz. Obiecałem Phoebe, że wrócę do domu na święta. Będzie załamana.

– Niestety nie jesteś w stanie kontrolować pogody. Zadzwoń do Pentergastów i powiedz im, że wrócisz do domu we wtorek.

Matthew westchnął głośno.

– Chyba nie mam wyboru.

James klepnął go po plecach.

– Wygląda na to, że niebiosa chciały, żebyś spędził z nami Boże Narodzenie. Możesz to wykorzystać i dobrze się bawić.



I poza faktem, że tęsknił za Phoebe, rzeczywiście tak było.

W zasadzie Matthew nie umiał sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz od czasów dzieciństwa tak dobrze się czuł w Boże Narodzenie. Poczawszy od nabożeństwa w kościele Świętej Rity, po wspólny posiłek, jaki przygotowała pani Harrison.

Matthew odchylił się na oparciu sofy w salonie i poddał się odprężeniu, które przyniosła mu lampka wina z prywatnych zapasów Jamesa, na którą sobie pozwolił.

Dzieci bawiły się swoimi prezentami pod prawie dwumetrową choinką, udekorowaną wszelkimi możliwymi błyszczącymi ozdobami, a także kilkoma długimi łańcuchami. Sean wybrał towarzystwo swojego ojca i wujka Connora, którzy wprowadzali go w arkana gry w szachy.

Matthew poklepał się po pełnym brzuchu i poczuł, jak ciężą mu powieki. Może powinien pójść za przykładem Colleen i uciąć sobie poobiednią drzemkę.

W holu rozległ się śmiech i do pokoju weszły kobiety. Matthew od razu odszukał wzrokiem Deirdre. Wyglądała oszałamiająco w zielonej, aksamitnej sukience o szerokim dekolcie, który prezentował jej zgrabną szyję. Kaskady kasztanowych włosów opadały łagodnie na ramiona. Śmiała się z czegoś, co powiedziała Brianna, i na jej policzkach widać było dołeczki.

Serce Matthew podskoczyło, jakby dostał życiodajny zastrzyk.

Odwróciła się w jego stronę i spostrzegła, że on na nią patrzy, i wtedy się uśmiechnęła. Ciepło oblało jego oblicze.

Jakby to było, gdyby mógł ją widywać każdego dnia? Śmiać się razem z nią? Znow ją całować?

Znieruchomiał na oparciu kanapy. To chyba wino wprowadzało taki zamęt w jego głowie. Musiał zdusić takie nieproszone myśli w zarodku.

– Czas na muzykę – zasugerowała Kathleen. – Tańce w Boże Narodzenie to nasza rodzinna tradycja. Maggie, czy uczynisz nam ten zaszczyt?

– Z przyjemnością. – Maggie zajęła miejsce za pianinem i zaczęła grać.

Matthew jeszcze nigdy nie słyszał czegoś tak wspaniałego. Nic dziwnego, że została mianowana na główną organistkę w katedrze.

Gil podniósł się ze swojego miejsca i wyciągnął dłoń w stronę Brianny, która padła w jego ramiona w walcu.

– Matthew, a może poprosisz Deirdre do tańca? – zaproponowała Kathleen.

Jej jakże niewinna sugestia wzbudziła w nim alarm.

– Na pewno wolałaby zatańczyć z ojcem albo bratem.

James posłał mu dziwne spojrzenie i przesiadł się na fotel obok Kathleen.

– Jeśli nie mogę tańczyć z moją wybranką, nie będę tańczył w ogóle.

Kathleen uśmiechnęła się do męża z uwielbieniem.

Connor, unosząc brew, dorzucił:

– Ja tu rozgrywam pochłaniającą partię szachów. Nie mogę się rozpraszać. – Mówiąc to, puścił oko do Seana, który zachichotał. – A Adam zniknął gdzieś z Rylanem.

Matthew zerknął w kierunku Deirdre, która najwyraźniej czuła się równie niekomfortowo, jak on.

– Och, dajcie spokój – zakpił Gil. – To tylko taniec, a nie oświadczyń.

Matthew przełknął ciężko i rozpiął górny guzik koszuli. Policzki Deirdre spąsowiały jak świąteczne kokardy.

Westchnawszy ciężko, z pewnym ociąganiem wstał i wyciągnął dłoń.

– Mogę prosić do tańca?

Pokręciła głową, wprawiając w ruch wszystkie swoje fantastyczne loki.

– Nie musisz tego robić.

– Ale chcę. – *Bardziej, niż powinienem* – dodał w myślach.

– Dobrze więc. – Spuściła rzęsy i włożyła swoją dłoń w jego.

Przyciągnął ją bliżej, tak by otoczyć ją ramieniem. Był świadomy, że inni na nich patrzą, więc trzymał ją na przyzwolną odległość, a mimo to czuł, że zdradzieckie serce wali mu znacznie szybciej niż rytm granego utworu. Poruszali się do muzyki, jakby byli stworzeni do tego, by razem tańczyć.

Zapach jakichś nowych perfum mieszał się z nutką cynamonu z deseru. Jeszcze parę centymetrów i mógłby zanurzyć twarz w jej włosach, tuż koło jej ucha. Zalała go fala ciepła i zacisnął zęby, walcząc, by zachować opanowanie.

Jej dłoń drżała w jego uścisku. Jej oddech owiewał lekkim ciepłem jego szyję. Czy była tak samo poruszona jak on?

W końcu wybrzmiały ostatnie dźwięki. Matthew zrobił krok wstecz i skłonił się nieznacznie.

– Dziękuję, panno O’Leary.

Ich spojrzenia spotkały się i zobaczył, że jej oczy błyszczały od łez. Poczł ogromny ucisk w piersi i zalała go tęsknota tak ogromna, iż nie mógł nawet wziąć oddechu.

Zakochałem się w niej.

Ta ogłuszająca myśl rozległa się w jego głowie z taką jasnością, że żadne wino nie mogło tego zaćmić. Wielkie nieba, kochał ją bardziej niż powietrze.

Czy to by coś zmieniło, gdyby odważył się wyznać jej swoje uczucia? Ona już przyznała, że go kocha, ale czy to by wystarczyło, żeby porzuciła swoje marzenia o przyszłości? A może tylko by sprawiło, że po pewnym czasie zaczęłaby darzyć go niechęcią?

Tak jak Priscilla.

Matthew powoli puścił jej dłoń i odsunął się. Nie, nie mógł ryzykować. Musiał odrzucić te wszystkie niedorzeczne pomysły i pozwolić jej podążać ścieżką, którą sobie wybrała.



Stojąc na najwyższym stopniu schodów prowadzących na werandę, Deirdre otuliła się

ramionami, żeby powstrzymać drżenie. Może to było szalone wychodzić na zewnątrz, ale potrzebowała zimnego powietrza, które mogłoby rozwiać burzę, która rozpełtała się w niej po walcu z Matthew. Trwała w objęciu jego ramion, kołysali się łagodnie do najbardziej romantycznej muzyki, jego oczy płonęły namiętnością, której pewnie nawet nie był świadomy – to wszystko sprawiło, że jej ciało zalała fala ciepła, tęsknota tak słodka, że nawet bała się jej poddać.

Musiała wyrzucić sztywnego doktora z własnych myśli, bo on jutro miał powrócić do swojego życia w Toronto.

Już chciała się skierować do domu, kiedy jej uwagę zwróciły sylwetki trzech osób podążających w jej stronę. W wieczornym świetle rozpoznała Jo Miller z jej bratem oraz towarzyszącego im Caleba Sullivana. Pomachali do niej radośnie i od razu poprawił jej się humor. Właśnie takiej odskoczni potrzebowała, by przestać pławić się w swoich rozmyślaniach.

– Wesołych świąt! – zawołała.

– Wesołych świąt, panno O’Leary. – Jo uśmiechnęła się, wchodząc po schodach.

– Proszę, mów mi Deirdre. Mam nadzieję, że miło spędziliście ten dzień.

– Bardzo. Pan Sullivan urządził wspaniałą posilki dla wszystkich pracowników.

– To nasza tradycja, żeby umożliwić pracownikom i ich rodzinom świętowanie jako znak naszego uznania za ich pracę. – Caleb wystąpił do przodu i ucałował Deirdre w policzek. – Wesołych świąt, Dee.

– I wzajemnie, Calebie. Proszę, wejdźcie i dołączcie do nas.

Weszli do holu, otrzepując śnieg z kaloszy. Pani Johnston zjawiła się zaraz, by pomóc z płaszczami.

– Większość towarzystwa jest w salonie. – Deirdre położyła dłoń na rękę Jo i zbliżywszy się, wyszeptła: – Connor gra w szachy z Seanem. Możliwe, że będziesz akurat tym rozproszeniem uwagi, którego Sean potrzebuje, aby wygrać.

Piękny rumieniec oblał policzki Jo.

– Dzięki sukience od Colleen czuję się jak księżniczka. – Przesunęła dłonią po eleganckiej tkaninie.

Ubrana w niezwykle piękną, niebieską, jedwabną kreację, z włosami zakręconymi w loki i elegancko ułożonymi, rzeczywiście wyglądała po królewsku. Znaczna odmiana po zbyt szerokich ogrodniczkach i brzydkim kapeluszu.

Deirdre się uśmiechnęła.

– Cieszę się, że Colleen mogła pomóc. A teraz wejdź i patrz, jak oczy Connora będą wychodzić z orbit.

Caleb dotknął ramienia Deirdre.

– Czy moglibyśmy pomówić chwilkę na osobności?

Słyszając jego poważny ton, przeszło ją uczucie niepokoju, ale wykrzesła z siebie promienny uśmiech.

– Oczywiście. Możemy skorzystać z gabinetu taty.

Matthew wymówił się koniecznością wykonania telefonu do Pentergastów, aby móc opuścić salon i ruszyć na poszukiwanie Deirdre. Zniknęła zaraz po ich tańcu i nie wróciła. Miał nadzieję, że nie obraził jej jakoś ani też, że nie poczuła się nagle gorzej. Te zawroty głowy, których był świadkiem wcześniej w gabinecie, niepokoiły go mimo jej logicznego wyjaśnienia. Byłby spokojniejszy, gdyby miał pewność, że wszystko z nią dobrze.

W wejściu spotkał Jo i Seta Millerów, więc złożył im życzenia, a potem ruszył szukać Deirdre.

W dalszej części korytarza dostrzegł, jak Caleb Sullivan wyszedł z gabinetu Jamesa, energicznym krokiem minął Matthew bez słowa, a zaraz później drzwi wejściowe zamknęły się z trzaskiem.

Matthew odwrócił się i zobaczył Deirdre w drzwiach gabinetu. Jej twarz spowijał smutek.

Serce skoczyło mu w piersi. Co tam się stało?

– Deirdre, czy Caleb powiedział coś, co cię zasmuciło?

Przystanęła u podnóża schodów, wpatrując się w drzwi wejściowe.

– Tak – rzekła to tak cicho, że prawie nie usłyszał odpowiedzi. – Oświadczył mi się.

Matthew poczuł, jak wszystko w nim ścisnęło się od przyływu czystej zazdrości. Choć chyba raczej go nie przyjęła, bo inaczej Caleb nie byłby taki wściekły.

Westchnęła lekko i zwróciła na niego spojrzenie.

– Odrzuciłam go, ale nie przyjął tego zbyt dobrze.

Schował pięści w kieszeniach.

– Tak mi przykro, że zepsuł ci ten dzień.

Wyglądało na to, że już się pozbierała, gdyż zdołała się nawet uśmiechnąć.

– Nie ma się czym martwić. Szkoda tylko, że ja jemu zepsułam święta.

Czuł w sobie narastającą potrzebę, by ją pocieszyć. Nie uczynił tego, ale tylko odkasznął i rzekł:

– Hm, właśnie miałem zadzwonić do...

Ponad nimi, na schodach rozległy się gorączkowe kroki. Zobaczyli Rylana. Jego włosy były w nieładzie i wodził po otoczeniu dzikim wzrokiem.

– Matthew, Deirdre – rzekł, gdy tylko ich zauważył. – Colleen chyba zaczęła rodzić.

– Jesteś pewien? – Deirdre ruszyła w górę schodów szybkim krokiem. – Może to efekt przejedzenia.

Rylan pokręcił przecząco głową.

– Wiem, jak wygląda poród i to jest właśnie to.

Matthew złapał za słupek barierki, czując, jak krew odpływa mu z twarzy. Asystował tylko przy jednym porodzie podczas stażu i był wtedy jedynie obserwatorem, a nie odpowiedzialnym za przyjęcie na świat nowego życia. Przypomniały mu się te pełne niepokoju momenty, gdy u matki zaczął się krwotok. Udało im się powstrzymać krwawienie i kobieta przeżyła, ale byli w szpitalu i mieli do dyspozycji potrzebny sprzęt...

– Matthew, idziesz? – Deirdre stanęła w pół drogi i zerknęła za siebie.

Próbował przełknąć, ale czuł, że gardło ma suche jak pieprz. Zmusił się jednak, żeby ruszyć.

I z każdym krokiem modlił się, by okazało się, że to fałszywy alarm.

Deirdre pchnęła drzwi to dziecięcej sypialni siostry. Colleen leżała na boku na środku łóżka, przyciskając ręce do brzucha i jęcząc. Niezwłocznie instynkt pielęgniarki wziął górę. Żwawo podeszła do siostry i położyła dłoń na jej ramieniu, by ją uspokoić.

– Jestem tutaj, siostrzyczko. Wszystko będzie dobrze.

Colleen otworzyła oczy i skrzywiła się.

– Dee. Dzięki Bogu. Odeszły mi wody, gdy próbowałam wstać, i bóle się nasilają.

– Wszystko wskazuje na to, że najmłodszy Montgomery zamierza już przyjść na świat. Ale nie martw się. Jesteśmy tu z Matthew.

Colleen złapała dłoń Deirdre.

– Rylan – wysapała. – On niezbyt dobrze sobie radzi przy porodzie. Zajmijcie go czymś.

Deirdre się uśmiechnęła.

– Wyślę go, żeby gotował wodę w kuchni.

Śmiech Colleen przeszedł w jęk. Deirdre wzięła zegarek ze stolika nocnego i liczyła, jak długo trwał skurcz.

Kątem oka dostrzegła Matthew w wejściu. Złe wyglądał. Na jego twarzy widać było napięcie. Może nigdy nie miał okazji odbierać porodu, bo poświęcił swoją karierę umierającym i rannym żołnierzom.

Podeszła do niego.

– Dobrze się czujesz? – wyszeptwała.

Widziała niespokojne spojrzenie jego niebieskich oczu.

– Tylko raz to robiłem – powiedział cicho. – Colleen powinna być w szpitalu.

Po raz kolejny Deirdre wyczuła jego strach przed popełnieniem jakiegoś błędu. Musiała mu pomóc pokonać ten lęk.

– Jestem przekonana, że już za późno, by ją przewozić, ale urodziła już dwójkę zdrowych chłopców, na pewno będzie dobrze. – Posłała mu uśmiech na zachętę. – Damy radę, Matthew. Będę tuż obok ciebie. – Wskazała na sukienkę. – Tylko się przebiorę. I dam Rylanowi jakieś zajęcie.

Matthew skinął głową, a jego zmarszczone brwi delikatnie się rozluźniły.

Od strony łóżka rozległ się kolejny jęk.

Deirdre zerknęła na zegarek.

– Bóle przychodzą w odstępie około dwóch minut. Muszę się pospieszyć.

Matthew zdjął marynarkę i podwinął rękawy koszuli, podchodząc do łóżka.

– Witaj, Colleen. Po tym skurczu muszę cię zbadać i zobaczyć, ile jeszcze do narodzin dziecka. Postaraj się nie martwić. Jesteś w dobrych rękach.

Deirdre pokiwała głową w jego stronę, a potem wyszła na korytarz, gdzie Rylan krążył jak oszalały. Podbiegł do niej, gdy tylko ją zobaczył.

– Jak tam? – zapytał.

– To z pewnością poród. Być może uda nam się bożonarodzeniowy maluszek.

Rylan złapał ją za ramię.

– Wszyscy święci w niebie!

– Chodź. – Deirdre poprowadziła go w stronę schodów. – Potrzebuję twojej pomocy. Trzeba zagotować wodę i poprosić panią Johnston, żeby przygotowała czyste ręczniki. A, i możesz też powiedzieć mamie i innym, żeby się modlili. Trzeba działać na wszystkich frontach. – Ucałowała oszołomionego szwagra w policzek i pobiegła do pokoju się przebrać.



Jo przytknęła dłoń do brzucha i stanęła z wahaniem przed wejściem do salonu państwa O'Leary. Miała nadzieję, że nie uznają za zbyt bezczelne tego, że tak po prostu się zjawia. Ale Colleen zaprosiła ją i zaproponowała, że odwiezie ją wieczorem do sierocińca. No i możliwość zobaczenia się z Connorem warta była tego niewygodnego świątecznego toastu z panem O'Learym.

– Wszystko w porządku, młoda? – Obok ucha rozległ się głos Setha.

– Oczywiście. Czemu niby nie?

– Bo jesteś podenerwowana jak skunks w kojcu z kojotami. Skąd to?

Zerknęła na brata, choć raz ciesząc się z jego obecności.

– Jeszcze nigdy... to znaczy... czuję, jakbym przebierała się za dziewczynę tym razem... a nie odwrotnie. – Wygładziła dłonią niebieską kreację. Na szczęście dekolot sukienki nie był zbyt głęboki, więc nie czuła się przesadnie obnażona. Wystarczyło, że Colleen upięła jej włosy z tyłu, zostawiając tylko pojedyncze pasemka wokół twarzy, a i tak czuła się, jakby miała gołą szyję.

– Wyglądasz wspaniale. – Mrugnął do niej. – Na pewno Connor też to zauważy.

Jo przełknęła ślinę. Czyżby jej uczucia były tak wyraźne?

Seth wskazał dłonią na drzwi.

– Damy przodem.

Weszli do pokoju, w którym panował zupełny chaos. Przy tym sierociniec wydawał się spokojny jak biblioteka. Jo rozpoznała latorośle Colleen i Rylana bawiące się z innymi dziećmi, najprawdopodobniej kuzynami i kuzynkami.

Przebiegła wzrokiem po pokoju i natknęła się na spojrzenie znajomych orzechowych oczu. Connor podniósł się z fotela koło kominka z rozdziawionymi ustami. Przeszył ją dreszcz, gdy spostrzegła żar w jego źrenicach.

Odziany w ciemny garnitur, lnianą koszulę i krawat w prążki, Connor również wyglądał bardzo wytwornie. Włosy miał zaczesane do tyłu, co podkreślało ich kasztanowy odcień.

Podszedł w ich stronę.

– Jo, co za niespodzianka! Wesołych świąt. – Pochylił się, by ucałować ją w policzek. Znow przeszył ją dreszcz.

– Wesołych świąt, Connorze.

– Pięknie wyglądasz. – Podziw w jego głosie podbudował jej pewność siebie.

– Dziękuję. – Jo ledwie oddychała. – Razem z Sethem byliśmy na obiedzie organizowanym przez państwa Sullivanów, więc pomyślałam, że zajdziemy tutaj, żeby życzyć wesołych świąt waszej rodzinie.

– Bardzo się z tego cieszę. Chodźcie, poczęstujcie się ajerkoniakiem. I przywitajcie się z rodzicami.

Obeszli pokój, witając się z członkami rodziny. Pani O’Leary była wyjątkowo uprzejma, choć pełne rezerwy przywitanie ze strony pana domu przypomniało Jo o jego dezaprobacie.

Seth wdał się w rozmowę z Adamem, a Jo i Connor nagle wylądowali sami w jakimś kącie.

– Jak tam ci idzie w sierocińcu? – zapytał, wręczając jej szklaneczkę ajerkoniaku.

– Bardzo mi się podoba. Dziękuję jeszcze raz za rekomendację.

– Więc jesteś tam szczęśliwa? – Przyglądał się uważnie jej twarzy, jakby odczytywał każdą myśl przelatującą przez jej głowę.

– Bardzo. Choć brakuje mi pracy z końmi. Jak tam Excalibur? – Martwiła się, że ogier nie będzie współpracował z Connorem bez jej uspokajającej obecności.

Szczęki Connora zacisnęły się.

– Dobrze sobie radzi... z tego, co mówił mi nowy trener.

– Nowy trener? Dlaczego to nie ty z nim pracujesz?

Connor rzucił okiem na stojącego koło kominka Jamesa.

– Mój ojciec postanowił o zmianie trenera.

Postawiła szklankę na stole.

– To przeze mnie, prawda? Ukarał cię, bo pozwoliłeś mi pracować z Excaliburem?

Connor nic nie powiedział, ale drgnięcie jego szczęki wystarczyło jej za odpowiedź.

– Tak mi przykro, Connorze.

– Nie musisz się tym martwić.

Ale martwiła się. Martwiła się, że jego życzliwość wobec niej naruszyła jego relację z własnym ojcem. Położyła dłoń na jego ramieniu, pragnąc znaleźć jakiś sposób, by móc ulżyć jego spięciu.

Dudnienie kroków na schodach sprawiło, że wszyscy w pokoju zamarli.

Connor natychmiast wyszedł do holu. Jo wyjrzała i dostrzegła, jak oszalały Rylan chwycił ramię Connora, powiedział kilka słów, a potem pobiegł w głąb korytarza.

– Coś się stało? – zapytała.

Connor odwrócił się do niej.

– Rylan chce, żebyśmy się wszyscy modlili. Wygląda na to, że Colleen niedługo urodzi.

Godzinę później Jo siedziała na sofie w salonie z ośmioletnią Ivy Montgomery śpiącą jej na kolanach. Od kiedy tylko Jo zaczęła pracować u Świętej Rity, adopcyjna córka Colleen natychmiast poczuła wobec niej sympatię. Nie bez wzajemności.

Maggie O’Leary stanęła przed nią, mówiąc:

– Adam weźmie Ivy na górę do łóżka. Stwierdziliśmy, że nie ma sensu, żebyśmy wracali do miasta o tej porze w nocy.

Jo zamrugnęła, czując jak ogarnia ją niepokój. Colleen rodziła, więc dziewczyna zastanawiała się, jak wróci do sierocińca. Connor zapewniał ją, że Maggie i Adam ją odwiozą...

– Ty też możesz zostać – powiedziała Maggie, gdy Adam brał Ivy z jej kolan. – Jest tu mnóstwo pokoi.

Jo wahała się, czując, że to zupełnie nie jej świat. Była tylko znajomą rodziny, pracownikiem. Nie pasowała tu. W jej głowie kotłowały się myśli i wyobrażenia tych sierot, które są teraz bez dyrektora i jego żony. Poprosili siostry o opiekę na jeden wieczór, więc Jo uważała, że powinna tam być z powrotem od rana, by pomóc.

Poczuła ciepły dotyk dłoni Maggie.

– Jeśli krępuje cię pozostanie tu na noc, na pewno Connor będzie mógł cię odwiedzić.

– Nie... nie chciałabym robić mu kłopotu.

Connor poszedł na górę, żeby pomóc ułożyć dzieci do spania, i jeszcze nie wrócił.

– Nie zrobisz, ale decyzja należy do ciebie. – Maggie wyszła z pokoju za Adamem.

Jo rozejrzała się po pomieszczeniu, które wcześniej było pełne zgiełku, a teraz prawie całkiem puste, jeśli nie liczyć Brianny i jej rodziców. Siostra Colleen powiedziała, że nie wyjdzie, dopóki nie urodzi się dziecko. Pan O'Leary siedział w fotelu koło ognia. Ich spojrzenia się spotkały i Jo poczuła, jak serce nieznośnie jej wali.

Podniosła się i wygładziła pomiętą sukienkę. Nie mogła przepuścić okazji, aby porozmawiać z panem O'Learym w imieniu Connora. Po tym wszystkim, co dla niej zrobił, musiała przynajmniej spróbować pogodzić się z jego ojcem.

Pan O'Leary wstał, gdy zobaczył, że dziewczyna idzie w jego kierunku.

– Czy mogłabym chwilę porozmawiać z panem? – zapytała, starając się zlekceważyć ściskające jej żołądek nerwy.

Pan O'Leary skinął sztywno głową i poprowadził ją na drugą stronę pokoju.

– W czym mogę pomóc, panno Miller?

Sposób, w jaki wymówił jej nazwisko, nie napawał optymizmem. Przełknęła z trudem.

– Przede wszystkim, chciałam przeprosić za moje...

– Oszustwo? – Uniósł jedną brew.

– Tak. – Jo wzięła głęboki oddech. – I chciałam zapewnić, że Connor nie miał pojęcia, że jestem dziewczyną. Kiedy odkrył moją tożsamość, błagałam go, by pozwolił mi dalej pracować, aż mój ojciec wyzdrowieje. – Nowa fala żalu uderzyła w nią z mocą. Przerwała, żeby opanować emocje, zanim wezmą nad nią górę.

Rysy pana O'Leary'ego złagodniały.

– Proszę przyjąć moje kondolencje. Connor przekazał mi, że pani ojciec zmarł.

– To prawda – odparła cicho.

– Z tego, co mi wiadomo, moja córka i Rylan zatrudnili panią w sierocińcu.

– Tak, za co też jestem im niezmiernie wdzięczna.

Pan O'Leary założył ręce na piersi, obserwując ją.

– W takim razie czego pani ode mnie oczekuje?

Ciepło oblało jej twarz, ale nie spuściła wzroku.

– Niczego dla siebie. – Uniosła brodę. – Chciałam się upewnić, że nie obarcza pan Connora odpowiedzialnością za moje uczynki. Proszę, niech pan nie karze go za okazanie współczucia potrzebującej osobie.

– Co skłania panią do twierdzenia, że karzę mojego syna?

Serce waliło jej w piersi.

– Odsunął go pan od szkolenia Excalibura, co muszę podkreślić, nie jest korzystne dla tego konia. Zmiana trenera teraz najprawdopodobniej będzie skutkowałą regresem.

Mężczyzna zacisnął usta.

– Ogier ponownie zrobił się trudny. Nowy trener nie ma do niego szczęścia.

Jo splotła dłonie. Nie mogła znieść myśli, że Excalibur stał się znowu tym narowistym i przestraszonym koniem.

– Wiem, że lepiej by sobie radził przy Connorze. Excalibur przyzwyczał się do niego. I do mnie. – Zawahała się, a potem zwilżywszy wargi, rzekła: – Jeśliby pan chciał, mogłabym wracać tu w dni wolne od pracy w sierocińcu i dalej go szkolić.

Pan O’Leary zmarszczył brwi.

– Dlaczego miałyby pani to robić?

– Żeby pomóc zwierzęciu, do którego się przywiązałam, i żeby pracować z końmi, czego mi bardzo brakuje.

Przesunął się bliżej, niemalże zwieszając się nad nią.

– I jako bonus, byłaby pani blisko mojego syna?

Znieruchomiała. Co on insynuował?

Pan O’Leary dalej patrzył na nią chłodno.

– Przecież to o to chodzi, nieprawdaż? Tego naprawdę pani chce. – Pokręcił głową i wydał wargi w cynicznym uśmiechu. – Connor ma zbyt miękkie serce. Nigdy by nie pomyślał, że młoda kobieta bez środków do życia mogłaby próbować złapać w sidła syna z bogatej rodziny.

Usta Jo rozwarły się bezwiednie. Jej dłonie zaczęły się trząść, gdy przeszło ją oburzenie.

– Gdyby tak było, przyjąłabym jego oświadczenia, a nie poszłabym pracować jako służąca.

Błysek zaskoczenia w oczach pana O’Leary’ego dał jej poczucie satysfakcji.

– Zgadza się. Connor zaproponował, że się ze mną ożeni, ale ja odmówiłam. W przeciwieństwie do pana bardzo szanuję pańskiego syna. Może powinien pan spróbować trochę zaufać jego umiejętnościom, zamiast spodziewać się po nim najgorszego.

Obróciła się na pięcie, ledwie zdając sobie sprawę z wbitych w nią spojrzeń pani O’Leary oraz Brianny i wybiegła do przedpokoju. Na oślep pognęła w stronę korytarza, licząc, że ktoś pomoże jej odnaleźć płaszcz.

Zjawiała się pokojówka i zaraz przyniosła okrycie. Jo podziękowała jej i wsunęła ręce w rękawy.

Choć nie miała pojęcia, jak się dostanie do domu, nie mogła zostać ani chwili dłużej w jednym pomieszczeniu z panem O’Learym. Ani spać w jego domu ze świadomością, jak bardzo jej nie szanował. Zapewne potraktowałby to jako kolejny akt manipulacji z jej strony, by zdobyć Connora.

Łzy zaczęły ją piec pod powiekami. Pokojówka otworzyła przed nią drzwi.

– Jo, poczekaj. – Brianna wybiegła do holu. – Przepraszam za mojego ojca. Obawiam się, że jest nadopiekuńczy, jeśli chodzi o rodzinę.

Jo na siłę uśmiechnęła się z drzeniem.

– Rozumiem. Proszę, przekaz Connorowi ode mnie życzenia dobrej nocy. – Włożyła rękawiczki.

– Nie poczekasz, by życzyć mu osobiście? – zapytała Brianna łagodnie.

Poczuła pokusę, by tak zrobić, ale pokręciła przecząco głową.

– Muszę iść. Dobranoc.

Zanim Brianna zdołałaby ją powstrzymać, Jo ruszyła w stronę drzwi.

☞ Serce biło Connorowi wyjątkowo szybko, gdy w końcu schodził na dół. Po trzech bajkach na dobranoc jego siostrzenice i siostrzeńcy w końcu zasnęli i teraz spieszyło mu się, by wrócić do Jo. Maggie powiedziała mu, że zaprosiła ją, aby została na noc w Irlandzkich Łąkach. Kiedy wyobraził sobie, że obudzi się z nią pod jednym dachem, czuł się śmiesznie szczęśliwy.

Gdy zbliżał się do parteru, spotkał Bree idącą w jego kierunku. Zatrzymała się z ręką na barierce i zawołała:

– Właśnie szłam, żeby cię znaleźć.

Zauważył jej napięte rysy.

– Czy coś się stało?

– Chodzi o Jo. Pokłóciła się z tatą i wyszła.

Przeszyły go gniew i strach.

– Pozwoliłaś jej samej wyjść o tej porze?

– Próbowалаm ją zatrzymać, ale nie chciała słuchać.

Zszedł do końca schodów szybciej, a Bree za nim. W holu złapał swój płaszcz z wieszaka i zapytał:

– Dawno to było?

– Niedawno.

Nałożył czapkę.

– Lepiej byłoby dla taty, żebym ją znalazł.

Connor zatrzasnął za sobą drzwi i pobiegł do auta. W jego piersi płonął gniew na ojca, a jednocześnie martwił się ogromnie o bezpieczeństwo Jo. Kobieta nie powinna być sama o tej porze w nocy.

Zapalił silnik samochodu, wrzucił bieg i z rykiem ruszył podjazdem w stronę głównej drogi. Gdzie mogła pójść? Do Sullivanów, żeby znaleźć Seta?

Gdy wyjechał zza zakrętu, ogarnęło go poczucie ulgi. Przed sobą dostrzegł szczupłą postać, która szła ostrożnie po oblodzonej drodze. Zwolnił i zjechał na bok przed nią, a potem zaciągnął hamulec i wyskoczył z samochodu, nie do końca pewien, co powinien powiedzieć.

Zatrzymała się, gdy tylko go poznała. Na jej policzkach błyszczały ślady łez, co jeszcze wzmogło jego gniew.

– Jo – powiedział, podchodząc do niej. – Przepraszam za słowa, którymi ojciec cię skrzywdził. Proszę, pozwól, że cię podwiozę.

– Nie ma takiej potrzeby. – Zamierzała go obejść, ale on zdążył zauważyć, że cała drży.

Chciał ją chwycić, wsadzić do samochodu, ale opanował niecierpliwość, zrównał z nią krok i szedł obok.

– Dobrze. W takim razie odprowadzę cię.

Zatrzymała się gwałtownie.

– Wolałabym być sama.

– Ale dopiero gdy będę pewien, że jesteś bezpieczna, więc możemy iść albo możesz pozwolić się podwieźć. Dokąd szłaś?

Z nieba zaczęły sypać drobne płatki śniegu. Connor miał nadzieję, że pogorszenie pogody przekona ją na jego korzyść.

Zagryzła wargę, a z jej twarzy biła niepewność.

– Chy-chyba na stację, żeby poczekać na pierwszy pociąg. – Szczękała zębami z zimna, a w jej głosie było słycać rezygnację. Od razu wzbudziło to w nim instynkt opiekuńczy.

Connor stłumił w sobie frustrację.

– Który przyjechałby nie wcześniej niż rano. Zgódź się, żebym odwiózł cię do mojego domu.

– Nie! Nie po tym wszystkim, o co twój ojciec mnie oskarżył.

– W takim razie odwiozę cię do sierocińca. – Ujął ją delikatnie pod ramię i skierował do auta. – Albo tak, albo będę siedział z tobą na tej stacji kolejowej. Twój wybór. – Czekał, aż zadecyduje i szli w milczeniu do samochodu. Otworzył przed nią drzwi, pomógł jej wsiąść i obszedł auto, przechodząc na stronę kierowcy.

– A więc dokąd? – zapytał cicho.

– Chyba... jeśli nie masz nic przeciwko, wolałabym wrócić do sierocińca.

Skinął głową.

– Niech będzie sierociniec.

Kiedy zawracał na pustej drodze, dziękował Bogu, że Jo była bezpieczna do chwili, gdy ją znalazł, i za nadzieję, że wynagrodzi jej jakoś to, co zrobił ojciec.

Jechali w milczeniu. Droga minęła szybko, bo nie było żadnego ruchu. Kiedy dotarli do mostu Queensboro, cisza zaczęła im ciążyć.

– Chciałbym wiedzieć, co się stało, żebym znał fakty, zanim obedrę ojca ze skóry.

Odwróciła się do niego z wielkimi z przestachu oczami.

– Nie, proszę. Nie chcę być powodem kolejnych problemów. Ja tylko próbowałam naprawić...

– Więc to ty zaczęłaś rozmowę?

– Tak, ale to tylko przyniosło odwrotny skutek i skończyło się na tym, że pogorszyłam sytuację.

Potrzeba było chwili, żeby to dotarło do Connora.

– Co ty powiedziałaś?

Pokręciła głową i zagryzła wargę.

– Chcę znać prawdę, Jo.

Westchnęła.

– Poprosiłam go, żeby nie karał cię za moje błędy.

Connor wstrzymał oddech. Poszła do jego ojca, tego, którego wszyscy się boją, żeby się wstawić za nim. Potrzeba było do tego nie lada odwagi. Skierował auto na ulicę 59, na szczęście o tej porze zupełnie pustą.

– I co powiedział mój ojciec?

Nie odpowiadała.

– Możesz mi powiedzieć. I tak się tego dowiem.

Wyprostowała się na siedzeniu.

– Oskarżył mnie o to, że próbuję...

– Co próbujesz?

– O ile dobrze pamiętam, ujął to: „złapać w sidła syna z bogatej rodziny”.

Connor warknął.

– Nie mogę uwierzyć!

– Odpowiedziałam mu, że gdyby to miało być prawdą, nie odrzuciłabym twoich oświadczeń.

Cudownie! Teraz tata wiedział już, że kiedyś się oświadczył i został odrzucony. Niezbyt dobry dowód na wybitne umiejętności oceny sytuacji.

Jo położyła rękę na jego ramieniu.

– Proszę, nie walcz z ojcem z mojego powodu. Nie chcę być źródłem problemów w twojej rodzinie.

Connor zerknął na jej zatroskaną twarz.

– Nie mogę pozwolić na taką nieuprzejmość wobec ciebie. Porozmawiam z nim o tym.

Latarnie uliczne rzucały cienie na jej rysy. Boleść malująca się w jej spojrzeniu rozsadzała go od środka.

– Przepraszam, że zepsułam ci święta – powiedziała cicho.

– Nie zepsułaś, uwierz mi. Twoja obecność mnie uszczęśliwiła. Tylko mi przykro, że na koniec wyszło tyle gorzkości.

Connor skręcił na Lexington Avenue w stronę sierocińca i zaraz potem zatrzymał auto przy chodniku, przed wejściem do budynku. Zmarszczył czoło, przyglądając się drzwiom.

– Wszystko będzie teraz pozamykane. Masz może jakimś cudem klucz?

– Mam. – Wyjęła klucz z torebki, a następnie zwróciła się przodem do niego. – Dziękuję ci jeszcze raz, Connorze. Wygląda na to, że weszło ci już w nawyk przychodzić mi z pomocą.

Uśmiechnął się.

– Na to wygląda.

Odprowadził ją po schodach, pod samo wejście. Otworzyła drzwi roztrzęsionymi rękami. Bardzo pragnęłby wejść z nią, ale to nie byłoby właściwe.

– Słodkich snów, Jo – powiedział chrapliwym głosem.

– Dobranoc, Connorze. – Stanęła na palcach i ucałowała go w policzek.

Nie mógł się powstrzymać. Przyciągnął ją delikatnie w objęciu, a potem odsunął się.

– Uważaj na siebie.

Skinęła głową i przez minutę patrzyli sobie w oczy, a jej spojrzenie wyrażało to, czego usta nie wypowiadały. Potem zniknęła w środku, zostawiając Connora samego na schodach.

Matthew na chwilę wyprostował ramiona i spróbował rozluźnić spięte mięśnie. Po prawie trzech godzinach porodu mogli zobaczyć już meszek na główce dziecka. Teraz nie powinno trwać to zbyt długo. Podczas następnego skurczu przygotowuje Colleen do parcia. Miał szczęście, że to nie było jej pierwsze dziecko, bo chociaż poród był męczący, ciało Colleen instynktownie pamiętało, co należy robić.

Deirdre stała blisko wezglowia i obmywała twarz siostry chłodnym ręcznikiem, szepcząc słowa zachęty i pochwały, pomagając jej przejść każdy skurcz i pilnując, by odpoczywała pomiędzy nimi.

Deirdre była przez cały czas oparciem, a jej spokój udzielał się zarówno Colleen, jak i doktorowi, wraz z jej kojącym głosem i dotykiem. Matthew uśmiechnął się, przypominając sobie tę chwilę, gdy weszła z powrotem do sypialni w swoim pielęgniarskim fartuchu i zarządziła, żeby wszyscy troje zaczęli od modlitwy. Jedną ręką chwyciła Colleen, a drugą jego i wypowiedziała proste, aczkolwiek płynące prosto z serca słowa modlitwy, dziękując za obecność Matthew oraz prosząc o Bożą pomoc, by dziecko urodziło się zdrowe.

Ta pokorna modlitwa wlała niezwykle pokój do serca Matthew i dała mu pewność siebie. Odsunął na bok wszystkie obawy i pozwolił, aby jego lekarskie kompetencje wzięły górę.

W jakiś niepojęty sposób, gdy tylko wykreślił z tego układu własne ego i oddał sprawy w ręce Boga, poczuł, że napięcie, które zwykle musiał znosić, zelżało.

„Bóg dał ci talent do leczenia, Matthew”. – Słowa, które Deirdre niegdyś do niego skierowała, przypomniały mu się w tej chwili. – „Musisz tylko nie stawać na Jego drodze i pozwolić Mu, by użył ciebie jako swojego narzędzia”.

Teraz, gdy pracowali razem, żeby pomóc temu nowemu życiu dostać się na świat, Matthew uświadomił sobie błędy swojej przeszłości. Medycyna to nie występ solowy. Potrzeba oddanego zespołu lekarzy i pielęgniarek, by móc wyleczyć pacjenta, ale przede wszystkim łaski i miłosierdzia Bożego. Doktor jest jedynie narzędziem.

Ciało Colleen spięło się i z jej gardła dobył się rozdzierający jęk.

– Przyj, Colleen. – Matthew skinął głową w stronę Deirdre, a ona złapała siostrę za rękę.

Gdy tylko skurcz ustąpił, Colleen osunęła się ciężko. Pot spływał jej z czoła, a włosy kleiły się mokrymi strąkami do policzków. Deirdre od razu przystąpiła do obmycia jej twarzy.

– Jeszcze kilka razy i koniec – powiedział. – Świetnie sobie radzisz.

Dyszała ciężko.

– Staraj się oddychać głęboko i równomiernie.

Colleen spięła się, gdy nadszedł kolejny skurcz.

– Jeszcze raz. – Matthew zignorował jej krzyk bólu i skupił się na tym, co konieczne. – Przyj

dalej! Tak jest!

Policzki Colleen od wysiłku zrobiły się szkarłatne. Zaraz potem wypuściła mocno powietrze i opadła bez sił.

Dzieciątko wyślizgnęło się wprost na jego oczekujące dłonie. Znieruchomiał, od razu zauważając, że coś jest nie tak. Twarzyczka dziecka była bladoniebieska, a wokół jego szyi była silnie zaciśnięta pępowina.

Tętno przyspieszyło mu gwałtownie od nagłej dawki adrenaliny.

– Nożyczki! – wrzasnął.

Deirdre skoczyła, aby podać mu wysterylizowane narzędzie i lekarz przeciął pępowinę. Następnie szybko i ostrożnie odwinął sznur pępowinowy z szyi noworodka. Drobną klatka piersiowa nawet się nie poruszyła.

– Dlaczego dziecko nie płacze? – Rozpaczliwy głos Colleen przyprawił go o gęsią skórkę.

Spojrzał na zaniepokojoną twarz Deirdre i lekko pokręcił głową. Kobieta skupiła się na Colleen, szepcząc jej kojąco do ucha.

Matthew położył dziecko na łóżku i sprawdził palcem buzię, aby upewnić się, czy nic nie blokuje oddechu. Następnie unióśł je, odwrócił i zaczął klepać po plecach.

Proszę, Boże, pomóż mu oddychać.

Pot lał mu się z czoła. Poklepał ponownie, tym razem mocniej. Poczekał kolejną sekundę i jeszcze raz. Bez reakcji. Odwrócił z powrotem malucha i kierowany zwykłym instynktem dmuchnął mu w usta. Czekał, wypatrując jakiegokolwiek ruchu, a potem dmuchnął ponownie.

W końcu pierś noworodka się uniosła i rozległo się kwilenie, a potem głośny płacz. Siność ustąpiła z twarzy, która szybko zaczęła przybierać czerwone plamy.

Matthew westchnął w poczuciu ulgi. Po twarzy Deirdre płynęły łzy, gdy podawała mu ręcznik, którym miał otulić wrzeszczące dziecko.

Delikatnie owinął noworodka i podał to drobne zawiniątko Colleen.

– Gratuluję, pani Montgomery. Ma pani córkę. Wygląda na to, że z charakterem.

Colleen uśmiechnęła się przez łzy, patrząc na nowe życie w swoich ramionach.

– Dziękuję Ci, Boże – wyszeptała Deirdre. Pochyliła się, by ucałować Colleen w głowę.

Następnie podeszła do Matthew i zarzuciła mu ramiona na szyję.

– I dziękuję tobie – powiedziała. – Uratowałeś dziecku życie.

Zalała go fala euforii i ulgi, gdy trzymał tak kurczowo Deirdre. Stali przytuleni i przytłoczeni

ogromem przeżyć. Wdychał jej zapach, a ich serca biły w duecie. Po chwili, choć wcale tego nie chciał, wypuścił ją z objęć i rzekł:

– Chyba powinniśmy powiedzieć ojcu.

Matthew odnalazł Rylana, który wciąż chodził nerwowo po korytarzu.

– Wejdz i poznaj swoją nowo narodzoną córeczkę.

Po policzkach mężczyzny natychmiast polały się łzy.

– Wszystko w porządku z matką i dzieckiem?

Matthew uśmiechnął się.

– W jak najlepszym.

– Dziękuję, doktorze. Dziękuję. – Rylan uściśnął dłoń doktora i pobiegł do pokoju.

Matthew wziął głęboki wdech, a następnie powoli wypuścił powietrze. A razem z nim modlitwę dziękczynną do najłaskawszego Boga, który prowadził jego ręce i jego oddech, gdy ratował życie dziecka.

Naprawdę bycie lekarzem to współpraca najlepszego gatunku.



Pantofle Deirdre nie wydawały najmniejszego dźwięku, gdy schodziła tylnymi schodami, kierując się do kuchni. Po całym tym podekscytowaniu jej umysł był zbyt pobudzony, by mogła zasnąć, więc miała nadzieję, że trochę ciepłego mleka pozwoli jej się uspokoić.

Wdzięczna za światło, którego pani Harrison nie gasiła, Deirdre podeszła do lodówki i wzięła butelkę mleka. Nalała sobie trochę do rondelka i postawiła na małym ogniu na kuchni.

Zawiązując mocniej szlafrok, oparła się o blat i uśmiechnęła, przypominając sobie cud, którego świadkiem była dzisiaj. Radość malująca się na twarzach jej siostry i Rylana, gdy wpatrywali się w najdroższą córeczkę, nie dała się nawet wyrazić słowami.

Oczy zapiekły ją na samo wspomnienie. Czy kiedykolwiek dane jej będzie doświadczyć takiej radości, takiego spełnienia? Daru męża, który będzie tak w nią zapatrzony i pełen dumy, że trudno mu będzie się powstrzymać przed okazywaniem tego?

Mimo woli przyszedł jej na myśl Matthew i westchnęła cicho. Był taki cudowny tego wieczoru. Pomimo początkowego niepokoju, sprostał wyzwaniu i poprowadził je przez ten poród z pewnością siebie, która wzbudzała całkowite zaufanie. I ocalił życie jej siostrzenicy, szybko reagując na zawiniętą pępowinę i pomagając dziecku wziąć pierwszy oddech.

Ponadto nie wyczuwała u niego arogancji. Wykazywał pokorę, która bardzo jej imponowała. Silny i delikatny, przytomny i życzliwy. Matthew ucieleśniał wszystkie pozytywne cechy, które powinien mieć dobry lekarz.

A także dobry mąż.

Deirdre zamieszała mleko, próbując zignorować fakt, że za parę krótkich godzin Matthew wyjedzie na pociąg i ona będzie się musiała znowu z nim pożegnać – tym razem na zawsze.

Boże, daj mi siłę, żebym umiała przez to przejść.

Mleko zaczęło kipieć. Deirdre zgasiła płomień i naląła sobie ciepłego płynu do dużego kubka. Sięgnęła po łynek do cynamonu i obficie posypała przyprawą spienione mleko.

Uniosła kubek, by delektować się miłym aromatem.

Na podłogę padł jakiś cień i do kuchni wszedł Matthew. Ze zmieszaniem wzruszył ramionami, mówiąc:

– Wygląda na to, że oboje wpadliśmy na ten sam pomysł.

Serce Deirdre podskoczyło w piersi. Jego złotobrzowe włosy były zmierzwione ponad czołem, a kraciasty szlafrok mocno zawiązany w pasie. Blask od lampy odbijał się łagodnie od jego przystojnej twarzy.

Pocierając dłonią kark, powiedział:

– Wciąż na nowo przeżywam wydarzenia dzisiejszego wieczoru, jakby w mojej głowie odtwarzał się jakiś film. Pomyślałem sobie, że ciepłe mleko mogłoby mi pomóc.

Uśmiechnęła się.

– Podzielę się z tobą. Zrobiłam więcej, niż potrzeba dla jednej osoby.

Sięgnęła po kolejny kubek i wlała do niego połowę ze swojego. Podając mu, zawahała się.

– Och, powinnam była zapytać, czy lubisz cynamon.

Otulił rękami jej dłonie, w których wciąż trzymała ciepłe naczynie.

– Uwielbiam cynamon – odrzekł, nie spuszczać wzroku z jej spojrzenia. – Przypomina mi o tobie.

Kciukiem gładził wierzch jej dłoni, aż poczuła miłe mrowienie w rękach. W słabym świetle jego oczy wydawały się ciemniejsze, niczym kobalt. Nie była w stanie zebrać myśli, żeby cokolwiek powiedzieć.

Wziął od niej kubek i upił łyk.

– Mmm. Bardzo dobre.

– Dziękuję. – Łyknęła szybko ze swojego kubka.

Matthew odstawił naczynie na blat i przysunął się bliżej.

– Cieszę się, że mamy możliwość porozmawiać przed... jutrem.

Przed twoim wyjazdem.

– Chciałem ci podziękować – mówił dalej. – Nie dałbym rady przyjąć tego porodu bez ciebie.

– Oczywiście, że byś dał. Byłaś wspaniałą. Prawdziwy przykład idealnego zachowania w trudnej sytuacji.

– Jeśli ktokolwiek był przykładem idealnego zachowania w trudnej sytuacji, to byłaś to ty. Ale w sumie trzeba powiedzieć, że to Bóg przeprowadził nas przez to.

Uśmiechnęła się, a jej serce wypełniło się radością.

– To jedno, czego nie uczą w szkołach. Że każde leczenie należy zacząć od modlitwy.

Wziął jej dłoń w swoje ręce.

– Dziękuję ci, Deirdre, za to, że wierzyłaś we mnie. Twoja wiara w moje kompetencje przyniosła mi pewność siebie.

Uśmiechnęła się drżącymi wargami, tak bardzo wdzięczna, że mogła obdarować go czymś podczas wspólnie spędzonych chwil.

– Chyba tworzyliśmy niezły zespół.

– O tak, bez wątpienia.

Przeplýwał między nimi jakiś prąd. Mogła niemalże poczuć, jak jego serce wali pod szlafrokiem. Westchnęła cicho.

– Dziękuję Bogu, że postawił cię na mojej drodze, Matthew. I życzę tobie i Phoebe szczęścia w życiu.

Zawahał się, a tysiąc niewypowiedzianych słów kłębiło się w głębi jego spojrzenia.

– I ja tobie, Deirdre. Mam nadzieję, że znajdziesz spełnienie w swojej karierze zawodowej. – Wyciągnął rękę i pogładził jej warkocz.

Serce trzepotało jej w piersi. Potrzebowała tego ostatniego pocałunku, by zapamiętać go do końca życia.

Westchnąwszy, ujęła poły jego szlafroka i wspięła się na palce, by ich usta były na tym samym poziomie. Wstrzymała się na chwilę, czekając, czy jej nie odepchnie, i szukając w jego spojrzeniu przyzwolenia. Przyciągnął ją do siebie i jęknąwszy, pocałował. Jej ramiona oplóły jego szyję. Wsunęła palce w jego włosy. On jedną dłonią ujął jej policzek i całował skronie, oczy, a potem znów napawał się smakiem jej ust.

Kocham cię. Niewypowiedziane słowa drżały w jej duszy, błagając o to, by wybrzmiały na głos,

ale się nie ośmieliła, wiedząc, że nie byłyby mile widziane. Zamiast tego wpatrywała się, zapamiętując jego rysy twarzy, smak jego ust i gwałtowne bicie jego serca tak blisko jej piersi.

Kiedy już zaczęła się obawiać, że nogi odmówią jej posłuszeństwa, puścił ją. Poczula powiew chłodnego powietrza między nimi, gdy cofnął się o krok. Wszystko w niej krzychało w proteście.

Nie odchodź – chciała błagać, ale jej droga biegła w innym kierunku, podczas gdy on musiał wracać do Toronto.

To był cudowny czas, wytchnienie od świata, ale tu właśnie dobiegał końca.

– Dobrej nocy, Deirdre – powiedział, a jego głos wypełniał żal. – Życzę ci dobrych snów... dzisiaj i na zawsze.

– Ja tobie także, Matthew.

Stał w wejściu otoczony nimbem światła. A potem, uśmiechnąwszy się po raz ostatni, zniknął.

Całą noc Jo prześladowały koszmary o tym, jak pan O'Leary wyrzuca ją z Irlandzkich Łąk, więc zrezygnowała już ze snu i wstała wcześniej rano, zanim jeszcze którekolwiek z dzieci się obudziło. Wyglądało na to, że bożonarodzeniowe świętowanie nieźle je zmęczyło, co było dobrą zapowiedzią, bo dzięki temu mogła mieć spokojny początek dnia.

Szybko zaplotła włosy w warkocz, rozmyślając o Connorze, który odwiózł ją taki szmat drogi aż tutaj. Czy wrócił bezpiecznie do domu? Czy rozmówił się z ojcem od razu po powrocie, czy też zaczął do dzisiaj?

Westchnąwszy, zeszła tylnymi schodami, zamierzając przygotować śniadanie dla wszystkich.

Weszła do kuchni i stłumiła okrzyk.

Przy kuchence stał Connor z podwiniętymi za łokcie rękawami i trzymał w dłoni szpatułkę nad żeliwną patelnię.

– Connorze! Co ty tutaj robisz?

Odwrócił się z uśmiechem.

– Dzień dobry, Jo. Mam nadzieję, że dobrze spałaś. – Odwrócił kilka jajek na patelni i odłożył narzędzie. – Kiedy odwoziłem cię wczoraj w nocy, uświadomiłem sobie, że w domu Colleen nie ma nikogo, a ktoś musi się zająć ich biednym starym psem, Chesterem. Na szczęście wiedziałem, gdzie chowają zapasowe klucze.

Jo przeszła do dużego pokoju, a w brzuchu zaburczało jej na pyszny zapach smażonej szynki i jajek. Czajnik z kawą grzał się na wolnym ogniu z tyłu kuchenki.

– Przypomniało mi się też – mówił dalej, wyciągając kubek – że Colleen zawsze daje pani Norton kilka dni wolnego na święta, a ponieważ moja siostra została w Irlandzkich Łąkach, ktoś musi przygotować śniadanie. Zjawiłem się tu w ostatniej chwili, zanim zakonnice musiałyby się za to zabrać. Były bardzo zadowolone, że wzięłem to na siebie i będą miały dodatkowy czas na poranne modlitwy.

Connor wysunął dla niej krzesło zza stołu. Usiadła twarzą do kuchni i nalała sobie kubek kawy.

– Przyszło mi również do głowy podczas tych najwcześniejszych godzin, że musimy sobie wyjaśnić jeszcze kilka rzeczy. Żeby uniknąć na przyszłość wszelkich nieporozumień.

Zmarszczyła czoło.

– Jakich nieporozumień?

Cofnął się w stronę kuchenki, odwrócił kilka kawałków wędliny i zmniejszył ogień. Wprawnymi ruchami zsunął jajka i szynkę na dwa talerze, a następnie postawił je na stole.

Potem usiadł na krześle obok niej.

– Jeśli nie masz nic przeciwko – rzekł z uśmiechem – zamierzam powiedzieć ojcu, że chcę cię poślubić. I począwszy od dzisiaj, chciałbym starać się o ciebie tak, jak na to zasługujesz.

Serce zaczęło jej bić jak oszalałe. Chciała się uszczypnąć, żeby sprawdzić, czy to nie był jakiś dalszy ciąg jej zwariowanych snów.

– To głupie, Connorze. Nie możesz mnie poślubić.

– Dlaczego nie?

– Bo... – W jej głowie panowała pustka. – Bo twoja rodzina tego nie zaakceptuje.

– Tylko mój ojciec ma coś przeciw i zostanie to rozwiązane w czasie, gdy będę się starał o twoją rękę. – Nabrał pełen widelec i podniósł do ust, nie odrywając od niej wzroku, a w jego orzechowych oczach błyskały iskierki.

– A co, jeśli nie zmieni zdania?

– Nie będzie miał wyboru. – Connor wziął haust kawy. – Bo gdy tylko cię lepiej pozna, zrozumie, dlaczego jestem w tobie kompletnie zakochany.

Zasłoniła usta dłonią i pod jej rzęsami natychmiast wezbrały łzy.

– Nie mówisz poważnie.

Jego uśmiech zbladł, a w oczach zapłonęło ogromne przejęcie.

– Jeszcze nigdy w życiu nie byłem bardziej poważny. Kocham cię, Jo, i wiem, że strasznie namieszałem, ale chcę to jakoś naprawić. – Przerwał, szukając wzrokiem jej spojrzenia. – Oczywiście, o ile tylko się nie mylę, iż nie jestem ci obojętny. – Na jego czole zarysowała się głęboka zmarszczka. – Mylę się? – zapytał gardłowym głosem.

Kolejne łzy popłynęły jej po policzkach i kręcąc głową, rzekła:

– Nie mylisz się.

– Dzięki Bogu! – Wstał i podniósł ją na nogi. Wpatrując się w nią, starł z jej policzka mokry ślad, a potem powoli zbliżył swoje usta do jej warg.

Całował ją z taką czułością, że zniknął wszelki sprzeciw, wszelka myśl.

Gdy się odsunęła, oddychała nierówno.

– Jesteś tego pewien? Bo ja nie chcę mieć znów złamanego serca, gdy stwierdzisz, że się pomyliłeś, albo nie otrzymamy aprobaty ze strony twojej rodziny.

Przesunął palcem po jej policzku.

– Jeśli kiedykolwiek będę musiał wybierać pomiędzy rodziną a tobą, wybiorę cię, Jo. Na dobre

i na złe moje serce należy do ciebie. Jeśli oczywiście tylko chcesz.

– Och, Connorze! – Trysnęły kolejne łzy. – Ja też cię Kocham.

Pocałowała go znowu, a gdy odsunęli się od siebie, on uśmiechnął się szeroko.

– Obiecuj mi jedno – powiedział.

– Co tylko chcesz.

– Nie wyrzucisz tego wielkiego, wstrętnego kapelusza, który zawsze nosiłaś. Mile go wspominam.

Zachichotała i pacnęła go w ramię.

– Miałam go dać Sethowi, ale nie mogłam się z nim rozstać. Bo przypominał mi o chwilach, które spędziłam z tobą.

Pochwyił ją w kolejnym wspólnym pocałunku, który zakończył westchnieniem.

– Mógłbym to robić cały dzień, ale muszę wracać do domu. Ktoś musi rano odwiedzić doktora Clayborne'a na stację kolejową. – Wskazał ręką na kuchnię. – W piecu grzeje się półmisek smażonej szynki i jajecznicy dla reszty gromady.

Pocałował ją jeszcze raz i bez słów przeszli w stronę tylnych drzwi – nie wyglądałoby to stosownie, gdyby mężczyzna wychodził o tej porze głównym wejściem.

– Dziękuję za śniadanie – powiedziała zawstydzona.

Wzruszył ramionami i roześmiał się, zarzucając na ramiona płaszcz.

– To dopiero początek. Planuję wykorzystać wszystkie moje talenty, aby zawrócić ci w głowie.

Uśmiechnęła się, patrząc mu w oczy.

– Już to zrobiłeś, panie O'Leary. Już to zrobiłeś.

Matthew stał w drzwiach prowadzących z salonu państwa O'Leary na taras i patrzył w dal na zaśniewane przestrzenie, próbując jednocześnie poukładać myśli.

Wydarzenia zeszłego wieczoru nie dawały mu spokoju. Euforia, gdy był świadkiem przyjscia nowego życia na świat, radość współdzielenia tego wspaniałego momentu z Deirdre, ich cudowny pocałunek w kuchni. Jeszcze nigdy nie czuł się tak blisko drugiego człowieka... tak bardzo, że o mało co nie porzucił ostrożności i nie wyznał jej swoich uczuć. Jednak zachował na tyle przytomności i nie pozwolił, żeby emocje przyćmiły zdrowy rozsądek. W zamian spędził resztę nocy na czytaniu Biblii i modlitwie, próbując rozeznąć wolę Bożą dla siebie... i Deirdre.

Kiedy się modlił, jego głowy trzymały się mocno słowa Victora, który ponaglał go, by powiedział Deirdre prawdę i pozwolił jej samodzielnie podjąć decyzję co do jej przyszłości. Po tym ostatnim pocałunku dotarło do niego, jak słuszna to była rada. Deirdre zasługiwała na to, żeby dowiedzieć się, co do niej czuł. Jeśli go odrzuci, będzie cierpiał, ale przynajmniej oboje nie będą mogli mieć potem żalu. Nie będzie musiał się zastanawiać, co by było, gdyby wszystko powiedział.

A jednak było mu dużo trudniej, niż się spodziewał, zebrać w sobie na tyle odwagi, by odkryć przed nią serce.

Stare obawy i niepewności drwiły z niego. Czy w ogóle będzie kiedykolwiek dla niej wystarczająco dobry? Czy będzie umiała zaakceptować jego wady? Znosić jego błędy, gdy ją zawiedzie?

Przez Deirdre Matthew stał się innym człowiekiem. Takim, który stawiał dobro córki na pierwszym miejscu, ponad pracą, ponad własnymi potrzebami. I już nigdy więcej nie chciał ryzykować ich relacji.

Czy będzie umiał tak samo poświęcić się dla Deirdre, a jeśli tak, czy ich miłość wystarczy, by przetrwali razem życiowe próby?

Moja miłość cię wzmocni.

Serce ścisnęło mu się, gdy ta prawda do niego dotarła. W jego pierwszym małżeństwie nie było Boga. Głębokie życie duchowe Deirdre umocniło jego raczkującą wiarę – wiarę w Ojca, który da siłę i podtrzyma ich w małżeństwie, niezależnie od tego, co przyniesie przyszłość.

– Matthew?

Odwrócił się i zobaczył, że Deirdre wchodzi do pokoju. Poranne słońce tak cudownie igrało wśród jej kasztanowych pukli, że aż wstrzymał oddech na ten widok. Była ubrana w prostą spódnicę i bluzkę, ale jeszcze nigdy nie wyglądała piękniej.

Matthew wzniósł ku niebu ostatnią płomienną modlitwę, a potem podszedł, by się z nią przywitać.

– Dzień dobry. Mam nadzieję, że po tym wszystkim udało ci się choć trochę wyspać.

– Tak. Jesteś gotowy do drogi? – Uśmiechnęła się, choć w jej oczach czaił się smutek.

Wyglądała na tak zrozpaczoną, że całym sercem pragnął ją pocałować. Wziąć ją w ramiona i już nigdy nie puszczać. Ale chciał, by wszystko odbyło się po kolei.

– Nie do końca – odparł. – Jeszcze muszę powiedzieć kilka rzeczy, zanim wyjadę.

Zmarszczyła brwi.

– O co chodzi? Masz taki poważny wyraz twarzy...

Podszedł bliżej.

– Nie mogę wyjechać, dopóki nie wyjawię ci prawdy.

Na jej twarzy mignęło zakłopotanie.

– Nie rozumiem.

Matthew sięgnął po jej dłoń i poprowadził ją na sofę.

– Proszę, wysłuchaj mnie, zanim cokolwiek powiesz.

Usiadł obok niej i wziął głęboki wdech, próbując znaleźć odpowiednie słowa.

– Od dnia, gdy cię poznałem, Deirdre O’Leary, nic w moim życiu nie było już takie samo. Zmieniłaś mnie tak bardzo, że nie jestem w stanie tego pojąć. Rozbudziłaś moją wiarę, przywróciłaś mi pewność siebie, pomogłaś Phoebe rozkwitnąć i... – Nabrał powietrza i powoli je wypuścił. – Nauczyłaś mnie kochać.

Deirdre zakryła dłonią drżące usta.

– Choć bardzo z tym walczyłem... – Przełknął, a jego głos przeszedł w szept. – Muszę chyba wyznać, że cię kocham. Pomyślałem, że masz prawo o tym wiedzieć. – Wstrzymał oddech, ledwie ośmielając się żywić nadzieję na to, co chciałby teraz usłyszeć.

W jej zielonych oczach widać było łzy.

– Och, Matthew – szepnęła. – Ja też cię kocham. Tak bardzo.

Wpatrywał się uporczywie w jej twarz, starając się zapamiętać każdy szczegół, każdą rzęsę, każdy fragment jej delikatnej skóry. Chciał zagubić się w głębi jej oczu. Oczu, które błyszczały miłością do niego.

Spojrzał na jej lekko rozchylone usta, które tak bardzo go przyciągały. Nie opierał się dłużej. Jej wargi stopiły się z jego ustami z taką intensywnością, że aż zrobiło mu się słabo. Smakowała słodczą i siłą. Jej zapach z nutką cynamonu i wanilii spowijał jego zmysły, a kosmyki jej włosów pieściły go po policzku. Zatracił się we wzburzonym morzu uczuć, jakich jeszcze nigdy nie doświadczył.

W jej pocałunku wyczuwał prawdziwą miłość i prawdziwą namiętność, bratnią duszę, z którą

mógł dzielić dobre i złe chwile. Wiedział, że razem pokonają każdą burzę.



Serce Deirdre wypełniło się taką radością, iż miała wrażenie, że zaraz pęknie. Ledwie była w stanie uwierzyć w to, co właśnie powiedział Matthew, choć pocałunek potwierdzał szczerść jego słów.

Chwilę wcześniej weszła do pokoju, żeby się z nim pożegnać na dobre. Ciężar tej chwili przygniatał jej duszę tak bardzo, że o mało nie stchórzyła i nie przeczekwała jego wyjazdu w swoim pokoju. Nie mogła jednak powstrzymać ogromnego pragnienia, by zobaczyć go po raz ostatni.

Teraz on puścił ją, westchnąwszy lekko i patrzył jej głęboko w oczy.

– Wiem, ile dla ciebie to znaczyło, aby zostać lekarzem, i nie chciałbym cię tego pozbawiać. Chętnie poczekam, jeśli tylko będziesz chciała.

Wpatrując się w oszołomieniu w jego regularne rysy, próbowała zrozumieć, co do niej mówił.

– Czy ty... czy ty prosisz mnie, żebym za ciebie wyszła?

Uśmiechnął się.

– Docelowo tak... kiedy skończysz edukację.

– Ale to może trwać latami. – Wstała z sofy i podeszła do kominka, a jej dusza drżała na samą myśl o tym. Tyle cennych lat zmarnowanych. Przegapione dzieciństwo Phoebe.

Fakt, że zależało mu na niej na tyle, by uwzględnić jej marzenia, sprawiał, że czuła wobec niego jeszcze większą miłość.

Matthew podniósł się i stanął obok.

– Czy rozważyłabyś zmianę uczelni na uniwersytet w Toronto? – zapytał delikatnie. – W ten sposób mogłabyś stanowić ważną część naszego życia.

– Nie, Matthew. To nie wystarczy. – Uniosła brodę, mierząc go pełnym zdecydowania wzrokiem, który wyrażał to, co czuła. – Phoebe potrzebuje mnie teraz. Moja kariera może poczekać.

Zmarszczył brwi.

– Ale jeśli wyjdiesz za mnie, zaprzepaszczysz swoją szansę na medycynę. Wiesz, że nie przyjmują mężatek.

Deirdre wygładziła przód bluzki, pod którą bicie jej serca zaprzeczało zewnętrznemu spokojowi.

– Ostatnio uświadomiłam sobie, że zostanie lekarzem nie jest już dla mnie tak istotne jak kiedyś. Gdy ciocia Fiona powiedziała mi, że znalazła dla mnie miejsce, nie czułam... nic. Na pewno nie radość, której mogłam się spodziewać. – Ujęła jego dłoń i przycisnęła do swojego policzka. – Teraz to przebywanie z tobą i Phoebe daje mi radość. A kto wie, może kiedyś przepisy dotyczące kobiet lekarzy się zmienią.

Jego pełne troski oczy szukały jej spojrzenia.

– Jesteś pewna? Nie chciałbym, żebyś potem żywiła do mnie urazę za to, że zniszczyłem twoje marzenia.

Uśmiechnęła się, bo jego troska przepelniła ją czułością.

– Marzenia mogą się zmieniać, Matthew. Po prostu zamieniłam jedno marzenie na inne. – Zbliżyła swoje usta do jego, wlewając w pocałunek całą swoją miłość.

Kiedy się rozłączyli, pokręcił głową.

– Ale wiesz, że na pewno cię rozczaruję, że nieumyślnie mogę cię zranić, zaniedbywać twoje potrzeby...

– Ja pewnie nieraz uczynię tak samo wobec ciebie. Nie ma idealnego małżeństwa. I dlatego potrzebujemy Boga, żeby umocnił naszą więź. Pomoże nam wybaczać sobie nawzajem błędy i pamiętać, czym jest prawdziwa miłość.

Jego twarz wydawała się promieniować nadzieją, jakby w końcu uwierzył, że mogą być razem.

– Jeśli jesteś pewna, że chcesz zrezygnować z medycyny, mam pomysł. – Ich palce się splotły. – Niektórzy pacjenci w mojej nowej klinice to będą dzieci, a wiem, że chciałaś pracować jako pediatra. Czy chciałabyś pomagać mi... nawet na niepełny etat?

Zamrugnęła z zaskoczeniem.

– Chcesz ze mną pracować? – Przeszył ją dreszcz na myśl, że Matthew cenił ją nie tylko jako kobietę, ale i współpracowniczkę, że chciał, by pracowała u jego boku.

– Absolutnie tak! To byłby grzech marnować twój dyplom pielęgniarski i te zdolności medyczne. Myślę, że już dowiedliśmy, iż stworzymy wyjątkowy zespół. – Mrugnął do niej zuchwale. – Na więcej niż jeden sposób.

Powstrzymała się od śmiechu.

– Ależ, doktorze Clayborne, czy to nie są niewłaściwe propozycje wobec pracownicy?

Uśmiechając się, przyciągnął ją z powrotem do piersi.

– Tak, i zamierzam dalej to czynić przez długi czas. Jeśli tylko przyjmiesz moje oświadczenia, oczywiście. – Uniósł brew, a w jego spojrzeniu igrały ogniki szczęścia.

Nagle jej oczy wypełniły się łzami i przelknęła napływające do gardła emocje. Bóg odpowiedział na jej modlitwy i dał jej to, czego najbardziej pragnęło jej serce.

– To będzie dla mnie zaszczyt zostać twoją żoną, Matthew. Kocham ciebie i Phoebe bardziej, niż jestem w stanie wyrazić.

Ulga rozlała się na jego twarzy i uśmiechając się, powiedział:

– Cóż, skoro twierdzisz, że brakuje ci słów, możesz mi to powiedzieć w inny sposób.

Z jego oczu biła czysta miłość, gdy zwarli usta w kolejnym pocałunku, który przypieczętował przysięgę miłości.

Connor czuł, że rozpira go radość. Wszedł do domu, w którym wciąż panowała cisza z powodu wczesnej godziny, i przygotował się na spotkanie z ojcem. Lepiej od razu powiedzieć, co miał do powiedzenia.

Zajrzał do salonu, spodziewając się, że tata może tam czytać poranną gazetę, ale zastał w środku jedynie Deirdre i doktora Clayborne'a. Oboje wydawali się tak pogrążeni w emocjonalnej rozmowie, że po cichu wymknął się z powrotem na korytarz i do jadalni. Tata siedział sam przy stole nad kawą. Też dobrze. Connor nie chciał, by mama uczestniczyła w tej rozmowie.

– Dzień dobry, Connorze – przywitał się tata, gdy tylko spostrzegł syna. Przyjrzał mu się uważnie i zmarszczył brwi. – Byłeś poza domem całą noc?

Connor zignorował pytanie i wysunął sobie krzesło.

– Musimy porozmawiać.

Tata odłożył gazetę na bok.

– Dobrze. Z czym przychodzisz?

Tym razem Connor czuł się spokojny i pewny siebie. Nie pozwalał, by emocje wzięły górę.

– Po pierwsze, chciałbym, żebyś wiedział, że kocham Josephine Miller i zamierzam ją poślubić. Po drugie, jesteś winien Jo przeprosiny za to, jak ją potraktowałeś wczoraj wieczorem. Nie pozwolę, żebyś poniżał kobietę, którą kocham. – Odchylił się do tyłu i założył ręce na piersi. – Jeśli nie potrafisz tego przyjąć, jestem gotów natychmiast złożyć rezygnację i poszukać sobie innego miejsca do życia. – Connor był dumny, że udało mu się zachować spokojny ton.

Tata obserwował go, a potem rzekł:

– Skończyłeś?

– Myślę, że to wystarczy, tak.

– Dobrze. W takim razie przeproszę Josephine następnym razem, gdy ją spotkam.

Connor wznosił brwi w zaskoczeniu.

– Tak po prostu?

– Nie mam skrupułów, jeśli chodzi o przeprosiny. Miałem powód, by powiedzieć to, co powiedziałem, i skoro twoja dama zdała test celująco, mogę teraz naprawić nasze stosunki.

– Jaki test?

– Chciałem upewnić się, jakie są jej prawdziwe intencje... zobaczyć, czy naprawdę jej na tobie zależy, czy tylko próbuje złowić bogatego męża. Tak żarliwie cię broniła, że już teraz wszystko wiem. No i fakt, że odmówiła ci, gdy się jej oświadczyłeś... – Na twarzy taty rozciągnął się uśmiech. – Lubię kobiety z charakterem. Myślę, że panna Miller będzie doskonale pasować do naszej rodziny.

Connor rozdziawił usta. Z pewnością nie takiego obrotu sprawy się spodziewał. Zmarszczył czoło, wciąż niegotowy, żeby tak łatwo dać ojcu spokój.

– Jak mogłeś pozwolić Jo, żeby tak sama wyszła? Mogło jej się coś stać, gdybym jej nie znalazł.

Tata zaśmiał się.

– Spokojnie. Miałem za nią iść, ale Brianna powiedziała mi, że już pognałeś jej na ratunek. Nie chciałem wam popsuć tej chwili.

– Nie mogę wprost uwierzyć. – Connor drapał się po głowie. – Jesteś pewien, że nie masz nic przeciwko, żebym poślubił Jo?

– Tak. W zasadzie teraz, gdy udowodniłeś, że jesteś gotowy, wydaje mi się, że wskazany byłby jakiś awans. Co byś powiedział na posadę mastalerza?

Connor zamrugał.

– Ale to praca Sama.

– Wygląda na to, że Sam zdecydował się zostać u brata i pomóc mu w prowadzeniu rancza. Wróci za kilka tygodni, żeby dokończyć co trzeba, a potem wyprowadza się na dobre na Zachód.

Connor w niemałym osłupieniu wyciągnął rękę i powiedział:

– W takim razie przyjmuję tę posadę, sir. Z przyjemnością.

Tata wstał i uścisnął mu dłoń.

– Przepraszam, jeśli czułeś, że zbyt mocno na ciebie naciskałem. Czasami bycie synem szefa oznacza, że musisz pracować więcej, żeby udowodnić swoją wartość, ale zawsze wiedziałem, że sprostasz temu wyzwaniu. – Wziął Connora w mocny uścisk. – Jestem z ciebie dumny, synu. Nie tylko z tego, że jesteś dobrym trenerem, ale że jesteś szlachetnym człowiekiem.

Connor czuł, że ścisnęło go w gardle.

– Dziękuję, tato. Nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy.

Ojciec poklepał Connora po plecach.

– Hm, skoro ty i Gil zarządzacie Irlandzkimi Łąkami, może teraz mogę poświęcić więcej czasu na łowienie ryb... i flirtowanie z twoją mamą na huśtawce ogrodowej.

Connor roześmiał się w głos, wyobrażając sobie reakcję mamy na ten pomysł.



Po kolejnym pocałunku Matthew powoli wysunął się z upajającej bliskości Deirdre.

– Wybacz mi, moja kochana, ale muszę pomówić z twoim ojcem.

Jej oczy błysnęły figlarnie.

– Zamierzasz go prosić o moją rękę?

Uśmiechnąwszy się, przytknął jej palce do swoich ust.

– Tak należy uczynić.

Przyłgnęła do niego.

– Moglibyśmy zrobić coś szalonego i uciec.

– Liczysz na to, że mój zdrowy rozsądek utemperuje twoje porywy? Bo ostrzegam cię, że mogę zachowywać się teraz nierozsądnie.

Roześmiała się w głos.

– Chyba właśnie takiego cię lubię.

Ucałował ją delikatnie w usta.

– A co, jeśli tata się nie zgodzi? – droczyła się z nim.

Kąciki jego ust uniosły się wyraźnie.

– W takim wypadku bądź gotowa, żeby złapać swój bagaż, i uciekamy.

Zanim uległby pokusie, żeby znów ją całować, wyszedł z salonu w poszukiwaniu Jamesa. Zastał go w jego gabinecie, gdy ten wpatrywał się przez okno.

James odwrócił się i skinął głową.

– Matthew, gotowy do drogi?

Matthew założył za plecami ręce, które nagle zaczęły drżeć.

– Nie do końca. – Wił się pod spojrzeniem tego człowieka. – W zasadzie, sir, przyszedłem prosić o błogosławieństwo... by poślubić pańską córkę.

Jamesowi opadła szczęka.

– Niech mnie kule biją, Katie miała rację. – Przeszedł przez pokój w stronę Matthew. – Upierała

się, że Deirdre cię kocha, a ty ją, ale nie wierzyłem w to ani trochę. Choć oczywiście to wcale jej nie usprawiedliwia, że upozorowała swój upadek...

Matthew znieruchomiał.

– Co takiego?

James pokręcił głową.

– Niestety odkryłem prawdę dopiero po twoim przyjeździe. Colleen przekonała moją żonę do takiego planu, dzięki któremu miały cię tu ściągnąć. Namówiły nawet panią Johnston, żeby nocą przemycała Katie jedzenie. Ale nie mów nic Deirdre. Wścieknie się na nie.

Matthew wypuścił powietrze. Nie było teraz sensu się tym denerwować, zwłaszcza że sprawy się tak pomyślnie rozwiązały.

– Kathleen miała rację co do jednego. Kocham bardzo Deirdre. Potrzeba mi było trochę czasu, by odważyć się coś z tym zrobić.

James oparł się o biurko.

– A co z jej karierą zawodową? Rzuca wszystko?

– Nie do końca. Zaproponowałem jej, żeby pracowała w mojej klinice, którą otworzę. – Uśmiechnął się zachęcająco. – Widzę, że jestem dużo lepszym lekarzem, gdy mam u boku Deirdre. Nie mam wątpliwości, że nasze relacje będą udane we wszystkich obszarach wspólnego życia.

Widać było, jak szeroka pierś Jamesa uniosła się pod kamizelką i opadła.

– Sam Bóg wie, jakim poważaniem cię darzę, Matthew. I jeśli tylko Deirdre tego pragnie, cóż... nie zamierzam stawiać jej żadnych przeszkód. – Drgnął mu mięsień szczęki. – Zawsze pragnąłem jej szczęścia.

– I tu się stanowczo zgadzamy.

James wyciągnął rękę.

– W takim razie macie moje błogosławieństwo. Witaj w rodzinie, synu.

Matthew przełknął z trudem i uściskał jego dłoń.

– Dziękuję, sir, to dla mnie bardzo ważne.

– Jest jeszcze jedna sprawa, zanim wyjedziesz. – James wrócił do biurka i podniósł kopertę. – Najwyraźniej przeoczyliśmy jedną drobną kwestię, jaką jest twoje wynagrodzenie.

Matthew zamarł. Zupełnie zapomniał o zapłacie, tak bardzo pochłonięty był sprawami rodziny O'Leary. Machnął ręką.

– Nie mógłbym, sir. Jesteśmy teraz rodziną.

– Nonsens! Obiecałem ci znaczne wynagrodzenie za to, że zostawisz swoją praktykę i poświęcisz czas Kathleen. Nalegam, byś to przyjął. – Wetknął kopertę w dłoń Matthew. – Mam nadzieję, że to pomoże ci w założeniu twojej kliniki.

Drżącymi dłońmi Matthew wyjął czek i rozdziawił usta.

– Nie na taką zapłatę się umawialiśmy. W zasadzie to ponad dwukrotność tej kwoty.

– To tylko ułamek tego, co wart jest powrót do zdrowia mojej żony. Potraktuj to jako inwestycję w przyszłość mojej córki. – James puścił do niego oko. – A teraz weź Deirdre i podzielcie się tą dobrą nowiną z Katie.

EPILOG

CZERWIEC 1923

Deirdre siedziała przed toaletką w swoim pokoju z dzieciństwa i czesała włosy. Zaczynała odczuwać rosnącą niecierpliwość – nie tylko z powodu wspaniałych uroczystości, które na nich czekały, ale również ze względu na małą niespodziankę, jaką zaplanowała dla Matthew. Bardzo na czasie, biorąc pod uwagę to, że dzisiaj trójka nowych członków rodziny O’Leary miała zostać ochrzczona: syn Brianny i Gila – Theodore James, córka Maggie i Adama – Katie Annabelle oraz radość Colleen – Madeline Deirdre.

Uśmiechnęła się na wspomnienie tego miłego gestu wobec niej i Matthew.

– Madeline to najbliższe Matthew żeńskie imię, jakie udało mi się znaleźć – wyjaśniła im Colleen.

Fakt, że wstrzymała się z chrztem Madeline do czasu, aż Deirdre i Matthew mogli przyjechać, znaczył dla nich bardzo wiele.

Choć Deirdre pokochała swoje nowe życie w Toronto jako pani Clayborne, musiała przyznać, że brakowało jej Irlandzkich Łąg i rodziny. A dzięki wujkowi Victorowi, który teraz był współwłaścicielem kliniki Matthew, udało im się zaplanować dwutygodniowy urlop.

Jeśli nie liczyć chwilowego smutku z powodu tego, że Łatek musiał zostać z panią Potts, Phoebe była z nich wszystkich najbardziej podekscytowana wyjazdem. Spakowała swoją walizkę już na tydzień przed podróżą. Przemiany, które widać było u tej kochanej dziewczynki, utwierdzały Deirdre w przekonaniu, że podjęła właściwą decyzję. Drzwi do pokoju otworzyły się nagle i wtargnęła Phoebe, niosąc olbrzymie pudło z wielką różową kokardą.

– Mamusiu, mam dla ciebie prezent. – Sapnąwszy, położyła pudło na łóżku.

Deirdre zawiązała mocniej pasek szlafroka i wstała od lustra.

– Prezent? Dla mnie? Co to? Przecież to nie są moje urodziny ani święta.

Phoebe zachichotała.

– To od tatusia. Powiedział, że to dlatego, że cię kocha.

Dreszcz przebiegł Deirdre po plecach i nawet nie starała się ukryć szerokiego uśmiechu.

Matthew stanął w otwartych drzwiach z równie dużym uśmiechem.

– Hm, pani Clayborne, nie zamierza pani otworzyć pudełka?

– Może powinnam poczekać i otworzyć go, gdy będę sama? – Mruknęła do niego porozumiewawczo.

W jego wzroku mogła teraz dostrzec głębię uczuć. Podeszedł bliżej i rzekł:

– Doceniam, że się zastanawiasz, zanim zaczniesz działać, ale wydaje mi się, że w tym wypadku wolałabyś raczej otworzyć go prędzej niż później.

– Proszę, mamó. Chcę zobaczyć suknię. – Phoebe zasłoniła dłonią usta. – Oj, miałam ci nie mówić.

Deirdre roześmiała się.

– W porządku. I tak się domyślałam, że to może być coś do ubrania. – Zerknęła na Matthew. – Ale ja już mam strój na dzisiaj.

– Jestem w zupełności przekonany, że zmienisz zdanie, gdy tylko ją zobaczysz.

Coś w jego spojrzeniu wzbudziło jej czujność. Drżącymi palcami rozwiązała kokardę i odkryła wieko. Pod warstwą materiału dostrzegła najpiękniejszą białą satynę. Ostrożnie odwinęła suknię i wpatrywała się z otwartymi ustami w koronkowy gorset.

– Co to jest, Matthew? – wyszeptała. – To wygląda jak... suknia ślubna.

– Zgadza się. – Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Nie rozumiem.

– Będzie ślub, mamusiu. A ja będę sypać kwiatki. – Phoebe śmiała się i obracała tak, że jej sukienka powiewała.

Deirdre przysiadła na łóżku z piękną kreacją kurczowo przytuloną do piersi.

– Ale my już wzięliśmy ślub.

Niedługo po tym, gdy wrócili do Toronto, pani Potts rozchorowała się i musiała mieć operację, a potem czekał ją długi okres rekonwalescencji. Deirdre opiekowała się Phoebe w ciągu dnia, ale ze względu na nieobecność pani Potts oraz wydłużające się godziny pracy Matthew przed otwarciem kliniki kwestia nocy stała się problematyczna. Ciocia Maimie zaproponowała, że może wziąć Phoebe do czasu, aż Matthew zatrudni kogoś, ale Deirdre czuła, że najbardziej praktycznym rozwiązaniem będzie, jeśli ona poślubi Matthew wcześniej, niż zakładali, i przeprowadzi się do jego domu. Po pewnym czasie perswazji Matthew w końcu dostrzegł zalety jej pomysłu i zorganizował szybką, prywatną uroczystość, choć wiedziała, że żałował tego bardziej niż ona. Lekkie rozczarowanie związane z nieobecnością jej rodziny zostało jednak szybko przyćmione szczęściem zostania żoną Matthew.

– Phoebe, czy mogłabyś, proszę, przynieść drugą część prezentu? – Matthew nie spuszczał wzroku z twarzy Deirdre.

– Dobrze, tatusiu. – Dziewczynka wybiegła z pokoju.

Matthew usiadł obok Deirdre.

– Kiedy się pobieraliśmy w kaplicy na plebanii i tylko Victor i Maimie mogli być świadkami

naszego ślubu, przyrzekłem sobie, że ci to wynagrodzę. Dzisiaj jest właśnie ten dzień.

– Och, Matthew. – Łzy stanęły jej w gardle.

Wyciągnął ręce i ujął jej twarz w dłonie.

– Czy wyjdiesz za mnie ponownie, Deirdre, przed całą swoją rodziną? – W jego niebieskich oczach błysnęły łzy.

– Mogę za ciebie wychodzić ponownie każdego dnia, jeśli tylko będziesz chciał – wyszeptała.

Przysunął jej twarz i ucałował ją tak czule, że łzy, które udawało się jej zatrzymać pod powiekami, popłynęły teraz po policzkach. Gdy w końcu uniósł głowę, otarł kciukami mokre ślady z jej twarzy.

– A co z chrzciniami? – zapytała słabym głosem.

Uśmiechnął się.

– Tak naprawdę to są zaplanowane na następną sobotę. Kiedy wrócimy z naszej podróży poślubnej.

Matthew roześmiał się w odpowiedzi na jej zaszokowanie.

– Twoi rodzice stwierdzili, że należy się nam trochę czasu dla siebie i łaskawie obdarowali nas tygodniowym pobytem w hotelu Vanderbilt na Manhattanie.

Zamrugła zaskoczona. Była jednak trochę rozdarta, bo cieszyła się na myśl o tych chwilach z Matthew, a jednocześnie odczuwała rozczarowanie, że nie spędzi tego czasu z rodziną.

– Jednakże powiedziałem im, że znając moją żonę, nie będzie chciała tak długo być z dala od Phoebe i swojej rodziny, więc zgodziliśmy się na dwie noce.

Rzuciła mu ramiona na szyję.

– Tak bardzo cię kocham!

Roześmiał się znowu.

– Dobrze, no to wybierajmy się już odnowić naszą przysięgę. Wielebny Filmore już czeka.

– Tak samo jak i goście. – Brianna wpadła do pokoju razem z Colleen, Maggie i Phoebe. Niosły kwiaty i jeszcze dwa pudła.

– Twój mąż pomyślał prawie o wszystkim, a resztę zapewniłyśmy my. A teraz, jeśli pan wybaczy, musimy przygotować pannę młodą.



Dwie godziny później odziany w najlepszy garnitur i krawat, Matthew stał przed ołtarzem kościoła Świętej Rity. Żołądek miał ściśnięty ze zniecierpliwienia, gdy czekał, aż goście i Phoebe wejdą

głównym przejściem i zajmą miejsca. Potem rozbrzmiała muzyka i w wejściu pojawiła się Deirdre z Jamesem. Była tak piękna, że aż zapierało dech w piersi. Rozległy się stłumione okrzyki zachwytu i szepty, kiedy przechodziła do przodu kościoła. Matthew w myślach dziękował Briannie za to, że wybrała tak piękną suknię.

Satyna idealnie układała się na figurze Deirdre. Pod cieniutkim welonem widać było jej promieniejącą twarz, gdy tak dostojnie zmierzała w jego kierunku oparta na ramieniu Jamesa.

Kiedy doszli do ołtarza, James zatrzymał się i uniósłszy welon, ucałował ją w policzek, a potem przekazał ją Matthew.

Oczy Deirdre błyszczały jeszcze jaśniej niż migoczące kościelne świece. Podała Briannie bukiet do potrzymania i wsunęła swoją dłoń w jego rękę. Wciąż nie wierzył, że ona go kocha, że jest jego. Że będzie miał przywilej spędzenia z nią reszty życia.

Był tak skupiony na swojej małżonce, że niewiele zapamiętał z kazania księdza Filmore'a. Oprzytomniał dopiero, gdy przyszedł czas na odnowienie przysięgi.

Przełknął i spojrzał głęboko w oczy ukochanej.

– Ja, Matthew Edward Clayborne, biorę sobie ciebie, Deirdre Bridget O'Leary, za żonę, od dzisiaj na wieki wieków, na dobre i złe, w bogactwie i biedzie, w zdrowiu i chorobie. I ślubuję cię kochać, szanować, troszczyć się o ciebie i bronić, dopóki śmierć nas nie rozłączy. Tak mi dopomóż Bóg.

Deirdre uściśniła jego dłoń, a jej usta drżały.

Kiedy ksiądz wskazał na Deirdre, zawahała się na chwilę. Obróciła się i wyciągnęła rękę w stronę Phoebe, która siedziała w pierwszym rzędzie z Kathleen i Jamesem. Rozpromieniona dziewczynka podbiegła do boku Deirdre.

Panna młoda zerknęła na wielbnego Filmore'a i dodała:

– Myślę, że Phoebe powinna tu być z nami, gdyż jest tak samo ważna w tej uroczystości jak my.

Matthew jeszcze nigdy nie czuł większej miłości do Deirdre niż w tej chwili.

Deirdre skrzyżowała z nim spojrzenie i wypowiedziała te same śluby. W kościele nastała cisza. W tym świętym miejscu ich odnowiona przysięga miłości zabrzmiała jeszcze uroczyściej.

Matthew wpatrywał się w ukochaną twarz, aż w końcu ksiądz Filmore ogłosił ich mężem i żoną i pozwolił pocałować pannę młodą, z czego Matthew chętnie skorzystał, złączając z żoną usta w tkliwym pocałunku.

Kiedy poczuł, że ktoś ciągnie go za marynarkę, zwrócił wzrok na Phoebe i wziął ją na rękę. Wybuchnął aplauz i wielbny Filmore pozwolił doktorowi, pani i panience Clayborne wrócić na swoje miejsca.

Gdy szli przez środek, Matthew wznosił oczy ku sklepieniu i z głębi serca skierował do Boga dziękczynną modlitwę za to, że dał mu taką miłość w życiu.

I że zmienił go na tyle, by mógł ją przyjąć.

☞☞☞
Kilka godzin później Matthew stał na tarasie w Irlandzkich Łąkach i obserwował gości. Dom był pełen śmiechów i szczęścia. Czuł zadowolenie, gdy patrzył, jak Deirdre przemyka od jednej do drugiej osoby, witając się z każdym. Choć twierdziła, że nie przeszkadzała jej skromna uroczystość w Toronto, Matthew cieszył się, że udało mu się zorganizować dla niej tę niespodziankę w parafii, w której dorastała.

– Tu jesteś. – Deirdre podeszła i stanęła obok niego przy kamiennej barierce. Położywszy dłoń na jego ramieniu, rzekła: – Jesteś taki zamyślony. Czy wszystko w porządku?

Skierował do niej uśmiech.

– Idealnie. Nigdy nie sądziłem, że można być tak szczęśliwym.

– Ja również – wyszeptała i stając na palcach, ucałowała go w usta. – Dziękuję ci. Dokładnie tak zawsze wyobrażałam sobie dzień moich zaślubin. – Uśmiechnęła się szeroko. – Cóż, może poza jednym wyjątkiem.

Matthew zmarszczył czoło.

– Jakim wyjątkiem?

– W zasadzie to planowałam ci powiedzieć po chrzcinach, ale ślub pozmieniał wszystko.

Serce mu zamarło.

– O czym mi powiedzieć?

– Że będę musiała wziąć trochę wolnego od pracy w klinice za jakieś sześć miesięcy.

Przeliczył i wyszło mu, że będzie to grudzień. Próbował zrozumieć, co miała na myśli.

– Chcesz tutaj spędzić święta Bożego Narodzenia?

– Byłoby cudownie, ale obawiam się, że wtedy nie będę w stanie podróżować. – Jedynie figlarny błysk w oku świadczył, że to, co chce mu przekazać, to nic strasznego. Zaraz też wybuchnęła śmiechem. – Próbuję ci powiedzieć, mój kochany, że ponownie zostaniesz ojcem.

Gapił się na nią wielkimi oczami, a jej słowa dopiero powoli do niego docierały.

– Spodziewamy się dziecka?

– Tak – odparła cicho.

Poczuł ucisk w gardle. Przytulił ją mocno do piersi, a wzrok przesłoniły mu całkiem łzy.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi wcześniej?

– Bo, po pierwsze, nie byłam pewna, aż do kilku dni przed wyjazdem, a potem pomyślałam, że

mógłbyś wykorzystać to jako wymówkę, by odłożyć wyjazd. Obawiam się, że zachowałam się trochę samolubnie.

Pogładził palcem jej policzek.

– Ależ jesteś najdzielniejszą, najmniej samolubną kobietą, jaką znam, i twoja ogromna miłość mnie zawstydza.

– Więc się cieszysz? – zapytała Deirdre zachrypniętym głosem.

– Jestem zachwycony! Czuję się, jakbym dostał kolejną szansę, by tym razem lepiej sprawdzić się w roli ojca.

Przytuliła się do niego z westchnieniem.

– Bóg jest dla nas taki dobry, Matthew. Wiedział dokładnie, czego potrzebowałam, nawet gdy kroczyłam drogą, która niekoniecznie byłaby dla mnie dobra.

– Podobnie ze mną. Byłem pewny, że nie nadaję się do małżeństwa. Dziękuję Bogu każdego dnia za pewną apodyktyczną kobietę, która wtargnęła do mojego gabinetu zdeterminowana, by pomóc swojej matce, niezależnie od tego, co odpowie jej zrzędlawy doktor.

Oczy Deirdre skrzyły się radością.

– Niewątpliwie byłeś zrzędlawy i powiedziałabym jeszcze, że trochę arogancki.

– Niestety nie mogę temu zaprzeczyć. – Zachichotał i ponownie ją ucałował.

Wyciągnęła dłoń i pogładziła go po policzku.

– Cóż, doktorze Clayborne, czy zatańczy pan jeszcze raz ze swoją żoną, zanim zacniemy nasz miesiąc miodowy?

Otoczył ją ramionami.

– Bez dwóch zdań, pani Clayborne.



James O'Leary stał obok pianina w swoim salonie i obserwował otoczenie. Nie licząc kilku bliskich znajomych i sąsiadów, większość osób zgromadzonych na uroczystości to była rodzina – jego dzieci i wnuki.

Serce rosło mu z dumy. Wyglądali pięknie, a co ważniejsze, wszyscy byli zyczliwi, prawi i cieszyli się poważaniem w społeczeństwie. To byli ludzie, z którymi chciałby się zadawać, nawet gdyby nie byli spokrewnieni.

James wyprostował się, widząc, że w jego kierunku zmierza żona, wspierając się na lasce. W jej jasnych oczach widać było łzy.

Podszedł szybko, by wesprzeć ją od słabszej strony.

– Katie, powinnaś usiąść. Wydaje mi się, że jesteś przemęczona.

Od kiedy udar dotknął jego niezłomną wybrankę, życie Jamesa już nie było takie samo, bo wciąż się martwił, że mógłby ją stracić.

Jej uśmiech złagodził trochę jego zatroskanie.

– Dobrze się czuję, Jamesie. Choć nie odrzucę propozycji, by usiąść.

Poprowadził ją na sofę koło kominka, na której szybko zrobiło jej miejsce dwoje wnuków. Usiadł obok niej, wciąż nieprzekonany, iż ma się dobrze.

Kathleen położyła dłoń na jego dłoni.

– Deirdre właśnie podzieliła się ze mną najcudowniejszą nowiną. – Cała promieniała. – Spodziewają się dziecka z Matthew.

Fala emocji zalała serce Jamesa.

– Dziwny czas na obwieszanie takich nowin... podczas wesela.

– Wiesz dobrze, że pobrali się kilka miesięcy temu.

Skrzywił się.

– Na plebanii. W jakimś obcym kraju. To się nie liczy.

Kathleen roześmiała się.

– Ależ z ciebie oszust. Wszyscy myślą, że jesteś straszny, a ty tak naprawdę jesteś miękki jak galareta.

James powstrzymał drgnięcie ust.

– A zatem mamy kolejnego wnuka w drodze. Nie sądzisz, że Deirdre może żałować, iż porzuciła swoje marzenia?

– Marzenia nieraz zmieniają się z czasem. – Kathleen uśmiechnęła się i spojrzała przez pokój. – Wydaje mi się, że jest szczęśliwa, tak jak wszystkie nasze dzieci.

Powiódł wzrokiem za jej spojrzeniem skupionym na Connorze i Josephine, którzy stali blisko siebie, pogrążeni w jakiejś ważnej rozmowie... być może omawiali swoje niedawne zaręczyny.

Zanim Connor poznał Josephine Miller, jego jedyną pasją były Irlandzkie Łąki. Fakt, że był gotów porzucić dla niej swoje dziedzictwo, mówił więcej niż jakiegokolwiek słowa i tylko ugruntował w Jamesie poparcie dla ich związku.

– Chyba nie masz już żadnych zastrzeżeń co do Jo, prawda?

Pełne niepokoju pytanie Kathleen wyrwało Jamesa z zamyślenia.

– Nie, najdroższa. Bardzo do siebie pasują. A talent Josephine do obchodzenia się z końmi to kolejny powód do radości.

– Mamy takie szczęście, Jamesie... – wyszeptala Katie na granicy płaczu.

– To prawda, kochanie. – Uniósł jej dłoń do ust. – Ale przede wszystkim to ja mam szczęście, że mam ciebie.

Uśmiechnęła się.

– W przyszłym tygodniu będziemy świętować chrzciny trójki naszych wnucząt. Co myśmy zrobili, że zasłużyliśmy na tak cudowną rodzinę?

Pogładził jej palce, będąc myślami gdzieś daleko.

– Ostatnio często wspominałem moich rodziców. Przyjechali do tego kraju, nie mając nic oprócz ubrań na sobie. Liczyli, że uda im się ofiarować swoim dzieciom lepsze życie. Byliby tacy dumni, gdyby widzieli, jakie dziedzictwo stworzyliśmy. – Przełknął, bo emocje ścisnęły mu gardło.

– Na pewno by byli.

James przechylił się i ucałował żonę, która rozumiała go, jak nikt inny. Następnie podniósł głowę i przyjrzał się pomieszczeniu, w którym pełno było jego potomków – przyszłych pokoleń O’Learych, i poczuł ciepło w sercu. Nie miał wątpliwości, że Bóg dał im obfite błogosławieństwo.

I nieważne, co przyniesie przyszłość, James miał pewność, że jego rodzina przetrwa każdy sztorm, jaki nadejdzie, podtrzymywana przysięgą Bożej nieustającej miłości.

I za to rzeczywiście był najbardziej wdzięczny.

PODZIĘKOWANIA

Przysięga miłości jest dla mnie wspaniałym, choć nieco gorzkim doświadczeniem, bo stanowi zakończenie serii *Mieć odwagę, by marzyć* i ostatni rozdział w życiu mojej ukochanej rodziny O'Leary. Bardzo mi będzie ich brakować!

Jednym z najmiłszych aspektów pisania tej powieści był fakt, że część akcji rozgrywa się w Toronto, w stanie Ontario, nie tak daleko od mojego rodzinnego miasteczka, dzięki czemu miałam okazję do pewnych historycznych poszukiwań na temat swoich okolic. Odwiedziłam Stary Ratusz w Toronto, teraz służący już tylko jako sąd, ale na początku lat 1900 pełnił funkcję ratusza oraz sądu.

Dowiedziałam się wiele na temat I wojny światowej, szczególnie o żołnierzach, którzy ranni powrócili do Kanady. Umieściłam swojego bohatera, doktora Matthew Clayborne'a, wśród tych historycznych lekarzy, o których czytałam. (Wzorowałam się również na osobie Matthew Crawleya z *Downton Abbey*, który służył w armii podczas I wojny światowej). Ponadto w swojej książce umieściłam szpital wojskowy w budynku Christie Street Veterans' Hospital, który był fabryką National Cash Register Company, a następnie w 1919 roku został przekształcony w Wojskowy Szpital Ortopedyczny w Toronto.

Chciałabym podziękować całemu wspaniałemu zespołowi wydawnictwa Bethany House za ich ciężką pracę. W szczególności pragnę wymienić: Dave'a Longa, Charlene Patterson i Sharon Hodge za ich niezastąpiony wkład redaktorski. Dziękuję również Noelle Buss, Amy Green i Stacey Theesfield za pracę przy promocji moich książek. Wasze wsparcie jest dla mnie szczególnie ważne!

Po raz kolejny zawdzięczam wiele moim cudownym krytykom – Sally Bayless i Julie Jarnagin, które pomagały mi dopracować tę powieść! Dziękuję za waszą przyjaźń i wsparcie.

Oczywiście dziękuję również mojej rodzinie – mojemu mężowi, Budowi, oraz moim dzieciom, Leanne i Ericowi – za ich nieustającą miłość i zachęty.

Tak bardzo się cieszę, że należę do grupy autorów publikujących w wydawnictwie Bethany House. To dla mnie wyjątkowe błogosławieństwo, że mogę dzielić się z wami swoimi powieściami i mam nadzieję, że to nie koniec!

Więcej informacji o moich książkach znajduje się na stronie <http://susanannemason.com>

Z najserdeczniejszymi życzeniami

Susan